



1. mózg, waga:
150 – 200 g

2. miotła



3. serce teściowej

Serce teściowej

RAFAŁ
DĘBSKI

RAFAŁ DĘBSKI

Serce leściowej



Lublin 2010

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dlaczego rycerz nie przeląkł się smoka

Wilczy dołek, czyli jak zostać smokiem

Fliegeritterzy

Żmija na śpiąco

Serce teściowej

Kura

Demony starszyny Gawriłowa

Invidia

Cena spokoju

Festung Oels

Różaniec z bursztynu

Książki Rafała Dębskiego

Rafał Dębski

Karta redakcyjna

Okładka

Dlaczego rycerz nie przeląkł się smoka

Choć macierz moja niskiego była rodu, a ojca swego zgoła nie znałem, nie poskapił mi Bóg łask, bym ku światowemu życiu miał możliwość się wznieść. W klasztorze braci cystersów nie szczędzono nauk ani mej duszy, ani grzesznemu ciału, więc po kolejnym bolesnym, a nie do końca zasłużonym, wybatożeniu porzuciłem onych świątobliwych mężów, zamiarując do jakiegoś możnego pana w służbę pójść, życia prawdziwego zaznać.

Takiego właśnie, pełnego wzniosłych myśli, gdym włókł się gościńcem, naszedł mnie rycerz Strzygniew Strzegonia, wielmoża pleców szerokich i pięści ogromnej, umysłu zaś na tyle żywego, ile ku rozpoznaniu herbów, czy to wrogów, czy przyjaciół, koniecznym było, a i tu niejednym raz zdarzyło mu się pomylić, przez co nie miał zbyt wielu znajomków na tym łąz padole.

Pan ów, gdy zoczył mnie, w sakwie podróżnej księgę wielkiej uczoneości akuratnie przewoził. Sam jednakowoż nie był w stanie treści jej poznać, jako że umiejętność czytania obcą mu, jako i każdemu uczciwemu rycerzowi, była. Toteż na widok mej szaty pątnicznej – bo w łachman prawdziwy zdążył się habit mój przemienić – zakrzyknął radośnie.

– Otoś spadł mi z nieba, klecho zatracony!

Gdym mu wyjawiał, że niewyświęcony jeszcze, strapił się niepomału, jednakowoż zadał bystre pytanie, czy zdolen jestem znaczki kreślone na pergaminach w słowa poskładać, a po twierdzącej odpowiedzi oblicze znowu mu się rozjaśniło.

– To i lepiej, żeś nie kapłanem – rzekł z promiennym uśmiechem – bo od dziś na służbę cię przyjmuję. Zasię święconego człeka nijak by było w przyplwywie złości bez plecy batogiem przeciągnąć lubo w pysk, jak Bóg przykazał, strzelić.

Na pierwszym zaś postoju księgę z juków dobywszy, czytać mi ją a wyjaśniać nakazał. Jako już rzekłem, wielkiej mądrości był to wolumin – traktat o naturze smoków przez niejakiego Marcusa Sanctusa Huberathusa własną ręką spisany. Mędrzec ów, w słowach pełnych uczoneości, między bajki gadki o potędze onych potworów kazał włożyć. Nie jest bowiem smok latający stworem ogromnym, jak tego chcą ciemne umysły, jako taki zbyt ciężki by był i w powietrze unieść by się nie mógł. Skoro więc lata, nad dużego orła większym być nie może. Zaś jeśli pokażny by był istotnie, nieruchawością za rozmiar swój zapłacić musi, a o jakim lataniu wówczas mowy być nie może. Ledwie to wyłuszczyć nadążył, pan mój zakrzyknął wielkim głosem:

– Takoz i miód na me serce lejesz! Gdy poczwara rzeczona wagi sporego ptaka przekroczyć nie może, pośledniejszy nawet ode mnie rycerz zdolny jest ją położyć trupem! Jeśli zasię wielka a nieruchawa jest, jeszcze lepiej, bo kaźden parający się zbrojnym rzemiosłem wie, iż przeciwnik silny, ale powolny, łatwym łupem łącno się staje.

Po czym w łeb mnie z radości mimochodem palnąwszy, dalej czytać nakazał. Rzekłszy prawdę, ciężką miał rękę Strzygniew Strzegonia. Gdym do przytomności powrócił, lodowatą wodą w twarz sownie obłany, dalej jąłem uczoną księgę studiować.

Marcus Sanctus Huberathus wywoził także o ogniu, przerażającym orężu potwora. I tu, jak ze słów uczonego wynikło, obawiać się go trzeba nie tak bardzo, jak o tym legendy stanowią. Wystarczy przestrzegać pewnych wskazówek – a to zbroję grzeczną u płatnerza obstalować od gorącości chroniącą, a to podchodzić smoka nie pod wiatr, ale z wiatrem, bo podmuch powietrza ogień bestii i tak nędzarny jeszcze pomniejsza, często zgoła na powrót w paszczę płomień jej wpychając. Ogień ów zresztą krótkotrwały ma być i odpowiednich substancyj jeno na kilka porcji posiada w sobie smoczysko. Co do zbroi, mędrzec opisał ją dokładnie, szkicuując na dodatek grzeczne ryciny.

Po tych słowach znów zakrzyknął radośnie rycerz Strzegonia, jednak tym razem zręcznie nadążyłem przed ciosem się uchylić, co rozgniewało go niepomiernie, tak że mi niespodziewanie z drugiej ręki zadał uderzenie zwane plaskaczem, po którym przez tydzień gęba puchła mi tak, że mu księgi czytać nie mógł.

Nie tracił jednak czasu cny Strzygniew. Ledwie dotarliśmy do miasta Krakowa, ruszył ku warsztatom płatnerskim najlepszego rzemieślnika wyszukać. A trza tu dopowiedzieć, iż piękny ów gród od pewnego czasu jął prześladować smok straszliwy. Długa miała być bestia na trzysta łokci, fruwająca i straszliwym ogniem dalej niż przez trzy własne długości ziejąca. Obsmiał się Strzygniew Strzegonia z ludzkiej łątwości, a i ja krzywo się uśmiechnąłem, na ile mi boląca gęba pozwalała. Dopiekło pono smoczysko okolicznym mieszkańcom, kmieciom plony niszcząc, kupców odstrasząc, gdyż wielu podróżnych wołało gród ominąć niż zdawać się na hazard spotkania z poczwarą, zaś mieszczan zmuszając do płacenia danin ponad miarę, albowiem trza było bydłeta wszędy skupować, by żarłoka nasycić, a skarbiec ksiąźęcy pustkami świecił. Przeto palatyn ksiąźęcy za pokonanie poczwary nagrodę sowitą ofiarował – córę swą wraz z bogatym wianem. Oczy zaświeciły się rycerzowi memu na taką gratkę.

– Panna piękna, jak słyhać – rzekł – i prócz rozkoszy cielesnej klejnotów a ziem małżonkowi przysporzy.

Gdym zaś chciał mu przytaknąć, za ramię mnie ścisnął.

– Ty zasię nic teraz nie gadaj, Jakubie, byś jak najprędzej ozdrowiał i księgę do końca mi objaśnił. Zęby naderszone szanuj, bo jeśli, nie daj Bóg, wylecą, szepłenić jeszcze zaczniesz, a chcę wszystko jak należy z uczonego traktatu wyrozumieć, nie zaś głupawy bełkot usłyseć.

Żelazny miał uścisk mój pan. Obojczyk zachrupał jeno żałośnie, jęk z mych ust dobywając. Poszedłem zatem milczący i przygarbiony za czcigodnym Strzygniewem do najprzedniejszego w mieście płatnerza. Tam pan mój wedle wzorów wziętych z iluminacyj w księdze Huberathowej zbroję sporządzić kazał, szczerem złotem obiecując zapłacić, gdy jeno córkę dostojnika za żonę dostanie. Krzywił się rzemieślnik na tak niepewny kredyt, gwarancyj a zastawów żądał, więc mu rycerz w poczet długu

moją osobę powierzył, co poniekąd ukontentowało mistrza, choć rzucił kwaśne słowo, a to o mych plecach wątlých, a to o nogach pałakowatých, a to o gębie krzywej. Poszliśmy potem na zamek, gdzie palatyn niezwłocznie nas przyjął, swą córę mając u boku. Piękna była tak, jak o niej powiadano. I usłyszeliśmy o latającej bestii rzeczy potworne. I podpisał zaraz potem dostojnik cyrografy stosowne. I postawił trzy krzyżyki na każdym Strzygniew Strzegonia. Zaś w przedśionku, z radosnej swawoli, rycerz mój poturbował i ze schodów zrzucił szewca pewnego, co z wypchanym siarką baranem ośmielił się przyleźć i przed pańskie oczy pchać w prostackiej czelności.

Miesiąc prawie zbroję płatnerz gotował, całą inną robotę zupełnie na ten czas porzuciwszy, ja zaś do czytania i tłumaczenia księgi powrócić mogłem. Wówczas dowiedziałem się, iż smoki umiejętność straszliwą posiadły, a to czytanie w myślach człeka i możność myśli onych kształtowania. Tu jednakowoż mój pan wzruszył jeno ramionami.

– A niechże u mnie co wyczytać popróbuje, gdy taki gardzina – rzekł. – Szczyć się bowiem, iże wpierym zwykłem czynić, potem zaś dopiero w umyśle cokolwiek rozważać. Dlatego z bitew żywy i cały zawsze wychodzę, za nic mając słabeuszy owych, którzy każdy krok rozważają. Powiadam ci, Jakubie, słaby to oręż na prawego woja owo czytanie w rozumie. Chłopkom roztropkom jeno lubo zgoła takim ciastochoom jako ty bać się tego, nie mnie.

Słowami tymi wlał otuchę w moje serce.

– Panie – odważyłem się jeszcze rzec. – Ów Marcus Sanctus Huberathus w uczoności swojej doradza jednak, by mimo wszystko smoka strzałą z kuszy lubo łuku porazić, miast się na awanturę konną porywać.

Podniósł groźnie dłoń potężną Strzygniew, jednakowoż pomny, iż jeszcze przydać się mogę, zaledwie trącił mnie lekko w plecy. Gdym powstał jako tako na nogi, rzekł:

– Nie wiesz to, że kusza wyklętą i nierycerską bronią jest? Zaś z łuku szyc' umiem doskonale, jednakowoż nie przystoi rycerzowi narzędziem tym się parać, jeśli konno a kopijno stanąć może. Nie wiesz ty, co honor, tak i się nie wtrącaj. Ninie zaś do mistrza po pancierz pójdźmy.

Piękna była zbroja uczyniona sprawnymi rękami płatnerza. Jak zwierciadło lśniaca, bez jednej szczeliny, przez którą płomień przedrzeć by się mógł, zaś przyłbica taka, jakiej nigdy nie widziałem, wielka niby sagan, z wąskim pasem na oczy i otworami do oddychania przesłoniętymi skośnymi paskami metalu. Można było owe paski za pomocą dźwignienki ułożyć całkiem płasko, by od ognia się odciąć, a owa niespotykana wielkość szłomu należyta ku przetrwaniu ilość powietrza zabezpieczała. I tarczę wykuł mistrz jak lustro, wielką na cztery łokcie, za którą cały mógł się rycerz schronić. Pod blachy zaś zamówił płatnerz u sukienników a kuśnierzy kosztowny kaftan i nogawice. Na miękkie sukno podbite filcowym płatem naszyto skóry salamander, o których powiadają, iż w ogniu bezkarnie mogą się kąpać. Takoż rumak grzeczną oprawę otrzymał. A to kropierz sukienny, grubości zacnej, któren przed walką wodą porządnie zmoczony miał zostać, a to stalową osłonę na łeb, tak że swego pana do złudzenia przypominał, a to siodło i rząd cały blaszkami ciasno nabijane, by płomień zbyt łatwo rzemieni nie spałił.

Przybrał się też zaraz szlachetny Strzygniew Strzegonia, ubrał także swego wiernego wierzchowca, po czym ruszyliśmy na błonia ku walce go układac.

Nadchodził zaś czas, gdy smoczyko daniny zażądać miało. Owiec dwóch setek, krów cztery mendle i jednej dziewczicy ku sprośnej ucieście.

– Pewnikiem – mruknął na wieść o tym pan Strzegonia – z góralami ową zwierzyną potwór handluje. Bo jeśli iście lata, znaczy, iż nieduży jest, a gdzieżby coś, co niewiele więcej ode mnie waży, tyle owiec przez miesiąc zeżarło... Dziewicę zaś, i owszem, rozumiem, dla siebie trzymać może, pokąd mu się nie znudzi. Jak jest, tak jest. Jutro, nim mu dań złożą, ruszamy.

Jedynie to były zresztą słowa, jakim od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

Grubo przed świtem ściągnął mnie rycerz z łoża. Poszturchiwał i łąjał, kontent wielce z nadchodzącej przygody. Przez dziesięć z górą pacierzy wraz z czterema pachółkami przybieraliśmy męznego woja w pancerz. Gdy ostatni pasek dopinał, pan Strzygniew krzyknąć rozpaczliwie począł. Oto, jako się okazało, w pośpiechu nałożył broń na koszulę jeno, a przesywanica obok na ławie leżała. Jąłem zatem rozpinać i rozsypywać rzemienie, a ze dwie setki ich było najmarniej. Okrutnie zagniewany był rycerz, gdyśmy go wreszcie ze zbroi wypuścili. W pysk zaraz prasnął sługę, co mu się pod rękę nawinął, a potem i drugiego, tak że zamiast w pięciu ubieraliśmy go dalej we trzech. Strach było patrzeć, jak zdrożony a upocony stał mój pan, klnąc i lżąc nas najgorszymi słowy.

Jeszcze w oparzu nocnej zimnej mgły na swego marnego podjezdka siadłem, by wraz z wojem smoczą pieczarę odnaleźć. Jechaliśmy ciemnymi ulicami, a rycerz Strzygniew dzwonił przy każdym stąpieniu wierzchowca niczym wielka sygnatura. Leciąły z okien na nas przekleństwa, a także odpadki różne, bo cni mieszczanie ze snu zerwali się, myśląc, iż straszny pożar wybuchł, a widząc jeno nas dwóch, w gniew wielki popadali. Mnie jednak się zdało, że oto nie rozczochrane, zaczepcowane i czerwone ze złości mieszczki, ale piękne bladolice damy żegnają nas i błogosławią przed walką, zaś to, co na głowy i pod nogi nam spada, to nie odpadki wieczorne i brudy nocne, lecz wonne kwiaty i kolorowe szarfy.

Smok w jaskini pod szkapą zamieszkał, niecałe dwie wiorsty od grodu. Zatem jeszcze nim słońce dobrze wzbiło się na nieboskłon, byliśmy na miejscu. Rycerz pod pachą ścisnął ciężką, w całości okutą żelazem kopię, ja zaś ku pokrzepieniu księgę Marcusa Sanctusa Huberathusa do piersi tuliłem.

– Patrzaj, Jakubie – odezwał się rycerz, a głos jego zadudnił głucho wewnątrz wielkiego hełmu – jaką to sobie ogromną pieczarę bestia za siedzibę obrała. Ku postrachowi maluczkich pewnie to uczyniła, by uwierzyli, że iście potężna jest.

– A jeśli w istocie rzeczy tak wielki jest smok? – spytałem drżącym głosem.

– A to odczytaj tam z księgi, co trzeba na taką okoliczność.

I odczytałem, a w miarę zagłębiania się w uczoności traktatu, wracała we mnie wiara i nadzieja. Oto bowiem, jeśli najdzie się smok nadmiernie wielki, słaby w ruchach musi być i głupawy, a latać zgoła nie może wcale. Tak i bodaj łatwiejszym jeszcze może paść łupem mocarnego rycerza niżli mały i zwrotny potwór.

– Sam zatem widzisz, jako jest – rzekł Strzygniew Strzegonia. – Zaś żaden smok, jeśli dobrze mi całą rzecz objaśniłeś, dłuższy nad sto lub sto pięćdziesiąt łokci tak czy siak być nie może. Gdyby bowiem był większy, zgoła by żyć nie potrafił, a własny ciężar rozplaszczalby go na ziemi. Czy tak?

– Tak owe słowa mędrca pojmować niechybnie należy.

– Zatem poczynajmy, a godnie. Zatrąb w róg, mój wierny giermku.

Przyłożyłem do warg koniec instrumentu i zadałem jak mogłem najgłośniej.

Zaczem mój dzielny rycerz wrazą poczwarę na bój wyzwał. Krzyczał i dzwonił wielką tarczą, a ja trąbiłem z całych sił, aż nareszcie w jaskini zaczął się czynić ruch. Bestia, zbudzona i, wnosząc z niskiego groźnego pomruku, ogromnie rozdrażniona, zaczęła wypelzać. Wpierw ukazał się pysk do jaszczurczego podobny, a potem...

Wstrzymałem oddech, patrząc na owo zjawisko. Powiadano, iż trzysta łokci miał mierzyć potwór. Łez to była, wierzajcie mi! Smok najmarniej na trzysta, jeno nie łokci, a kroków był długi! Nim cały z jaskini wylazł, przed południem nieledwie się zrobiło. A mój rycerz czekał cierpliwie, modlitwą się pokrzepiając.

– Dobrze jest – rzucił ku mnie. – Im większa gadzina, tym mniej się będzie mogła opędzić przed mym kunsztem rycerskim. I latać nie umie na pewno, spójrz jak małe ma skrzydła przy swej postaci.

Smok zasię spojrzął po polu, szukając, kto mu w spokojności pobruździł. Wlepił też w nas wielkie żółte ślepie i uczułem z nagłą, jak w mojej głowie wpierw pustka, a potem dziwne myśli i pytania latać zaczynają. Czy przodkiem mym był niejaki Garbus Samosiej, syn bednarza i żonglera, który to żongler owego bednarza uwiódł był pewnej letniej księżycowej nocy? Zali rzeczywiście w niebiesiech anieli w chóry bywają ustawieni? Ilu diabłów może usiąść jednocześnie na stolcu biskupa? I owo najdziwniejsze, którego nie mogłem za nic wyrozumieć, a mianowicie „czy ce równa się emcekwadrat”. Smocze to były sztuczki, ażeby wrogów pognębić i bez nijakiej walki pokonać. Słabość też wielka moje członki od tych myśli ogarniać poczęła, że ni kroku, ni najmniejszego gestu uczynić nie mogłem.

Lecz rycerz mój na całe szczęście zdawał się zdrow i rzeński. Prawdę widać rzekł o swej na zbędne myślenie odporności, bo oto krzyknąwszy gromko, ku potworowi popędził. Zdumiał się smok niepomału, szyję wysoko wzniosł, patrząc na człeka, co z wielkim wrzaskiem i zabójczą kopią nań leciał. Iście nieruchawy był i do lotu niezdolny, jak to słusznie opisywał uczony Huberathus, bo zamarł tak, śledząc jeno, jak bezlitosny grot przybliży się ku niemu, prosto w serce chcąc ugodzić. Zadem przyparł się do skały, przypląszczył, jakby chciał w nią cały wnijsć, by starcia tchórzliwie uniknąć.

Zasię rycerz Strzygniew coraz głośniej wołał i coraz to bliżej poczwary się znajdował. W cwale rumak szorował prawie brzuchem po ziemi. Był o pięćdziesiąt, o czterdzieści kroków... jeszcze dwadzieścia, dziesięć... Już znalazł się tuż-tuż...

I już miał rycerz kutym, ostrym niczym igłą grotem pierś smoczą przeszyć. I już prawicę szykował, by miecz z pochew wyszarpnąć, by przez pysk obrzydły z rozmachem ciąć. Zdawało się, że nic potwora nie wyratuje z obieży! Lecz wtedy stało się coś, czego nikt spodziewać się nie mógł. Nagle ogromna bestia machnęła marnymi skrzydłami. Mniemałem, iż ze strachu wielkiego jeno to czyni, lecz serce we mnie zamarło, gdy z nagłą wzbila się w górę. Nie mniej ode mnie musiał być zdumiony Strzygniew Strzegonia, bowiem rumaka nawet nie usiłując wodzami ściągnąć, w niepowstrzymanym pędzie o skałę, w którą dotąd wspierał się smoczy zad, z całej siły wyrznął.

Zaś wielka poczwara żwawo i zwinnie zatoczyła w powietrzu koło, kłam rozważaniom mistrza Huberathusa o niezdarności i niemożności rządowego lotu zadając. Tak się ustawiła przy tym, że leżący śmiałek tuż przed jej pyskiem się znalazł. Tyle miał przytomności skołatany upadkiem rycerz, by się jeszcze pod wielką tarczą schować, nogi podkurczywszy i głowę niczym ślimak w skorupę wciągnąwszy. Albowiem w tym

momencie z rozdziawionego pyska smoka ogień wytrysnął. Ogarnął płomieniem mego pana oraz jego wierzchowca i trwał, trwał a trwał... Dobrze ponad pół pacierza minęło, nim smok przypiekać nieszczęsnego przestał. Zaraz też, niewiele czekając, następny równie wielki płomień z siebie dobył. A trza jeszcze rzec, iż pod bardzo silny wiatr smok ział, znów pokazując, jak ulotne i niemiarodajne są mądrości zawarte w uczonej księdze.

Potem, zgrabnie na ziemi siadłszy, jednym kęsem dobrze już przypieczonego konia pożarł i ku rycerzowi się zwrócił. Ten żyw był jeszcze, bo ręką ruszył, dowód dając, iż prawdziwie przedni pancerz płatnerz przygotował. Czując, że dusza moja ku ziemi z przerażenia spływa, patrzyłem, jak nieszczęśnika smoczyśko w szczęki porwał. Jednakowoż, z jakiejś nieznaney mi przyczyny, zaraz rycerza wypuściło, po czym leżącego dokładnie obwąchało i łeb prędko cofnęło.

Nie wiem, jak by się przygoda nasza skończyła, gdyby nie cni pasterze, co w owej chwili stado owiec a krów na żer potworowi przygnali. Natychmiast smok o mym nieszczęsnym panu zapomniał, ku nowym smakowitościom spojrzenie i kroki kierując. Zatem zaraz poskoczyłem tam, gdzie wypalona ziemia jeszcze stopy parzyła, pana swego chwyciłem i przy pomocy dobrych ludzi przez siodło podjezdka przerzucić zdołałem. Gdyśmy zaś zmierzali ku miastu, minąłem szewca owego, którego onegdaj mój rycerz w zankowym korytarzu spostonował. Zmierzał ku błoniom, dzierząc pod pachą jeszcze gorzej niż uprzednio cuchnącego barana. Obrzucił nas jeno drwiącym spojrzeniem, wciąż jeszcze zapuchniętych i podfioletowionych pięścią Strzegoni oczu, po czym w swoją stronę z jasnym i pełnym wiary uśmiechem ruszył.

Jedynie to były zresztą słowa, jakim od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

Trzy dni kowal rozkuwał zapieczoną od ognia i pogiętą zbroję. Trzy dni huczały w kuźni młoty i tyleż czasu krzyczał w udręce nieszczęsny rycerz rozciągnięty na dębowej ławie niby na kowadle.

Gdy zaś go wreszcie ze skorup potrzaskanych wydobyto, nie mieszkając, o konia zawołał i galopem za bramy miasta ruszył.

– Wszystkie kosza mi zwróci, niegodziwiec – wrzeszczał, pędząc jak wicher. – Niech go jeno dopadnę! Za wszystko zapłaci!

Ja zaś jako niewolny wyrobnik u mistrza płatnerskiego ostać ku odpracowaniu pańskiego długu musiałem.

Myliłby się zaś ten, kto by sądził, iż gniew rycerza Strzygniewa przeciw smokowi był skierowany. Nic błędniejszego. Wziął bowiem przed się szlachetny Strzegonia owego mędrca, Marcusa Sanctusa Huberathusa, odnaleźć, by na nim pomstę za wstyd swój i ruinę wyrzucić.

Ja zaś z utęsknieniem czekam, aż dług pana mego uczciwie odrobnię i wtedy za nim pojechać zamierzam. Albowiem sam bardzo pragnę uczonego autora traktatu odnaleźć i od siebie razów kilka mu dołożyć. Pocieszenie jedno mam w udręce, iż przynajmniej smok okrutny podejść się sprytowi człeka z gminu nie pozwolił. Nie jeno wypchanego trutką barana, ale i durnego szewca zeżarł, raz nawet się nie zakrzusiwszy, marnego skrzeku nie wydawszy.

I tak sobie mniemam, iż słuszną karą dla Marcusa Sanctusa Huberathusa byłoby do grodu go przywlec, aby bestii do oczu dostawić. Niech sam się przekona, co warte są

jego uczoności, nim następną księgę ku zbudowaniu potomnych napisać zechce.

Wilczy dołek, czyli jak zostać smokiem

Z ciemnego wnętrza pieczary wydobywał się gryzący dym. Był tłusty, pełził nisko przy ziemi, niósł nieprzyjemny zapach siarki i smoły. Całe otoczenie jaskini, w tym także droga, pokryte zostało czarną twardą substancją, po której szło się niepokojąco wygodnie.

Sir Edward złożył dłonie przy ustach.

– Bywaj!

Natychmiast musiał ująć wodze, gdyż zaniepokojony rumak, którego trzymał przy pysku, próbował wspiąć się na tylne nogi.

– Bywaj! – zawołał jeszcze raz.

W ciemnym wnętrzu dał się dostrzec niewyraźny blask. Po chwili ukazał się niepozorny człowiek, dzierżący w lewej ręce łuczycwo, a w prawej ogromny miecz, którego koniec włókł się po ziemi, a raczej tym ciemnym czymś, czym ziemię pokryto.

Sir Edward, widząc, że miecz zdaje się cięższy od właściciela, pomyślał, iż nie ma wielkiego sensu posługiwać się bronią, której nie da się swobodnie unieść. On sam musiałby się zdrowo wysilić, żeby machnąć takim różnem, a co dopiero ten chudy szczur.

Chudzielec, jakby odgadując jego myśli, rzekł:

– Postury jestem może i podłej, szlachetny panie, ale nie zważajcie na pozory. – Tu niespodziewanie lekko uniósł ramię z bronią i zawinał z furkotem ciężką głownią, jakby miał w rękę ćwiczebny kij, a nie bojową klingę. Sir Edward splunął od uroku, co widząc, mieszkaniec jaskini roześmiał się chrapliwie. Zaraz jednak spowaźniał i powiedział dobitnie:

– Skoroście już wleźli w moją dziedzinę, rycerzu, powstrzymajcie się, z łaski swojej, od plucia, albowiem okrutnie tego nie lubię. Jak każdego zresztą chamstwa.

Sir Edward chciał potraktować bezczelnego pustelnika tak ostro, jak na to zasłużył, ale w czas przypomniał sobie, kto tu do kogo przybył i kto od kogo, czego, w jakim celu... Zaraz, kto, od czego, dla kogo... Nie po co i dla kogo...

– Czyżbyście się, panie zaplątali w konstrukcji gramatycznej? – zainteresował się uprzejmie gospodarz.

Sir Edward poczerwieniał.

– Skoro już jestem twoim gościem – warknął – postaraj się powstrzymać od czytania w moich myślach, bo okrutnie tego nie lubię. Jak każdego zresztą chamstwa!

– Celna riposta, panie. – Pustelnik skinął z uznaniem głową. – W dodatku będąca parafrazą mojej wcześniejszej wypowiedzi...

– I nie używaj słów, których znaczenia nie rozumiem – zirytował się znowu rycerz.
– Tego też nie lubię!

– Jaki wymagający panek – mruknął pustelnik.

– Co tam mruczysz?

– Modlitwy, szlachetny rycerzu – odparł pustelnik, nie zważając na marsową minę i zgrzytnięcie zębów niespodziewanego gościa. – Pozwólcie za mną do mego mieszkania.

Zaczął padać rześisty deszcz, więc rycerz chętnie skorzystał z zaproszenia.

Wnętrze jaskini urządzone było skromnie. Ot, ława z tarcic, służąca za stół i łożo zarazem, kilka byle jak zbitych zydli, na ścianach masa suszonych ziół, naczynia zawierające jakieś tajemnicze substancje. W kotle nad sporym paleniskiem bulgotało smrodliwie.

– Co tam warzysz?

Pustelnik rzucił miecz pod ścianę, zatknął w kunie łuczywo.

– Asfalt, panie.

– Co?

– Takie coś, żeby można wylewać tym trakty, na początek przynajmniej te najgłówniejsze. To znakomicie ułatwi podróżowanie i postawi handel na nogi. Właśnie to położyłem na dojeździe do mojej pieczary.

– Znowu jakieś diabelstwo! Łykom życie ułatwi, a porządne rycerstwo na psy zejdzie przez takie wynalazki! Wygodna, mój świątobliwy mężu, to może być droga do piekła, zaś człek pocziwy zbytków nie potrzebuje. Mnie, na przykład, wystarczy niebo nad głową i koń między nogami...

Przy ostatnich słowach sir Edward ugryzł się w język, zdając sobie sprawę, iż mogą zabrznieć dwuznacznie i zgorszyć pustelnika.

Ten jednak tylko wzruszył ramionami.

– Z czym przybywacie, panie?

Rycerz rozejrzał się.

– Nie dasz mi nic do picia?

– Nie.

– Zdechła u ciebie gościnność!

Pustelnik pokręcił głową.

– To nie tak, panie. Wodę pijacie?

– Tfu – skrzywił się sir Edward.

– No właśnie, a ja nic innego nie mam.

– Dobrze, to cię dostatecznie tłumaczy. Słuchaj zatem, chociaż, na honor, nie cierpię gadać o suchym pysku, a co miałem w bukłaku, dawno wypilem! Ale do rzeczy. Zdarzyło mi się, otóż, złożyć córce wielkiego pana, a damie mego serca, pewne ślubowanie...

– To bardzo nierozważne – wtrącił gospodarz.

– Może. Ale zdarzyło się i nic już się na to nie poradzi. Czy możesz mi nie przerywać? Nie lubię tego. Jak zresztą...

– ...każdego chamstwa – dokończył pustelnik. – Skądeś to znam.

– Właśnie. Słuchaj więc. Ślubowałem tak długo wstrzymać się od kobiecego ciała i wszetecznych uciech, aż wytropię i pokonam stworzenie naprawdę i do imentu złe,

taką esencję zła...

– Co za idiotyczny pomysł! – nie wytrzymał pustelnik.

– Tak?! – zaperzył się rycerz. – To spróbuj wymyślić w naszych czasach coś oryginalnego! Co lepsze i łatwiejsze ślubowania wytarte już jak gacie starego knechta. Graala może miałem poszukać?

Pustelnik obrzucił go przenikliwym spojrzeniem.

– Chyba byłoby łatwiej...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Później, panie, później... Mówcie dalej.

– Jako takową esencję astrolog królewski wskazał smoki, z natury złe i przewrotne, a przy tym jednakowoż w dużym stopniu przystępne ludzkiej mocy. Stało na tym, iż smoka łeb lubo nawet żywą poczwarę wybrance ofiaruję. Com się zjeździł po świecie, ilem zniósł upokorzeń i zaznał trudów, zanim powiedziano mi, jak onego smoka odszukać, jakie warunki wypełnić i zanim pokierowano mnie do ciebie, opiekunie smoczy...

– Glejt książęcy na polowanie macie? – spytał rzeczowo pustelnik. – Bo na kłusowanie zezwolić nie mogę.

– Oto jest. – Rycerz podał pergamin opatrzone wielką pieczęcią. Pustelnik odczytał pismo, nie spiesząc się zbytnio.

– Opłata wniesiona?

Sir Edward wy dobył bez słowa drugi dokument. Pustelnik otworzył szeroko oczy.

– Zwolnienie z płatności? Ho, ho, musicie mieć, szlachetny panie, możnych protektorów.

Sir Edward uśmiechnął się skromnie.

– To nieistotne. Ważne, bym poczwarę ubił, jako że okrutnie zaczyna mi już doskwierać ślubowanie.

– Oj, obawiam się, że i tak koniec końców przyjdzie wam zostać zakonnikiem.

– Co?! Co powiedziałaś?!

– Że przyjdzie wam zostać...

– Słyszałem! Chcę wiedzieć, dlaczego?

– Oszukano was. Smoki bez wątpliwości żadnej wrednymi nad wyraz stworzeniami są, ale ponieważ zostały przez Boga stworzone, zatem żadną miarą esencją zła ich nazwać nie można.

– Jakże to?!

– Na ostatnim soborze w Lateranie biskupi orzekli, iż nawet sam diabeł czy inne demony, w tym i smoki, stworzone zostały podług natury dobrymi, a stały się złymi sami przez się, przez własne grzechy. Tak i diabła samego nie lza nazwać esencją zła, jak widzicie.

– Inaczej mi gadał astrolog! – rzekł groźnie rycerz. – Jemu wierzę, nie tobie. Smoka chcę!

– Smok wam nie pomoże, padliście ofiarą...

– Pomoże! Smoka chcę!

– Wierzajcie mi...

– Smoka!!! – ryknął sir Edward.

– Aleście uparci, panie. Jak widzę nic was nie odwiedzie od zamiaru ubicia potwora?

– Nie! Mówiłem już! Baby... Tfu! Smoka mi trza! A porządnego!

– Jak chcecie, nie będę się więcej sprzeciwiał. Musicie się, jak widzę, przekonać sami. Wyboru wielkiego nie mamy, jako że smoków coraz to mniej. Ale może coś tam dla was znaleźć. Jest tu, i owszem, w okolicy smok jeden nazwiskiem Gorynycz...

Rycerz zmarszczył brwi.

– Gorynycz? – zapytał nieufnie. – Czy to brytyjskie nazwisko?

– Nie, to imigrant. U nas już od dawna słaba koniunktura na rodzimym rynku, choćby z tego względu, iż znacznie zmniejszono dotacje państwowe z uwagi na wyprawy krzyżowe pustoszące skarbiec, a i ludzie przestają lubić ryzyko, zaczynają bardziej się garnąć do handlu czy bankowości niż wojowania. Zresztą nasze smoki kapryśne są. Zaraz chcą zamek na pomieszkanie dostać, parę wsi pod zarząd, kontyngent dziewic, regularnych podwyżek, dodatku szkodliwego za zionięcie. A widzicie, panie, z zagranicy czasem zjeżdżają znakomici fachowcy, tani, a przy tym niewymagający. Ale i tych przymało...

– Nieważne. – Sir Edward machnął ręką. – A ten, jak mu tam...

– Gorynycz. Pochodzi z dalekiego kraju, nieznanego i dzikiej Rusi.

– Właśnie. Zły on chociaż?

– To bestia! – wykrzyknął pustelnik. – Potwór straszliwy, dyplomowany. Odebrał najlepsze wykształcenie w kijowskiej uczelni, specjalizację robił w Riazaniu, wie wszystko, co wredny smok wiedzieć powinien, a nawet więcej. Oczywiście, jego dyplom został u nas nostryfikowany, może więc działać legalnie, bez obaw, że będą go prześladować służby imigracyjne. Jednakowoż, jeśli ten was nie zadowala, mogą polecić innego, ale do tego trzeba przepłynąć się przez góry. To także gastarbajter, tyle że z Bliskiego Wschodu, niejaki Mustafa ibn Dżinn, naprawdę paskudna postać. Przykułał się swego czasu z Ziemi Świętej za królem Ryszardem.

Sir Edward westchnął.

– Niech już będzie ten Rusek, skoro do niego najbliżej.

– Słuszny wybór, panie, jednak pozwólcie sobie zwrócić uwagę, że naprawdę na niewiele wam się to zda, jak już bowiem mówiłem...

– Zamilcz – warknął rycerz. – Wiem ja, co jest na rzeczy. Nie chce ci się szukać nowego smoka, gdy tego ubiję! Leń z ciebie, świętobliwy. Jakoweś podejrzenie eksperymentu robisz wolisz niż to, za co ci płacą!

Pustelnik wzruszył ramionami. „Czekaj, ciotku” mruknął cichutko pod nosem i zanim rycerz zdążył się oburzyć, powiedział głośno:

– Wiecie, że glejt opiewa na jedno polowanie?

– Przecież, że wiem! Wyraźnie to napisano.

– Umiecie czytać? – zdziwił się opiekun smoków.

Sir Edward obraził się i nadął.

– Skąd ci przychodzą do głowy takie głupoty, prostaku? Jestem porządnym i uczciwym rycerzem. Nie przystoi mi mieć się tego, co jeno klechom i łykom przypisane. Przy mnie ów glejt rzędnie sporządzono i odczytano.

– Wybaczcie, panie, moje niewczesne podejrzenia, ale świat dookoła ulega nieustającym przemianom, więc...

– Jeszcze aż tak nie zwariował!

– Wybaczcie zatem. Wracając do sedna sprawy, wiecie, że drugiego zezwolenia nie otrzymacie. Edykt królewski z roku tysiąc dwieście trzydziestego szóstego...

– Wiem, wiem. Jeden rycerz może otrzymać tylko jedno takie zezwolenie w życiu. Ale jeśli mi się nie uda, z pewnością nie będzie to już ważne. Bo takie drobiazgi trupa

nie mogą interesować.

– Jednak moim obowiązkiem jest zaznajomić was ze wszystkimi aspektami...

– Gdzie ten smok, pustelniku, do diaska?! Wskaż mi drogę i diabli z tobą oraz twoimi przestrogi! Nie mam zamiaru tego wysłuchiwać.

– Jak sobie chcecie...



Na kamieniu przed pieczarą, bardzo podobną do tej, którą zamieszkiwał pustelnik, wygrzewał się niepozorny, łysawy człowieczek w podniszczonej mocno oponicy.

Kiedy sir Edward podjechał bliżej, człowieczek otworzył oczy.

– Witajcie, wielmożny panie. Szukacie kogoś, jeśli wolno spytać?

Sir Edward odchrząknął.

– Smoka Gorynycza.

– Słucham.

– Smoka Gorynycza! – powtórzył głośniejszym głosem, myśląc, że rozmówca nie dosłyszał.

– Słucham zatem.

– Jak to słucham?! – Sir Edward miał nieodpartą wrażliwość, że ktoś tutaj czegoś nie zrozumiał. Niekoniecznie łysy pokurcz.

– Posłuchajcie, panie, chcecie gadać z Gorynyczem?

– Nie inaczej.

– Więc słucham!

– Chcesz mi wmówić, że to ty, łgarzu?! – wściekł się rycerz.

– Nie jestem żadnym łgarzem, wielmożny! Nazywam się Stiepan Iwanowicz Gorynycz, smok dyplomowany z cenzusem.

– Ale ja chcę się spotkać ze smokiem, nie z człowiekiem!

– Znakomicie. Dobrze trafiliście, bo właśnie ja jestem smokiem.

– Nie!

– Mam pokazać bakalaureat?

Sir Edward wstydził się przyznać, że nie wie, co to jest bakalaureat. Pewnie znowu jakiś diabelski wymysł podejrzanych uczonych mężów!

– Ale smok powinien być wielkim jaszczurem z pazurami lwa, ogonem węża i skrzydłami orła!

– I właśnie tak wyglądam. Tyle, że wolę obecną postać. Jest o wiele wygodniejsza.

– Smoki nie potrafią zmieniać postaci!

– Potrafią. – Stiepan Iwanowicz był bardzo spokojny, wręcz znudzony. Wyglądało na to, że podobne rozmowy nie były dla niego niczym wyjątkowym.

– Nie potrafią!

– Potrafią.

– Nie!

– Zapewniam, że potrafią!

– To pokaż!

– Nie chce mi się. – Samozwańczy smok ziewnął.

Sir Edward nie zdzierzył. W normalnych okolicznościach zachowałby się niewątpliwie z większą wstrzeźliwością, jednak okoliczności niezmiernie trudno było uznać za normalne. Wściekłość, spowodowana przekonaniem, że próbuje się go oszukać i zbyć byle czym, połączona ze stanem ciągłego rozdrażnienia wywołanym ścisłym dotrzymywaniem warunków ślubowania, pozbawiły go rozsądku. Zeskoczył z kulbaki, podbiegł do Gorynycza i chwycił go za gardło.

– Gadaj, gdzie jest smok, albo cię uduszę.

Człowieczek wił się w uścisku, charczał, twarz mu siniała, a sir Edward zaciskał palce.

– Gadaj! – Nie zważał, że Gorynycz, któremu oczy wylazły na wierzch, i tak nic nie może powiedzieć, choćby nawet chciał.

Nagle błysnęło, zagrzało, a rycerz poczuł, że jego żelazny chwyt rozgina niesamowita siła, zupełnie jakby kark ofiary błyskawicznie zmieniał się w gruby pień drzewa. Coś pchnęło go w pierś z taką mocą, że upadł na plecy z głośnym chrzęstem kolczugi.

Spojrzał w górę i zbladł. Nad nim stała olbrzymia poczwara o korpusie i pysku jaszczurczym, łapach zakończonych ostrymi pazurami, upierzonych skrzydłach i węzowym ogonie, zamiatającym wściekle okoliczne skały. Smok pochylił łeb, buchnął dymem z nozdrzy.

Sir Edward zemdlął.

Kiedy otworzył oczy, zamiast potwornego pyska ujrzał pochylające się nad nim zatroskane oblicze opiekuna smoków.

– Dobrze się czujecie, panie?

– Gdzie smok?! – Rycerz zerwał się na równe nogi, rozglądając dookoła z obawą.

– Tam, gdzie jego miejsce. Przyniósł was i wrócił na posterunek.

Sir Edward odetchnął z ulgą.

– Co za potwór!

– Chciałem was ostrzec, ale nie słuchaliście...

– A do tego udaje zwykłego człowieka!

– Tkacie, wielmożny panie, złudzenia zasłaniające cały świat i was samego. Uważajcie, żeby ta zasłona nie stała się kokonem, który w końcu spowije was bez reszty, odcinając od rzeczywistości.

Rycerz słuchał z otwartymi ustami.

– Choryś – stwierdził. – Wapory od tego śmierdziucha w kotle pomieszały ci rozum!

– Nie oczekiwałem, że zrozumiecie. – Pustelnik machnął ręką. – Ale liczyłem na to, że przynajmniej spróbujecie.

– Próbujesz mnie obrazić?! – Sir Edward najwyraźniej wracał do siebie.

– Gdzieżbym śmiał – odparł pokornie gospodarz. – Takiego dzielnego rycerza, któremu niestraszne stwory z piekła rodem?

– Jesteś bezczelny – zauważył bez złości sir Edward. – Nad wyraz bezczelny.

Pustelnik uśmiechnął się lekko.

– Lepiej zastanówcie się, panie, co zrobić z dalszym życiem.

Sir Edward dopiero teraz zdał sobie sprawę z całej mizerii swojego położenia. Smok zrobił mu największe świństwo, na jakie było go stać, pozostawiając przy życiu bez możliwości wypełnienia ślubowania. Mnichem mu zostać, oskopić się przyjdzie, nie do ludzi wracać! Poczul, jak do oczu napływają mu łzy upokorzenia i żalu.

– O, ja nieszczęsny! – wykrzyknął. – Do zakonu li eremu mi iść, wodę źródlaną żłopać, miast ukochanego burtońskiego Pale Ale! Dziewki mi już hożej nie zaznać ni kurwy tknąć najostatniejszej bez utraty czci! O! Prawicą własną co najwyżej się kontentować. – Ponuro przypatrzył się swojej potężnej dłoni. – O, ja nieszczęsny!

Pustelnik obserwował ten wybuch rozpacz z wyraźnym niesmakiem.

– Lamentujecie niczym baba! – rzucił ostro. – To nie przystoi wojownikowi. Zawsze można znaleźć jakieś wyjście, tylko się trochę opanujcie.

Sir Edward usłuchał. Zimny ton głosu opiekuna smoków nieco go stropił i zmitygował. Spojrzał na pustelnika z nieśmiałą nadzieją. Ten skinął z aprobatą.

– Tak lepiej. Posłuchajcie uważnie, wielmożny. Bez wypełnienia ślubu wracać do dom czy między ludzi nijak, a ślubu nie jesteście w stanie wypełnić, czy tak?

Sir Edward kiwnął głową

– Jak łatwo domyślić się z waszych słów, zostać mnichem czy, tym bardziej, pustelnikiem zbytniej chęci nie macie?

Rycerz potwierdził energicznie.

– Jako woj jesteście skończeni, to chyba dla was oczywiste.

Sir Edward bez słowa chwycił się za głowę.

– Mam zatem dla was pewną propozycję. Smok jeden, będący pod moją kuratelą, Willibald z Yorku, przechodzi niebawem z racji wieku na zasłużoną emeryturę. Okazja jest wyborna, gdyż zamieszkuje on całkiem ładny zamek z uroczym widokiem w zdrowej okolicy. Lud tam spokojny, do bestii zwyczajny, więc łowców smoków nie wynajmuje, ziemie żyzne...

Rycerz zaniepokoił się.

– Do czego zmierzasz?

– Zostańcie smokiem w miejsce Willibalda.

Sir Edward wytrzeszczył oczy.

– CO?! Czym mam zostać?

– Smokiem. Kiedy przestaniecie być człowiekiem, zwolni was to z wypełnienia zobowiązań podjętych jako osoba ludzka, zgodnie z ustawą królewską z roku tysiąc sto siedemdziesiątego drugiego. Będziecie mogli żyć w miarę spokojnie, a jeśli przyjdzie wam chęć, znajdzie się i okazja do bitki. Jestem nawet gotów pójść wam na rękę i ustalić dla was dostawę dziewczyc. Oczywiście w granicach rozsądku.

– Wolę męźatki – poprawił odruchowo rycerz. – Bardziej są doświadczone.

– Na męźatki Kościół nie wyrazi zgody. – Pustelnik zmarszczył brwi. Po chwili jednak rozpozgodził twarz. – Ale istnieje wszak jedno wyjście: wdowy. Bardzo z zasady doświadczone, a i chętne zazwyczaj więcej jak inne niewiasty.

– Byle nie były za stare... – Sir Edward zamilkł gwałtownie, zdając sobie nagle sprawę, że zaczyna brać propozycję pustelnika zupełnie poważnie.

Opiekun smoków zachęcał dalej:

– Co się tyczy spyży, dostaniecie jej od chłopów tyle, ile wam będzie potrzeba. A i piwo dostarczą wedle życzenia. Może nie zaraz burtońskie, ale zapewniam, że najprzedsniejszej jakości.

Rycerz łamał się w sobie, przeżuwał decyzję.

– Musicie zdać sobie jasno sprawę, że wielkiego wyboru nie macie: klasztor, by ludźmi o was zapomnieli i życie w niesławie z dala od kochanek oraz przyjaciół lub całkiem wygodna egzystencja smoka.

To przeważało. Sir Edward podjął decyzję.

– A jak mam zostać tym smokiem? – zaniepokoił się jeszcze.

– Wystarczy wyrazić zgodę.

– Tak po prostu i nic więcej?

– Tak po prostu. A na przyuczenie pójdziecie sobie od zaraz do Willibalda. To znakomity pedagog z uprawnieniami nauczyciela akademickiego, więc od razu zaliczycie studia zaocznie. Macie szczęście, panie...

Rycerz odchrząknął, widać było, że chciałby o coś zapytać, ale brakuje mu czy to śmiałości, czy konceptu. Pustelnik uniósł brwi.

– Dręczy was jakiś niepokój? Jeśli tak, mówcie szybciej, bo mi tam w kotle zaraz zacznie kipieć a muszę dodać odpowiednich składników, zanim substancja zbyt gęstnieje.

– Hm... – Sir Edward trochę się zacukał, pociągnął nosem. – Właśnie w tym rzecz. Możecie mi powiedzieć, czcigodny, czy to świństwo w istocie zamierzacie zaoferować ludziom do wykładania traktów?

– A czemu was tak to niepokoi?

– Bo myślę sobie, czy to aby dobrze. – Przyszły smok potarł dłonią potylicę. – Już teraz włóczy się po drogach pełno tałatajstwa, jeśli zaś jeszcze podróżowanie się udogodni, dopiero zapanuje ścisk. A ilu darmozjadów wygna to z domowych pieleszy!

Opiekun smoków zmarszczył brwi.

– Czyżbyś obawiał się, panie, że pojawi się więcej osiłków mających na celu tylko jedno, a mianowicie dopaść Bogu ducha winnego skrzydlatego jaszczura?

– Sam bym lepiej tego nie wyraził.

– I nie dziwota – mruknął pustelnik – bo w wyrażaniu myśli trzeba cię będzie porządnie podszkolić. Za to pięścią poradzisz sobie bez trudu, a może nawet zbyt dobrze. Ciężkie zadanie czeka Willibalda.

– Znowu mruyczysz pod nosem, że wyrozumieć nie idzie! – zirytował się waleczny szlachcic. Najwyraźniej odzyskiwał formę.

– Nie ma powodu do obaw. – Opiekun smoków machnął lekceważąco ręką. – Nie przypuszczam, żeby w tej chwili ktoś chciał z tego skorzystać. Gdyby nawet jakiś władca skusił się uczynić coś w tym kierunku, Kościół jak nic stanie okoniem, bo biskupi i proboszczowie wolą mieć wiernych na oku. Jeśli im się owieczki zaczną rozłazić i świata zakosztują, a jeszcze zgadają się ze sobą, gotowe odmówić płacenia dziesięciny. Ale za to docenisz mój wynalazek, cny rycerzu, kiedy otrzymasz już smocze ciało i pazury. Nawet nie wiesz, jak nieprzyjemnie jest lądować na kamienistym polu. A dobrze położony asfalt to błogosławieństwo, bo i poślizg należyty łapom daje, i skóry na podeszwach nie zdziera.

– Powiedziałeś „kiedy otrzymasz smocze ciało”? – sir Edward nadstawił czujnie ucha. – Czy to oznacza, że nie stanie się tak od razu?

– No jakże! – zawołał zgorszony pustelnik. – Chcielibyście wzbić się w powietrze bez przygotowania? Jak niby macie zamiar sterować lotem i jak wylądować przede wszystkim? To właśnie przez eksperymenta i nieposłuszeństwo niedowarzonych młokosów w świat poszła fama, jakoby smoki były z natury wredne i bez ostrzeżenia spadały z nieba na ofiarę. Bo taki jeden z drugim, zanim zasady opanował, już podróżować chciał, urządzał podniebne popisy, a potem, nie umiejąc sobie poradzić, na ludzkie sadyby się walił, ze strachu zionąc ogniem. Często też od tego samego strachu ziemię deptał a ogniem majtał, zabijając ludzi i zwierzęta. Budzenie powszechnej paniki w bezmyślny sposób nie jest godne tego, kto chce się zwać prawdziwym

smokiem. Porządny jaszczur, mój panie, to istota opanowana, uprzejma i nawet jeśli kogo czasem zeżre, czyni to, nie uwłaczając czci spożywanego.

– Ile czasu minie, zanim dostąpię zaszczytu obleczenia się w smocze ciało? – spytał z niepokojem wojownik.

– Zwyczajnie wystarczy pięć lat, ale w waszym przypadku trzeba liczyć ze dwa razy tyle.

Rycerz otworzył usta, namyślając się usilnie nad słowami pustelnika.

– Dziesięć lat? – zawołał z przerażeniem, rozcapierzywszy w końcu wszystkie palce. – Toż to szmat czasu!

– Mniej niż wam się wydaje. Ale skoro nie macie ochoty czekać, wciąż możecie próbować wrócić do dawnego życia, gdyż nie powiedzieliście jeszcze smoczego „tak” w obliczu mentora. Jeno przypominam, że gęjtu na polowanie nie otrzymacie już nigdy, więc...

– Nie, nie – wystraszył się sir Edward. – Prowadźcie do tego Willibalda! Im wcześniej zacznę nauki, tym prędzej będę miał je z głowy. – Milczał przez chwilę, a potem zapytał błagalnym tonem: – A nie mógłbym dostać chociaż łuskowatego ciała bez skrzydeł, zanim co? Bo jak to tak, przez dziesięć lat być poczwara, a nie móc chociaż od czasu do czasu popęłzać na brzuchu niczym prawe smoczysko? Jakże to człękowi rycerskiego rodu zupełnie bez pancerza się włóczyć... Wiem już! Padnę do nóg nauczycielowi, może pozwoli się ubłagać...

– Nieszczęsny Willibald – mruknął pustelnik ze współczuciem, ale tym razem tak cichutko, żeby rycerz nie dosłyszał.

Fliegritterzy

Rękopis poniższy, zdeponowany w archiwum państwowym, publikujemy ku przestrodze wszystkim tym, którzy chcąc zahamować postęp, stają na drodze ludziom zdecydowanym ponosić najwyższe ofiary w imię nauki oraz dobra ludzkości.

Rydygier von Storm, radca dworu Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, Franciszka Józefa XI, dnia 10 maja roku Pańskiego 2110

Skoro czytasz te słowa, mój daleki potomku, wiedz, iż spisane zostały wieki przed Twym narodzeniem, bo w roku Pańskim tysiąc czterechsetnym czterdziestym czwartym. Skąd mam pewność, żeś przyszedł na świat długo po tych wydarzeniach? Stąd mianowicie, iż, zgodnie z wolą jego wysokości cesarza, ukryto je w archiwach na lat sześćset i sześćdziesiąt sześć, albowiem miłościwie nam panujący uznał w swej mądrości, że takie wieści, diabła samego mogące o ból głowy przyprawić, szatańską liczbą winny być opatrzone ku przestrodze przyszłych pokoleń.

Będąc tedy skromnym sługą cesarskim, a zarazem jednym z pierwszych mieczów wśród walecznego rycerstwa austriackiego, zostałem oddelegowany z doniosłą misją w piękne Góry Kasperskie. Nie w ostatku na wybór mej skromnej osoby miały wpływ moje zainteresowania naukami wszelakimi wraz z alchemią i astrologią. Przydano mi do towarzystwa ponurego mnicha od dominikanów, ojca Eustachego, którego z kolei parał się egzorcyzmami. Tenże milczał całą drogę, spoglądając na mnie jeno z ukosa, a niechętnie. Zaufania widać nie miał do człeka, co zgłębiać pragnie naturę rzeczy, miast zdać się na wiarę i brać za pewnik każde słowo świętych ksiąg.

Pora bodaj najwyższa, byś zapoznał się, cny potomku, z celem wyprawy. Oto pan na zamku Krostenmädel, graf Gotfryd von und zu Schoenendreck, od dłuższego czasu słał raporty o tajemniczych zjawiskach, które zaczęły pojawiać się nad jego dziedziną. Początkowo na dworze jego cesarskiej mości przypuszczano, iż pan Gotfryd wyszedł z rozumu, co w jego rodzie bywało przypadkiem wcale częstym. Jednakowoż kiedy podobne skargi jęli słać pomniejsi panowie, a do stolicy dotarła delegacja przerażonego i zdeterminowanego chłopstwa, cesarz musiał podjąć działania. To znaczy wysłał mnie i zakonnika dla rozpoznania sprawy. Pisma grafa Schoenendrecka mówiły o pojawiających się znad gór przynajmniej raz na tydzień „Niepojętych Obiektach Latających”, zwanych przez pospólstwo „Uprzykrzonymi Fruwającymi

Obrzydlistwami”, jako że ptactwo domowe niepomierne się płoszyło, a najspokojniejsze nawet krowiny zaczynały wierzcąc niczym bojowe nieujędzone rumaki. Ponoć straszdyła miały kształt koła podobnego do wielkiego talerza, w przelocie wydawały dźwięk niski i przeraźliwy, ciągnąc za sobą smród okropny i duszący.

– Takie to czasy nadchodzą – zakrzyknął dominikanin, gdy mu rzecz wyjawiono. – Do tych pór czarownice zadawałać się zwykły miotłami pospolitymi, ninie zaś ważą się czynić podobne eksperymenta!

Jedynie to były zresztą słowa, jakim od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

Jedynie to były zresztą słowa, jakim od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

Zamek Krostenmädel posadowiono na wysokim wzgórzu, a raczej górze strzelistej, bronionej ze wszech stron przepaściami. Na szczyt prowadziła jedynie wąska droga, łatwa do obrony, znajdująca się cała pod ostrzałem z murów. Z podziwem patrzyłem na dzieło budowniczych. W dawniejszych czasach ci z grafów Schoenendrecków, co nie popadli w odmęty szaleństwa, parali się rzemiosłem raubritterskim, łupiąc na drogach, kogo się dało. Stąd zwykli zamykać się przed karnymi ekspedycjami w niedostępnej twierdzy. Od dwóch pokoleń jednak ustatkowali się, zajęli gospodarzeniem na podobieństwo drugich panów. Z pewnością ogromnie zaważyło na ich decyzji pewne wydarzenie. Otóż, zniecierpliwiony bezkarnością grafów poprzednik obecnego cesarza wysłał wojsko uzbrojone w kilka co potężniejszych armat. Ogromny trud, z jakim je przyciągnięto, opłacił się stokrotnie. Zostały umieszczone na okolicznych wzgórzach. Kiedy pod morderczym ogniem zawaliła się jedna i druga zamkowa wieżyczka, oblężeni wywiesili białą szmatę, zaprzysięgli przed samym arcybiskupem porzucenie łupiestwa, a do skarbu monarchy odprowadzone zostało sowite odszkodowanie. Ponoć od tamtych pór nie masz w całej krainie bezpieczniejszego miejsca niż dziedzina Schoenendrecków.

Wspięliśmy się zdyszani a upoceni na górę, pieszo, prowadząc konie, bo jechać urwistą ścieżką było niepodobieństwem. Załomotałem w bramę. Otworło się okienko, łypnęło czujne spojrzenie.

– A wy czego?

Zaprawdę, powiadam Ci, mój czytelniku, mógłby ów bramny cerber doskonale porozumieć się z mym duchownym towarzyszem podróży, albowiem warknięcie jego kubek w kubek przypominało odgłosy, które wydawał dominikanin. Jednakowoż nie miałem czasu czekać aż ci dwaj wyburkają, co jest na rzeczy. Krzyknąłem zatem na opieszalca, by pana powiadomił o przybyciu delegacji samego cesarza. Jeśli zaś się nie pospieszy, ruszamy w powrotną drogę, a wonczas jego chlebodawca do sądnego dnia będzie czekał na rozpatrzenie sprawy.

Nie powiem, pogańł niemilec w dyrdy, aż stukały podkute buciska na kamieniach dziedzińca. Nie musieliśmy też długo czekać, by nam wrota uchylono. Idąc ku pomieszczeniom mieszkalnym, widziałem takie długomrowie zbrojnych, jakby się pan Schoenendreck do wojny szykował.

Jedynie to były zresztą słowa, jakim od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

Graf Gotfryd był mężczyzną w sile wieku, o ujmującym wyglądzie i obyciu, twarzy gładkiej, dokładnie wygolonej, grzywce ułożonej wedle najnowszych mód, lecz potężne, sękaty dłonie znamionowały upodobanie do wojennych ćwiczeń. Zmęczone spojrzenie wbił w blat stołu, cichym, jęczącym chwilami głosem opowiadając o swych niedolach.

– Wystawcie sobie, czcigodni, życ się już nie da przez te przekłete fruwające patery. Dawniej, jeszcze nawet kilka miesięcy temu, pojawiały się z rzadka, najczęściej koło soboty, a i to nocami głównie. Jednak od jakiegoś czasu nie ma dnia, bym ich nie oglądał! Coraz też są bezczelniejsze. Nad zamek nadlatują, przerażenie budząc.

Ukrył twarz w dłoniach, mówiąc jeszcze ciszej.

– Ostatnio pojawiły się także większe. Zwyczajnie bywają rozmiaru dużego młyńskiego koła. Ale z miesiąc temu przyfrunął prawdziwy olbrzym. Huczał i buczał jak sto diabłów, śmierział też nie do pojęcia, z tysiąc razy mocniej niż zazwyczaj bywa. Zawadził o dach nad stajniami, zawałając pół więźby.

– A czymże śmierdzi ów szatański pomiot? – usłyszałem głos zakonnika. A już myślałem, że mu w drodze język wilcy skradli. – Siarką, smołą li palonym ścierwem?

Spojrzał nań pan Gotfryd, pokręcił powoli głową.

– Żadną z owych substancyj, któreś, ojczy, raczył wymienić. Smród ten straszliwy najbardziej ze wszystkiego przywodzi na myśl dobrze sfermentowaną gnojowicę, choć, gdyby rzecz prawdę, jeszcze jest okrutniejszy.

Zaciął wargi ojciec Eustachy. Pewnie był nie mniej ode mnie zdumiony tą wieścią.

– A skąd – teraz ja zabrałem głos – te straszliwe obiekta zwykły przylatywać?

Graf zaprowadził nas na wysoką wieżę, z której rozciągał się wspaniały widok. Górski, rześki wiatr szarpał włosy, wlewał się ożywym strumieniem w piersi.

– Tam. – Gotfryd wskazał linię poszarpanych odległych przełęcz. – Stamtąd przylatują obrzydlistwa. Wszystkich chłopów mam już przestraszonych, kury jaj nie niosą, krowom mleko się zatrzymuje. Przyjdzie mi na łazęgę pójść, gdy dochodów nijakich zdobyć się nie daje, a zacieźni wojacy żrą jeno, piją i zołdu wołają. Zwolnić zaś ich nijak, skoro nie wiada, czy kiedy nie nadciągnie tych fruwaczy cała hałastra, by obrócić mą siedzibę w perzynę. Utrzymuję więc póki co darmozjadów, choć nie wiem, zali nie uciekną w potrzebie, boż to jeno ciemni pachółkowie, co bronią robić potrafią, ale przesądni są niby stare baby.

– A nie próbował się tam kto kiedy wyprawić?

Popatrzył na mnie jakbym był niespełna rozumu.

– Nie masz takich szaleńców w całej okolicy. Myślisz, waszmość, żem nagród nie wyznaczał? Żem nie kusił różnych desperatów? Jeno i desperacja, choćby największa, ma swoje granice.

Pokręciłem w duchu głową. Jak to wraz z raubritterstwem opuścił bojowy duch panów Schoenendrecków! Gotfryd widać zbiał ze szczętem. Sama zaprawa wojskowa to nie wszystko i na nic zda się bez odwagi, a tej mu najwyraźniej brak. Nie dziwota, że miast wziąć sprawy w swoje ręce, wygląda wybawienia od cesarskich ludzi.

Jedne to były zresztą słowa, jakim od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

Droga ku wskazanym przez grafa przełęczom zajęła dzień cały. Musieliśmy przenocować u skalistych stóp wypiętrzenia, przy miłym źródelku. Po drugiej stronie

mieliśmy znaleźć ruiny starego zamczystego klasztoru cystersów i... i diabeł jeden wie, co jeszcze.

Nad ranem zerwał nas straszliwy furkot. Znad krawędzi skał wyskoczył okrągły kształt, gnając z wielką prędkością na wschód, nad spokojne wioski i sielskie doliny. Po jakimś czasie poczuliśmy osławiony smród. Uwierz mi, potomku, nazwać go sfermentowaną gnojowicą to jakby rzec, iż zbrodzień dzieciobójca jest zaledwie drobnym rzewimieszkiem. Moje powonienie zostało porażone tak bardzo, iż przez dłuższą chwilę żyłem w przekonaniu, jakoby nos mój odpał. Dominikaninowi oczy łzały. Chwytał się to za serce, to za gardło, rżąc przeciągle i oczy wybałuszając. Widać nie dla wiekowego człeka podobne awantury. Nie mogąc samemu wydobyć słowa, gestem nakazałem mu powrót. Po cóż mi taki pomocnik, którym trza się jeszcze opiekować?

Poszedł, ociągając się. Zostawił mi wodę święconą, różaniec przywieziony ze Stolicy Piotrowej i puszkę z krzyżmem, bym się natarł świętym olejem nim przestąpię granicę szatańskiej dziedziny.

Jedne to były zresztą słowa, jakiem od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

Z jakimż zdumieniem patrzyłem na odnowione ściany klasztoru! Nie był już na pewno ruiną, o której opowiadał graf. Stał na niewielkim wzniesieniu pośród cienistej doliny, zdając się ciepłym i przyjaznym. Z trudem pokonywałem ostatnie skałki, albowiem wysmarowane od krzyżma ręce ślizgały się niepomiernie na granitowych załamach. Zresztą miałem wrażenie, iż całe ciało się ślizga, bo podczas wysiłku zgrzałem się i olej spływał strugami, podążając po plecach w miejsce, w które święta substancycja na pewno dostać się nie powinna. I tym trudniej było pokonywać przeszkody, że czyniłem to ze ściśniętymi mocno a bogobojnie pośladkami.

Wreszcie wylazłem na przełęcz, porażony widokiem klasztornych elewacyj. W tej chwili zadudniło, zagrzmiało i nad zabudowania wzniósł się latający krąg. Po raz pierwszy miałem okazję ujrzeć go nie od spodu, ale z góry. Aż dech mi zaparło. Bowiem na owym wielkim talerzu ujrzałem rozpiętego człowieka! Niewątpliwie była to postać ludzka, mimo iż nienaturalnie ułożona, a dookoła niej lśniły mosiężne rury i blachy. Wirując coraz szybciej, z furkotem wzniosła się ku górze, by odlecieć na wschód. Widok ten dodał mi otuchy i animuszu. Skoro z ludźmi sprawa, nie jest tak źle. Prawy rycerz nie złęknie się zwykłego człeka! Niezwykłego takóž, chociaż zawsze wczasy bywa nieswojo i miękko w kolanach.

Tak ma być, czy inaczej, ruszyłem w dół zbocza.

Jedne to były zresztą słowa, jakiem od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

Do środka wpuszczono mnie dopiero, gdym ukazał monarsze glejty. Nie wiem zresztą, na ile one otworzyły mi bramę, a na ile groźba interwencji wojsk cesarskich. Tym bardziej mnie to podniosło na duchu, że nie z pozaziemską mocą sprawa, a z takimi, co lękają się ludzkiej siły. Posępny, zakapturzony człek, mownością a obyciem jako żywo przypominający ojca Eustachego, poprowadził mnie krętymi korytarzami ku kwatrze przełożonego. Widać taki już zwyczaj w tej okolicy, żeby

stawiać na bramie największych mruków. Zacząłem zyskiwać pewność, że trafiłem na jakiś zapoznany zakon, zamknięty w dolinie, pogrążony w tajemnych, ponurych praktykach.

Myliłem się jednak. W sieniach, podsieniach i mijanych salach widziałem wielu ludzi o rycerskiej postawie. W wielkiej auli zaś przywitał mnie człek wcale nie po mniszemu przyodziany, przy mieczu i z kielichem wina.

– Gość w dom, Bóg w dom – zawołał z otwartymi ramionami.

Zdumienie moje rosło z każdą chwilą. Skąd na pustkowiu, w odbudowanym klasztorze tylu ludzi, i to wcale nie zakonnych?

– Po wytrzeszczonych twych oczach – zauważył gospodarz – wnioskuję, żeś zdumiony niepomierne. I nie dziwota, cny przybyszu! Trafiłeś bowiem na zgromadzenie, jakiego nie ma nigdzie indziej na świecie!

Czyli jednak mnisi? Czułem, że za chwilę dostanę pomieszania zmysłów. Ale już zostałem doprowadzony do stołu, poczęstowany przednim winem.

– Wiedziałem – rzekł mój interlokutor – że pewnego dnia zawita do nas ktoś taki jak ty, panie, wysłannik królów albo i cesarzy. Mam dla ciebie radosną nowinę. Staraniem wspólnym, ogromnym wysiłkiem, dokonaliśmy rzeczy wielkich i doniosłych.

Zaraz spytałem, oczywista, kogo ma na myśli wyrażając się tak pluralistycznie. Wówczas dowiedziałem się wszystkiego, albo prawie wszystkiego. Oto miałem sposobność zetknąć się z pokłosiem i późnym plonem bytności chrześcijaństwa w Ziemi Świętej. Choć Królestwo Jerozolimskie upadło przeszło sto pięćdziesiąt lat temu, jego istnienie nie zanikło jeszcze do końca.

– Dnia pewnego – mówił Werner von Fliege, mój gospodarz – napotkałem wynędzniałego człeka. Ten ciałem mizerny był, ale w oczach jego płonął wielki ogień. Wiesz, co potrafią takie oczy? Człek, nim zgadnie, co z nim się wyprawia, wpada w nie, a duszę zaczyna ogarniać tajemniczy żar. Nie, nie, mój drogi, nie myślę tu o zdrożnościach, ale uczuciach eterycznych, wzniosłych, zbliżających nas do Boga. Człowiek ten, niejaki Giorgio Gagarini, Italczyk upadłego rycerskiego rodu, zapoznał mnie z tajemnymi księgami. Ponoć przywiózł je do kraju jego przodek, a wszedł w posiadanie manuskryptów w wielce podejrzanych okolicznościach. Jak wiadomo, Saraceni zwykli studiować księgi mędrców i przechowywali je skrzętnie. To zaś była ni mniej, ni więcej, ale rozprawa alchemiczna dotycząca użycia pewnego rodzaju tynktury.

– Białej czy czerwonej? – zapytałem czujnie, ciesząc się w duchu, iż ojciec Eustachy zawrócił z drogi. Ten by miał używanie, gdyby usłyszał o naukach tajemnych! Do głosu żaden z nas zapewne by nie doszedł. – Istnienie białej bowiem jest udowodnione, ale czerwonej...

– Ani jednej, ani drugiej, panie rycerzu – padła zdumiewająca odpowiedź. – Rozchodzi się o tynkturę różową. Nie jest to bynajmniej mieszanina substancji przez ciebie wymienionych, ale całkiem nowa rzecz. Uzyskanie jej nie wiąże się z diabelskimi praktykami, nie trzeba zawierać nijakich paktów z siłami ciemności. Ale, ale – nasłuchiwał przez chwilę – zaraz kolejny śmiałek wzniesie się w powietrze. Czy miałbyś ochotę uczestniczyć w tym widowisku?

Jedne to były zresztą słowa, jakim od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

Spory dziedziniec otoczony został zasłonami zbitymi z bali upstrzonych dziwnymi wzorami. Za każdą stało kilku ciekawskich. Po drodze pan von Fliege objaśnił mnie, jak to zafascynowany księgami stworzył zgromadzenie podobnych mu zapaleńców. Własnym sumptem, w ukryciu, odbudowali klasztor posadowiony w trudno dostępnym miejscu, by z dala od czujnych oczu inkwizycji i różnych zawistników prowadzić badania. A ich efekt miałem ujrzeć niebawem.

Pośrodku placu spoczywał spory drewniany krąg, a na nim rozpląszczył się odziany w obcisłe szaty człowiek. Oczy wychodziły mu z orbit, jakby z wielkim wysiłkiem powstrzymywał się od krzyku. Ręce i nogi przypięte zostały skózanymi pasami, dłonie zaciskały się na lśniących gałkach. Otoczony był błyszczącymi mosiężnymi rurami, biegnącymi dookoła konstrukcji, a łączącymi się na żelaznym szerokim pasie, który dociskał nieszczęśnika, jakby go miał na pół przeciąć. Czekaliśmy w skupieniu i ciszy, choć jeszcze nie wiedziałem na co. Wreszcie śmiałek jęknął, stęknął i krzyknął: „Już!”. Obecni jakby się przykurczyli za zasłonami. Pan Werner pociągnął i mnie za solidne bale. A człowiek na drewnianym kręgu wydał przeciągły odgłos, przywodzący na myśl naciągającą burzę... Urządzenie drgnęło, w mosiężnych rurach zagrało i zagrzmiało, a potem wszystko zaczęło się obracać, zrazu powoli, następnie coraz szybciej. Wytrzeszczone oczy rycerza na kole, pozycja w jakiej się znajdował, przypominały jako żywo rozpląszczone przerażone kocię, co pierwszy raz wypełzło na wysoki gzyms, a może nawet bardziej psa, którego mając być rzucony do wody ku uprzykrzonym ablucjom, zaparł się łapami i łypie na prześladowców.

Tak czy siak, koło wirowało już w tempie niesamowitym. I wtedy dostrzegłem kolorową wstęgę, biegnącą od niego na wsze strony. Pan von Fliege chwycił mnie za ramiona, zmusił do ukucnięcia.

– Nie każdy znosi dobrze ruch talerza – krzyknął mi prosto w ucho. – Wirowanie przyprawia co poniektórych o womitacje. Ale i temu staramy się zaradzić!

Przez szparę w deskach widziałem wznoszący się krąg i dotarło do mnie, po co te zasłony oraz skąd na nich fantazyjne bryzgi.

W tej chwili wyobraziłem sobie ojca Eustachego. Toż gdyby jemu przypadło w udziale podziwiać podobny widok, bez wątpienia ległby na ziemi, zanosząc modły, a wyrażając złemu.

Jedynie to były zresztą słowa, jakiem od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

Wieczorem siedziałem nad uczonymi księgami, studiując zawłości lotu tajemniczych konstrukcyj. Arabskie to było dzieło, przetłumaczone skrzętnie na łacinę, z dopiskami na marginesach po niemiecku. Czytałem i zaczynałem rozumieć, skąd w saraceńskich historiach bierze się tyle latających dywanów, dzinnów a innych duchów powietrznych. Toż to nic innego, jak ślady eksperymentów czynionych na pustyniach ku przerażeniu mimowolnych świadków!

Prawdę rzekłszy, z przepisu na różową tynkturę nie rozumiałem wiele, a właściwie zgoła nic, bo zapisano ją dziwnymi znakami – widać dla niewtajemniczonych sztuka jej sporządzania miała pozostać niedostępna. Za to instrukcja sporządzenia maszyny latającej i jej napędzania okazała się o wiele zrozumialsza. Pominę szczegóły konstrukcji, bo zajęłoby to zbyt wiele miejsca w moich skromnych zapiskach. Dość, iż znalazłem dokładnie rozrysowane schemata spiżowych rur, opatrzonych w liczne

zawory tudzież złączki czy rozłączki. Podam za to słowo w słowo, jak się rzecz ma z uruchomieniem całości. A oto, com znalazł w uczonej księdze, autorstwa zapomnianego uczonego i mędrca imieniem Abdul al-Abulbul.

„Nim tynktury różowej zażyjesz, wpierw ściśle pościć winienesz dni trzy, nie przyjmując jadła ani napoju, prócz dzbana wody w porze wieczornej. Po takim czasie każ kucharzowi zgotować suty posiłek złożon z fasoli, grochu a wędzonego boczku. Najedz się do syta rano, w południe i wieczór. Niechaj twój żywot napełnia się do granic, niechaj je nawet przekracza. W przerwach na wtóre śniadanie, podkurek czy podwieczerek kapustę białą spożywaj w rozmaitej postaci. Żadnego z owych posiłków nie zaniechaj, a i kminku zakazuj do potraw sypać, by działania ich nie osłabiać. Czyń tak przez dni dwa, powstrzymując się od lekkomyślnego marnotrawienia gromadzących się w twym wnętrzu potężnych sił. Trzeciej zaś doby do wieczery dodaj pół uncji różowej tynktury, która zarazem boleści czasowo wstrzyma, jako i działania posiłków wzmoże do następnego południa.

Gdy zaś o poranku poczujesz wiercenie a dosłyszysz rozgłośnie bulgotanie, do maszyny każ się przypiąć, a mocno! Pomnij jeno, by maytów stalowych wdziać nie zapomnieć, z których czop razem z przemyślnym kranikiem ma być ku wężystym rurom odprowadzon. Tak oporzędzony gotów bądź, gdy ostateczna boleść, niemożliwa już do pokonania nadejdzie. Jeśli zaś będziesz czuł słabość i pokusę, by dzieła poniechać, pomnij, iż wszystko, co wielkie, w bólach się rodzi”.

Wielce ciekawy jest opis lotu i kierowania wirującym talerzem za pomocą przemyślnych zaworków a przepustnic rozmaitych, sterowanych ruchami dłoni i palców.

Ledwie lektury dokończył, pognałem ku komnatom pana von Fliege. Ten przyjął mnie z uśmiechem. Ale w pewnej chwili zamyślił się i głowę opuścił. Zaraz spytałem, czym go uraził albo zasmucił. Zaprzeczył stanowczo.

– Jak każda rzecz – odparł – i ta posiada swoje gorsze strony. Mamy i my zgryz, cny rycerzu. A rzecz nawet nie w womitach, które są udziałem wielu. Na to znajdzie się sposób. Są bowiem ustępy w księdze, w których uczony al-Abulbul napomyka o znakomitej prezerwatywie nudności zwalczającej. Zwie tę miksturę awiomarynarzem, jako że i na morzu, i w powietrzu po jej zażyciu wnętrzości się w człeku przestają przewracać. Lada dzień, pracując zgodnie z sugestyjami Abdulowej księgi, zdołamy i my awiomarynarza sporządzić.

– Cóż cię zatem smuci, mój panie? – zwołałem zdumiony.

Milczał przez chwilę, nim odpowiedział.

– Niewątpliwie zwróciłeś uwagę na fragment dotyczący stalowych maytów i owego czopa, który w nich musi się znajdować.

– Nie inaczej. Toż to rzecz niezwykłej doniosłości.

– Domyślasz się zatem, iż czop tęgi być musi i gdzie go śmiałek umieszczać powinien też już wiesz. Otóż, o zgrozo, niektórzy z naszych towarzyszy wskutek czopowania poczynają dziwnie się zachowywać, czerpiąc z owej, przykrej wszak dla prawego męża czynności, przeciwne naturze ukontentowanie. I nie o ich nagłe inklinacje nawet tu idzie, ale co powie Kościół na podobną rzecz? To jedna z przyczyn, dla których wciąż pozostajemy w ukryciu. I pragniemy pozostać, dokąd i tego jakoś nie naprostujemy.

Aże mnie zatknęło. O tym nawet bym nie pomyślał! Tak jednak w istocie rzeczy być mogło, osobliwie, gdy w tym miejscu zupełnie brak kobiet, a zdrowi, jurni rycerze

żyją niczym mnisi.

– Powiedz mi jednak, panie von Fliege – rzekłem, by zmienić przykry temat – skąd opowieści o wielkich dyskach, które słyszałem? Bo te, którym dotąd widział do ogromnych raczej nie należały.

– A, to! – Rozjaśnił twarz. – To najnowszy pomysł naszego luminarza i konstruktora, pana von Brauna. Doszedł on do konkluzji, że gdyby połączyć wysiłki kilku lotników, można stworzyć niepomierne większy krąg, który uniesie nie tylko samego fliegera, ale i dodatkowy ładunek. Skonstruował więc trzy razy większy dysk, na którym umieścił sześciu ludzi, pośrodku dodając przemyślnie urządzenie, które zwie kolektorem. Tam gromadzi się cała energia i stamtąd płynie potem ku rurom. Na razie wykonaliśmy jeno kilka prób, ale wypadły bardzo obiecująco.

Słuchałem pana Wenera, w myślach notatki czyniąc, które po rozmowie zaraz zrzuciłem na papier. Gościłem u Fliegeritterów, bo tak się każą zwać, tydzień prawie, nim ruszyłem w powrotną drogę.

Jedynie to były zresztą słowa, jakiem od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

Skoro tylko jego cesarska mość raczył przeczytać raport, wezwał mnie przed swoje oblicze. Zamyślony był, widać pod wielkim wrażeniem rewelacji.

– Zagwozdkę prawdziwą mam z tymi twoimi doniesieniami – rzekł, marszcząc brwi. – O wielkich rzeczach piszesz, niepojętych i groźnych. Doprawdy, przez całą noc rozmyślałem, co powinienem uczynić.

– Ależ wasza cesarska mość! – zawołałem zdumiony. – Czy nie dostrzegłeś możliwości, jakie dają nam odkrycia zgromadzenia Fliegeritterów? Toż gdyby na polu walki pojawił się huf takowych śmiałków, każdy wróg ucieknie, a jeśli i dostoi pola, porażony zostanie straszliwym odorem! Nie masz armii, która szarżę podobną wytrzyma!

– Słusznie prawisz, mój przyjacielu. – Władca wstał z ozdobnego krzesła, podszedł do okna, zapatrzył się w zieleń ogrodów. – Jeno rozmawiałem i z ojcem Eustachiuszem. Ten pienił się okrutnie i karą Bożą wygrażał. A to jeno przedsmak tego, co usłyszymy od wyższych duchownych. Ale i nie o to w zasadzie chodzi. Jeszcze się nie zdarzyło, by zdanie Kościoła przeszkodziło komu w wojennym rzemiośle. Ot, choćby taka kusza. Wyklął pociski papież, a mimo to wszyscy jej używają.

– O co zatem idzie, panie mój? Czy lękasz się, by rycerstwo się nie pobuntowało, gdy mu nakażesz narażać się na podobne eksperymenta? Nasi wojownicy pocują się upokorzeni? I ja rozważałem tę kwestię...

Machnął niecierpliwie ręką, dając znak, bym zamilkł.

– Rycerstwo nasze do użycia latających dysków przystosowane jest jak żadne inne – odparł. – Starczy na jedną czy drugą ucztę pójść, by odgadnąć, że niestraszne mu najgorsze nawet bęczenie a womity! Dla moich dzielnych kopijników nazreć się do rozpuknięcia żadną jest sztuką, a i wirowanie obłędne im nieobce, skoro trunków co dzień nadużywają.

– W czym więc sprawa? – Zdumienie moje rosło z każdą chwilą.

– Widzisz, wierny rycerzu. Jako monarcha myśleć muszę o rzeczach, które innym nie przychodzą do głowy i rozważać sprawy, zdałoby się, niezdatne do rozważenia. Wystaw sobie, że na polu bitwy pojawiają się nasze latające kręgi. Przerażenie wrogów,

zwycięstwo. Wygramy w ten sposób parę bitew, może nawet jakąś wojnę. Ale potem i przeciwnik zacznie szukać, przekupywać, a pracować i wreszcie dopnie swego, uczyni oręż podobny naszemu. Ale, co gorsza, na pewno prędzej niżli później ktoś wpadnie na myśl, by posadzić na owe talerze nie rycerstwo wcale, ale ludzi z gminu. Osobliwie szybko może się to przydarzyć w państwach takich jak Francja czy italskie księstwka, gdzie urodzeni słabsze miewają żołądki i z pewnością nie zgodzą się na podobne awantury, głośno wołając, jakoby czci ich uwłaczały.

To, prawdę rzekłszy, przez myśl mi nawet do tych pór nie przeszło.

– Właśnie. – Cesarz dostrzegł błysk zrozumienia w mych źrenicach. – Wystaw teraz sobie, jaką moc można uwolnić, gdyby przy procederze Fliegeritów zatrudnić chamskie brzuchy, zawsze niepomierne wytrzymałszy od rycerskich, zwyczajnie przypisanym potrawom! Jaką potęgą stałyby się takie oddziały i jak byłyby skuteczne! Dość już miewamy kłopotów z gminną piechotą, najemnikami, pikinierami i podobnym tałatajstwem. Tylko im płąć, płąć i płąć, a jak nie zapłacisz, bunt podniosą. Potrzebni nam tacy jeszcze i nad głową? Ale nawet nie o to, iż bitwy by mogli rozstrzygać. Pomyśl dobrze, mój drogi. Ryzyko to wielkie pozwolić pospółstwu nad urodzonymi latać. Różne głupie myśli mogą wtedy przychodzić do prostych głów. Na przykład, iż wcale nie stoją niżej szlachty, a mogą się znajdować nawet wyżej. Stąd zaś tylko krok do niezadowolenia, rozruchów, a nawet srogich rewolucyj.

Poczułem wielki zawrót głowy, kiedy dotarł do mnie cały sens słów cesarza. Poraziła mnie także jego mądrość, jako zdolność przewidywania a rozważna ostrożność, która przystoi pomazańcowi.

– Dlatego – ciągnął – nie tylko wieści o owych odkryciach pod korcem schowamy, ale sam poprowadzisz silną ekspedycją ku zniszczeniu fliegeritterskiego zgromadzenia i uwięzienia jego członków. Papiery oraz księgi wszelakie zabezpieczysz, by do stolicy je dostawić. Te zaśię zapieczętujemy i w archiwach zamknjemy na wieki. Nie miej takiej ponurej miny, rycerzu. Jeśli pomyślisz, sam dojdiesz do przekonania, iż ludzie nie dorosli, by latać drugim nad głowami niby niebiescy ptacy. Niechaj takowe pomysła czekają, aż staniemy się mądrzejsi a rozważniejsi. Na pewno przyjdzie czas, gdy ten, kto wzniesie się w powietrze, uczyni to w o wiele mniej obrzydliwy sposób, a przede wszystkim nie uczyni zaraz z latania wojennego rzemiosła.

Tak to, cny potomku, wszelkie wieści o ideach uczonych rycerzy znalazły się w archiwum. W głębi serca przyznać muszę, iż z żalem ten dokument składałam na wieki wśród najskrzętniej ukrytych i najpilniej strzeżonych pergaminów. Tuszę jeno, że mądrość monarchy, podobnie jak władza, od Boga pochodzi i decyzja jego cesarskiej mości była jedynie słuszną. Jednego nie udało się tylko dokonać – a mianowicie gdy przybyłem w wojskiem pod wiadomy klasztor, latających rycerzy już w nim nie było. Wzniesli się na swych machinach i odlecieli w niewiadomym kierunku. Może się i tak zdarzyć, że w przyszłości z jakiegoś odległego kraju dotrą wieści o latających dyskach. Mniemam jednakowoż, iż nauczeni smutnym doświadczeniem Fliegeriteryz działac będą z większą ostrożnością i dołożą wszelkich starań, by siedziby ich już nigdy nie odnaleziono. Zaś kto wie, jak będzie wyglądać ich dzieło za lat sześćset z okładem? Może Ty, przysły badacz meandrów historii, będziesz już obznajomiony z dziełem Wernera von Flieger i jego odważnych konfratrów?

A skoro przeczytasz to pismo, pozdrów ode mnie przyszłe pokolenia i świat, w którym zapewne okiełznano już naturę i uczyniono ziemię w pełni poddaną, zaś doświadczeń płynących z nauk nie zwykło używać się przeciwko bliźnim.

Żmija na śpiąco

Jakże żałośnie wyglądał, leżąc na środku drogi, wstrząsany ni to dreszczami, ni paroksyzmami urywanego oddechu, takiego, jaki wydają płuca pośród beznadziejnego szlochu. Prezentował się wręcz niesmacznie.

Książę w pierwszej chwili chciał go ominąć szerokim łukiem, jednak zaraz odezwało się sumienie i przypomnienie przypowieści o dobrym Samarytaninie.

– Stać!

Orszak zatrzymał się posłusznie, a zaniepokojony ochmistrz przykłusował natychmiast. Był równie tłusty jak chabeta, której dosiadał. Obrzucił wzrokiem skulonego na ziemi nieszczęśnika.

– Panie – rzekł zgorszony – nie chcesz chyba znowu zajmować się kimś takim, jak ten tutaj. Ów zewłok nie jest godzien jednego zmarszczenia twych brwi, a cóż dopiero dłuższego i głębszego zainteresowania!

– Zamilknij, człeku małej wiary, albowiem oto postanowiłem spełnić dobry uczynek i niech mnie diabli porwą, jeżeli tego zaniecham!

Ochmistrz wzruszył ramionami i wycofał się, krzywiąc pulchne wargi.

– Książę będzie spełniał dobry uczynek! – oznajmił. – Szykuje się dłuższy popas.

Kucharz zaczął niezwłocznie rozkładać sprzęty, mruczając niechętnie pod nosem.

– Wszystko wytworne jedzenie zmarnuje się na tych wędrownych żebraków. Co i raz któryś na drogę wyłazi, kiedy tylko wieść się rozejdzie, że jego wysokość Kalikst Bury z zamku wyruszył...

Tymczasem książę zszedł z konia, podszedł do skulonej na drodze postaci.

– Wstańże już, człeczko nieszczęsny – rzekł. – Dziś twój pusty brzuch napelni się jadłem, o jakim zapewne nigdy nawet nie śniłeś.

Leżący podniósł głowę. Błysnęły załzawione małe oczka, osadzone nieoczekiwanie blisko siebie w szczupłej, by nie rzec chudej, twarzy.

– O wielki majestacie! – zawołał zewłok, rzucając się do kolan Kaliksta. – Nie jestem ja zwykłym żebrakiem, za jakiego mnie bierzecie ani też mi w głowie frykasy waszego kuchty! Mam zmartwienie o wiele większe niżli mogłaby mu ulżyć twoja lub czyjakolwiek niezmierna łaskawość dla nieszczęsnego, znękanego życiem i złym losem robaka! Przy nim ontologiczna pustka naaseńskich rozważań zdaje się źródłem bogatym i ożywczym niczym oaza pośród pustynnych skał.

Książę chrząknął niepewnie. Wypowiedź nędzarza zdała mu się cokolwiek zawiła, a pod koniec wręcz niezrozumiała, uznał jednak, że nie wypada się z tym odkrywać.

– A cóż to, jakaś tragedia cię spotkała?

– Nie mnie, wasza wysokość, nie mnie! O, bodaj to na mnie właśnie spadły wszystkie plagi egipskie wraz z nieszczęściami hiobowymi! Bodaj to mnie Pan nasz nazaczył piętnem szaleństwa, a oszczędził to cudowne dziecko, sikorkę umiłowaną, żrenicę w oku wiernych poddanych!

Ciekawość księcia rosła w miarę, jak obdartus mówił.

– Wstań, mój dobry człowieku i odpowiedz dokładnie, co to za nieszczęście dotknęło istotę, o której mówisz. Ślubowałem ja bowiem, że pierwszą napotkaną uciśnioną dziewicę z okowów wyzwolę.

– Dziewicę, powiadacie panie? – Mizerak poskrobał się niepewnie po głowie. – A tak – zawołał nagle wielkim głosem – jest ci ona dziewicą... Piękną jako marzenie, czystą niby źródłana woda bijąca ze skały, a dobroci wszelakiej pełną...

– Dobrze już, dobrze, skończ te pienia. Wystarczy. Powiedz lepiej, kto ona, gdzie ona i któż ją niewoli? Powiodę zaraz mój hufiec przyboczny i pokonam gnębiciela! Hej, do mnie tu zaraz, panie Delipacy, szykuj w klin szeregi, a kopie mi tam w pół końskiego ucha!

– Zaraz, książę, nie tak prędko – obszarpaniec położył dłoń na ramieniu Kaliksta. – Zbrojni raczej na nic się nie przydadzą. Tu z magią sprawa!

Rozległy się trąbki, a imć Delipacy stanął w strzemionach, wypatrując wroga. Spojrzał pytająco na księcia. Ten machnął ręką.

– Zluzuj, waść, szyki, fałszywy to alarm! Tobie jak na imię? – zwrócił się do nędzarza. – Nijak mi tak rozmawiać na drodze z nieznanym człkiem.

– Jestem Werner Kusibab. – Zapytany dumnie podniósł głowę. – Czarodziej trzeciej kategorii z cenzusem!

– O! – zdumiał się książę. – Czyż twoim krewnym nie jest przypadkiem...

– Jest – przerwał Werner z ponurą miną. – Fortunat Kusibab, dyplomowany mistrz magii. To mój brat. Znają go bodaj wszyscy w tej części świata, a i w innych niegorzej.

– Lecz twoja szata i opłakany stan! Jakże to? Czyż przystoi magowi łązić w takich szmatach?

– Niestety – westchnął czarodziej – miałem, owszem, piękne szaty i ciepłą posadkę u króla Konsencjusza Bohuśława, pana pięknego kraju Wygwizdu. Dobrze mi się wiodło – rozmarzył się – oj, dobrze... Aż do chwili, gdy na królestwo spadło wielkie nieszczęście. Ukochana córa królewska, cudna Ramona, zakłuła się wrzecionem w palec i usnęła...

– Chyba umarła, chciałeś rzec – poprawił go Kalikst. – Pewnie nabawiła się tężca, biedactwo. Że też osoby wysokiego urodzenia miewają pociąg do takich plebejskich rozrywek, jak przędenie!

– Usnęła – odparł z naciskiem Kusibab i powtórzył – usnęła, nie umarła... Zły czar to sprawił, rzucony zresztą nie przez kogo innego, jak kochanicę mego brata, wiedźmę, niejaką Eleonoritę Trzęsimiech! Obraziła się, zgrega, że jej na chrzestną matkę nie poprosili. A kto by, wasza łaskawość, taką wredną babę na kumę chciał?! Toż nawet brat mój koniec końców od niej uciekł, choć sam niedelikatnego jest gustu i sumienia.

– Cuda opowiadasz, cudeńka – szepnęła książę. – Mów dalej, mów.

– A co tu mówić? Koniec. Usnęła, biedactwo, a wraz z nią wszyscy na zamku i w całej stolicy! Wszyscy!

– A ty? – spytał nieufnie Kalikst. – Ty jakoś nie uległeś czarowi, jak widzę?

– Boli mnie twoja podejrzliwość, książę – zawołał Werner. – Czyż wszak nie mówiłem, że jestem czarodziejem? Co prawda tylko trzeciej kategorii, ale za to z cenzusem! Kiedy tylko czar zaczął działać i ujrzałem ziewających niepowstrzymanie dworzan, domyśliłem się, że z nieczystą siłą sprawa, pobiegłem zaraz do swej komnaty, migiem sporządziłem i zażyłem dekokt. Bóg mi świadkiem, chciałem go zadać także i innym, ale było za późno...

– A nie mogłeś ich jakoś odczarować?

– O panie! Com się ja napróbował, ilem potu przy retortach przelał... Na nic wszystko. Wszystkie bodaj kury w okolicy zjadłem, a w znoju łapać te gadziny musiałem, bowiem one jedne nie pospały się jako stworzenia zbyt głupie, by na nie magia podziałała, wiele więc mi na to czasu schodziło. I nic. Tyle żem przeczytał w pewnej księdze, iż czar zdjąć może jedynie osoba krwi królewskiej lub przynajmniej książęcej, gdy pocałunek na wargach zaklętej nieszczęśnicy złoży.

– Bardzo to zajmujące. – Na twarzy Kaliksta pojawiły się wypieki. – A jakie też wiano ma owa królowna?

– O, widzę, że bystry z ciebie młodzian, książę. Bystry i zapobiegliwy. Wiano, to w klejnotach i złocie tak z pięć tysięcy grzywien jest warte. Dziedzina królowny, gdy ją kto już wyzwoli, obejmuje całych sto pięćdziesiąt jakosiów... Tak zarządził król, zanim zasnął ostatecznie.

– Jakosiów? – zdumiał się książę. – A cóż to za przedziwna miara? Co to jest jakoś?

– Nie jakoś, wasza książęca wysokość, ale jakosię.

– Czy jakosię, czy jakoś tam inaczej, wytłumacz, o co chodzi.

Werner Kusibab odchrząknął.

– Otóż kraina Wygwizd daleko stąd leży, prawie na końcu świata i całkiem inne panują w niej obyczaje. Takież i miary inne miewają. A owo jakosię jest to skrót od „jak okiem sięgnąć”, a oznacza, że gdy wdrapiecie się na wieżę wysokości pięćdziesięciu łokci i w dzień pogodny rozejrzycie, wszystko w zasięgu wzroku to jedno jakosię... Zaś sto pięćdziesiąt jakosiów to będzie... Hm... To ogromny szmat ziemi!

– Wszystko, co w zasięgu wzroku, mówisz?

– Nie inaczej.

– To źle. – Kalikst podrapał się po głowie.

– Źle? – zdumiał się czarodziej.

– Ano źle. Jestem ja bowiem krótkowidzem i muszę ci powiedzieć, że dla mnie już tamte drzewa – książę wskazał pobliskie zarośla – mocno są rozmazane... Niewielkie więc to będzie wiano... Ze trzy może cztery włóki... Zaprawdę niewiele. Może to dobre dla chłopca, ale nie dla dziedzica wysokiej krwi.

– Ależ książę – zawołał Werner – umówmy się, że to księżniczka patrzeć będzie, a ma ona, zapewniam was, wzrok iście sokoli! Poza tym jej dziedzina dawno została odmierzona i wyznaczona! A po śmierci króla do męża Ramony będzie należał cały Wygwizd!

– Chyba że tak! – ucieszył się Kalikst. – To oczywiście zmienia postać rzeczy.

Jedne to były zresztą słowa, jakim od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

– Niepokoi mnie ta cisza – odezwał się książę, rozglądając się na boki.

– Wszyscy śpią, to i cicho jest – odparł Kusibab.

– Nie wspominałeś, że to zagórska kraina... Strasznie mnie podróż wymęczyła!

– Mówiłem przecież, że Wygwizd na końcu świata się znajduje. Sami chyba wiecie, książe, że krainy takie są zawsze położone w górach albo i zgoła za nimi. Cieszyć się wypada, że nie za siedmioma...

Przy drodze Kalikst dostrzegł duży szkielet dziwnego kształtu. Wstrząsnął się.

– Czy to szczątka smoka? Nic o smokach nie mówiłeś!

– Ależ, książe! – Werner zerknął spod oka. – Toż to zwykła krowa! Sam ją zjadłem, kiedy kur zabrakło. Kroilem ją codziennie po kawałku i nawet się nie przebudziła. Taka jest moc zaklęcia Eleonority Trzęsimiech!

– Strasznie tu – szepnął Kalikst. – Dlaczego w przyływie szaleństwa zgodził się wyruszyć bez ochrony kawalergardów imć Delipacego?

– Na nic by się nie przydali. Zdatni są, żeby walczyć z wrażymi siłami, ale na pewno nie ze snem magicznym.

– Jednakowoż czułbym się pewniej, mając za plecami pięćset rapierów i tyleż ciężkich wierzchowców. A tak sam jestem niczym palec w...

– Oto i zamek! – Czarodziej przerwał ponure rozmyślania księcia. – To w nim znajdziemy królową.

Pomieszczenie, do którego Kusibab zaprowadził księcia było ogromną salą przypominającą kryptę, w której na katafalkach stały rzędem pokryte kurzem trumny. Przedtem przemierzali zamkowe korytarze i komnaty wypełnione tłumem śpiących ludzi. Robiło to niesamowite wrażenie. Z jednej strony Kalikst był coraz bardziej przerażony, ale z drugiej pocieszał się, że przynajmniej czarodziej nie okazał się zwykłym oszustem.

Jednak teraz zatrząśł się z oburzenia.

– Gdzieś ty mnie przyprowadził, marny magiku?! Co to, trupa chcesz mi za żonę wyswatać? Oj, bo gniew mój poznasz! – Chwycił rękojęść rapiera.

Prerażony Kusibab padł na kolana.

– Ależ panie, racz mnie wysłuchać, zanim popełnisz niewybaczalny błąd.

– Mów – warknął Kalikst, przykładając mu do gardła sztych broni. Im bardziej był zalekniiony, tym większa stawała się chęć zabicia człowieka, który go do tego przerażającego miejsca przyprowadził. Hamowała księcia jedynie myśl, że po śmierci czarodzieja zostałyby zupełnie sam w towarzystwie nieboszczyków. – Mów szybko!

– Sam królewską rodzinę tu ułożyłem, wasza wysokość! Czy zdajesz sobie sprawę, jak miękko wyściełane są trumny koronowanych głów? Czy chcielibyście pojąć za żonę księżniczkę całą posiniaczoną i powygniataną od leżenia latami na zwykłym łożu? To było zresztą jedno z ostatnich życzeń króla przed zaśnięciem.

– Hm – chrząknął niepewnie Kalikst – może to racja, robaku. Choć cały czas mam wrażenie, że coś kręcisz.

– Ja kręcę?! – wykrzyknął z oburzeniem Kusibab. – Ja kręcę?! Królową chcę mu dać za żonę, a on jeszcze mnie śmie obrażać! – unosił się coraz bardziej. Odrzącił ostrze rapiera, powstał z kolan. – Dobrze, jak sobie chcecie. To ja idę!

– Ależ nie obrażaj się! – Kalikst chwycił czarodzieja za rękę. – Gdzie ta cudowna istota?

– Tam. – Kusibab niedbałym gestem wskazał pierwszą z brzegu trumnę.

– Na co czekasz? Otwieramy!

Urażony Werner wzruszył lekko ramionami, ale podążył za księciem.

Sapiąc i stękając, unieśli ciężkie wieko. Książę wpatrzył się w nieruchomą postać.

– No i jak? – spytał z zadowoleniem czarodziej.

– Jak? – Kalikst zgrzytnął zębami. – Jak?! Ty śmiesz pytać, jak?! To stare, pomarszczone babsko ma być piękną dziewczicą?!

– Jakie stare babsko? Jakie stare babsko?! – Kusibab poczerwieniał ze złości. Naraz wydał się większy i groźniejszy niż do tej pory, co zaskoczyło i stropiło na chwilę księcia. – Pewnie królowa trochę buzię pogniotła od poduszki, ot co! A wy zaraz, że stara i pomarszczona!

– Pogniotła?! Co ty pieprzysz, człowieku?! – wrzasnęła Kalikst, zapominając o wymogu wytwornego wyrażania się w obliczu śpiących, bo śpiących, ale zawsze koronowanych głów. – Toż to zwyczajnie stara, przechodzona raszpla!

– Oj, książę – rzekł surowo czarodziej – nie wolno tak mówić o jej wysokości! Nadobna to dziewczica, choć nie przeczę, może być i nieco naruszona zębem czasu! Minęło w końcu ładnych parę lat.

– Ona nie jest naruszona zębem czasu! – pinił się Kalikst. – To ona sama może czas zębami gryźć, jeżeli jej w ogóle jeszcze jakieś pozostały! I nie mów mi, że to pudło jest nadobną dziewczicą. Jeżeli nawet jest dziewczicą to tylko dlatego, że nikt jej nie chciał, nawet pałacowy koniuch! Może byś tak rzucił na nią okiem, zamiast się ze mną wyklócać!

– Co? – Kusibab zjrzał w końcu do trumny. – Rzeczywiście, stara cholera... Czy to możliwe, żeby upłynęło aż tyle lat?... Zaraz! – Palnął się w głowę. – Przecież to nie ta trumna! To jest królowa matka, znaczy twoja przyszła teściowa. Niepiękna, zgadzam się, ale córka do niej w niczym niepodobna. W babkę się wdała, a ta była cud urody, że ho, ho! Z najdalszych stron przybywali chętni do jej ręki. Zaraz, zaraz – zamruczał – jak to było? Pierwsza od lewej, czy pierwsza od prawej? A może to była druga od lewej?... Albo od prawej?...

– Zdecyduj się wreszcie, człowieku. – Szturchnął go książę.

– Wiem, już wiem, to będzie ta! – Czarodziej podbiegł do katafalku pośrodku.

– Pierwsza z lewej, pierwsza z prawej – przedrzeźniał go książę – a w końcu żadna z nich! Swoją drogą, co ich tutaj tak dużo? Mówiłeś, że królowa Ramona jest jedynaczką.

– Bo jest. Tutaj leżą jej ojciec, matka i paru szwa... Paru bliższych krewnych. Takie było życzenie króla, zanim zasnął.

– Całkiem sporo tych życzeń zdążył mieć przed zaśnięciem – mruknął Kalikst.

– Konsencjusz Bohuśław to bardzo zdecydowany człowiek, wasza miłość – odparł Kusibab. – Jak na króla przystało.

– Dobrze już, otwieraj tę trumnę!

Zgrzytnęło wieko. Werner czujnie, a książę ze sceptycznym wyrazem twarzy zapatrzili się w leżącą postać.

– No i co? – sapnął z zadowoleniem Kusibab. – Teraz chyba jesteście w końcu zadowoleni?

– Buzia owszem, nawet ładna – rzucił niedbale Kalikst – ale czy wszystko ma na miejscu, zobaczymy dopiero, gdy wstanie.

– No to do dzieła, książę, do dzieła! – zaczął zagrzewać Werner. – Po co jeszcze zwlekać? Całujcie królowę, byle gorąco, potem przed ołtarz i do łożnicy!

– Czekał, czekaj, mój drogi. To ile, powiadasz, królowa ma tych włosów w posagu? Sto pięćdziesiąt jakosiów?

– Nie inaczej!

– A w klejnotach i złocie równowartość pięciu tysięcy grzywnien?

– Tak jest, przecież mówiłem! I po śmieci króla Konsencjusza całe państwo Wygwizd będzie twoje!

– No dobrze. – Kalikst pochylił się nad królowną i natychmiast wyprostował. – Zaraz, zaraz, gdzieś tu musi być jakaś zagwozdka.

– Jaka znowu zagwozdka? – jęknął Werner. – Co znowu wymyśliliście? Takiego marudnego księcia w życiu nie spotkałem!

– Trochę to wszystko za łatwe i za proste... Żadnych szczególnych warunków, niebezpieczeństw w sumie po drodze nie było... Spacer, nie wyprawa ratunkowa.

– Za łatwo?! – Czarodziej złapał się za głowę. – Za łatwo wam?! Może mam tutaj jakiego smoka sprowadzić, żeby było trudniej? Albo stado wściekłych rozbójników? To da się zrobić, tylko poczekajcie parę dni!

– A ta czarownica, jak jej tam... Eleo... Eleio...

– Eleonorita Trzęsimiech.

– Właśnie. Czy ona nie będzie się mściła za to, że czar zdejmę?

– Książę – zawołał zrozpaczony Kusibab. – Eleonorita od dawna ma to wszystko w dupie, naprawdę! Zapewniam! Daję słowo! Przysięgam wreszcie! Zajęta jest teraz ciemieniem ludu pewnego państwa na środkowym wschodzie! Została ministrem zdrowia, a to dużo lepsza rozrywka niż jakieś tam czary. Bez użycia magii daje radę rozpieprzyć w drobny mak wszystko, czego się tylko dotknie! Teraz zdecyduj się wreszcie: albo całujesz, albo idę szukać innego księcia!

– Dobrze już, dobrze, nie ciskaj się, bo nie ma o co.

Kalikst znowu pochylił się nad trumną, lekkim dmuchnięciem rozwiął złote loki królowny, lecz zaraz odskoczył.

– Ona mrygnęła! – zawołał przestraszony.

– Niemożliwe!

– Wyraźnie widziałem!

– Wykluczone!

– O, jeszcze mryga, patrz sam, jak jej oczy pod powiekami tańczą!

– E, książę – rzekł Werner z wyrzutem. – Tak się bać byle drobiazgu... Toż po prostu królowna znalazła się w fazie szybkich ruchów gałek ocznych. No, w fazie snu REM, jak powiadają znający! Czyś nigdy o tym nie słyszał?

– Nie!

– To teraz słyszysz! – zniecierpliwiał się Kusibab. – Albo całujesz, albo zamykamy trumnę, bo się jeszcze biedaczka przeziębi! Nie czujesz, jaki tu przeciąg? To faza REM. REM! – powtórzył z naciskiem. – Co książę robił w szkole? Spał?

– Dobra – mruknął Kalikst. – Powiedzmy, że jest tak, jak mówisz.

Z wyrazem determinacji na twarzy pochylił się nad trumną i złożył na wargach królowny pocałunek.

– Poznajcie się – rzekł po chwili Kusibab – królowna Ramona Bohuślawówna, książę Kalikst Bury, bogacz nad bogacze.

„W tym miejscu zwykle kończą się bajki – pomyślał książę – a bohaterowie żyją długo i szczęśliwie. Ciekawe zaś, co mi przyniesie los?”

Los zaś odezwał się aksamitnym głosem króla Konsencjusza:

– To ten? Mizerny jakiś. No cóż – westchnienie – w moim położeniu, niestety, zięcia się nie wybiera. Spiszemy intercyzę i do ołtarza.

Jedyne to były zresztą słowa, jakim od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

– Wiesz, mój drogi – Kalikst z braku lepszego towarzystwa zwierzał się Wernerowi. – Mam wrażenie, że królowna mnie nie kocha...

– A czy ty ją kochasz, książę?

– Może nieszczęśliwie, ale w końcu to ja ją uratowałem, nie? Jakies uczucie powinna mi chyba okazywać...

– E tam. – Kusibab machnął ręką. – Też jest się czym przejmować. Uczucia nie ma, to będzie, a nawet jeżeli nie, musisz przyznać, że podniosłeś niepomniernie swój status społeczny, zostając faktycznym następcą tronu.

– Nie wiem – zamruczał Kalikst – czy to wielki prestiż być delfinem na takim zadupiu.

– Wiecznie niezadowolony! Wiecznie chciałby czegoś więcej! Ma w perspektywie własne państwo, ma królownę, piękną na dodatek i jeszcze narzeka!

– Kiedy ona mnie nie kocha!

– Posłuchajżeż, książę! Opowiadał mi swego czasu znajomek, ochmistrz zatrudniony na dworze pewnego możnego pana, imieniem baron Zygfyrd Dreck von und zu Dorf. Wielkiej romantyczności był to pan, jak to u tamtejszej szlachty bywa. Pewnego dnia przybył do niego posłaniec z wieściami o tragicznych losach księżnej wdowy, niejakiej Marii Aleksandrowny. Niech cię nie zmyli określenie księżna wdowa. Młódka to była, którą ojciec wbrew woli wydał za niejakiego Wija, paskudnego wroża z dalekiej Syberii. Ten, w noc poślubną impotentem się okazawszy, z wściekłości zakłęcie na żonę rzucił, tak że od wschodu do zachodu słońca była dawną piękną dziewczyną, a od zachodu do wschodu koszmarną wiedźmą. To, trzeba ci wiedzieć, dość często stosowane przez złych czarodziejów zakłęcie. Tak czy siak, Wij uwięził żonę w wysokiej wieży, a sam wyruszył w daleką podróż. Dość powiedzieć, że ubili go jacyś Tatarzy czy insza dzika nacja, gdy wśród nich swoich sztuczek zaczął próbować. Maria Aleksandrowna zaś pod silną strażą zastępu ożywionych trupów utkwiała w rzeczonyj niedostępnej wieży. Baron Zygfyrd, usłyszawszy o tym wszystkim, nie mieszkając, wyruszył, sprawy swej dziedziny młodszemu bratu pozostawiając. Naczytał się nieszczęśnik opowieści o królu Arturze i postanowił wpierw uwolnić uciemiężoną, by potem odczarować ją mocą miłości. Wrócił po niedługim dość czasie zły jak wszyscy diabli wraz z narzeczoną, także okrutnie wściekłą. Paskudna była, powiadam ci, książę, jak kupa nosorożca! I podobnie pachniała.

– Nie udało się jej odczarować? Pocałował ją i nic? Może to nie był prawdziwy arystokrata?

Kusibab spojrział ironicznie.

– Ależ był to rasowy arystokrata! Był tak rasowy, że cierpiał na skrofuły mimo młodego wieku! Po prostu nie przewidział, że ruskie czary działać mogą nieco inaczej! Oni tam niczego nie potrafią zrobić, jak należy. Owszem, Marię Aleksandrownę baron pocałował, tyle że w dzień, kiedy była piękną kobietą. Zresztą nie tylko ją pocałował. W trakcie tego „nie tylko” huknęło, błysnęło i księżna zmieniła się w to, czym bywała po nocach.

– To straszne!

– O! Było o wiele gorzej, niż przypuszczasz. Bo fazy się zamieniły! To znaczy księżna stawała się teraz piękna po zachodzie słońca, co nie byłoby takie złe względem pożycia, ale czar, jak zaraza jakaś, udzielił się baronowi, który z kolei nocą stawał się podobny do mumii swojego dziada, a widok ten, zapewniam, może przyprawić o mdłości nawet doświadczonego grabarza! Najgorsze zaś było to, że naprawdę się w sobie zakochali! Lecz on nie mógł na nią patrzeć w dzień, a ona na niego w nocy. Ich pożycie ograniczało się do krótkiej chwili tuż przed wschodem lub zachodem słońca, kiedy przez kilka sekund oboje wyglądali mniej więcej normalnie. Wyobrażasz sobie, Dreck von und zu Dorf musiał być szybki jak królik, tyle tylko miał, zamiast czułych uścisków i długich upojnych nocy. A na dodatek brat barona, korzystając z zamieszania, wydziedziczył Zygryda, co było, oczywiście, do przewidzenia.

– No dobrze – zreflektował się Kalikst. – Ale po co mi to opowiadasz?

– Żebyś, drogi książę, zobaczył, iż są większe nieszczęścia niż pewna obojętność ze strony przyszłej żony. Zresztą czeka was noc poślubna. Jeśli się spiszesz lepiej niż niesławnej pamięci Wij, masz duże szanse. Takie już są te córki wysokich rodów. Niby wychowane skromnie, ale w istocie rzeczy wyuzdane i skłonne do perwersji. Nie inna jest i Ramona. Zresztą, czym się tak przejmujesz? Widziałeś fraucymer? Zauważyłeś, jakie tam chodzą sztuki? A wszystkie chętne do spełniania zachcianek przyszłego monarchy...

– No wiesz! – zwołał oburzony książę. – Tak się nie godzi.

– Wiem, wiem – mruknął Kusibab. – Tak się nie godzi, ale wszyscy tak robią. A teraz wybacź, mój panie, ale muszę się zbierać w drogę, by zatwierdzić u arcybiskupa waszą intercyzę.

Jedynie to były zresztą słowa, jakim od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

W panującym podczas uczytu weselnej zamieszaniu nikt nie dostrzegł tego niepozornego człowieka aż do chwili, kiedy tamten pociągnął za rękaw króla Konsencjusza.

– Przepraszam, że przeszkadzam, wasza wysokość. Ale trochę czasu już upłynęło. Czy jest może tak, że – być może – możemy porozmawiać o naszej sprawie? Czy już, czy też może jeszcze nie już?

Miał akcent, który obudził w głowie Kaliksta pewne skojarzenia. Identycznie mówił bankier, od którego świętej pamięci ojciec pożyczał pieniądze. Zresztą był bardzo podobny do tamtego i z twarzy, i z postaci, i z ubioru, i z długich, mocno skręconych kosmyków wymykających się spod kapelusza.

Król zmarszczył brwi, lekko poczerwieniał. Zdawało się, że za chwilę wezwie strażę, żeby wtrąciły do lochu natręta, ale opanował się.

– Nie widzisz, człowieku – odpowiedział głosem nabrzmiałym złością – że mamy tu dzisiaj wielką uroczystość?

– Ajajaj! – zawołał przybysz. – A czyż mnie matka moja ukochana ślepego na świat wydała, żebym tego nie dostrzegł? Widzę wszak, że zabawa jak się patrzy. Ale starego Izaaka nikt na nią nie zaprosił, więc przyszedł sam, przy nadziei będąc, że łaskawość królewska winna być tym większa, gdy jego radość jako kwiat zakwita, a i pamięć ożywia się niby...

– Później – mruknął Konsencjusz. – Moja pamięć ożywi się jak najbardziej, ale trochę później. Wiesz chyba...

– Jednakowoż...

– Dość tego! – zirytował się monarcha. – Wyrzucić go za bramę i nie wpuszczać na zamek! Przynajmniej do jutra rana – dodał łagodnie.

Strażnicy wywlekli opierającego się człowieka.

– Nie chcę się wtrącać – powiedział Kalikst – ale w moim kraju za podobną bezczelność ten osobnik zawisłby niechybnie na rynkowym szafocie.

– A u nas nie – odparł chłodno Konsencjusz Bohusław. – Inne zgoła mamy obyczaje, jak widać.

– À propos obyczajów – książę rozejrzał się po sali – dlaczego nie widzę tutaj żadnego z owych krewnych, którzy wraz z tobą, moja żono i rodzicami twymi spoczywali byli w krypcie? Podobno to bliska rodzina, godziłoby się więc...

– Strasznie dociekliwy – mruknęła niechętnie Ramona, lecz zaraz uśmiechnęła się z przymusem. – Strasznie masz żywą ciekawość – rzekła uprzejmie. – Są panowie owi, i owszem, naszymi dość bliskimi krewnymi, ale takimi, których trzeba trzymać zarazem przy sobie i z dala od siebie.

– Ach, rozumiem – rozjaśnił się Kalikst – pretendenci do tronu? To dlatego mieli takie ponure miny, kiedy się budzili? A może mieli też coś wspólnego z rzuceniem uroku?

– Tego im nie da się, niestety, udowodnić.

– A ten, który krzyczał do mnie, żebym się strzegł?

Ramona ciężko westchnęła.

– A czego można spodziewać się po ludziach takiego pokroju?

– Rzeczywiście.

Kalikst zamyślił się. Dziwne zaiste mieli miny ci nieszczęśnicy, wyłażący ze swoich leży i zaraz pod ścisłą strażą wyprowadzani z komnaty. Nie wyglądali na knujących skrycie uzurpatorów. Ale jak w ogóle wyglądają skrycie knujący uzurpatorzy? Może właśnie tak, jak tamci – są smutni, ponurzy i bezradni?

Jedynie to były zresztą słowa, jakim od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

Ogrody królewskie były wspaniałe. Nieznane Kalikstowi rośliny upajały pomieszaną wonią, która odurzała ciało i zarazem pobudzała zmysły. Po wspaniałej nocy poślubnej czuł się rozkosznie zmęczony, choć nie dawała mu spokoju pewna sprawa.

– Miła moja – odezwał się do Ramony, która złożyła kształtną główkę na jego ramieniu – czy ty aby na pewno byłaś... no wiesz...

– Dziewicą? – spytała leniwie. – Ależ oczywiście, jak możesz w ogóle o to pytać?

– Bo tak jakoś dziwnie... Ani krew, ani nic...

Poderwała się, z jej modrych oczu trysnęły iskry oburzenia.

– A ileż to dziewic miałeś przede mną, że taki z ciebie znawca, co?

– Ano... – Książę z wysiłkiem zmarszczył czoło.

No tak, racja. Starej piastunki jakoś nie mógł zaliczyć w poczet nietykalnych niewiast, a więcej podbojów miłosnych nie pamiętał.

– Po prawdzie, to żadnej – przyznał niechętnie.

– Widzisz! Dlaczego więc upokarzasz mnie podejrzeniami? – Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Zaczął ją przeproszać. Z początku boczyła się, odwracała do niego plecami, ale rychło sprzeczka przerodziła się w o wiele bardziej interesujący i przyjemny rodzaj kontaktów, jakie występują między dwiema osobami przeciwnych płci. Kalikst poczuł w sobie na nowo ową moc, która pozwoliła mu dokonać tej nocy wielu wyczynów godnych dojrzałego męża i prawego rycerza. Królowna również nie wyglądała na zmartwioną rozwojem spraw. Zrobiło się szalenie przyjemnie, a zacieniona altana wydawała się bezpieczną twierdzą.

Lecz właśnie w chwili, kiedy zaczęło być naprawdę ciekawie, rozległo się chrząknięcie. Kalikst jak oparzony odskoczył od królowny, a ona zapłonęła rumieńcem, zakrywając dłońmi obnażoną pierś.

– Ja bardzo przeproszam, że przeszkadzam – rozległ się przymilny głos – ale ja szukam i szukam, i odnaleźć nie mogę. Zupełnie jak niejaki Lopek Lipszyc, którego włazł był w pijanym widzie na mużułmański cmentarz i szukał grobu szwagra swego, tyż z Lipszyców, tyle że...

– Czego chcesz? – warknęła groźnie Kalikst i jął się do boku, zapominając, iż rapier zostawił w sypialni. – Wynoś się, bo psami wyszczuć każę.

– Czego chcesz? – zapytała równocześnie Ramona.

– O, sama królewska córka – ucieszył się Izaak, nie zwracając uwagi na pogróżki księcia. – Szukałem, co prawda, najmiłościwiej nam panującego króla, ale spytać mogę i ciebie, śliczna pani. Czy może to już?...

– Widzisz chyba, że nie! – odparła poirytowana Ramona. – Jak będzie już, ojciec pośle po ciebie!

– A czy uczony Werner wyruszył w drogę?

– Co ci do tego, parchu?! – krzyknęła księżę.

– Ja tylko dbam o swoje interesa – odparł Izaak. – A zapytać wszak nic nie kosztuje.

– Wyruszył – odpowiedziała królowna. – I pewnie niebawem wróci, przywożąc ze sobą, co trzeba.

– W takim razie przeproszam i żegnam się z szacunkiem.

– O co chodzi? – Kalikst był bardziej zdumiony niż rozdrażniony. – Czego chce ten Żyd i dlaczego tak uprzejmie z nim rozmawiasz?

Królowna wzruszyła ramionami.

– Tatko ma z nim swoje sprawy. On jest dla niego miły, więc i ja nie widzę powodu, żeby traktować go inaczej.

Cóż za dziwny kraj ten Wygwizd, pomyślał księżę, zaprawdę dziwny...

Jedyne to były zresztą słowa, jakim od egzorzysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

Tradycja korzystania ze wspólnych łaźni przypadła księciu do gustu. Nie bardzo, co prawda, rozumiał sens pławienia się w wodzie częściej niż raz w miesiącu – w jego ojczystych stronach uznane by to zostało za ciężki grzech i wielką rozrzutność – ale za to mógł przynajmniej do woli napatrzeć się wdziękom dam dworu. Nie zawsze zresztą musiało kończyć się tylko na patrzeńcu. Jednak tego dnia królowna wyraziła chęć udania się wraz z nim do przybytku czystości.

– Będzie miło – rzekła tajemniczo. – Zostaniemy tylko we dwoje. Możemy tam swobodnie porozmawiać i...

A teraz siedziała naprzeciwko, wabiąc wspaniałym ciałem o gładkiej brzoskwińowej skórze, zarumienionej czy to od gorącości zewnętrznej, czyli też również tej płynącej z głębi łądzwi. Kalikst z dumą obserwował swą podnoszącą się męskość. Powoli, niczym lis skradający się do kurnika, zaczął iść w stronę ukochanej. Znienacka skoczył i chwycił ją w objęcia. Ramona krzyknęła przestraszona, machnęła nogą, strącając pełen wody sagan na kamienie paleniska. Wszystko pograżyło się w mlecznym oparze. Przez jakiś czas dochodziły z niego jedynie rozkoszne pomruki.

– Kiedy wyruszymy wreszcie do mojego kraju? – zapytał Kalikst po wszystkim. – Powinienem pokazać swoim poddanym ich nową panią.

– Kiedy tylko nasza intercyza zostanie potwierdzona przez arcybiskupa.

– Ach, prawda! Z tą sprawą wyruszył jeszcze przed zaślubinami Werner Kusibab!

– Właśnie. A do tego czasu nie musimy się nudzić – królowa kusząco poruszyła biodrami.

Kalikst znowu poczuł ogarniającą go żądzę. Nieco zdziwiony własną jurnością, spojrział pytająco w dół. Najwyraźniej znowu był gotów.

– Do dzieła, mój rumaku! – zawołał, a Ramona gościnnie rozwarła uda.

– Ja bardzo przepraszam, że przeszkadzam – rozległ się tuż przy uchu księcia koszmarnie znajomy głos. – Ja przyszedłem się tylko zapytać czy to już, czy jeszcze nie już...

Kalikst rzucił do tyłu niedowierzające spojrzenie. Pochylała się nad nimi znajoma brodata fizjonomia. Poderwał się jak oparzony.

– Nie! – krzyknął, wyręczając królowę. – Jeszcze nie już, cokolwiek miałoby to znaczyć! Jak będzie już, król Konsencjusz Bohuśław niechybnie cię powiadomi. Królowa Cecylia na pewno cię powiadomi! Królowa Ramona cię powiadomi! Nawet kocur kuchenny cię powiadomi! Ja cię, do kurwy nędzy, powiadomię, choć Bóg mi świadkiem, że nie wiem, o czym. Tylko się od nas już odczep! Przestań wciąż nachodzić! Dnia nie ma, żeby nie słyszał twojego: „Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy już?”. Ja przysięgam, że od tego oszaleję – rzekł groźnie. – A kiedy oszaleję, rozerwę cię na sztuki gołymi rękami!

Chwycił przybysza za chałat. A raczej chciał chwycić, bo okazało się, że Izaak jest ubrany jedynie w kapelusz. Z braku lepszego punktu zaczepienia książkę złapał go za brodę.

– Wynoś się natychmiast! Won mi, parchu, i żeby cię więcej nie widział. – Targał głową Żyda na wszystkie strony. – Nie dalej niż wczoraj przylażyłeś na obiad, cuchnąc czosnkiem i kolendrą, a trzeba ci wiedzieć, że obu tych woni nie znoszę! Kilka dni wcześniej wlażyłeś, gdyśmy z księżniczką spacerowali, ważne sprawy omawiając! – Puścił brodę Izaaka, wytarł rękę w pośladek. – Naszedłem cię nawet we własnym wychodzie! Niedługo znajdziemy cię w małżeńskim łożnicy, gdy udamy się na spoczynek! Ja, niegodziwcu jeden, zaczynam się już obawiać, że kiedy podniosę pokrywę tacy ze śniadaniem, ujrzę na niej twój bezczelny łeb, który zapyta: „Przepraszam, że przeszkadzam, ale przyszedłem się dowiedzieć, czy już?”. A w ogóle, co to ma być to „już”? O co w tym chodzi?

– Jaśnie pan, oczywiście, jeszcze nie wie? – spytał Żyd spokojnie.

– Nie wiem, do licha!

– To oznacza, że to rzeczywiście jeszcze nie już. W takim razie przepraszam i nie przeszkadzam.

Ramona chlusnęła nową porcją wody na kamienie. Podniosły się kłęby pary, a Izaak rozplynął się w nich niczym duch, jakby go nigdy w tym miejscu nie było.

– O co on się tak dopytuje? – Kalikst spojrział pytająco na żonę. – Dowiem się w końcu?

Przywarła do niego całym ciałem.

– Dowiesz się w swoim czasie, kochany – szepnęła. – To jeszcze tajemnica...

– Czy w tę tajemnicę zamieszany jest także ten Żyd?

– Oj tak, zdziwiłbyś się nawet, jak bardzo...

– To jakaś niespodzianka dla mnie?

– Tak, tak, można to nazwać niespodzianką.

Nieco uspokojony, księżę pogrążył się w zapomnieniu płynącym gorącą namiętnością z ramion kochanki.

Jedynie to były zresztą słowa, jakiem od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

– Pan Werner Kusibab powrócił!

Jesienny poranek leniwie sączył się przez uchylone okno sypialni. Okrzyk z podwórca otrzeźwił nieco zmysły księcia. Ciało budzącej się również Ramony nagle stężało w jego objęciach.

– Co się stało, kochana? – spytał zdziwiony.

– Nic takiego – westchnęła z niezrozumiałym żalem w głosie. – Słyszałeś chyba. Werner Kusibab powrócił.

– To chyba dobrze, prawda?

– Dla kogo dobrze, dla tego dobrze, mój drogi – znowu westchnęła. – A już zdążyłam cię polubić... Trochę mi szkoda.

– Ależ, kochana moja? Skąd ten podły nastrój, powiedz. Kusibab przywiózł zatwierdzenie intercyzy i tyle, czyż nie? – Tak, mój mężu – odparła smutno – tyle że dla ciebie to niekoniecznie jest dobra wiadomość. Przyznam, że początkowo irytowałeś mnie swoją naiwnością, tym dziecinnyim podejściem do życia, ale tak naprawdę...

– Nie pojmuję. Czy dzisiejszego ranka postanowiłaś wytrącić mnie z równowagi? Co znaczą twoje słowa? Nic z tego nie rozumiem.

– Zrozumiesz już niebawem, Kalikście... Niebawem, zapewniam cię.

W tej chwili drzwi komnaty otworzyły się z wielkim hukiem. Do środka wtargnęło kilkunastu zbrojnych.

– Dokumenty! – warknął dowódca gwardii, zbliżając się do łoża.

– Jakie dokumenty? – spytał zdumiony Kalikst.

– Doszły nas słuchy, że podszywasz się pod księcia, niejakiego Kaliksta Burego, oszuście! Dokumenty!

– Przecież nie mam! Jestem księciem, nie potrzebuję...

– W takim razie pan pozwoli z nami!

– Ja stanowczo żądam widzenia się z królem! To jest jakieś koszarne nieporozumienie!

– Tak, tak – odparł niedbale gwardzista. – Koszarne nieporozumienie. To właśnie słyszę za każdym razem.

Jedyne to były zresztą słowa, jakim od egzorcysty usłyszał. W drodze burczał jeno, a głową dawał znaki, czego mu trzeba.

– O, popatrzcie, nowy szwagier!

To było pierwsze, co nieszczyśny Kalikst usłyszał, kiedy strażnicy wepchnęli go za drzwi. Pomieszczenie było imponujących rozmiarów, wysoko sklepione, o dużych oknach, które wpuszczały sporo światła. Niestety, okna te przecinał charakterystyczny wzór. Boże, tak grubych krat Kalikst nie widział w całym swoim życiu! A, nie! Właśnie, że widział, podczas spaceru wokół zamku. Zapytał wtedy króla, dlaczego okna są tak zabezpieczone.

– Widzisz, chłopcze – odparł Konsencjusz – są to pomieszczenia naszego skarbcu. Niektórych wartościowych rzeczy nie możemy trzymać w ciemnych lochach. Trzeba było przystosować część pomieszczeń mieszkalnych...

– Co ja robię w skarbcu? – zdziwił się teraz. – Co wy, panowie, w nim robicie?

Rozejrzał się po twarzach otaczających go mężczyzn. Było ich pięciu... Nie, zaraz – szczęściu. Jeden siedział rozparty w fotelu pod oknem. Miał zamknięte oczy i wyglądał, jakby był pogrążony we śnie. Tak, poznał ich! Przecież to oni byli tymi niewygodnymi krewnymi z krypty...

– W skarbcu! – zarechotał ten, który nazwał go szwagrem. – On myśli, że jest w skarbcu! A my co, pewnie jesteśmy brylantowymi koliai? Przyjacielu, najwyższy czas dowiedzieć się, że to zasrane królestwo nie ma żadnego skarbcu! I to od bardzo dawna! Właśnie dlatego się tu znalazłeś!

Kalikst był oszołomiony.

– Nic nie rozumiem... To wszystko stało się tak nagle.

– Nagle! Co za idiota!

– Daj spokój, Hubercie – odezwał się łagodny głos. To mówił mężczyzna spod okna. Wbrew pozorom jednak nie spał i nic nie uszło jego uwagi. – Lepiej wyjaśnijcie naszemu nowemu towarzyszowi niedoli, o co chodzi. Czy nie pamiętasz, przyjacielu, jak sam byłeś przerażony i bezradny, gdy cię tu zamknęli? Jak wyłeś przez pół nocy, dokąd ci Herman nie dał porządnie po łbie? Nieszczęśniku – zwrócił się do Kaliksta – jesteś od dnia dzisiejszego więźniem stanu.

– Więźniem? – zdumiał się książę. – Więźniem?! Wy, to rozumiem, jako królewscy krewni, knując zdradę, możecie być więźniami. Lecz ja, Kalikst Bury, książę na Podpolu, jestem prawowitym mężem królowy Ramony i następcą króla Konsencjusza!

Odpowiedział mu zgodnie rehot.

– Wszyscy jesteśmy prawowitymi mężami Ramony i następcami króla! – zawołał Hubert, trzymając się za brzuch. – Wszyscy też jesteśmy książętami krwi! A Julian – wskazał na mężczyznę pod oknem – jest, a raczej był, legalnym następcą tronu wielkiego mocarstwa!

– Lecz na mnie czeka przy granicy tego królestwa wojsko! Pan Delipacy, gdy zbyt długo ode mnie nie dostanie znaku, Wygwizd najedzie i stolicę z dymem puścić! Musielibyście widzieć moich kawalerzystów w szarzy! Nic ich nie zdoła powstrzymać.

– Wykazujesz niczym nieuzasadniony optymizm, mój drogi – odezwał się Julian. – Uważasz nas za idiotów? Każdy z tu obecnych miał gdzieś nieopodal swojego pana Delipaczo z wojskiem. Tak na wszelki wypadek. Jak widzisz, niewiele nam to pomogło. Bo każdy taki imć Delipacy ma swoją cenę, rozumiesz? Możesz być pewien,

że pociągnął już do tego twojego Podpola z ponurą wieścią o przedwczesnej śmierci nieszczęsnego księcia. Nasz kochany teść jest człowiekiem zapobiegliwym i wielce ostrożnym. Dlatego gdy przybywa nowy kandydat na zięcia i cała rodzinka udaje się do trumien, każe nam leżeć w tym samym pomieszczeniu. Chce mieć nas cały czas na oku. Możesz być pewien, że cieśle pałacowi już strugają dla ciebie grzeczną skrzynkę, albowiem Kusibab jak nic wyruszył w świat szukać kolejnego męża dla Ramony i najdalej za parę miesięcy przybędzie z upolowanym jeleniem.

Kalikst zaniemówił, a tamten ciągnął dalej:

– Widzisz, sprawy mają się tak. Król Konsencjusz Bohuśław swego czasu prowadził wojnę ze swoim najbliższym sąsiadem, Lutogniewem Srogim, władcą Poświstu. Swoją drogą, co za nazwy mają tutejsze krainy! Wojny nie wygrał, jakżeby inaczej, ale za to zadłużył się u niejakiego Izaaka Rozenkranca, udziałowca czy nawet właściciela wielkiego banku. Ponoć bank ten ma faktorie przy dworach większości krajów świata. Otóż Konsencjusz zadłużył się tak niepomrotnie, że w zastaw poszły wszystkie ziemie Wygwizdu, stojące na nich nieruchomości, a nawet i ruchomości. Najmarniejsza szprycha od koła, ba – dziura w ostatnim chłopskim sraczu, w świetle prawa nie należy do króla dopóty, dopóki długu nie spłaci. Taki ci mądry kontrakt podpisał z Izaakiem, gdy Lutogniew stał pod murami zamku i trzeba było dodatkowo najemników opłacić, bo chcieli poddać twierdzę.

Kalikst czuł pustkę w głowie. Słuchał, co do niego mówi towarzysz niedoli, jednak straszne znaczenie słów jeszcze nie utorowało sobie drogi w księżycym, niećwiczonym w logice umyśle.

– Potem wyszło na jaw, że to był spisek uknuty przez kapitana najemników wraz z bankierem. Ale umowa pozostała umową. Wtedy dopiero król zmądrzał. Wykoncypował, że skoro on jest takim ciężkim idiotą, to pewnością cały świat pełen jest podobnych mu kretynów. Bogatych kretynów, bo o biednych przecież nie chodziło. Skądęś wygrzebał starą baśń o śpiącej królownie i uznał ją za szalenie odkrywczą. Człowieku! Ten Wygwizd to takie zadupie, że nie znają nawet bajek opowiadanych gdzie indziej dzieciom do snu. Wysłał swego szambelana, Wernera, którego zaszczyt miałeś poznać...

– To on nie jest czarodziejem? – Kalikst otworzył oczy ze zdumienia.

– Nie bardziej niż ja albo ty. W ogóle znasz osobiście jakiegoś czarodzieja? Ja też nie. Nikt nie zna. Ich po prostu nie ma! Najgorsze jest zaś to, że ten dumny pomysł powinien spalić na panewce, a popatrz na nas i siebie – jesteśmy niepodważalnym dowodem na to, że głupich nie sieją.

– Ale po co? Po co to wszystko?

– Naprawdę się nie domyślasz? Intercyzę podpisałeś?

– Podpisałem.

– Pamiętasz, co w niej było?

– Ot, piąte przez dziesiąte. – Kalikst zaniepokoił się. – Coś jest nie tak?

– Nie tak? – Mężczyzna podniósł się z fotela. – Jasne, że jest nie tak. Cholernie nie tak! Tam było napisane, o ile sobie przypominam, że zgadzasz się na połączenie prawne ziem twoich z włościami królowny Ramony i wzajemną regulację wszelkich zobowiązań. Znaczy, zgodziłeś się na wspólność majątkową.

– To chyba normalne, prawda? Uznałem to za bardzo korzystne i uczciwe.

– W takim razie dowiedz się, że twój majątek, to znaczy ziemie i w ogóle wszystko, co posiadasz, zostanie korzystnie i uczciwie przeznaczone na spłatę zobowiązań tatusia

Ramony, króla Konsencjusza Bohuśława, który nie ma nic i przez najbliższe sto lat nic mieć nie będzie! Trzeba było się zapoznać z raportem stanu majątkowego! Intercyza została już zatwierdzona przez arcybiskupa. Czy wiesz, że od tego nie ma odwołania? To znaczy jest, ale możesz być pewny, że żadne twoje skargi nie wyjdą poza ten pokój! A twój pan Delipacy osobiście i do ostatniego grosza dostarczy tutaj przewidziane kontraktem sumy. Dostanie od tego przyzwoity procent.

Kalikst chwycił się za głowę.

– Uwaga, panowie – zawołał Hubert. – On zaraz będzie wył!

Stało się, jak zapowiedział. Książę Kalikst Bury, dziedzic tronu Podpola, zaczął wyć. I wył długo w noc, aż wreszcie mocarny Herman litościwie dał mu po głowie.

Serce teściowej

Nie myśl sobie tylko, że tkwię tutaj ot, tak sobie, że to tylko głupi wypadek, który spotkał nieuważnego wędrowca. Wszystkiemu winna jest moja teściowa. Naprawdę! Gdyby nie ona, nie byłoby mnie tutaj. Siedziałbym w ciepłej chałupie i bawił dzieci. Gdyby nie ta zołza, miałbym w ogóle czas i możliwość dochować się potomstwa...

Nigdy nie przepadaliliśmy za sobą. To czarownica. I nie traktuj moich słów jako objawu czystej niechęci – ona naprawdę jest czarownicą, i to wysoko kwalifikowaną, dyplomowaną specjalistką od demonologii. A ja czarownic nie cierpię jak zarazy. No bo nikt chyba nie lubi budzić się o świcie z odorem gnojówki w nozdrzach i świńskim ryjem nad głową tylko dlatego, że ukochana mamusia żonczki zobowiązała jakiegoś żalosego demonika dwudziestego rodzaju, żeby regularnie przeprowadzał zięcia do chlewa!

To przez jej złośliwość tułam się po świecie w poszukiwaniu czegoś, co zapewne w ogóle nie istnieje. Tak, dobrze słyszysz, tułam się właśnie przez tę zgagę! Jeśli chcesz, dobry człowieku, mogę opowiedzieć, jak do tego doszło. Zdążę dokończyć historię, zanim wypłaczysz mnie z tej obrzydliwej sieci. Że też w twoich stronach – bo stąd przecież pochodzisz? – tak myślałem. Że też w twoich stronach żyją takie obrzydliwe pająki. I że też opląca im się pleść takie wielkie sieci, że krowę by w nie złapał! Ewolucja, powiadasz? Może i ewolucja, nie słyszałem o takiej. Musi być z niej kawał cholery, skoro wynalazła owe bestie. A teraz posłuchaj, drogi wybawco, co spowodowało, że znalazłem się na samym krańcu świata, bo musisz wiedzieć, że twój kraj jest dla mnie i moich ziomków tak odległy, jak dla ciebie, dajmy na to... no co... bo ja wiem? Diabli, w końcu nie jestem kartografem! Odległy jest i już! I ten ciągły szum... Ach, powiadasz, że to wielki wodospad? Czyżby właśnie tutaj morza i oceany świata wlewały swe wody do nieskończonej, bezdennej otchłani? Widziałem kiedyś rycinę, która przedstawiała właśnie takie miejsce. Malarz zaklinał się na wszystkie świętości, że rysował z natury. To zwykły wodospad? Na pewno? Nie musisz przede mną niczego ukrywać. Nie takie rzeczy widziałem podczas tułaczki. Dobrze, nie podnoś głosu. Skoro mówisz, że wodospad, niech i tak będzie. Tylko dlaczego słycać go w całym kraju? Tak, już opowiadam moją historię, nie musisz się niecierpliwić.

Pecha miałem bodaj przez całe życie. A najgorsze, że ten mój pech na początku zawsze miał piękne i pociągające oblicze. Takie, jakie miała chociażby dla przykładu owa kurewka Meredith, która przy bliższym poznaniu okazała się mężczyzną i dokonała

mego rozprawienia w sposób zgoła inny niż oczekiwałem. Niżby ktokolwiek oczekiwał na moim miejscu. Wszyscy chłopcy mi zazdrościli, kiedy do miasteczka uroczyście przybył objazdowy burdel. Upatrzyła mnie sobie przecież najpiękniejsza prostytutka – Meredith właśnie. O mało nie pękłem z dumy, włączając za nią do wozu... I o mało nie spłonąłem ze wstydu, wychodząc.

Podobnie układał się mój los od najmłodszych lat, dopełnił się w chwili, gdy wstąpił w związek małżeński. Nie, skąd, co ci chodzi po głowie! Moja żona jest jak najbardziej normalną niewiastą! Nie zasmakowałem bowiem w gorzkim owocu, którym mnie uraczyła... uraczył Meredith. Czy wszystko z żonką jest jak należy, sprawdziłem zapobiegliwie jeszcze przed ślubem. Było, i to jeszcze jak! Tak w ogóle dobra z niej niewiasta, nie mogę powiedzieć. Kochamy się i w ogóle... W tym przypadku pech przybrał nadobne oblicze teściowej. Na pierwszy rzut oka rzekłbyś – anioł. Szczerze, piękne oczy, wiotka kibić, wdzięczna postać. Wyglądała raczej na siostrę mej żony niż matkę. I to siostrę doprawdy niewiele starszą. Wyłaziłem z siebie ze szczęścia, że będę miał pod dachem dwie tak piękne kobiety... Szeptali ludzie po kątach, że ze starej jest wiedźma, ale kto by tego słuchał, gdy zakochał się niby indor we własnym odbiciu w kałuży. A poza tym wiedźma... Każda teściowa to wiedźma, tak się przyjęło, tak zawsze wszyscy mówią, więc brałem to za zwykły... jak to się mówi... epiktet? Ach, właśnie, epitet, dzięki dobrodziej! Rychło się jednak miałem przekonać, że – owszem – ludzie są złośliwi i mają ostre języki, potrafią każdego oszkalować, ale zawsze trzeba doszukiwać się w tym gadaniu ziarna prawdy.

Zaczęło się już w dniu ślubu, przed kościołem. Teściowa kategorycznie odmówiła wejścia do środka. Twarz miała spoconą, rysy wykrzywione, trzęsła się jak w febrze.

– Oj, jakby bies w mamusię wstąpił – zauważyłem niefrasobliwie. – Dzień zimny taki, a od mamusi żar bije niby z rozgrzanego pieca.

Wiem, wiem, nie jestem zbyt bystry. Nigdy nie byłem. Przecież nawet dziecko by się domyśliło, w czym rzecz, ale nie ja, oszołomiony w dodatku szczęściem i przepętniony życzliwością dla całego świata. Zdziwiłem się tylko przelotnie, że oczy teściowej załśniły czerwono, a palce zakrzywiły się niczym krogulcze szpony.

Od tamtej pory co najmniej dwa razy w tygodniu budziłem się w świńskim korycie. O innych złośliwościach tej wiedźmy nawet nie chcę wspominać. Jak choćby o tym, że wszelkie okoliczne ptactwo z wielkim upodobaniem i bardzo pracowicie obsrywało mi głowę. Albo jak duszony w śmietanie szczupak użarł mnie zniecka w palec podczas kolacji. To wszystko drobnostki. Ale były i rzeczy znacznie poważniejsze.

Wystaw sobie, dobroczyńco mój, że nie mogłem spokojnie wypić niczego mocniejszego niż sok jabłkowy. A w moich okolicach, kto nie pije należycie, ten nie ma czego szukać w porządnym towarzystwie. Teściowa dla pogębienia mnie przyzwała osobnego demona. Niegodziwiec ten czuwał bezustannie i czyhał na najdrobniejszy przejaw chęci spożycia przeze mnie jakiegokolwiek napitku przyjemniejszego niż woda. Wskakiwał wtedy spod ziemi, błyszcząc, grmiąc i hucząc, odbierał trunek, by wypić go samemu. Gorzej jeszcze działo się, gdy sobie ów piekielny stwór podchmielił, albowiem zdarzało się, iż musiał interweniować kilkakrotnie, gdyż próbowałem mimo wszystko jednakowoż włąć w gardziel to czy tamto. Wówczas potrafił pozbawić wina, piwa i okowity także moich współbiesiadników. Alkoholik zawołany był z tego demona. Pijak i złodziej.

Nic zatem dziwnego, że nie byłem zbyt popularną postacią w swojej wsi, a przyjaciele odwrócili się całkiem ode mnie.

Najgorsze miało jednak dopiero nadejść. I, jak zwykle w moim parszywym życiu, zaczęło się niewinnie. Więcej – zdawało się, że może być już tylko lepiej. Pewnego pięknego dnia żona przybiegła do domu z policzkami mokrymi od łez.

– Co za nieszczęście – krzyknęła od progu, po czym z łkaniem rzuciła się na łóżko.

Zmartwiałem. Cóż takiego mogło się wydarzyć? Minęło ładnych kilka chwil, zanim wydoylem ze zrozpaczonej kobiety zrozumiałe słowa.

– Co za tragedia, mamusia jest w wielkim kłopotcie!

No cóż, tarapaty teściowej są małymi, skrytymi, ale słodkimi radościami każdego zięcia. Nie powiedziałem jednak nic, słuchając pilnie, co też się takiego wydarzyło.

– Kapituła zakonu wytoczyła mamusi proces o nadużywanie czarów i działalność na szkodę zgromadzenia. Kara za to jest straszliwa! Najgorsza z możliwych, tak mi powiedziała mamusia...

Pokręciłem głową.

– A co takiego twoja matka przeskrobała?

– No wiesz? – Żona aż sapnęła z oburzenia. – Jak w ogóle możesz mówić o mamusi, że coś przeskrobała!

– Co więc zrobiła, że wytoczono jej proces?

– Nie wiem. – Znow ujrzałem fontanny łez tryskające z przepięknych chabrowych oczu.

Koniec końców okazało się, że jednak wie. Teściowa bez zezwolenia Rady Najwyższej oraz Kapituły Zakonu Niewiast Znających łyknęła pokątnie eliksiru młodości, co stanowi poważne wykroczenie przeciw regule. Ale to jeszcze nie wszystko. Mamusia mojej żony nigdy niczego nie robiła połowicznie... Przepraszam, czy mógłbyś bardziej uważać z tym ostrym narzędziem? Biorąc pod uwagę moje szczęście, wraz z pajęczyną możesz pozbawić mnie paru ważnych organów. O tak, spróbuj może ciąc nieco dalej.

Jak już mówiłem, teściowa niczego nie robiła połowicznie. Zawsze postępowała zgodnie z zasadą „jak kochać to na zabój, jak kraść, to miliony”. Nie dość, że wypłała nielegalnie ten eliksir, to na dobitkę – żeby mieć pewność, iż produkt jest najlepszego gatunku – uszczknęła go z prywatnych zapasów samej Mistrzini Ziół, najbardziej wpływowej czarownicy w Radzie. A to już, według ich reguły, traktowane jest jak zbrodnia.

– Co jej właściwie grozi? – Próbowałem przebić się przez płacz żony.

Nie wiedziała. Ale na wyjaśnienie tej kwestii nie trzeba było długo czekać. Pojawiło się wraz z szanowną osobą teściowej. Ależ była wściekła! Kiedy na mnie spojrzała, zrobiło mi się gorąco w najdosłowniejszym znaczeniu tego słowa. Gdyby jeszcze chwilę zatrzymała na mnie wzrok, moja koszula z pewnością stanęłaby w płomieniach.

– Dobrze – warknęła, odwracając oczy. – Skoro tak musi być, to proszę!

Ledwo złapałem przedmiot, którym we mnie cisnęła. Była to ozdoba, pięknej roboty flaszeczka, wypełniona burą, bulgocącą cieczą.

– Co to jest? – spytałem, zdumiony.

– Co to jest, co to jest! – Przedrzeźniała mnie, a z jej oczu dosłownie sypały się snopy iskier. – To moja kara, ot co! Duch w butelce dla kochanego zięcia! Przyjmujesz dar?!

Spróbowałbym odmówić! Widziałem, że jest gotowa na wszystko, a to, że w ogóle musiała się do mnie odezwać stanowi dodatkową, niewysłowioną katuszę. Była skrajnie

zdesperowana, a z takimi lepiej nie zadzierać. Zresztą, jakby na to nie spojrzeć, dar był bardzo cenny.

– Przyjmuję.

– To dobrze. – Wyraźnie jej ulżyło. W tym momencie pożałowałem, że nie byłem twardszy. Może gdybym odmówił, kara byłaby znacznie surowsza i jeszcze bardziej dotkliwa? Teściowa jednak już się odwróciła na pięcie i wyszła, wyładowując całe niezadowolone na drzwiach.

Okazało się, że wyrokiem Kapituły została skazana na dwie kary – dyscyplinarną w postaci degradacji do rangi młodszej adeptki sztuk oraz zwyczajową, polegającą na obdarowaniu bardzo cennym przedmiotem osoby najbardziej znienawidzonej. Z początku próbowała wmówić trybunałowi, że takim człowiekiem jest sołtys, którego zresztą faktycznie nienawidzi jak parszywego psa, ale jednak trochę mniej niż mnie. A czarownicy niełatwo oszukać, nawet jeśli jest się jedną z nich. Dzięki temu stałem się posiadaczem niezwykle cennej rzeczy.

Butla stała na półce przeszło tydzień, zanim dojrzałem do decyzji. Nie wiedziałem, co o tym sądzić, a przede wszystkim, czy jednak nie kryje się w prezencie jakiś podstęp. Z czasem obawa słabła, a ciekawość brała górę. Ostatecznie szalę przeważało zdanie żony.

– Zrozumie, żełopie, że mamusia może chcieć zrobić krzywdę tobie, ale na pewno nie mnie! Niemożliwe, żeby to, co jest w butli, było w jakikolwiek sposób groźne!

W końcu się przemogłem. W niedzielny poranek, odczekawszy, aż wszyscy sąsiedzi udadzą się do kościoła, bo to przecież nigdy nic nie wiadomo, zerwałem pieczęć z korka, po czym wybiłem go, uderzając w spód butelki nasadą dłoni. Pochwyciłem przy tym niechętnie spojrzenie żony – wyraźnie nie przypadła jej do gustu wprawa, z jaką obchodziłem się z flaszka. Ledwo korek wyskoczył, w naczyniu coś zabulgotało, osłepiająco błysnęło, zagrzmiało i zaśmierzdziało. Mój przyjacielu, gdybyś wiedział, jak te wszystkie demony okropnie śmierdzą... Wprost nie do uwierzenia! Ten, który wytaskał się z butelki, wyglądał jak skrzyżowanie wielkiego psa z małpą, świnia i diabli wiedzą, czym jeszcze.

– Czego?! – huknął, aż podskoczyły naczynia na stole, a spod powały sypanął się kurz.

– Czy – z trudem przełknąłem dławiącą kulę w gardle – czy jesteś duchem z butelki?

– Co za pytanie – zarechotał grzmiąco. – A czy ty jesteś kompletnym idiotą?! Nie wiedziałeś, skąd wylazłem?!

Pominałem pytanie milczeniem, a on ciągnął dalej:

– Nasiedziałem się w tym przeklętym szkle tyle czasu, że gdybym ci o tym opowiedział, zwiariowałbyś z niedowierzania! Poza tym jestem nerwowy, wyjątkowo złośliwy i nie cierpię ludzi, tym więcej, im dłużej byłem zamknięty!

Wzruszyłem w duchu ramionami. Po co to mówić oczywistości? Wiadomo przecież powszechnie, że każdy demon jest nerwowy, złośliwy i nie cierpi ludzi. Siedzenie w butelce nie ma tutaj zasadniczo nic do rzeczy.

– Pytam jeszcze raz: czego?! – zagrzmiał. W ogóle wszystko, co robił i mówił, przypominało odgłosy burzy połączonej z solidnym huraganem.

– Chodzi, rzecz jasna, o spełnienie życzeń... – odparłem nieśmiało.

– A, o życzenia – wyraźnie się ucieszył. – A ile tych życzeń ma być?

– A ile można? – wtrąciła się moja żona.

– Z babami nie gadam – obruszył się demon. – Ty jak masz na imię, człowieku?

– Jan – odparłem odruchowo, nie bacząc na sykanie urażonej połowicy.

– No to mów, Janie, ile tych życzeń sobie życzysz, że pozwolę sobie na małą tautologię.

Co to jest ta tautologia nie wiedziałem, ale też i nie miałem zamiaru się zastanawiać.

– Zawsze myślałem, że tylko trzy – odpowiedziałem ostrożnie. – A może być więcej?

– Jasne! – wrzasnął radośnie. – Skolko ugodno! Od tej chwili to ty decydujesz o ich liczbie!

– A jeśli powiem dziesięć?

– Może być dziesięć.

– A jeśli powiem dwadzieścia?

– Niech będzie dwadzieścia.

Żona się przysłuchiwała się naszej rozmowie oszołomiona, z rosnącym niedowierzaniem.

– A trzydzieści? – odważyłem się po raz kolejny podnieść stawkę.

– A co mi tam, niech będzie, nie krępuj się!

Stałem na pięćdziesięciu. Bałem się, że duch w końcu straci cierpliwość. Pomyślałem w tamtej chwili, że matka mojej żony otrzymała zaiste straszliwą karę – tak uposażyć znieprawdzonego człowieka...

– Pięćdziesiąt? – upewnił się jeszcze demon.

– Pięćdziesiąt – potwierdziłem zadowolony.

– Stoi?

– Stoi.

– W takim razie – powiedział powoli, z namysłem – na początek naszej owocnej, mam nadzieję, współpracy, życzę sobie, żebyś...

Tak, tak, wybawco, podszedł mnie, a raczej podeszli razem z teściową. Umowy z demonami należy zawierać bardzo, ale to bardzo ostrożnie, zważając pilnie na wszelkie te, no... sztuczki semantyczne oraz pułapki logiczne, do jakich niezwykle chętnie się uciekają. Gada się z nimi zupełnie jak z adwokatami – doskonale znane ci słowo może w ich ustach oznaczać coś zupełnie innego. Jednak do tego trzeba posiadać ogromną wiedzę, a ja nigdy do nauki się nie garnąłem, zresztą nie miałem po temu sposobności. Dziad był szewcem, ojciec był szewcem, więc i ja – siłą rzeczy – zostałem skazany na uprawianie tego rzemiosła. Jak widać, w starciu z duchem nie miałem najmniejszych szans. Tyle że do tego wniosku doszedłem poniewczasie.

Teraz, dobroczyńco, jeśli obetniesz tę odnogę sieci, powinienem być wreszcie wolny. O, właśnie tak. Może jeszcze tu... Znakomicie! Dzięki ci, panie, za pomoc. Poszło o wiele szybciej niż przypuszczałem. Tak, oczywiście, jeżeli chcesz, jeśli moja opowieść zaciekała się do tego stopnia, że jesteś gotów poświęcić mi jeszcze odrobinę swego cennego czasu, chętnie dokończę tę historię.

Nie zamierzam rozwodzić się nad wszystkimi upokorzeniami, których przysporzyło mi spełnianie życzeń demona – a muszę stwierdzić, że mówił prawdę, iż jest wyjątkowo złośliwy. Opiszę ci jedynie kilka ciekawszych zdarzeń oraz opowiem, oczywiście, co zagnało mnie w te strony... A propos, ten wszechobecny szum, to naprawdę tylko wodospad? Na pewno nie jesteśmy na krańcu świata? Dobrze już, nie irytuj się, zbawco. Już wracam do opowieści.

Stałem pewnego dnia z szeroko rozdziawionymi ustami pod ceglany murem i z pewnym takim niepokojem obserwowałem zgromadzonych naprzeciw mnie ludzi. Oni z kolei patrzyli na mnie z wielkim niedowierzaniem. Zapewniam, że wszyscy mieliśmy ku temu uzasadnione powody – ja do niepokoju, a oni do niedowierzania. Stałem bowiem nie tylko z rozdziawionymi niczym u młodego gawroniaka ustami, ale i ze sporym jabłkiem, a ludzie z naprzeciwka dzierżyli w dłoniach tęgie łuki oraz wiązki strzał. Nie od rzeczy będzie przy tym dodać, iż wzmiankowane jabłko tkwiło nie gdzie indziej, jak w moich, jako się rzekło, szeroko otwartych ustach.

Łucznicy naradzali się między sobą, w końcu dwóch podeszło do stojącego opodal sędziego.

– Mamy strzelać do tego człowieka? – Doleciał do mnie podniesiony głos.

– Nie do człowieka, a do jabłka – odparł sędzia beztrosko.

– W tym wypadku, o ile mnie wzrok nie myli, na jedno wychodzi – oburzył się rosły strzelec. – A z oczami, chwalić Boga, nie mam problemów. Czy to może jakiś skazaniec? Jeżeli tak, oddajcie go katu, a nie każcie nam wykonywać wyrok podczas porządnego turnieju.

Sędzia wzruszył ramionami.

– To nie skazaniec, a stoi tam, gdyż sam się zgłosił. Jeżeli chcecie, możecie go zapytać. Ma pewne zobowiązania wobec jednego z członków naszego bractwa. Tak właśnie owe zobowiązania wypełnia.

Łucznicy podeszli do mnie.

– Zali to prawda, jakobyś sam zgłosił się, by służyć za cel? – spytał ten rosły.

Skinąłem niepewnie głową. Milczeli dłuższą chwilę, zupełnie skonfundowani. Najwyraźniej nie spodziewali się aż tak głupiej odpowiedzi. Nagle jeden stuknął się w głowę, olśniony pomysłem.

– Ale powiedz szczerze, człowieku, wołałbyś w tej chwili znajdować się gdzie indziej?

Tym razem kiwałem głową z prawdziwym zapałem, mało mi jabłko nie wypadło. Znow poszli pertraktować z sędzią. A miał on oblicze dziwnie przypominające skrzyżowanie fizjonomii małpy, świni i psa.

Wysławiać będę do końca życia bystrość i szlachetność panów łuczników! Tylko dzięki ich wielkim sercom, które potrafiły zrezygnować z pokusy ściągnięcia nagrody, zawdzięczam to, że mogę dziś z tobą rozmawiać.

Demon był wściekły. Jako następne zadanie polecił mi sporządzić kolczugę z kółek tak drobnych, że gdyby je uczyniono choćby tylko ciut mniejszymi, trudno by było dostrzec prześwit w obręczy. Jak łatwo się domyślić, spędziłem nad tą robotą lata. Dodajmy – najlepsze lata młodości. Tym dłużej to trwało, że przeklętnik nakazał każde kółko nie tylko zamykać dwoma nitami, ale i lutować. Jak to się mówi – dwa grzybki w barszczu. Nawet z czasem polubiłem to mordercze zajęcie. Miałem przynajmniej święty spokój, a praca przynosiła mi radość. Z prawdziwą przyjemnością obserwowałem, jak delikatny pancerz zyskuje kształt i urodę. Wreszcie ukończyłem zadanie.

– Piękna – ocenił z zadowoleniem demon. Usłyszałem w jego słowach prawdziwy zachwyty, który sprawił mi niespodziewanie ogromną radość.

– Dziękuję – bąknąłem skromnie. – To drobiazg...

– Drobiazg? – zdziwił się. – Skoro tak...

Pstryknął widmowymi palcami, a moje dzieło rozpadło się z powrotem na tysiące kółeczek.

– W takim razie, skoro to takie nic, zrobisz ją od początku. Tylko tym razem porządnie, z zaangażowaniem, żeby ci się nie wydawało, że to był spacer po lesie!

– Jezu Chryste!

– Milcz! – wściekł się. – Nigdy nie wymawiaj przy mnie tego imienia. Chyba że chcesz dostać po pysku!

– Czy to ma być kolejne życzenie? – spytałem przebiegle.

– Tak! – był coraz bardziej wzburzony. – I dobrze o tym wiesz! Ale strzeż się. Zostało tych życzeń jeszcze tyle, że spokojnie zdążę cię zgnoić!

Miał rację, a ja przeklinałem swój miałki rozum i zbyt długi jeżor. Kiedy złożyłem nieszczęsną kolczugę po raz drugi, mój prześladowca sprzedał ją za ciężkie pieniądze niejakiemu królowi Rodrygowi, wmawiając mu, że jest to sławne dzieło elfów, jakiś mędryl czy mindryl... może mandryl... A, masz rację, mithril. Też słyszałeś o czymś takim? No proszę. Przypłaciłem ciężką, podwójną pracę własnym zdrowiem. Od tamtego czasu stałem się – jak to powiadają – krótkowidzem. Dlatego też nie dziwi się, iż nie dostrzegłem zrazu tej wielkiej pajęczej sieci.

Zdarł ten przeklęty duch z władcy siódmą skórę. Bo poza złośliwością, nerwowością i niechęcią do rodzaju ludzkiego demony odznaczają się jeszcze niesamowitą, wprost nieziemską chciwością. Gromadzą te swoje skarby nie wiadomo po co, bo to ani tego nie przeje, ani nie przepije, ani z dziewczkami nie przehula, a tylko zmartwienie, żeby kto skarbcza nie odkrył. Zaś kiedy jakiś człowiek szczęśliwie dostanie się do kryjówki i uszczknie trochę z nieprzebranych dóbr, demon wścieka się tak, że próbuje poruszyć niebo i ziemię, by odnaleźć i ukarać śmiałka. Ponoć od tego właśnie powstają najbardziej niszczycielskie burze, huragany, pożary i powodzie. Chciwość zaś mojego demona przechodziła wszelkie granice. Za dodatkową, muszę podkreślić, iż drobną, opłatą, wynajął królowi moją osobę do zrobienia porządków w alkowach królowej Zenobii. Pięknej Zenobii zwanej przewrotnie Czyścioszką z powodu dość niewielkiego zainteresowania dla spraw szeroko pojętej higieny. Powiadają ludzie, że to cecha dziedziczna w tej dynastii i niech mnie diabli porwą, jeśli nie ma w tym racji! Jak zapewne słyszałeś, alkowy tamtejszych królowych Zenobii są w istocie rzeczy osobnym pałacem, położonym w bezpiecznej odległości od głównej siedziby monarchy. Od wieków gromadzi się tam znoszoną bieliznę kolejnych wysoko urodzonych dam królewskiego domu. Prawo w tamtym kraju zabrania niszczenia lub chociażby prania tych... jak to się mówi... imponderabiliów. Ma to ponoć związek z jakąś przepowiednią. Czy była takowa, czy nie, każdy pretekst jest dobry, żeby sobie poleniuchować.

Jednak Rodryg, wielki reformator, wbrew wszystkim i wszystkiemu postanowił zrobić wreszcie z tym porządek. A robienie tegoż przypadło w udziale właśnie mnie. Nikt przedtem nie zgodził się podjąć takiego, iście herkulesowego, wysiłku. Za żadne pieniądze.

– Jak już posprzątasz, dodatkowa sowita nagroda cię nie minie – łaskawie oznajmił król Rodryg.

Tyle że nagroda w sposób naturalny miała mnie właśnie ominąć krótkim łukiem, by wpaść prosto w łapy demona...

Stajnie Augiasza, powiadasz, mój przyjacielu? Mylisz się okrutnie! Stajnie Augiasza nie były z pewnością aż tak rozległe i panował w nich o wiele przyjemniejszy zapach! Żadna bowiem istota chodząca po ziemi nie wydaje z siebie tak potwornego

smrodu, jak człowiek. Poza tym Herkules mógł sobie wykopać kanał, założyć ręce do tyłu i patrzeć jak wszystko robi się samo albo zgoła pójść na piwo. Ja ten rozdział życia nazywam Wielkim Praniem. Rodryg był bowiem reformatorem wielkim, ale jednakowoż nie na tyle odważnym, żeby nakazać spalić te obrzydliwe szmaty. O nie – musiałem je porządnie wyprać! Powiem tylko tyle, że od tamtej pory mój zmysł powonienia bardzo, ale to bardzo podupadł. I tu masz odpowiedź na drugie nurtujące cię pytanie – dlaczego nie wyczułem potwornego smrodu, jaki wydaje się pająka olbrzymia. Gacie zaś i wszelkie inne elementy garderoby osobistej do dziś straszą mnie w sennych koszmarach. Nabrałem do nich takiego obrzydzenia, że przestałem nosić majty...

Najbardziej jednak niebezpieczne zadanie otrzymałem w księstwie Tremerii. Demon, jak zwykle w takich razach, podnął mnie tamtejszemu władcy. Zresztą nazwa „księstwo” w odniesieniu do tej zapadłej dziury jest nie tyle nawet nadużyciem, co nieprzyzwoitością. Brud i smród tamtych okolic jest tematem wielu facecji w sąsiednich państwach. I bardzo słusznie.

Gdy skłoniłem się dwornie przed księciem Gustavusem – pomny nauk, jakie miałem zaszczyt pobrać podczas służby dla króla Rodryga – ów nie bardzo wiedział, co zrobić. Nawyków, widzisz, nie miał, bo i gdzie miał ich nabrać, skoro nikt go nigdy i nigdzie nie zapraszał. W końcu skinął mi dłonią z niezdarą łaskawością. Na twarz o rysach przywodzących na myśl wsiowego głupka przywołał uprzejmy uśmiech.

– Ten tego... – Zaplótł ręce na brzuchu i zaczął kręcić młynka palcami. – Nie wyglądasz mi na bohatera... – zawiesił głos, ale nie doczekał się odpowiedzi. – Choć, z drugiej strony, hrabia Valdesse zachwalał twoją dzielność...

Hrabia Valdesse! Też sobie tytuł i nazwisko demon wymyślił!

– Podobno, nie bacząc na niebezpieczeństwo, wystawiłeś się ongi na strzały najlepszych angielskich łuczników. Czy tak było w istocie?

– Można tak powiedzieć... – chrząknąłem niepewnie, pocąc się na wspomnienie tamtej chwili.

– Niepotrzebna, hm, skromność, mój drogi, zupełnie zbędna. Zadanie, które zamierzam ci powierzyć, jest dość niebezpieczne, choć nie tak bardzo, jak by się mogło wydawać, jednak ten, kto mu podoła, otrzyma sowite wynagrodzenie...

– Wybacz, wasza miłość, że wejdę w słowo, ale czy wielu było przede mną śmiałków?

Zacukał się wyraźnie.

– Jakby to, ten tego... Nikt chyba.

– To znaczy, powtórnie proszę o wybaczenie śmiałości, że albo zadanie jest rzeczywiście bardzo niebezpieczne, albo zapłata nie aż tak wielka... Albo jedno i drugie.

– Hm – zaniepokoił się. – Poniekąd, trudno zaprzeczyć... Czyżbyś zamierzał porzucić mnie i zrezygnować?

– Tego mi, niestety, uczynić nie wolno. Ale gdyby wasza miłość sam zechciał...

– Znakomicie! – Nie interesowały go powody mojej determinacji, nie miał ochoty wchodzić w moje położenie. Skoro już znalazł jelenia, nie zamierzał go łatwo wypuścić.

– Potwór, o którego chodzi... – Potwór, jeszcze tego mi brakowało! – Otóż potwór ten żyje w lasach nieopodal zamku. – W tym jego zasranym państewku wszystko znajdowało się nieopodal zamku! – Ludność zwie go, nie wiem z jakiej przyczyny, Dżaberłokiem. Podobno jest to smok postaci ohydnej, żywiący się ludzkim ciałem i miast wody pijący jeno czystą, świeżą krew.

Sama przyjemność, nie ma co! Cóż miałem zrobić? Polazłem do nieszczęsnego, nawiedzanego przez bestię lasu. Od razu pomyślałem, że ten Dżaberłok musi być żarłokiem nad żarłokami. Na ogryzione do kości ludzkie szczątki mogłem się natknąć częściej niż na krzaki jagód! Ohyda, powiadam ci, jedna wielka ohyda! Powtórzę raz jeszcze – ohyda! Potykałem się o korzenie, ściskając wielki miecz. Ubrano mnie w zbyt luźny pancerz, który sprawiał przy każdym kroku ból, ocierając mnie gdzie tylko było można. Konia mi nie dali. Widać księżę Gustavus nie do końca ufał zapewnieniom hrabiego Valdeze o mojej waleczności i biegłości wojennej.

W każdym razie, kiedy po całodziennym pochodzie napadł mnie potwór, nie miałem sił bronić się przed nim. A raczej przed nimi, bo to nie był żaden smok, ale wielki, zarośnięty, cuchnący dymem oraz zastarzałym potem, zdziczały robotnik leśny w towarzystwie dwóch sporych niedźwiedzi. Tworzyli wspólnie coś w rodzaju spółki z ograniczoną poczytalnością, nastawionej na działalność ściśle gastronomiczną. A ja miałem być najświeższym wkładem w tę ich działalność. Zanim się obejrzałem, wisiałem do góry nogami, zaczepiony o potężny konar dębu, a obok dyndało truchło wyglądające na zwłoki jelenia. Zdziczały robotnik leśny zmierzał ku mnie z ogromnym nożem. Ślina ciekła mu z pyska, a niedźwiedzie przyglądały się mojej skromnej osobie z osobliwym zainteresowaniem, które budziło mój, uzasadniony jak sądzę, niepokój.

Zastanawiasz się zapewne, jak wyszedłem cało z tej opresji? Wszak gdybym był nawet najwaleczniejszym z rycerzy, a tego absolutnie się nie da o mnie powiedzieć, w tej sytuacji mógłbym tylko pożegnać się z życiem i zanieść żarliwą modlitwę do Stwórcy o przyjęcie w grono aniołów. Pomyślałem nawet, że i tak mam szczęście w nieszczęściu, bo bestie przynajmniej zamierzają mnie przed spożyciem zarznąć, co oszczędzi mi wielu przykrych i niepotrzebnych doznań. Chłop z nożem mruczał zachęcająco i mlaskał, oglądając mnie uważnie z każdej strony. Wybierał najwyraźniej najsmaczniejsze kąski. A potem polizał moje ramię szorstkim jak tarka jęzorem. To samo uczyniły niedźwiedzie.

W chwili, gdy nóż dotknął mojej szyi, a ja nabrałem po raz ostatni powietrza, żegnając się ze słońcem, trawą, drzewami i zalegającymi dookoła szczątkami ofiar, błysnęło, zagrzmiało, zaśmierdziało i pojawił się mój demon. W mgnieniu oka dzikus legł na ziemi bez przytomności, a niedźwiadki poszły jego śladem.

– Ty łamago! – wrzasnął demon. – Nie potrafisz sobie dać rady nawet z takim, jak ten tutaj?! Co z ciebie za pożytek? Żebym ja musiał się osobiście nadwerężyć dla pokonania takiej ciemięgi?!

Na słowa wdzięczności wściekł się jeszcze bardziej.

– Nie uczyniłem tego dla ciebie, dumniu! Łatwą śmiercią nie wykpisz się ze służby! Zdechniesz dopiero wtedy, kiedy mnie to będzie odpowiadało i w taki sposób, jaki sam wybiorę!

A już zupełnie wpadł w szał, kiedy Gustavus odmówił uiszczenia zapłaty. Księżę nie był takim kretynem, na jakiego wyglądał. Nawet nas nie przyjął.

– Po pierwsze, nie została zawarta pisemna umowa – oświadczył ksiązący szambelan, to znaczy wieśniak ubrany w kawałek brudnego jedwabiu. – A gdyby nawet została zawarta, opiewałaby na jedną głowę smoka, a nie troje stworzeń wcale to a wcale niemagicznych. Proszę nas więcej nie nachodzić, bo będziemy musieli użyć bardziej radykalnych środków.

Po czym pokazał rozszalałemu demonowi bardzo piękny pentagram i miskę święconej wody – co tylko potwierdziło moje zdanie o rozsądku księcia.

Tak schodziło moje życie w służbie demona. Gdy ją zaczynałem, byłem młodym, jasno patrzącym na świat człowiekiem. Dziś srebro przyprószyło mi skronie, a końca mordegi nie widać.

Co z moją teściową? Ma się dobrze, kwitnie jak różyczka. Ba – to mało powiedziane – jak cały klomb róż. Koniec końców opłaciło się jej wykraść eliksir młodości. Przez te lata odzyskała już dawne wpływy, przywrócono jej rangę, a wygląda, że ho, ho! Nawet karę potrafiła przecieżyć obrócić na własną korzyść, pozbyć się znieawidzonego zięcia w majestacie prawa. Bo czy przyszyłoby jej do głowy obdarować mnie czymkolwiek z własnej woli? Szczerze wątpię.

Ale powróćmy do naszej opowieści. Z pewnością jesteś ciekaw, co zagnało mnie aż tutaj. Otóż pewnego dnia demon pojawił się przede mną bardzo z siebie zadowolony i jeszcze bardziej śmierzdzący niż zazwyczaj.

– No, kochasiu – zagrzmiał – zostały ci jeszcze tylko dwa życzenia, zgadza się?

– Nie inaczej, panie.

– To teraz dopiero dam ci wycisk!

Zmartwiałem, choć przecież – prawdę powiedziawszy – powinienem się właśnie tego spodziewać.

– Słucham i jestem posłuszny. – Ta formułka ledwie przechodziła mi przez usta, ale ten potwór życzył sobie, bym ją wypowiadał za każdym razem, kiedy przyjmuję zlecenie, a jego życzenie... no właśnie.

– Twoim zadaniem, brzydalu, będzie znaleźć i przyprowadzić księżniczkę o skórze tak delikatnej, że nie zdoła zasnąć na siedmiu położonych jeden na drugim materacach, pod którymi ukryjesz ziarno grochu... Nie, zaraz, czekaj, nie możemy iść na łatwiznę. Ma być tak wrażliwa, żeby posiniaczyło ją wyprażone w piecu ziarno pszenicy przez dziewięć, a nie siedem materacy! A lekka ma być i zwiewna ta dziewczica – bo to dziewczica ma być, pamiętaj! – żeby dupskiem tego płotka nie rozkruszyła, gdy już na nim spocznie. Zrozumiałeś, czego się od ciebie żąda?

– Zrozumiałem, panie.

– Doskonale. A kiedy powrócisz, czeka cię ostatnie zadanie. Na przeklętych aniołków! – zirytował się nagle. – Niech mnie szlag trafi, jeżeli się tym raduję!

Tak właśnie mnie pożegnał. Jestem pewien, że zapobiegliwie naraił już sobie jakiegoś klienta na te delikcje, które miałem mu przyprowadzić – jakiegoś pokręconego od romantyczności księcia albo przeciwnie, gruboskórnego kupca, który zapragnął dostąpić uszlachcenia poprzez korzystny mariaż.

Od tamtej pory chodzę więc po świecie i trawię czas na poszukiwaniach. Gdzież ja nie byłem, czegoż nie widziałem! Przekonałem się podczas wędrówek, że często najdrobniejsza nawet zmiana może wywołać wielkie zamieszanie, katastrofę nawet spowodować, choć z początku może się wydawać, że owe konsekwencje niewiele mają wspólnego z tym pierwotnym drobiażdżkiem. Ot, na ten przykład, trafiłem ponownie do kraju rządzonego przez króla Rodryga. Droga maszerował oddział żołnierzy, którzy śpiewali smętną pieśń tej mniej więcej treści:

*Będzie czytać cała armia,
Tam, gdzie burdel, jest księgarnia.*

– A cóż to za przyspiewka? – zapytałem przygodnego człeka, który przyglądał się wojsku. – Jak żyję nie słyszałem o czytającej armii, a już na pewno o takiej, która by o tym układała pieśni marszowe!

Zagadnięty popatrzył na mnie dziwnie.

– Bo takiej armii nie ma, dobry człowieku! Porządny żołnierz myśli tylko o tym, żeby sobie pojeść, popić i pokierdasić! I u nas wojacy nie inni wcale. Jednak Rodryg, wielki reformator, postanowił wprowadzić daleko idące zmiany w resorcie burdelnictwa naszego pięknego kraju...

Od słowa do słowa dowiedziałem się straszliwej prawdy. Wszystkie przybytki rozkoszy zostały edyktem królewskim zamienione w instytucje krzewiące miłość do sztuk... Albo przynajmniej pralnie.

– Niech diabli porwą tego, co oczyścił alkowy królowych! – zakończył mój rozmówca. – Albowiem nasz król, natchniony tym przykładem, jął czynić dzieło oczyszczania życia intymnego swych poddanych. Właśnie od tamtego czasu zaczął się ogromnie interesować, co też rozgrywa się w niedostępnych światłu okolicach cielesności jego ludu... – Nieszczęsny człek chwycił się za głowę i załkał żałością. – A takie mieliśmy w stolicy wspaniałe bajzle! – Nagle rzucił się na ziemię, wołając przez łzy: – Gdzieżeś, Małgorzatko, gdzie jesteś, Melindo! Gdzie mam cię szukać, gorąca Rosito! Marnujecie swe wdzięki, pilnując rzeźb i obrazów po nikomu niepotrzebnych galeriach albo zgoła niszczyacie gładką skórę sprawnych dłoni w baliach pełnych mydlin!

Oddaliłem się pospiesznie, pozostawiając rozmówcę pogrążonego w żalu i rozgoryczeniu. Żołnierze tymczasem wiedli pieśń coraz bardziej ponurymi głosami:

*W tej księgarni naukowo,
Filozofia, sensybilizm,
Pan porucznik jest wkurwiony,
Zamiast kiły ma syfilis.*

Tak, wybawco, właśnie tak plecie się nić żywota... Chodzę więc, szukam do upadłego delikatnej księżniczki... O, ja nieszczęsny! Ale, z drugiej strony, nie narzekam zbyt wiele. Znam takich, których złość czarownic doprowadziła do jeszcze większej nędzy, wtrąciła na samo dno zwątpienia. Bywa wszak, że wiedźma zamieni nieboraka w jaką gadzinę, żabę czy inną cholerę. Ale bywa i gorzej.

Jeden znajomek mój, zresztą ów sołtys, którego teściowa tak nienawidziła, zasnął kary straszliwej. Zamieniła go otóż nie w co innego, jak królową w wieży uwięzioną. Wyobraź sobie, przyjacielu, te tabuny zaślinionych rycerzy wszelkiej maści, dobijających się o upragnioną dziewicę. Tych sfrustrowanych egzystencjalnie i seksualnie darmożjadów, co nie mają nic lepszego do roboty, jak uganiać się za dupami po wszystkich wieżach świata, jakby tego samego, a może i lepszego nie można było znaleźć w lada zamtuzie. Na dodatek czarownica dała nieszczęśnikowi nader powabną postać. Mogę to rzec z całą odpowiedzialnością, bo sam widziałem. A wieża, powiadam ci, nie była ani jakoś specjalnie wysoka, ani trudna do zdobycia. Nie pilnował jej też żaden smok czy groźny olbrzym, jeno rajfur jeden, który za drobną opłatą wpuszczał do środka każdego, kto tylko chciał i kogo los nadarzył. Dzielnik

panowie zaś robili swoje i jechali dalej, wychwalając pod niebiosa własne męstwo, junacką krzepę i urodę księżniczki. O ożenku żaden nawet nie napomknął. Żeby też to któryś chociaż z kwiatkami się pojawił... Ech, nie te czasy. Na dobitkę poszła fama, iż urodziwą niewiastę można mieć za niewygórowaną cenę i rajfur zaczął wpuszczać do wieży także przedstawiciele gminu w cuchnących kozuchach i brudnych onucach. Dla sołtysa los był o tyle jeszcze cięższy, że ni diabła w życiu nie czuł mięty do chłopów. Jako królowna też nie, a przemoc się nie potrafił. Dawać przeto nie chciał, a że nie chciał, gwałtem brali, często jeszcze obili na odchodnym. Na koniec wziął więc i zwariował, kiedy okrutny alfons dopuścił do niego brygadę drwali. Myślałem, że z tego względu będzie miał już święty spokój, ale okazało się, że nikomu nie przeszkadzało, iż królowna bredzi od rzeczy, bo wszak nikt do wieży na pogaduszki nie przychodzi.

Wstrząsnąłeś się? I we mnie budzi to grozę... A potem dziwią się znające baby, że ludzie z radością przychodzą popatrzeć, jak palą je na stosie.

Widzisz zatem, że nie mam powodu zbytnio narzekać na swój los. Zawsze mogło być gorzej.

No cóż, dobroczyńco, nie pozostaje mi nic innego, jak ruszyć w dalszą drogę... O, ja nieszczęsny, kiedyż znajdę księżniczkę o skórze delikatniejszej niżli puch na zadku małej kaczuski? Kiedyż przyjdzie koniec mej niedoli? Gdzie mam szukać tej jedynej, która sprawi, że wypełnię przedostatnie życzenie demona? Czy ktoś mnie wspomůže, wskaże właściwy kierunek?

Słucham, co powiedziałaś? Wiesz o takiej, mój złociutki? Skoro wiesz, to trzymaj gębę na kłódkę, żebym ci jej nie obił!

Co gwałtowny, co niewdzięczny?! A jaki mam być? Chcesz mnie zgubić, człowieku? Lepiej od razu wrzucić mnie z powrotem w sieć pająka! Jeśli nie rozumiesz, nie wtrącaj się do cudzych spraw. Biadam, bo muszę pobiadać. Na tym polega ta rozgrywka. A żyję sobie całkiem znośnie, szukając tej dziewczyny. Mogę tak jeszcze długo łączyć, nawet do końca moich dni, bo jakoś wcale mi się nie spieszy do ostatniego zadania. Dlaczego? Dziwisz się? Kiedym odchodził wypełnić tę misję, duch jeszcze za mną rzucił:

– Nie ciesz się, że twoja służba dobiega końca. Bo niech mnie wykąpią w święconej wodzie, jeżeli następne życzenie nie będzie takie, że zesrasz się w gacie z wrażenia!

W takim razie nic w tym chyba dziwnego, że nie mam ochoty go usłyszeć.

No, wreszcie zaczyna do ciebie docierać! Dopóki nie mam księżniczki, dopóty jestem względnie bezpieczny. To się nazywa sytuacja patowa. Przez te lata czegoś się jednak nauczyłem. Ja muszę szukać, a demon z kolei musi cierpliwie albo niecierpliwie – to jak już woli – czekać. Właśnie! Nie może mnie ot, tak sobie odwołać, bo zużyłby na to ostatnie życzenie. Z tym, że jeśli mi ktoś wskaże miejsce pobytu delikatnej księżniczki, muszę tam się udać i rzetelnie zbadać sprawę. Mam też obowiązek pytać każdego napotkanego człowieka, czy jest mi w stanie pomóc. To jeden z punktów ogólnoprawnych zasad kontaktów z demonami. Ma to zapobiegać nadużyciom... z obu stron... Oczywiście, każdy może mi pomocy odmówić i na to liczę także w twoim przypadku. Nikt nie ma obowiązku spowiadać się byle włóczędze ze wszystkiego, co wie.

O, widzisz, teraz mówisz jak rozsądny człowiek. Wskaż mi jeszcze bardzo dyskretnie kierunek, który będzie inny niż ten, w którym powinienem się udać. Dzięki,

serdeczne dzięki!

Czas na mnie. Bóg z tobą i zapamiętaj sobie raz na zawsze – nie próbuj nikogo uszczęśliwiać i ratować, jeśli nie zostaniesz o to wyraźnie poproszony. A jeśli zawędrujesz kiedyś jakimś trafem w moje okolice, zajdź do mej żony i powiedz biedaczce, że żyję... I pozdrów ją od męża. Tylko nie pomył jej z moją teściową, bo tej ani mi się waży pozdrawiać!

Gdybyś zaś przypadkiem znalazł lub dostał w prezencie ducha zamkniętego w butli, nie ryzykuj, nie otwieraj jej sam, bez pomocy człeka doświadczonego. Zaklinam cię na wszystkie świętości, wykaż się rozsądkiem! Najlepiej zaś przynieś ją do mnie, a ja już dopilnuję, żeby demon cię nie oszukał. Co w zamian? Ależ nic... zupełnie nic... chociaż... może, w sumie... Gdybyś zechciał za przysługę ofiarować mi jedno życzenie... żebym mógł uwolnić się wreszcie od prześladowcy... Jakieś kontrzakęcie, mały formalny wybieg czy coś podobnego. Aż boję się pomyśleć, co ta moja kanalia może wymyślić na pożegnanie! Tak...

Zatem, gdyby co, zdaj się na mnie. Pomogę ci z prawdziwą radością. Jak możesz mnie znaleźć? To nie powinno być zbyt trudne – będę się kręcił gdzieś po świecie w poszukiwaniu księżniczki.

Poniższy tekst jest swoistym hołdem złożonym jednemu z moich ulubionych pisarzy, Antoniemu Pawłowiczowi Czechowowi

Kura

Pojawiła się nagle. Najzupełniej niespodziewanie. Spadła niby grom z jasnego nieba. Wtargnęła w moje życie brutalnie i bezwzględnie. Zapytacie z pewnością, kto to taki. Odpowiedź jest prosta, a nawet prostacka, jak by powiedział lekkoduch i bawidamek, Wadim Władymirowicz. Prosta, ale i zadziwiająca zarazem, choć sam przedmiot ze swej natury do fascynujących na pozór nie należy.

Kura.

Kura, nie inaczej!

Kura!!!

W domu, proszę ja kogo, zagnieździć się mogą myszy, karaluchy, mrówki czy inne wszeteczeństwo. U Michała Pietrowicza Gumnowskiego nawet borsuk zamieszkał w piwnicy, wypędzić się nie dawał i fukał na każdego, kto się doń przybliżył. Ale żeby kura? W środku niemałego przecie miasta, na dobitkę w czynszowej kamienicy przy samym rynku? Jakby to się zdarzyło jeszcze gdzie na przedmieściach, bo tam gospodarni ludzie nawet świnki trzymają, nikt by się nie dziwił. Jednakże w ucziwej kamienicy, w wynajmowanym lokalu nie ma prawa znaleźć się podobne stworzenie.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to jeszcze w pijanym widzie ptak mi się objawił. Mógł Duch Święty w postaci gołąbka apostołom sfruwać, może i do mnie Bóg za sprawą ptactwa zechciał przemówić. Ale czy na posłannika wybrałby właśnie kurę? Toż to jakoś nie licuje.

Szaro jeszcze na dworze było, a nie takie wszak omamy człeka nachodzą po całonocnej hulance. Możem surdut tak cisnąć, że przybrał podobny kształt? Sięgnąłem do lampki, podkręciłem knot. Zajaśniał płomień, zachybotał, spłoszył niewyraźne cienie, ale kura nie znikła. Przeciwnie, teraz dopiero zaczęła prawdziwie kurowato wyglądać. Siedziała na poręczy w nogach łóżka, przekrzywiła łeb i łypała na mnie

okrągłym oczkiem. Prawdziwa kura, Bóg mi świadkiem! Z grzebieniem, dziobem i pazurami. Czerwona. Diabli nadali! Czyżbym został obdarowany żywym stworzeniem przez jakiego towarzysza zabaw? Zaraz, kto tam był u majora? Owszem, znalazło się paru nieznanym mi ludzi... Znaczący, nieznanymi byli aż do dna trzeciej flaszy. Później zaś zyskałem nowych zaufanych przyjaciół. Ale byli i dobrzy znajomi: Sasza Milutin, Stiopa Kazanow, Misza Herenfeld, Wadim Spaski. Żaden z nich kur w życiu nie hodował, ani by któremu myśl o podobnym eksperymencie przez głowę nie przeszła. A i z pozostałych gości ni jeden nie wyglądał na takiego, co się pracą rąk para i gospodarke prowadzi. Sam kwiat młodzieży witebskiej. Zagorzali kawalerowie, poniekąd od lat czterdziestu bawiący damy po salonach. Ot, taki Wadim Władymirowicz. Ten sobie ze swatania uczynił dochodowy interesik. Co i raz zwodzi jakąś pannę, daje do zrozumienia, że lada chwila się oświadczy. Chodzi na obiady do jej rodziców, pali cygara przyszłego ojczulka, pija jego koniaki, pieniądze pożyczka na wieczne nieoddanie. A kiedy przyjdzie co do czego, gdy już nadejdzie czas, by runąć z kwiatami do stóp oczekujących w radosnym podnieceniu rodziców, wtenczas on fruun! I już go nie ma. I już po innych domach biega, już następną desperatkę znajduje. Ponoć niezły kapitalik uzbierał tym sposobem. Jednakże nie dla mnie takie życie. Nie ma to jak posada państwowego urzędnika, radcy tajnego przy kancelarii gubernatora jegomości. Pan Aleksiej Rodrygowicz Panikow, mój bezpośredni przełożony, sam wypić i lubi, i umie, ma więc wyrozumienie dla ludzkich słabości. Ot, połaje, zruga, od leniwców, szubrawców albo i od głupców wyzwie, a potem zapyta, jak było, co dali na przekaśki, a przede wszystkim, jakie też wystawiono napitki.

Jestem szanowanym człowiekiem, sam rewirowy przede mną czapkę ściąga, na ulicy poznają mnie bogaci kupcy, co za interesami do kancelarii przychodzą. A tutaj nagle kura... Żeby to jeszcze sokół, a jeśli nawet nie sokół, to chociaż dudek czy nawet drański wróbelek, wrona w ostateczności. Ale kura? Toż to wstyd prawdziwy. Zamiast, jak kawalerowi przystało, ujrzeć po przebudzeniu na poduszce przywiedły kwiat, odcięty rąbek sukni, pukiel włosów wybranki, zobaczyłem takie nieprzystojne zwierzę. A może któraś z pań spletała mi figła? Nastazja Pietrowna potrafi człeku różne swawole uczynić. Toż samo Nadia Filipowna. Były jeszcze dwie niewiasty, wszakże nieznanne mi zupełnie. Pamiętam tylko, iż jedna piękna była niczym anioł, druga zaś szpetna jak dżdżysta i mglista noc listopadowa. Na sofce razem siedziały, przytulone do siebie jak na urągowisko, chyba po to, by lepiej było widać urodę jednej i brzydotę drugiej. Ale przecież żadna z obecnych nie miała przy sobie takowego ptaka. Bo i jakim sposobem wnieść głupie bydlę na salony?

Skąd więc ta kura?

Ze złością rzuciłem w nią butem. Podskoczyła i gdaknęła z wyrzutem. But przefrunął przez pokój, doleciał mnie brzęk tłuczonego szkła.

– A niech cię diabli!

Podniósłbym się, i owszem, ale gdym tylko uniósł głowę znad poduszki, zawirowało wszystko niby w obłądnym wiedeńskim walcu. Trudno. Rano powie się stróżowi, żeby szybko wstawił, bo łobuzy jakieś wybiły. Nic to, Antoszka, pomyślałem, trza łeb do poduszki przyłożyć. Może jak się prześpię, kura sama zniknie. Może to tylko duch jakowyś, niemogący zaznać spokoju, zabłąkana zjawia, co odejdzie z promieniami słońca.



Gdzież tam! Ledwie otworzył oczy, zagdakała.

– Bądźże cicho, ścierwo, bo jeszcze kto usłyszy! Toż bym się najadł wstydu, gdyby wpadł tu jaki sąsiad głupią kokosz uspokajać.

Wstałem z głową ciężką niby półkosz ziemniaków. Kura zeskoczyła z łózka, przeniosła się na krzesło. Próbowalem ją złapać, lecz jakoś nie szło. Wprawy nie mam, bo i gdzie miałem jej nabrać? Wsi tyle zaznałem, co podczas wyjazdów do majątku stryja Witalisa, znaczy nic zupełnie, bo z ojcowego brata gospodarz pożal się Boże. Ze zwierząt jeno myszy albo szczury w jego obejściu można znaleźć. Nawet łasica się tam nie zapuszcza, bo i po co. Poszedłem do dozorczy.

– Posłuchaj, Wasylu – rzekłem. – Masz tu pięć kopiejek. Pójdiesz do mego mieszkania i zabierzesz stamtąd... – zawahałem się. Jakoś ta kura nie chciała mi przejść przez gardło. – Zabierzesz zwierza pewnego. Ptaszka.

Zdziwił się, durny pysk otworzył, by zapytać swym zwyczajem o co głupiego, alem mu drugą pięciokopiejkową wcisnął w szeroką, chłopską łapę.

– Zaś to masz, byś gębę trzymał. A jak się sprawisz, pół rubla dam.

Wrócił za chwilę. W kudłaty łeb się drapał, boczkiem spoglądał.

– Nic tam nie ma, jaśnie panie. Nijakiego ptaka. Jenom zoczył, że szyba wybita.

– A właśnie, dobry człowieku. Trzeba wstawić, bo okrutnie zimnem ciągnie. Jacyś swawolnicy kamieniem wywalili.

Bez słowa sięgnął za drzwi, podał mi but.

– To wasz chyba – mruknął i spojrział podejrzliwie. – Rano pod oknem go naszedłem. Od razum pomyślał, że to musi być trzewik radcy Antona Pawłowicza, bo dzisiejszej nocy ktoś metalowym noskiem po schodach stukał, a ze wszystkich lokatorów tylko pan na pohulanki takie eleganckie meszty zakłada.

Dostał, szelma, pół rubla niby za fatywę, a naprawdę, by gospodarzowi za dużo nie gadał.

Wróciłem do domu.

Była.

Siedziała na oparciu krzesła niby na grzędzie, z oczami przymkniętymi. Przeklęty Wasyl musiał ją przecież widzieć! Zaraz pobiegłem do stróżówki, siłą zaciągnąłem draba na górę.

– Patrz, pusta głowo – syknąłem, wpychając opierającego się przez drzwi. – Tutaj...

Oparcie było puste. Sprawiało wrażenie, jakby nigdy w życiu nie przysiadła na nim żadna kura czy inne ptaszyno. Zacząłem biegać po mieszkaniu, zaglądałem w każdy kąt. Nic, najmniejszego śladu. Wasyl odszedł zadowolony, ściskając w rękę lśniąca monetę. Przez kwadrans z samego rana zarobił niecnota przeszło półtora rubla. Za nic zupełnie. Musiał gadać do siebie pod nosem, że to dobry dzień. Szkoda, że i ja nie mogłem tego powiedzieć.

Ledwie zamknąłem drzwi za drabem i wróciłem do pokoju, kura już tam była! Znow przysiadła na oparciu krzesła, z łebkiem wtulonym między skrzydła. Zawrzałem gniewem. Porwałem kapelusz, wzułem buty i wybiegłem na zewnątrz nieco ochłonać.



– Antosza, tyś jeszcze pijany, albo co? – Stiopa Kazanow patrzył na mnie wąskimi szpareczkami niewyspanych oczu. Jego kałmuckie oblicze bardziej teraz przypominało pysk dzikiego Mongoła niż godną twarz szanowanego adwokata. – Jaka kura, człowieku?

Wyciągnąłem przyjaciela z pieleszy, nie bacząc na protesty jego matki staruszki. „Sterany straszliwie wrócił – gderała. – Nad ranem dopiero z sędzią naradę skończyli. Przepracowuje się, biedaczek, a tu mu jeszcze o świcie każą wstawać”. Wiedziałem doskonale, jaki jest zmęczony. Razem żeśmy się przepracowywali. Tyle że do jego pokoju nijaka kura się nie wprowadziła.

Prawie siłą wciągałem go po schodach, bardziej się jeszcze okazał oporny niż durny Wasyl. Prawie zamek rozbiłem, usiłując trzęsącymi się rękami otworzyć drzwi.

Kury jednakowoż nie było. Stiopa patrzył na mnie, jakbym postradał rozum.

– Nic nie widzę. Ale może już ci lepiej, przyjacielu? – spytał ostrożnie, bardzo łagodnym tonem. Wiadomo, z wariatami trzeba postępować nadzwyczaj oględnie.

Lepiej? Znów biegałem po mieszkaniu, zaglądałem w każdy kąt.

– Jest, jest! – wrzasnąłem, stając przy łóżku.

Stiopa podskoczył.

– Co jest?

– No patrz, kura tu była, bo jajko na poduszce zniosła! – Triumfalnie podsunąłem mu pod nos niezbite świadectwo.

– E tam – odparł sceptycznie – możesz sam rano jajko sobie przygotować na schorowane gardło i zapomnieć. Darłeś się po nocy tak, że stójkowy przyleciał cię uciszać.

W świetle tego twierdzenia moc dowodowa jajka rzeczywiście mocno osłabła. Westchnąłem ciężko, klapnąłem na krzesło. Ot, desperacja. Ani komu co powiedzieć, ani co z tym zrobić. Liczyć mogę jedynie, że się zwierz sam wyniesie. Żeby to jeszcze kuna albo lis. Zawsze to odpowiedzialne futerkowe stworzenie. Ale kura?!

– Ech – spojrzalem w okno. – Co tu robić...

– Na wszystko znajdzie się sposób – rzekł Stiopa.

A potem wyciągnął z zanadtra butelczynę przedniej gorzałki. Zapobiegliwy jak zawsze – senatorska głowa. Machnąłem ręką. Co tam! Aleksiejowi Rodrygowiczowi powie się jutro, że ciężko zaniemógł. Nie skłamię zresztą zbytnio, bo za chwilę stanie się to prawdą, tym bardziej że i ja schowałem w serwantce grzeczną flaszeczkę portwajnu na czarną godzinę.



Obudziło mnie gdakanie. W pierwszej chwili nie mogłem sobie przypomnieć, kim jestem, gdzie jestem i cóż to za tajemnicza figura spoczywa w łożu tuż obok, miłośnie

przyciskając moją pierś ciężką łapą. Dopiero po chwili przyszło zrozumienie.

– Wstawaj, Stioipa, budź się. – Potrząsnąłem kompanem. – Jest, zobacz no.

Otworzył powieki, zaraz się zerwał, ale padł z powrotem. Wódka i portwajn to mieszanika prawdziwie zabójcza.

– Kura – skonstatował zdumiony. – Skąd tu nagle kura?

– Mówiłem ci przecie, niedowiarku! Masz ją jak na talerzu.

Patrzył na ptaka, całkiem osłupiały. Potrząsnął głową, bardzo powoli unióśł rękę, wahał się chwilę, a potem nagle wyrzucił w stronę ptaka but. Następną szybę diabli wzięli. Drań Wasyl znów zarobi najmarniej rubla.

– Ty wiedzno – powiedziałem do kury. – Przeszaniez mnie prześladować?

Gdybym wonczas wiedział, iż tę „wiedźnę” wypowiedziałem w złą godzinę, zatkąlbym gębę pięścią.

– Idziemy – powiedział Stioipa.

– Dokąd? – zdumiałem się. Ledwie ustoimy na nogach, a ten chce gdzieś lecieć.

– Do niejakiego Mikoły, na przedmieście. To znachor stary i doświadczony. Może on co poradzi? Widać obaj zapadliśmy na jaką mózgową gorączkę. Wołaj dorożkę, Antonie. To nie przelewki.



Mikoła był starym, pomarszczonym, zrzedliwym dziadem. Pierwsze, co uczynił, gdyśmy do niego weszli, to otworzył okno. Faktycznie, mogło od nas wonieć spirytualiami, a i żaden nie miał czasu obmyć się należycie od przedwczoraj, więc i dym z cygar, i mniej wytworne zapachy wydzielają się z ubrań. Jednakowoż był to ze strony chłopca wielki brak delikatności! Tak to można się zachować, gdy przyjdzie ugnojonny chłop albo baba prosto od krów. Ale przy kulturalnych ludziach nie uchodzi. Zmilszałem jednak. Sprawa kury była najważniejsza.

– Tak powiadacie? – Znachor poczochnął się po skołtunionym siwym łbie. – Czerwona, z grzebieniem i pazurami... – Czekaliśmy ze Stioipą niecierpliwie, a staruch mrucał pod nosem. – Że nie czarna, powinieneś się cieszyć, synku – rzekł wreszcie.

– A to z jakiej przyczyny?

– Czarna by oznaczała, iż ktoś zesłał na ciebie szaleństwo.

– Zaś czerwona co znaczy?

Znów mamrotał długo, wreszcie wyjął grubaśną, zakurzoną księgę. Dmuchał mocno, aż pył powędrował pod samą powałę. Zakrztusił się sam, a i nas przymusił do kaszlu. Zaczął gmerać przy misternym zamku, mrując pod nosem i marszcząc siwe brwi, bo szło mu trochę niesporo. Zacząłem tracić cierpliwość, szturchnąłem więc Stioipę, żebyśmy poszli, ale ten przytrzymał mnie na miejscu. Wreszcie zapięcie puściło, znachor zaczął przeglądać wolumin. Próbowałem mu zajrzeć przez ramię, ale nie dał, zasłonił karty ramieniem. Dostrzegłem tylko jakiegoś pokracczego diabełka.

– Kura czerwona, pojawiła się przed świtem... – wymamrotał. – Tak... chyba wszystko rozumiem. Jasno tu napisane stoi, kiedy się ten ptak samotnemu mężczyźnie

na kark sprowadza. Jak nic obiecałeś, młody człowieku, pojąć za żonę wiedźmę, ot co. Przysiąc musiałeś solennie i własne zbawienie w zastaw dać.

Musiałem zblednąć na te słowa jak upiór, bo Stiopa bez pytania rozpiął mi koszulę pod szyją i roztarł czubek nosa szorstką łapą.

– Co bredzisz, starcze? – wykrztusiłem, krzywiąc się z bólu. – Jaką wiedźmę, gdzie, kiedy?

– Gdzie i kiedy, nie odpowiem, to już sam powinieneś wiedzieć. Jaką, mogę rzec. Dwie są takie, obie pod postacią czerwonej kury z grzebieniem i pazurami mogą się zjawić. Siostry – Afrodyta Wijewna i Marfa Wijewna. Jedną z nich zowią Paskudą, drugą Cudeńkiem, acz która jest która wedle miana a wyglądu, księga milczy. Jedno jest pewne. Mianowicie obie za mąż pragną wyjść za wszelką cenę, bo też mieszkać na co dzień ze starym ojcem, zgryźliwym smokiem Wijem to żadna rozkosz. Wiedz jedno. Dopokąd nie postanowisz obietnicy spełnić, pod postacią kury będzie cię czarownica ustawicznie niepokoić.

Nic więcej rzec nie chciał. Schował należną pięćiorublówkę, tomiszcze zatrzasnął i wypchnął nas za drzwi. Długo oglądałem się na nędzną chałupę pachnącą ziołami i kurzem.



Kura siedziała swoim zwyczajem na krześle. Stiopa zgonił ją. Postanowiliśmy się naradzić. Przyszedł jeszcze Wadim Spaski i Sasza Milutin. Siedliśmy przy stole, rozlali węgryzna w kielichy. Kura zagdakała.

– A pójdziesz ty! – Zamierzyłem się na nią. Odskoczyła kawałeczek, przekrzywiła łebek i patrzyła okrągłym oczkiem.

Zerwałem się, przyjaciele za mną. Chcieliśmy gadzinę ucapić, ale nijak nie szło. Za sprytna była, potrafiła się wcisnąć w najbardziej niedostępne kąty. Napociliśmy się tylko, biegając za nią po całym mieszkaniu. W końcu usiedliśmy, zrezygnowani.

– Patrz – rzekł Wadim. – Mówiliście, że znika jak wejdzie kto obcy, a ona w najlepsze gospodarzy.

– Zbeczeliła widać – odparł Stiopa. – Wiesz to, chłopie, co się takiej kurze we łbie kłębi? A może to właśnie kura domowa, żona doskonała.

Roześmieli się. Sami, bez mojego udziału. Mnie tam do śmiechu nie było.

– Ale skąd by się wzięła wiedźma, jeśli to faktycznie ona? – rzekł Saszka. – Kokozka zjawiła się po naszej ostatniej pohulance, nie wcześniej. A u majora nijakich wiedźm nie było.

Zastanowiłem się.

– A te dwie panny, które siedziały na sofie pod ścianą? Pierwszy raz je widziałem.

Popatrzyli na mnie jak na szaleńca. Stiopa natychmiast nalał mi w szklanice, zmusił do wypicia. Kura zagdakała, bardzo niezadowolona.

– Jakie panny, Antoszka? Co ty bredzisz? Dwie tylko z nami panie były. Nastazja Pietrowna i Nadia Filipowna. Żadnej jednakowoż ożenku nie obiecywałeś. Nie mógłbyś. To mogę honorem zaręczyć, bom sam z Nastką całą noc tańcował, zaś Wadim

oblegał Nadzieję niby tatarski zagon żeński klasztor, a wzrokiem toczył dokoła, że bez kija nie przystąpi. Prawdziwy lew z naszego przyjaciela.

– No co wy, bracia kochani – byłem zdumiony. – Jakże to, nie widzieliście? Siedziały we dwie. Jedna śliczna niby wiosenny poranek, druga paskudniejsza od teściowej majora Sienina. Na sofie przycupnęły, najwyraźniej wyglądały kawalerów...

Mówiłem coraz wolniej. Przypomniały mi się słowa starego Mikoły „jedną zowią Paskudą, drugą Cudeńkiem”.

– Coś ty pił, człowieku? – odezwał się Saszka. – Na pewno co inszego niż wszyscy. Nieładnie. Dałbyś kamratom owego specjału spróbować, po którym się takowe wizje miewa. Ale że u majora zachowywałeś się dziwacznie, to prawda. Pijany byłeś w sztuk. Pozwól sobie powiedzieć całą prawdę, bo znamy się już parę ładnych lat. Jak świnia się spileś, Antoszka, niby ciemny chachoł po pogrzebie żony. Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że to nie nasz czcigodny radca tajny, ale zwykły registrator kolegiálny bez obycia, co pierwszy raz w lepszym towarzystwie się obraca.

– Fakt faktem – poparł go Wadim. – Łaziłeś po pokojach, ramię komuś niewidzialnemu podawałeś, jakbyś nie w witebskim salonie bawił, ale z panną na moskiewskim prospekcie się przechadzał. Delirium prawdziwe cię ogarnęło, Antonie.

– Tak – wpadł mu w słowo Stiopa. – Teraz sobie przypominam. Tańczyłeś też, miłośnie obejmując powietrze, płaśtałeś a drygałeś, hołubce wycinałeś, w prysiu dy szedłeś niby rozochocony student, nie zaś poważny czynownik.

Nalałem w szklanicę, wychyliłem jednym haustem. Kura gdaknęła ostrzegawczo. Spojrzałem na nią z nienawiścią, wychyliłem drugą miarkę. Kura zagdakała głośniejsze.

– Milcz, durna – zawołałem. – Będę pił, co chcę, kiedy chcę i ile chcę!

Cisnąłem w nią szkłem. Rozprysło się na podłodze. Kura odwróciła się, urażona, zatrzepotała skrzydłami. Ukryłem twarz w dłoniach.

– Nic nie pamiętam. Prócz samej obecności tych dwu panien dosłownie nic. Ale przecie nie zbliżałem się do nich... przynajmniej przed północą. Bo co potem było, tego już nie wiem.

– Potem, potem – przedrzeźniał mnie Saszka. – Wygrałeś z samym opilcem Kulajewem pojedynek na kieliszki, miałeś prawo nie wiedzieć o bożym świecie.

Zgnębiony zapatrzyłem się na kurę. Wyglądała dziobem pióra na piersi. Z obrzydzeniem pomyślałem, że tak samo mogłaby wyglądać pani małżonka układająca na sobie suknię przed wspólnym wyjściem do teatru. Na co to przyszło. Kawaler z kurą.

– Patrzcie panowie, co za czasy – rzekł sentencjonalnie Saszka. – Wiek pary i elektryczności. W Londynie jeździ kolej podziemna, po morzach pływają nowoczesne okręty, a łodzie podwodne ponoć zanurzają się ledwie w dwa kwadransy. A tutaj zaczarowana kura łązi po domu. Postęp i nauka królują na całym świecie, światło wiedzy rozjaśnia mroki umysłów, a w naszej poczciwej Rosji po staremu ciemnota i zabobon. Ech, Antonie, cóżes ty wymyślił z tym ptaszysłem?

– Ja?! – zdumiałem się. – Nic nie wymyśliłem. Przecież sami widzicie. Kura.

– Wiedźma – poprawił mnie Stiopa. – Pamiętaj, że to nie zwyczajna kwoka, ale wiedźma, której obiecałeś małżeństwo.

To była ta chwila, kiedy w człowieku przelewa się czara goryczy. Komu niby i kiedy miałem obiecać małżeństwo? Czerwonej kokoszy z grzebieniem i pazurami? W tej chwili kura wskoczyła na łóżko, rozgdakała się, zamknęła oczy, przykucnęła. Moi kompani zamilkli, uważnie obserwując zwierzę.

– Nioska – zauważył po chwili Wadim, wskazując jajko złożone na poduszce. – Ładna sztuka.

– Chociaż tyle masz pożytku – dodał Sasza. – Może ten ptak to wcale nie taka zła rzecz.

– Racja – przyłączył się do tych durniów Stiopa. – Da się przecież z tym żyć.

– To może który z was ją zabierze, skoroście tacy zgodni?

– A bo to myśmy wiédźmie się oświadcza!i?

W pierwszej chwili miałem ochotę wyrzucić ich za drzwi. Co oni z tym ożenkiem? Nawet nie wiem, czy stary Mikoła jest przy zdrowych zmysłach, czy nie bredził byle czego! Zmagiałem się ze sobą, wreszcie chwyciłem butlę. Kura patrzyła z potępieniem. Spoglądając na nią wyzywająco, przechyliłem flaszkę. Wyciekła ledwie kropelka.

– Wasyl! – Pobiegłem do drzwi, wyjrzałem i wrzasnąłem: – Wasyl!

Załomotały na schodach ciężkie drewniaki.

– Masz tu – wcisnąłem mu garść miedziaków – leć do szewca Płatona. O tej porze tylko u niego dostaniesz gorzałki. Przynieś dwie butle. Co zostanie reszty, zatrzymaj.

Poleciał jak na skrzydłach. Wróciłem do kompanów. Kura siedziała nastroszona na poręczy łóżka.

– Ciekawe, która to jest – zamyślił się Stiopa. – Afrodyta czy Marfa? Chyba lepiej Afrodyta, bo ta ładniejsza, z imienia sądząc.

– A co – spytałem ze złością – chcesz się może z nią żenić?

– Ja? Skąd. To ty się oświadczyłeś.

– Nikomu się nie oświadczałem! A jeśli już, to chyba tej pięknej, nie brzyduli.

– Ech, bracie, nie chcę cię martwić, ale byłeś tak pijany...

Zapadła cisza.

– No cóż – rzekłem po długiej chwili – trzeba się będzie do gadziny przyzwycząić.



Nie upłynęły dwa tygodnie, a kura rozpanoszyła się na dobre. Witaa mnie w progu, radosna, kiedy wracałem z biura o czasie. Jeśli opóźniłem przyjście, pokazywała się tylko i szła obrażona do drugiego pokoju. Tam siadała w oknie i patrzyła smętnie na podwórze, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz, niewdzięczniku, ja tu czekam samotna, opuszczona, a ty gdzieś się włóczysz”. Tak mateńka mawiała do ojca, kiedy się zanadto lampartował.

Pół biedy jeszcze, gdym przyszedł na lekkim rauszu. Wtedy posiedziała przy szybie, pogdakała chwilę i wskakiwała na łóżko patrzeć, jak śpię. Ale kiedy wracałem z nocnej libacji, przestawała się odzywać. Wiem, głupio to może brzmi, ale tak właśnie było. Potrafiła milczeć nie mniej wymownie od doświadczonej mężatki. Każdy mężczyzna wie, że to gorsze od najbardziej gorzkich wyrzutów. Aż żyć się odechciewa. A już nie daj Boże, bym zaprosił przyjaciół na mały poczęstunek. Łaziła wtedy i gderaa po swojemu, łypaa niechętnie, grzebała pazurem, potrząsała łbem z potępieniem. Wreszcie wypłoszyła wszystkich. Nawet nieczułe Niemcysko, Misza Herenfeld, miał dość.

– Gorzej niż baba mego sąsiada, niejakiego Partynowa – rzekł zagniewany swoją dziwną, twardą ruszczyzną. Siedzi taki w Rosji od dzieciństwa, a porządnie mówić się jeszcze nie nauczył. – Tamta wrzask podniesie, talerzem ciśnie, pomyjami chlapnie, ale taka namolna jak ta twoja kura na pewno nie jest. Rosół byś z niej lepiej zrobił.

Rosół! Dobrze mu gadać. Jak tu ugotować człowieka, choćby to była nawet wiedźma? Może u Niemców tak się godzi, ale słowiańska dusza zbyt wrażliwa jest i czuła na krzywdę. Wreszcie miałem jednak dość ptasich fanaberii. Toż zaczęło wyglądać, jakby było wszystko jedno, czy ze mnie ożeniony pantoflarz czy okurzony kawaler. Postanowiłem więc dać jej do wiwatu. Niech się wiedźma zniechęci, skoro nie trafia do niej dobre słowo.

Zacząłem hulać. Sam Wadim, mieniący się cesarzem zabaw i przyjęć, nie mógł dotrzymać mi kroku. Nie było dnia, bym nie wrócił po północy dobrze zawiany, nie było tygodnia, bym nie przyszedł o białym poranku, ledwie patrząc na oczy. Minął tak miesiąc, przeszedł drugi, ale kura nie rezygnowała. Obgdakiwała mnie, czyniła wyrzuty, łąziła z dziobem w bok, nie mogąc na mnie patrzeć, najgorsze jednak było, gdy siadała na oknie przygnębiona, chowając łebek między skrzydła. Kura. Niby nic – kwoka – a potrafiła zadać duszy prawdziwą boleść. Zaciąłem się jednak i wytrwale hulałem dalej.

Aż do dnia, gdym wreszcie zasnął. Serce łomotało, we łbie się kręciło, z trudem łapałem oddech.

– Niedobrze – oświadczył lekarz. – Tak się żyć po prostu nie da. Nie ma pan już dwudziestu lat! Jaka to też moda nastała – gderał – że panowie dobrze po czterdziestce zwykli zachowywać się niby niedowarzone młokosy. Musisz pan, panie radco, koniecznie zmienić tryb życia.

Z niepokojem patrzyłem, czy nie ujrzy gdzie kury. To by miał używanie, gdyby durna wylazła. Ile by było gadania o dziwacznych kawalerskich obyczajach!

– Tryb życia trzeba zmienić koniecznie – powtórzył. – Powinien się pan ożenić, Antonie Pawłowiczu, i to jak najszybciej. Tylko tak może pan uniknąć losu podobnego chociażby do tego, jaki spotkał marszałka dworu Kurakina, który zapił się na śmierć. Ożeń się, człeku, powiadam. Ktoś musi przecież mężczyzny dopilnować, bo sam sobie nałożyć kagańca nie potrafi. Wątrobą u pana wielka jak balon. A i w mieszkaniu trzeba posprzątać. Pozwólcie sobie powiedzieć, wonieje tu niby w kurniku.



Kura patrzyła zwycięsko, gdym pił gorzkie ziółka przepisane przez doktora.

– Ścierwo – mamrotałem pod nosem. – Podałabyś lepiej człowiekowi zbolałemu jakiej porządnej herbatki z powidłami, a ty nic tylko łypiesz zadowolona.

Wskoczyła na stół, dziobnęła jakiś okrucz, przysiadła i dalej mnie obserwowała.

– A niech cię – zirytowałem się wreszcie. – Rosół z ciebie wreszcie ugotuję! Trzeba było posłuchać Herenfelda!

Kura obrzuciła mnie pogardą. To potrafiła doskonale, lepiej niż niejedna wielka dama z towarzystwa.

– Jak sobie pomyślę – rzekłem ze złością – że za każdym razem, gdy wrócę do domu, napotkam pełne wyrzutu spojrzenie, że będziesz się bocyć i obrażać, mam ochotę rzucić wszystko i pojechać gdzieś daleko. Do Tuły, a może nawet do Irkucka czy choćby Władywostoku. Wiesz, co mnie powstrzymuje? Wiem doskonale, iż gdziekolwiek się udam, odnajdziesz mnie, więdźmo! Dobrze mówię?

Gdaknęła zadowolona, rozprostowała skrzydła.

– Właśnie. Powiedz mi jedno. Po co więdźmie mąż? Taki, jak ja, praworządny rosyjski obywatel. Toż to dla czarownicy nic ciekawego. Ani na sabat mnie wzięć, ani ojcu przedstawić, boby mnie smoczysko od razu zeżarło. A sama widzisz, że opój ze mnie paskudny, po salonach bym tylko biegał, w karty grał do białego rana.

Kura przefrunęła na łóżko. Wiedziałem już, co będzie. Z westchnieniem wstałem, poszedłem po pudełko z jajkami. Szczerze nie cierpię jajecznicy, ale przy kokoszy musiałem nauczyć się ją przyrządzać i spożywać, bo cóż niby robić z takim przybytkiem? Przecie nie zacznę handlować na targu. Po drodze oko me spoczęło na kredensie. Tak... tam powinna być jeszcze jedna, ostatnia, zapomniana butelczyna...

Kura wylądowała przed drzwiczkami, zanim zdążyłem je uchylić.

– No co ty, głupia? Odsuń się.

Dziobnęła mnie w rękę. Puściłem gałkę, odepchnąłem ptaszysko. Ależ była uparta! Co ja do drzwiczek, ona do mnie. W końcu dałem spokój. Co za los! Co za egzystencja! Rozumiem, jak się człowiekowi trafi wredna małżonka albo przykra teściowa. Ale żeby kura nie dała kawalerowi nalewki spróbować? Przekleństwo, nie życie!

– Żebym chociaż wiedział, która ty jesteś, Afrodyta czy Marfa. Cudeńko czy Paskuda. Ale tak... sama rozumiesz, łatwo kupić kota w worku, ale ryzykowne to przedsięwzięcie – zamilkłem, ważąc w sobie decyzję. Kura zastygła w oczekiwaniu, przysiągłbym, że widzę, jak drży w radosnym podnieceniu. – Skorom jednak obiecał małżeństwo...

Skuliła się, przymknęła oczy.

– A niech cię diabli, więdźmo! – zawołałem złamany i zdruzgotany. – Ożenię się z tobą! Mam tylko nadzieję, żem w przyplýwie szaleństwa oświadczył się tej, której należy.

W duchu zanosilem modły do Boga, Świętej Przepczystej i wszystkich patronów niebieskich. Do cerkwi co tydzień obiecywałem zanieść świeże kwiaty, byle tylko ptaszysko zmieniło się w tę piękniejszą więdźmę... Całe życie byleś dzieckiem szczęścia, Antoszka, mówiłem sobie. Do kobiet zawsze gust miałeś należyty. Nawet w najbardziej pijanym widzie nie powinieeś być aż tak szalony i niepoczytalny, by wybrać Paskudę.

– Ekhm – odchrząknąłem, nim rzuciłem się w bezdenną otchłań. – Czy zechce pani zostać moją żoną?

Oczekiwałem, że w tej chwili coś błýśnie, trzaśnie, wybuchnie, pojawi się dym... Nic podobnego.



Cóż mogę rzec na koniec tej opowieści? Ano tyle tylko, że kura pozostała kurą. Co dzień znosi jajko, a innych obyczajów też nie zmieniła nawet na jotę. Pobiegłem do Mikoły, pełen pretensji. Stary wysłuchał spokojnie połajanki, posadził na zydlu, dał gorzałki ku uspokojeniu, o wszystko dokładnie wypytał, w końcu bezradnie wzruszył ramionami.

– Księga mówi prawdę bez żadnej wątpliwości – rzekł. – Ale też niewiasta to niewiasta, nieważne, czy pod postacią kury czy jaką inną. Nie wystarczy po prostu oświadczyć się i czekać na cud. Względy kobiet trzeba sobie, synku, zdobywać z wielkim trudem. Żadna rozsądna panna nie wyjdzie bez wahania za podobnego tobie utracjusza i hulakę. Popraw się, pokaż, że ci zależy, żeś gotów do poświęceń, by stworzyć szczęśliwe stadło. A potem dopiero padnij na kolana i błagaj o łaskę.

I co powiecie? Czyż to nie sprawa godna miana prawdziwej desperacji?... Aż boję się pomyśleć, na jakie jeszcze poświęcenia muszę być przygotowany, zanim... zanim...

A niech to wszyscy diabli!

Demony starszyny Gawriłowa

Szedł długim, pogrążonym w półmroku korytarzem. Rzędy drzwi po obu stronach w świetle dziennym zapewne były śnieżnobiałe, jednak w przytłumionym poblasku dyżurnych lampek zdawały się pożółkłe niczym stary pergamin. Kitel sanitariusza też wyglądał szaro, jakby po latach leżenia został wyciągnięty z samego dna zakurzonej szafki. Zresztą, może właśnie tak było. W czas wojny mało kto zwraca uwagę na podobne szczegóły.

Major czuł się nieswojo. Gorzej nawet niż pod ciężkim ostrzałem na pierwszej linii frontu. Bądź co bądź, nieczęsto zwykły człowiek ma okazję gościć nocą na oddziale psychiatrycznym. Ciężki krok zwalistego pielęgniarza, stukot rozklekotanych chodaków i szelest wykrochmalonego materiału pokrowców na butach mieszały się z odległym buczeniem jakiegoś zdeluzowanego agregatu.

– Cicho tu – powiedział oficer do masywnych pleców. – Myślałem, że w takim miejscu zawsze słychać chociaż jednego pacjenta.

Sanitariusz rzucił za siebie niechętnie spojrzenie.

– To porządny szpital, towarzyszu majorze – burknął. – Stosujemy sprawdzone socjalistyczne metody pracy i organizacji. Tu się nie wyje ot, tak sobie, bez uzasadnienia i wyraźnego powodu. W wyciu też musi być porządek.

Wreszcie stanęli przed drzwiami z napisem „Pokój lekarski”.

– Wchodźcie, towarzyszu majorze. Zaczekam na was tutaj.

Dyżurny lekarz był człowiekiem niskiego wzrostu, ale szerokim w ramionach, o grubym karku znamionującym siłę. Zresztą, chyba wszyscy tutaj byli potężnej postury. Major przestał się dziwić panującemu w placówce spokojowi. Przy takiej obsadzie, będąc na miejscu wariatów, też wolałby siedzieć cicho.

– Major Rusłan Raskolnikow. – Wyciągnął rękę.

Lekarz przez chwilę patrzył na jego dłoń, a potem ujął ją ostrożnie i z wahaniem zacisnął palce. Wyglądało to tak, jakby wietrzył jakiś podstęp. Na widok miny majora roześmiał się.

– My tutaj musimy być bardzo uważni, towarzyszu. – Miał niski, przyjemny głos. Taki właśnie głos powinien mieć psychiatra. – To chyba najcięższy oddział w całym Związku Radzieckim. Nasi podopieczni potrafią wymyślać różne podstępny, żeby zatruć życie kadrze lekarskiej i opiekuńczej. Nieufność z czasem wchodzi w krew. Niech się pan nie obraża. Ja tak potrafię nawet w domu, przy żonie i dzieciakach.

Raskolnikow kiwnął głową na znak zrozumienia. Z tego, co wiedział o tej psychuszcze, chyba już lepiej niż tu byłoby znaleźć się w stalingradzkim kotle.

– Pan naprawdę chce z nim rozmawiać? – Lekarz zająrzył w rozłożoną na stole teczkę.

– Naprawdę.

– Sierżant Gawriłow to chyba najgorszy przypadek, z jakim miałem w życiu do czynienia. Paranoja z urojeniami, osobowość wieloraka z tendencjami do niekontrolowanych zmian nie tylko psychicznych, ale przybierających też manifestację fizyczną. Mówiąc po ludzku, świr jakich mało. Czasem, i owszem, mówi rozsądnie, ale zdarza się to raczej rzadko. Nie wiem, czy się pan z nim w ogóle dogada. Ale skoro najwyższe dowództwo sobie tego życzy, nie będę stawał na przeszkodzie. Przypniemy go tylko pasami, bo bywa niebezpieczny. Rzadko, co prawda, gdyż zbyt wiele się w nim kłębi, żeby mógł się normalnie poruszać, ale trzeba uważać.



Sierżant trzeciej kompanii czternastego pułku dwudziestej gwardyjskiej dywizji piechoty, czterdziestoletni Jefim Andriejewicz Gawriłow z zainteresowaniem patrzył na Raskolnikowa. Major ze zdziwieniem stwierdził, że przypięty ciasno do łóżka człowiek ma sympatyczną twarz o szczerych, typowo słowiańskich rysach. Jasne oczy spoglądały pogodnie, wręcz przyjaźnie. Gdyby spotkał takiego na ulicy, nigdy by nie powiedział, że to jeden z najtrudniejszych przypadków w dziejach sowieckiej psychiatrii. Ale, z drugiej strony, jak niby powinien wyglądać szaleniec?

– Witajcie Rusłanie Siergiejewiczu – odezwał się nagle Gawriłow. – Spodziewałem się kogoś takiego, jak pan, ale nie myślałem, że to nastąpi tak szybko.

Raskolnikow poczuł dreszcz przebiegający wzdłuż pleców. Skąd ten wariat zna jego imię i otczestwo? Może jeszcze zgadnie nazwisko?

– Tak – Gawriłow zamruczał jak zadowolony niedźwiedź. – Major Rusłan Siergiejewicz Raskolnikow. Piękne nazwisko dla politruka i oficera wywiadu GRU. Bardzo pasujące.

Major zgrzytnął zębami. Który to już raz musi wysłuchiwać złośliwych uwag na temat swojego nazwiska? Ale zaraz, zaraz... Złość ustąpiła miejsca zdumieniu. Ten sierżant odgadł nie tylko jego dane osobowe, ale nawet funkcję! Co tu jest grane? Przecież nawet naczelnny lekarz szpitala nic nie wiedział. Oficjalnie pojawił się jako przedstawiciel służb informacyjnych biura propagandy. W psychiatriku zapewne zachodzili w głowę, dlaczego rządowy inspektor do spraw propagandy interesuje się takim Gawriłowem. Ale o to właśnie chodziło. Niech zgadują. Najlepsza dezinformacja polega na podawaniu niepełnych informacji. To bardzo skutecznie ogłupia. A jeśli znajdzie się ktoś taki mądry, że odgadnie za dużo, sam wylądowuje na sali chorych w podobnym szpitalu. Po psychuszkach w całej Rosji pełno jest zbyt domyślnych obywateli. Rozkazy trzeba wykonywać, a nie zastanawiać się, kto je wydał i z jakich powodów.

– Jak tam na froncie, towarzyszu majorze? – Gawriłow oblizał wargi spierzchnięte na skutek przyjmowania ogromnej ilości leków. – Faszyci mocno napierają? Nam tu niewiele mówią. Ot, tyle wiemy, ile usłyszysz przypadkiem, kiedy prowadzą na zabieg albo podsłucha sanitariuszy. Chociaż tego lepiej nie robić, bo zaraz gumą leją. Ale niedobrze jest?

– Mamy pewne przejściowe trudności – odparł Raskolnikow, zastanawiając się, czy człowiek przed nim to rzeczywiście ten, o którego chodzi. Mówił przytomnie, patrzył przytomnie, a nawet bystro...

– Trudności są zawsze przejściowe. Szczególnie w naszej socjalistycznej ojczyźnie. Są zawsze, od samego początku jej istnienia i nieodmiennie bywają tylko przejściowe.

– A ciebie zamknęli w psychuszcze właściwie jako umyślowo chorego czy niebezpiecznego politycznie? – Major zmrzążył oczy.

– Nie wiecie tego, towarzyszu? Zresztą w naszym kraju to wszystko jedno. Myślę, że prędzej czy później każdy trafi w takie miejsce. Albo do łagru. Mnie wsadzili tutaj, bo raczej rzadko w obozie pracy mają ochotę gościć obywatela opętanego przez demony. Za dużo z nim zachodu.

– Nie wyglądasz na opętanego...

– Bo demony teraz śpią. Nie patrzcie na mnie z takim zdumieniem. Duch też musi czasem odpoczywać. A ja swoje przyuczyłem, żeby robiły to jednocześnie. Żebyście mnie widzieli kiedyś! Jak jeden spał, drugi się budził, jak jeden chciał zreć, drugim akurat w głowie było sranie! Ale powoli, powoli poradziłem sobie... Człowiek ze wszystkim potrafi sobie poradzić. Jednak widzę, że nie wierzycie w moje opętanie? Chcecie, to wam zaraz obudzę jednego albo dwóch...

Nie czekając na odpowiedź, zawołał przenikliwym głosem. Major ze zdumieniem słuchał dziwnych, gardłowych dźwięków nieznanego języka. Przez chwilę panował spokój, a potem nagle ciało sierżanta wygięło się w łuk. Zatrzeszczały ostrzegawczo skórzane pasy. Raskolnikow nie patrzył jednak na napinające się ramię. Twarz... Twarz! Rysy Gawriłowa nagle zgrubiały, wyglądało, jakby zbijały się w jednolitą masę pod wpływem uderzeń niewidzialnej pięści, mięśnie falowały, formując się w nowe kształty... Najdziwniejsze zaś było to, że skóra twarzy i dłoni sierżanta pociemniała wyraźnie. Nie nabiegła po prostu krwią, ale pociemniała właśnie!

– Jestem – zachrypiał dudniący, dobywający się jakby z oddali głos. Miał twardy, obcy akcent, jakby pochodził gdzieś... tak, podobnie mówili po rosyjsku smagli żołnierze pochodzący z dalekich południowych republik. – Czemu mnie budzisz, marny puchu?

Na majora patrzyły czarne oczy. Orli nos i ciemna cera... Przecież to był zupełnie inny człowiek! Człowiek?...

– Czego chcesz? – zabrzmiało znowu pytanie.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Gawriłow znów wygiął się w pałąk, a jego twarz ponownie zaczęła mocno falować. Po krótkiej chwili nabrała znajomych rysów.

– To był Jusuf ibn Eblis – sapnął sierżant z zadowoleniem. – Mieszka we mnie od tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku.

– Czy możesz je kontrolować? – Major zamknął usta. Zęby zadzwoniły o siebie. Nie spodziewał się doświadczyć tutaj podobnego strachu. To było gorsze od stukasa pikującego prosto na bezbronny czołg.

– Do pewnego stopnia, towarzyszu majorze. Czasem wymykają się, chcą wyjść na wolność. Wtedy doktorzy mawiają, że mam ataki padaczki. A ja po prostu nieźle muszę

się napracować, żeby je utrzymać w ryzach. Ale na ogół są grzeczne. Tyle że cały czas coś kombinują między sobą. Kłóćą się, spierają, kochają albo nienawidzą. Bywają jak dzieci. Bez przerwy trzeba na nie uważać. Uważam więc. A durni lekarze gadają wtedy, że zapadam w stupor katatoniczny.

Raskolnikow machnął ręką. To jednak wariat! Chociaż, z drugiej strony, skoro sam towarzyszył pierwszy sekretarz potraktował poważnie informacje o nim... No i przecież przed chwilą major sam widział...

– Jesteście nam potrzebni.

– Wiem. Mówiłem, że spodziewałem się waszej wizyty.

Rzeczywiście, mówił coś podobnego.

– Skąd miałeś informacje? – spytał podejrzliwie.

– Świat jest pełen demonów. Przychodzą tu do mnie czasem w odwiedziny. A właściwie nie tyle do mnie, co do tych, które we mnie mieszkają. No i ze dwa tygodnie temu był taki jeden, który od czasu do czasu pomieszkuje w głowie towarzysza Stalina. To on mi powiedział o waszych planach.

Major zeszczywniał. Jak ktoś może mówić podobne rzeczy o ojcu narodu? No tak, ale przecież między innymi dlatego właśnie zamknęli go w tym przeklętym miejscu.

– A dlaczego – spytał ostrożnie – powiedziałeś, że pomieszkuje w głowie... sam wiesz kogo? Jeśli to prawda, dlaczego nie zagnieździł się tam na stałe?

– Nie da rady. Powiada, że w takim pierdolniku trudno by było długo zdzierżyć. Dlatego też wiem tylko tyle, że ktoś miał tutaj przyjść, ale dokładnie, o co chodzi, nie jestem w stanie powiedzieć. Towarzysz Stalin tak boi się przyszłości, tak pragnie zachować władzę, że niektóre myśli potrafi ukryć nawet przed sobą samym. A poza tym...

– Dobrze, dosyć! – Raskolnikow nie był ciekaw dalszych rewelacji. Już tego, co usłyszał, wystarczyłoby, żeby i jego izolować do końca życia. Tak na wszelki wypadek. – Sprawa jest trudna, starszyna. Trudna i skomplikowana.

– Kaźcie mnie rozwiązać, towarzyszu majorze – przerwał mu Gawriłow. – Nogi mi zdrętwiały. Ręce też.



Gawriłow kręcił głową z niedowierzaniem.

– Mówicie więc, że mamy specjalną misję daleko za linią frontu? Gdzieś na południu? Chcą mnie wypuścić z psychuszki?

– Nie inaczej.

– Ale mnie tu dobrze! Nie mam ochoty na żadne wyprawy! Od wielu lat nie miałem chwili spokoju. A tutaj mogę myśleć, co chcę, mówić, co chcę, robić, co mi wpadnie do głowy, i co najwyżej dostanę gumę, jeśli z nudów będę usiłował ugryźć sanitariusza.

– Potrzebni nam jesteście ze swoimi demonami – odparł łagodnie major. – Wy i wasi goście możecie zażegnać wielkie niebezpieczeństwo, pomóc w wielkiej sprawie.

– Ja i moje demony, tak? Dobrze zrozumiałem?

Major skinął głową.

– A jak to się ma do waszego materialistycznego światopoglądu, towarzyszu? – Gawriłow uśmiechnął się krzywo. – Co by na to powiedział towarzysz Marks albo Lenin?

– Nie igrzajcie ze mną, starszyna. – Raskolnikow zacisnął prawą dłoń w pięść. – Myślicie, że to dla mnie proste? Całe lata mówiono mi, że istnieje tylko to, co widać dookoła, że ostateczną formą bytu jest materia, a życie kończy się wraz z ostatnim oddechem i poza granicą śmierci nie ma już nic, a religia to opium dla mas. Zaś teraz wysłano mnie do kogoś, w kim podobno zamieszkuje jakieś duchy! Ale ja w was nie wierzę, Gawriłow! Jesteście zwykły wariat!

– Rusłanie Siergiejewiczu. – Sierżant spojrzął na majora niebieskimi, niewinnymi oczami. – Nie sierzdzicie się tak. Przyszła pora, żebyście zobaczyli, iż nie wszystko, o czym mówią światłe umysły komunizmu, jest niezłomną prawdą. Co więcej, głównie to, nie żadna prawda. Myślicie, że jestem szalony? Może i jestem. Prosty ze mnie człowiek. Co ja poradzę, że już w dzieciństwie w chacie nad Donem zaczęły mnie nawiedzać zjawy z tamtego świata? Są tacy ludzie, do których demony ciągną chętniej niż do innych, którzy mają w sobie to coś, co duchy zwabia. Dokąd jeszcze we wsi mieszkał pop, odczytywał, egzorcyzmował, odganiał. Ale przyszła władza ludowa. Kapłan zadyndał nad progiem cerkwi. Sam pomagałem sznur przewlekać i pętlę wiązać. Wiecie, jak to młody chłopak, gdy mu powiedzą „rób, co chcesz, dzisiaj wolno”. Od tamtej pory duchy zyskały do mnie swobodny dostęp. No i musiałem się nauczyć z nimi jakoś żyć. Choć bywało straszno...

Zamilkł na chwilę.

– Ale jeśli ja jestem zwykły szaleniec, zostawcie mnie w spokoju i zameldujcie to swoim przełożonym. Będę tylko rad.

– Nie mogę. – Major spuścił wzrok ku ziemi. – Rozkaz samego towarzysza Stalina. Mamy wypełnić misję, a mnie poruczono, żebyśmy was wzięli do pomocy.

– Mówcie – westchnął ciężko Gawriłow.

– Jak dobrze wiecie, starszyna, szkopy co jakiś czas ogłaszają, że mają jakąś wunderwaffe. Nowy czołg, nowy samolot, bombę wielkiej mocy czy tam cholera wie co. Ale ostatnio, zdaje się, wynaleźli rzeczywiście niesamowitą broń. Nie, nie wynaleźli. Odkryli. Z tym, że... jakby to powiedzieć... ta ich broń nie pochodzi z tego świata... W każdym razie niezupełnie...

Zamilkł, trawiąc po raz kolejny informacje, które przekazano mu przed kilkoma dniami. Faszyci szukali różnych dziwnych rzeczy. Uwzięli się nawet na świętego Graala. Po jaką cholere im to wszystko? Dla Raskolnikowa liczyła się tylko realna siła. Słusznie powiedział Stalin, gdy mu mówiono o papieżu, jako o liczącym się czynniku politycznym: „A ile ma dywizji?”. Właśnie. Wszyscy oceniają się po ilości wojska i technice wojennej. A teraz ma wyruszyć z wariatem na wyprawę po... no właśnie... po co?

– Widzisz, starszyna – podjął ostrożnie – na Bliskim Wschodzie istnieje jakiś artefakt...

– Co? – Gawriłow wytrzeszczył oczy. – Mówcie po ludzku, towarzyszu majorze.

No tak, Raskolnikow całkiem zapomniał, że sierżant jest koniec końców tylko prostym chłopem z kozackiej wioski. Może nie najgłupszym, ale przecież bez wykształcenia.

– Jest tam coś, co może się okazać groźne dla wszystkich, dla całej ludzkości, jeśli Niemcy to odnajdą i opracują sposób, żeby zrobić z tego użytek..

– A co? Powiedźcie tak bardziej konkretnie.

– Kocioł. Zapieczętowany kocioł.

Gawriłow wpatrywał się w niego dłuższą chwilę.

– Bądźcie poważni, Rusłanie Siergiejewiczu. Jaki kocioł? I jakże on ma zagrozić ludzkości? Będą nim walić po łbie każdego na świecie za koleją, czy jak? To by jednak zajęło trochę czasu.

Raskolnikow przygryzł mocno dolną wargę. To, co miał teraz powiedzieć, nie mieściło się w głowie doświadczonego politruka, majora NKWD i aktywnego członka Smierszu.



Pluton specnazu trwał w bezruchu. Żołnierze wyprężeni jak struny zerkali niepewnie na zażywnego, niezbyt dużego człowieka, który lustrował ich uważnym spojrzeniem. Niedalekie wybuchy nie robiły na nich wrażenia, wymiana ciosów artylerii polowej była rzeczą zwyczajną. Obyty żołnierz potrafi doskonale odróżnić taką niezobowiązującą kanonadę od zbliżającej się nawały artyleryjskiej. Raskolnikow zgrzytał zębami, idąc krok w krok za Gawriłowem. Co ten starszyna sobie wyobraża? Zażądał najlepszych ludzi z jednostek specjalnych. A przecież nie powinien mieć o takich jednostkach specnazu najmniejszego pojęcia! Jakiś demon mu podobno powiedział. Demon! Major wyduł wargi. Nadal nie wierzył w zamieszkujące wnętrze sierżanta nieczyste siły. Na koniec okaże się, że to zwyczajny szaleniec. Bardzo wiarygodny, potrafiący przekonać do swoich chorych pomysłów, ale tylko zwyczajny wariat. Jednak na wszelki wypadek trzeba się z nim obchodzić ostrożnie. Tym bardziej, że sam generalissimus Stalin jest zainteresowany sprawą. Jednak niech tylko majorowi uda się zdemaskować Gawriłowa, gniew wierchuszki będzie straszny, a zemsta słodka!

– Trzeba nam siedmiu – odezwał się starszyna.

– Siedmiu! – żachnął się major. – Dlaczego akurat tyłu?

– Noszę w sobie osiem demonów. Jeśli mam sobie jakoś radzić, muszę je komuś przekazać. Ci żołnierze zyskają niezwykłą moc, a ja wreszcie może trochę spokoju.

– A co z ósmym? – Raskolnikow spojrzał zaniepokojony.

– Nie obawiajcie się, towarzyszu majorze – uśmiechnął się sierżant. – Mam zamiar pozostawić sobie Jusufa. Nie dybię na wasze ciało. Wy macie misję do wypełnienia, na was polegają miarodajne wyższe czynniki.

Raskolnikow westchnął ciężko. Że też przyszło mu wysłuchiwać takich dyrdymałów z ust jakiegoś szalonego podoficera! Postanowił zmienić nieco temat.

– Dlaczego jednak nie mogliście wziąć do akcji chociażby zwykłych sztrafników? Szkoda wyszkolonych komandosów...

Gawriłow pokręcił głową.

– Sam służyłem w karnym batalionie. Sztrafnicy mają dość własnych zmartwień, żeby ich jeszcze zdręzczać demonami. A poza tym są brudni, zawszeni i głodni. Patrzą tylko, gdzie tu co zwędzić. Do boju można ich pchać, gdy cekaemy enkawudzistów mają za plecami jako porękę dzielności. Ale normalnie z dyscypliną bywa u nich

krucho. Wyobraźcie sobie teraz, że moja hałastra łączy się z ich duchowym bardakiem. Zanim bym ich opanował... szkoda gadać. Ci tutaj są zdyscyplinowani, a co najważniejsze, niekoniecznie u nich obficie z rozumem. A przy tym tkwią na pozycjach na tyle już długo, żeby pragnęły odmiany.

– No i potrafią skakać ze spadochronem. – Major kiwnął głową. – Co racja, to racja. Tam, gdzie się udamy, dostarczą nas transportowiec. Przyda się taka umiejętność.

– To wcale nie takie ważne – odparł starszyna, wzruszając ramionami.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiecie.

Gawriłow podszedł do plutonu, uważnie spoglądał w oczy żołnierzom.

– Pora wybrać tych gierojów – rzekł.



To było straszne. Okropniejsze niż wszystko, co major widział do tej pory. W jednej chwili karna drużyna specnazu zamieniła się w bandę kolorowo odzianych postaci najróżniejszego autoramentu. Mundury walały się w pogardzie na ziemi, a ci cudacy poprawiali swoje niecodzienne stroje. Zachowywali się tak, jakby chcieli jeden przed drugim popisać się prezencją. Arab o ponurym wejrzeniu w ciemnym burnusie, obok smagły mężczyzna w kolorowej przepasce, dziwnym fartuszką i czarnej peruce na głowie.

– Selim, Meheb, odsuńcie się trochę – rozkazał Gawriłow. – Vidar chce rozprostować kości.

Zza pleców wezwanych wysunął się wielki mężczyzna o płowych, długich włosach i twarzy wysmaganej wiatrem. Raskolnikowowi zdawało się, że poczuł zapach morza, nasmołowanego drewna i koziego kozucha. Zaraz za nim ukazała się nieduża postać o wydatnym nosie i uprzejmym uśmiechu. Oczy tego człowieka... Major wzdrygnął się na myśl, że to wcale już nie jest człowiek. W każdym razie oczy patrzyły przyjaźnie, a jednocześnie taksująco.

– Witaj, Efraimie – sierżant uśmiechnął się. – To dybuk – wyjaśnił oficerowi. – Upiór wyznania możeszowego, bardzo uparty typ. Miałem tego pecha, że znalazłem się zbyt blisko, kiedy pewien rabin w Moskwie pokątnie odprawiał egzorcyzmy opętanej żydowskiej dziewczynki. Ale, w sumie, Efraim da się lubić. Tyle że trzeba na niego uważać, bo okrutnie czubi się z innymi demonami, szczególnie tymi z pustyni Arabii. Chodzi im o jakieś zastarzałe spory o ziemię Kanaanu i różne takie.

– Gdzie Sybilla? – spytał Efraim dziwnym, sykliwym głosem.

– Nie podniecaj się, przyjacielu – odparł surowo Gawriłow. – Nawet nie próbuj się do niej zbliżyć. Żaden z was! Wystarczy mi to, co wyprawiacie wewnątrz mnie, kiedy ją chociaż na chwilę wypuszczę. Mamy misję do wypełnienia i na tym się skupmy, zrozumiano?

Efraim warknął coś nieprzyjaźnie, ale odszedł. Rozglądał się jednak uważnie, najwyraźniej w poszukiwaniu kuszących kształtów wieszczki. Tę sierżant wypuścił na samym początku i kazał jej ukryć się za pobliską skałą. Widząc zdziwienie majora,

a przede wszystkim oszołomienie nagłą przemianą barczystego, zwalistego żołnierza w zgrabną, zwiewną niewiastę o ciemnej skórze, orlim nosie i ognistym spojrzeniu, Gawriłow pospieszył z wyjaśnieniem:

– Zaraz zjawi się tutaj cała wataha wygłodniałych samców, patrzących tylko, jak by sobie ulżyć. Trzeba ich wpierv okiełznać.

Major kiwnął wtedy tylko głową, nie mogąc wydobyć słowa. Nadal niewiele do niego docierało. Jego materialistyczny światopogląd właśnie walił się w gruzy. Nagle pozadrościł przesądnym babom, zanoszącym codziennie modlitwy do Boga, który jest tylko wymysłem ciemżycieli, stanowiąc jedno z narzędzi oglupiania ludu pracującego. Dla nich może widok pojawiających się demonów byłby przerażający, ale z pewnością całkowicie wytłumaczalny, by nie rzec – normalny.

Teraz oswoił się już nieco z myślą, że oto jest świadkiem czegoś, co nie mieściło się ramach filozofii marksistowsko-leninowskiej. Błogosławił się też w duchu za to, że kazał przerzucić oddział w góry, aby dokonać tego, co uważał za nierealne. Ale to jego „oswojenie” okazało się stanem wielce ulotnym. Prysło w chwili, kiedy ujrzał ostatniego uczestnika wyprawy. Na jego widok Gawriłow wyraźnie się rozpromienił.

– A to nasz człowiek – rzekł z zadowoleniem i zawahał się. – Znaczy... nie tyle człowiek, co demon. Konkretnie Wij.

– Wij? – Zmarszczył brwi major. – To chyba jakiś smok albo wielki wąż, a nie duch... Z tego, co pamiętam z baśni...

– To BYŁ smok, zgadza się. – Gawriłow położył szczególny nacisk na słowo „był”. – Aż do czasu, kiedy załatwił go witeź w niedźwiedziej skórze czy inny taki gardzina. Wtedy nasz przyjaciel stoczył się na samo dno piekła, aby zaoferować usługi panu ciemności. A potem zaczął grasować po świecie razem z innymi podobnymi sobie indywiduami. Z porządnego jaszczura zmienił się w podstępного demona. Tyle są warte wyczyny bohaterów. Nigdy nie wiadomo, jaki ostatecznie przyniosą skutek.

Nieszczęsny major poczuł, że zaczyna go boleć głowa, tym bardziej, że w tej chwili z kryjówki wyszła Sybilla. Wycie, jakie wydali z siebie niedawni żołnierze specnazu przywodziło na myśl sabat wszystkich diabłów. Nie wiadomo skąd Gawriłow wydobył wielki bat z bawolej skóry. Zanim żądni wrażeń mężczyźni zdołali dopaść Sybilli, rozpedził ich, wprawnie rozdzielając uderzenia.



Brnęli przez gorący piach. Słońce prażyło niemiłosiernie. Raskolnikow był przyzwyczajony do surowych pustaci Kazachstanu, gdzie spędził prawie połowę życia. Jednak tam gorąco nigdy nie dawało się we znaki aż tak. Było sucho, wietrznie, w zimie mróz potrafił wyciskać lzy, ale to, co ich czekało w miejscu zrzutu, przechodziło ludzkie pojęcie. To, jak się ten zrzut odbył, też. Poza Gawriłowem pozostali członkowie oddziału stanowczo odmówili założenia spadochronów. Skakali tak, jak który stał, z rozpostartymi rękami, z szatami rozwiewanymi pędem powietrza. Kiedy major ze starszyną wylądowali, ci na dole zdążyli już się pokłócić, pobić i zamienić kawałek

pustyni w coś podobnego do świeżo zoranego pola. Gawriłow zaprowadził porządek, ale nie trwał on zbyt długo.

– Odgryźł mi ucho! – rozległ się wrzask. Towarzyszył mu drugi, wściekły bulgot. – Jefim, on mi odgryźł ucho...

Świsnął długi bicz. Gawriłow bez litości okładał szczipione postacie.

– A poszli jeden z drugim, psia wasza mać! Won, dranie, bo jak was, job wasze matieri, pomiłuję, dupska odpadną od kości!

Major odwrócił się niechętnie. Jak zwykle, Selim tłukł się z Efraimem. Raskolnikow zdążył już zapomnieć, że jeszcze niedawno ci żołnierze nosili pocziwe rosyjskie imiona Wańka czy Miszka. I wyglądali swojsko, a nie jak zbieranina postaci z baśni całego świata. Zapomniał... A przecież nie minął jeszcze tydzień, odkąd zamienili się z doskonałych wojaków w krnąbrne, niezdyscyplinowane dziwadła.

Teraz znów dwóch, korzystając z zamieszania i nieuwagi Gwariłowa, rzuciło się na kobietę.

– Zostawić Sybillę! – wrzasnął sierżant, w porę dostrzegłszy nowe zarzewie konfliktu. – Wij, Vidar, bo was krzyżem przezegnam! – Bat znów trzasnął, wezwani odskoczyli od obiektu pragnienia jak oparzeni. – W wodzie święconej wyplawię, gądziny! Trzymać kuśki przy sobie, rozpustniki jedne!

– Więcej z nimi trosk niż pożytku – zauważył Raskolnikow. – Nie lepiej było zostawić całe to towarzystwo na froncie? Może by się sprawdzili w walce z frycami, bo tutaj tylko z nimi kłopot.

– Mogą się jeszcze przydać. Nie doceniacie ich, towarzyszu majorze, bo nie wiecie, co potrafią.

Raskolnikow pomyślał, że chyba jednak wolałyby się nie dowiedzieć. Sądząc z tego, co wyprawiali, musieli znać naprawdę paskudne sztuczki.

– Przestaliście już wątpić? – spytał sierżant, lustrując srogim spojrzeniem podkomendnych. – Wierzycie w istnienie innego wymiaru poza tym, który określili klasycy socjalizmu? Materializm to nie wszystko.

– Na razie widzę tylko i wyłącznie ludzi – odparł major. – Dziwnych, chwilami przerażających, ale tylko ludzi.

– Aleś uparty, towarzyszu – westchnął Gawriłow. – Już wiem, dlaczego właśnie was wybrali na dowódcę tej ekspedycji. A kiedy tak na was patrzę i im bliżej was poznaję, znajduję jeszcze jeden powód.

– O czym mówicie, sierżancie? – Major otarł pot spływający spod chusty. Oddział bardziej przypominał legię cudzoziemską niż radzieckie wojsko. Ale tak też miało być. Przecież w tym rejonie Rosjanie nie mieli prawa się znajdować. Rosjanie! Obrzucił wzrokiem zbieraninę przed sobą. W większości mogli się podawać za każdego obywatela świata, ale nie za ludzi sowieckich. Zaledwie dwóch czy trzech wyglądało jak trzeba. Jak choćby Borys Wij. – Co was przekonuje do uznania mnie za dobrego dowodzącego?

– Dbacie o ludzi, towarzyszu. To rzadkość w naszej chłopsko-robotniczej armii.

Major wiedział, o czym Gawriłow mówi. Tego samego dnia, kiedy pojechali na linię dobierać ludzi, ze strony niemieckiej wyszło niespodziewanie bardzo silne natarcie. Czołgi i piechota. Raskolnikow okazał się najstarszym oficerem w tym miejscu obrony, na dodatek bez łączności, bo nawała artyleryjska przerwała linie telefoniczne, a urządzenia radiowe jeszcze nie dotarły. Po prawej miał dwie kompanie gwardyjskie, po lewej dwie wydzielone z dywizyjnego sztrafbatalionu. Karniacy

wiedzieli, że właśnie na nich spocznie obowiązek wyjścia na przedpole, na rzeź. Taki był zwyczaj. Powinni własną krwią opłacić czas potrzebny na dociągnięcie odwodów, związać jak największe siły wroga, ściągnąć na siebie ogień. Dowódcy czekali na rozkaz. Raskolnikow błyskawicznie ocenił sytuację.

– Dawać tu rotnych! – wrzasnął. Natychmiast stanęli przed nim szefowie kompanii.

– Prowadzić ogień z okopów dokąd się da! Czekać na mój rozkaz.

– Ależ, towarzyszu majorze – zaprotestował jeden z kapitanów gwardyjskich. – Niemcy gotowi przełamać obronę. Trzeba jak najwięcej czołgów wyciąć granatami!

– To znaczy posłać ludzi na pewną śmierć. Nie wiesz, jak jest, rotny? Na dziesięciu jeden wraca.

– Właśnie od tego mamy sztrafników.

– A może dasz też swoich ludzi?

Dowódca kompanii zamilkł.

– Stiopa ma rację – zauważył któryś z karniaków. Major nie wiedział, jaki ma stopień, bo w tych oddziałach nie noszono dystynkcji. Mógł być równie dobrze byłym sierżantem, kapitanem, jak i pułkownikiem. – Granatami możemy ich powstrzymać. Jeśli będziemy się tylko ostrzeliwać z pozycji, dojdą.

– To się cofniemy.

– Nam nie wolno – odparł ponuro sztrafnik. – Za to kula w łeb. Enkawudziści...

– To się cofniemy – wrarknął major – biorę to na siebie. Sam jestem z NKWD. Na stanowiska! Potrójne obsady do rusznic pepanc, nie żałować granatów, kiedy się zbliżą. Ale rzucać zza osłon!

Wykonali rozkazy, zdumieni, nieprzyzwyczajeni do takiej taktyki. Po to towarzysz Stalin kazał tworzyć karne jednostki, żeby było kogo poświęcać jako mięso armatnie.

Odparli atak, w porę przyszło wsparcie własnej artylerii i odwód. Na całe szczęście, bo gdyby rzeczywiście musieli opuścić pozycje, majora niechybnie czekałby sąd polowy i pluton egzekucyjny. Sam nie wiedział, dlaczego postąpił właśnie w ten sposób. Nieraz przecież widział jatki, jakie urządzało sztrafbatom, nie było to nic dziwnego. A jednak w tamtej chwili poczuł, jakby coś go tknęło koło serca, kazało podjąć ryzyko. Jednostka jest zerem... tak mówił Lenin. Nie powinien wahać się nawet przez mgnienie oka, by poświęcić ludzi dla dobra sprawy. A jednak... Widać za dużo w ostatnim czasie rozmyślał. Tajemnicza misja kazała zastanowić się nad świętymi dogmatami komunizmu, granicami materializmu dialektycznego. Może dialektyka sięga głębiej niż mogłoby się wydawać? Może sformułowanie „Lenin wiecznie żywy” niesie więcej treści, niż można sądzić?

Otrząsnął się z niechcianych myśli.

– Zrób z nimi porządek, Jefim – po raz pierwszy zwrócił się do Gawriłowa po imieniu. – Nie możemy zbyt długo zwlekać.

– A wiecie chociaż, dokąd mamy pójść?

Major zeszytniał, obrócił ku sobie sierżanta.

– Zapewniono mnie, starszyna, że kiedy znajdziemy się w rejonie działania, ty nas poprowadzisz.

– Kto was zapewniał, towarzyszu majorze? Generalissimus Stalin?

– Chruszczow. Chruszczow i Beria.

– Rozumiem – mruknął Gawriłow. – Jednak ja nic nie wiem... chyba że...

Mamrotał pod nosem. Raskolnikow czekał niecierpliwie. Wreszcie szturchnął sierżanta.

– No, co tam, Jefimie?

– Jest tylko jeden, który może nas doprowadzić na miejsce, ten wyczuje, gdzie znajduje się to, czego szukamy. Jusuf ibn Eblis. Ale w tym celu muszą go uwolnić, a tego właśnie chciałem uniknąć.

– Skoro tak trzeba, to uwalniaj!

– To bardzo nieprzyjemny typ, sami widzieliście...

– Bardziej będzie nieprzyjemnie, jeśli nie wykonamy zadania! Podczas poufnej rozmowy uzyskałem zapewnienie, że jeżeli skrewimy, czeka nas dwadzieścia pięć lat łągu. A jeśli byśmy chcieli uciec, szukać nas będzie nie tylko całe NKWD z przyległościami, ale nawet GRU. Dopadną nas nawet w grobie.

– Prawdziwa komunistyczna zachęta – rzekł kwaśno Gawriłow.

– Jaka by nie była, rozkazuję przywołać tego ducha!

Gawriłow zacisnął wargi.

– Uwaga! – zawołał do demonów. Wszyscy odwrócili się ku niemu. – Od tej chwili oddaję przywództwo Jusufowi. Bez dyskusji! To rozkaz czynnika najwyższego. I bez głupich pytań, już wy dobrze wiecie jakich!

Major pokręcił głową w duchu. Czynnikiem najwyższym... Czyżby partia komunistyczna była aż tak silna, że słuchają jej nawet duchy, w które wierzą też sama partia od początku zwalczała z wielką gorliwością? No cóż, bardzo wiele i bardzo cicho mówiło się o satanistycznych praktykach na Kremlu, o obrzędach, w których brali udział ludzie z najwyższych szczebli władzy, o schedzie przejętej po dawnych czasach rasputinowskich orgii i jeszcze dawniejszych, mających swoje źródła w rozpasaniu Katarzyny Wielkiej. Dotąd jednak Raskolnikow miał to wszystko za głupie plotki, do jakich ludzie mieli upodobanie od zawsze. Trzeba będzie chyba zrewidować nieco światopogląd. Czyżby potężni przywódcy narodu potrafili sobie wyjednać wpływy nawet w piekle?



Major bardzo szybko zrozumiał niechęć pozostałych demonów do przekazania władzy duchowi przebywającemu w ciele Gawriłowa. O ile sierżant był srogi dla podopiecznych, o tyle ibn Eblis okazał się po prostu bezlitosny. Tłukł podwładnych bez chwili zastanowienia, zanim w ogóle zdążyli pomyśleć o nieposłuszeństwie. Niewątpliwie jednak dzięki temu tempo marszu niepomiarowo wzrosło. Inna rzecz, że demon nie wiedział, co to zmęczenie. Pędził przed siebie prawie biegiem, nie bacząc na pot spływający z majora strumieniami. Najgorsze było przebycie słonego pola. Blask bił taki, że Raskolnikow szedł prawie cały czas z zamkniętymi oczami. Teraz zaś weszli między jakieś skały.

– Spocznijmy w cieniu – poprosił człowiek.

Gawriłow spojrzął wściekle. Gawriłow... Twarz sierżanta pociemniała, rysy mieniły się jeszcze bardziej niż wtedy, gdy zaprezentował Jusufa w psychuszcze.

– Mamy jeszcze dużo drogi przed sobą – warknął z tym swoim dziwnym akcentem. – Polecałbym niby samum, dotarł na miejsce w mgnieniu oka, ale nie mogę.

– Dlaczego?

– Nieważne – zacisnął pięści. – Skoro sam nie wiesz, ja ci nie podpowiem, jeszcze nie czas... Tyle tylko powiem, że jest w tobie coś, co mnie powstrzymuje. No i Jefim też nie puszcza.

– Chodzi o czynniki najwyższe? – spytał ostrożnie major.

– Tak – odparł ze złością Jusuf. – Chodzi o czynnik najwyższy. Skoro wiesz, po co zadajesz głupie pytania?

Natychmiast odwrócił się i wyładował złość na Efraimie, który miał pecha znaleźć się w zasięgu bicia.

Przejęcie dowództwa przez ibn Eblisa miało jeszcze jeden pozytywny aspekt. Krnąbrni podwładni przestali przy każdej okazji zrzucać piaskowe mundury, posłusznie wbijali na głowy charakterystyczne dość wysokie, okrągłe czapki. Nawet Sybilla ubrana w workowatą zbyt dużą bluzę przestała działać na zmysły towarzyszy tak mocno, jak przedtem. Widać było, że każdy z uczestników wyprawy nienawidził Jusufa z całego... właśnie – czego? – serca? Może duszy? Czy demon ma coś takiego jak serce i duszę?... W każdym razie na pewno nienawidzili go z całej siły. Ale pustynny duch w ogóle się tym nie przejmował. Zresztą, czym miał się niby martwić? Zwyczajny dowódca – człowiek – może się obawiać, że niewdzięczni podkomendni poderzną mu gardło o północy, wsadzą nóż w plecy, strzelą w głowę podczas ataku. W przypadku ducha ten problem nie istniał. Nawet ciało, w którym przebywał, zdawało się niezniszczalne. Raskolnikow widział Efraima, który spadł z wysokich skał na ostre kamienie. Wstał, otrząpął się i poszedł dalej. A powinien rozsmarować się na kształt dojrzałej truskawki. Nie miała prawa pozostać w nim nawet jedna cała kość.

– Nomadzi, nomadzi przed nami! – Rozmyślenia majora przerwał krzyk. W stronę oddziału pędził Vidar. Jako wielkiego łowcę, wysyłali go przodem na rozpoznanie. Raskolnikow wiedział już, że waleczny Norman, niegdyś wiking, został skazany na los demona za urządzanie polowań na ludzi wraz z walkiriami. Przeszło tysiąc lat wcześniej...

– Ilu ich jest?

– Całe plemię! Ze stu wojowników, a z nimi baby i dzieci! Dostrzegli nas już i wystali silny oddział.

– Oni nienawidzą Legii Cudzoziemskiej, ostrzegano mnie – mruknął major. – Nie odpuszczą ludziom ubranym w takie mundury.

– Słyszeliście? – Jusuf obejrzał się na żołnierzy. – I bardzo dobrze! My też nie odpuścimy! Pokażemy, na co nas stać?

Odpowiedział mu radosny wrzask. Podwładni po raz pierwszy od pojawienia się Jusufa okazali zadowolenie. A potem ruszyli...



Raskolnikow oglądał pobojowisko z przerażeniem i niesmakiem. Demony urządziły sobie krwawą ucztę. Teraz znów miał przed sobą odzianych w uniformy ludzi, ale godzinę temu... Gdyby pozostały w nim jeszcze jakieś wątpliwości co do natury tych

istot, musiałby się ich pozbyć ostatecznie. Najstraszniejszy okazał się Borys Wij. Kiedy uwijał się wśród przerażonych Arabów, majorowi stawały przed oczami sceny z baśni słyszanych w dzieciństwie. Nie, żeby potężny brodacz zamienił się w skrzydlatą bestię. Ale było bardzo blisko.

Wszyscy nomadzi leżeli na piasku, niektórzy porządnie nadgryzieni. Krew już pociemniała, zrudziała, cuchnęły wyprute wnętrzności.

– On śpi. – Poczują na ramieniu dotknięcie. Odwrócił się gwałtownie. Ujrzał pocziwą twarz sierżanta. – Nażarł się ludzkim strachem, nasycił przelewaniem krwi i zapadł w odrętwienie. Potrwa to jakiś czas... niedługo...

– Co się dzieje? – Major czuł chodzący po plecach dreszcz.

– Złapał trop – szepnęła sierżant. – Im więcej zaś zła uczyni, tym pewniej pójdzie do celu. Ciężka przed tobą przeprawa... Ale musisz sobie poradzić. Twoja misja jest zagrożona.

– O czym mówisz? O jakim zagrożeniu?

– Twojej misji.

– Jak to, sam przecież mówisz, że idziemy prosto do celu. Do tego kotła...

– Nie wiesz? – Starszyna przygryzł wargi. – Nic nawet dziwnego. Chruszczow i Beria... Możesz być pewien, że towarzysz Stalin nie wie o tobie całej prawdy. Inaczej... Przecież nie wysłałby... Chyba by nie wysłał...

Zawiesił głos.

– Mów, człowieku! Co inaczej? Kogo by nie wysłał?

– Nic więcej nie powiem. Słowa, nawet jeśli nie mają wielkiej mocy, potrafią zaszkodzić. Zaś ich echo rozbrzmiewa zbyt długo, więc Jusuf mógłby je usłyszeć, chociażby w twojej głowie. Niedobrze się stało, że pozwoliłem mu się uwolnić. Teraz jestem zbyt słaby, by go na powrót okiełznać. Muszę wciąż walczyć, by nie wyparł mojej duszy z jej własnego cielesnego przybytku.

– Dlaczego zatem pozwoliłeś mu się opanować?

– Bo wydałeś taki rozkaz.

– Ja? A co ja mam do tego? Przecież mówiłeś o najwyższym czynniku.

Gawriłow chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdążył. Na majora spojrzały poczerńałe nagle oczy o wielkich źrenicach. Ibn Eblis powrócił.

– Idziemy – powiedział. – Pora.

Raskolnikow szedł na końcu oddziału. Działo się coś, czego zupełnie nie rozumiał. Ostatnie słowa starszyny... Co mogły oznaczać?

– Kocioł demonów – zagrzemiał Jusuf od czoła. Milczał przez chwilę, jakby smakował brzmienie tych słów. – Kocioł demonów – powtórzył z lubością. – Jakże wspaniała będzie chwila, gdy do niego dotrzemy.

– Posłuchaj, panie Raskolnikow – zabrzmiało tuż koło ucha majora. Wzdrygnął się, spojrzawszy w bok. Ujrzał ciemną twarz o lisim uśmiechu. Efraim. Czego ten spryciarz może chcieć? – Posłuchaj no pan, panie komunisto. – Dybuk zmrzążył oczy. – Jest interes do zrobienia.

Dopiero w tej chwili do majora dotarł cały sens słów ibn Eblisa.

– Czemu on tak się cieszy, że idziemy do tego jakiegoś kotła? Dlaczego, skoro tak wam na tym zależy, sami nie odszukaliście go już dawno?

Efraim spoważniał, spojrzawszy prosto w oczy Rosjanina.

– Nie wiesz? – spytał zdumiony. Zaraz jednak zreflektował się. – Tak, przecież zostałeś wychowany z daleka od religii, od mądrych opowieści, mądrości gromadzonej

przez pokolenia.

– Wychowano mnie w jedynie słusznym światopoglądzie! – odparł z dumą major.

– Ile masz lat, chłopcze? – Dybuk skrzywił się. – Dwadzieścia siedem, prawda? Nie pamiętasz już, jak dawniej bywało. Nie wiesz nic o prześladowaniach religijnych, o pogromach...

– W państwie sowieckim nie ma religijnych prześladowań i pogromów Żydów!

– Religii nie ma. Prześladowania i pogromy nadal mają miejsce. Cel może jest inny, tłumaczenie inne, ale zasada zawsze ta sama.

– Nieważne – majora zaczęła irytować ta rozmowa. – Powiedz mi, dlaczego taki Jusuf sam nie znalazł tego kotła, skoro tak o tym marzył.

– Bo nie miał zezwolenia najwyższego czynnika. – Dybuk wzruszył ramionami z taką miną, jakby to wszystko było oczywiste. – Bez takiego pozwolenia żadnemu z nas nie wolno się zbliżyć do tego miejsca.

Znów te czynniki najwyższe. Czyżby demonom była rzeczywiście potrzebna zgoda Komitetu Centralnego? Raskolnikow poczuł nagle przypływ szacunku dla aktywu partyjnego. Niektóre decyzje wierchuszki mogą się czasem wydawać dziwne albo nawet błędne, jednak jeśli członkowie partii potrafią kontrolować demony...

– A czynnik najwyższy nie tylko zezwolił, ale nawet nakazał odnaleźć kocioł – zaśmiał się Efraim. – Dlatego mam dla ciebie pewną propozycję, towarzyszu. Przychodzę do ciebie jako do ziomka, krajana niejako, brata krwi.

– Ziomka? – zdziwił się Raskolnikow. – Ja jestem Rosjaninem, a ty Żydem...

– Rosjaninem – parsknął dybuk. – A co to znaczy być Rosjaninem? Co w ogóle śmiertelnik wie o swoich korzeniach? Znałeś swoich rodziców? Znałeś dziadków? Niech cię nie zwiedzie, że masz jasne oczy i blond czuprynę. Jak to się mówi, każdy na świecie ma w sobie choć cząstkę krwi żydowskiej. Naród wybrany zawsze był niesłychanie ekspansywny i płodny.

– Nawet jeśli trochę się gdzieś zamieszało...

– Rodziców swoich znałeś? – przerwał mu Efraim.

– Nie. Wychowałem się w sierocińcu...

– Właśnie. A potem upomniała się o ciebie armia i tak poszło, zacząłeś robić karierę. Twoi rodzice zostali zamordowani przez siepaczy... Nie, nie wzdragaj się, nie przez czerwonych. Przeciwnie. Byli zażartymi zwolennikami rewolucji. Wprowadzali nowe zwyczaje, zwalczali, jak wy to nazywacie, zabobon. Ale przyszli białogwardziści i powiesili ich tuż pod transparentem, pod którym twoi rodzice prowadzili zapisy do partii, nauczali o kolektywizacji... Byli Żydami, chłopcze. Wywodzili się z prawowiernej rodziny. A tobie dano nazwisko, jakie kierownik sierocińca znalazł w pierwszej na chybił trafił wziętej książce. A Ruslan miał na imię jego pies, pamiętasz? Wypadło to, jak wypadło, nic już nie poradzisz.

Major poczuł zawrót głowy.

– O czym ty mówisz, skąd to wiesz?

– Wszyscy to wiemy. – Efraim spojrzął na plecy poprzedzających ich żołnierzy. – Chcesz wreszcie posłuchać, jaką mam dla ciebie propozycję?

– Mów – westchnął Raskolnikow. Nie wierzył w opowieść dybuka. Ten najwyraźniej chciał coś ugrać za plecami współtowarzyszy.

– Kiedy już dotrzemy na miejsce, pamiętaj o jednym – Efraim zniżył głos. Dopiero po chwili major zdał sobie sprawę, że demon nie tyle mówił ciszej, co rozbrzmiewał

prosto w jego głowie. – Pamiętaj, żeby nie czynić niczego pochopnie, bo może się okazać...

Nagle urwał, zakwilił żałościwie. Raskolnikow z rosnącym zdumieniem patrzył, jak dybuk odrywa się od ziemi, szybuje na czoło oddziału. Tam zawisł w powietrzu tuż przed obliczem ibn Eblisa. Rozgniewanym obliczem, wykrzywionym grymasem wściekłości.

– Spróbuj jeszcze raz! – zagrzmiął. – Spróbuj tylko, przekłety gudażu! Zmiażdżę cię jak pustynną pchłę, zamienię twoje bytowanie w nieustający koszmar! Jeszcze gorszy niż był do tej pory!

Efraim był najwyraźniej przerażony. Kiwał gorliwie głową, bezradnie majtając nogami w powietrzu. Jusuf odwrócił się, zmierzył Raskolnikowa uważnym spojrzeniem.

– A ty nie daj się zwieść oszukańczym słowom – głos znów rozległ się wprost w głowie majora, tym razem jednak o wiele bardziej nieprzyjemny niż wtedy, kiedy Efraim odezwał się w ten sposób. – Mamy misję do wykonania i musimy ją doprowadzić do końca.



W nocy długo nie mógł zasnąć. Rozmowa z Efraimem zupełnie wytrąciła go z równowagi. Najpierw dziwne słowa sierżanta, kiedy zdołał wyrwać się na chwilę spod wpływu Jusufa, potem ten dybuk... Czego mógł chcieć, co zamierzał mu przekazać? Po tym, jak ibn Eblis przywołał go do porządku, najwyraźniej unikał Raskolnikowa. Kiedy major usiłował się do niego zbliżyć, umykał w popłochu.

Oficer odwrócił się na drugi bok, podłożył rękę pod głowę. Spał w pewnym oddaleniu od reszty. Demony w ludzkich ciałach zachowywały się w nocy co najmniej niepokojąco. Co i raz któryś zrywał się z krzykiem, jakby dręczyły go najokropniejsze koszmary. To, że w ogóle duchy kładły się do snu, było wystarczająco dziwne. Dopiero po kilku dniach Raskolnikow zdał sobie sprawę, że przecież ciało człowieka wymaga odpoczynku, a i Gawriłow przecież wspominał, że uwięzione w nim straszydła od czasu do czasu śpią. Widać tak już został świat skonstruowany. Współczuł tylko sierżantowi, bo jeśli te dranie tak samo wariowały w nim... Nic dziwnego, że wylądował w szpitalu psychiatrycznym. Nagle zateśknił za Jefimem. Było przynajmniej do kogo usta otworzyć. Z demonami zasadniczo nie miał o czym rozmawiać. Zresztą one też nieszczęśliwie garnęły się do człowieka. Raz czy dwa podchwycił nawet łokome spojrzenie Vidara. Gdyby myśliwemu tylko pozwolić, z pewnością pochłonęły majora w jednej chwili.

Nagle Rusłan poderwał głowę. Jego czujność wzbudził lekki szelest. Zupełnie jakby mysz buszowała w trawie, ale przecież pośrodku skalistej pustyni nie było trawy...

– Ćśśś – tchnął mu prosto w ucho delikatny szept. Poczłwał wyraźny zapach ciężkich perfum i mięty. – To tylko ja.

Odwrócił się powoli. W skąpym świetle wąskiego sierpa księżycy ujrzał smagłą twarz o regularnych rysach. W pierwszej chwili przestraszył go wyraźny błękitny blask

płynący z oczu, ale zaraz się opanował. Gdyby demon zamierzał go zabić, nie przemawiałby, ale po prostu zrobił swoje.

- Czego chcesz, Sybillo? – spytał.
- Ciebie, człowieku – odparła. Uśmiechała się.
- Chcesz mnie zabić?
- Przeciwnie.

To, co stało się potem, było po prostu niesamowite. Nigdy przedtem nie doświadczył tak wielkiej rozkoszy. Wargi demonicy zdawały się być wszędzie, a gdziekolwiek go dotknęły, odczuwał niewysłowioną przyjemność. Starał się jej odpłacić ze wszystkich sił, a ona przystawała chętnie na każdą propozycję. Wreszcie legł, zmęczony, z poczuciem niesamowitego, niezaznanego nigdy wcześniej spełnienia.

– Nieprawdopodobne – mruknął, patrząc na kobietę przytuloną do jego boku. – Dlaczego przysłaś do mnie? Przecież każdy z twoich towarzyszy chętnie by...

Położyła mu palec na ustach.

- Żaden demon nie potrafi dać takiej przyjemności, jak śmiertelnik.
- Nie rozumiem, przecież mają moc, stać ich na pewno na więcej niż mnie.
- Tak – zaśmiała się cichutko. – Tak by się mogło zdawać. Ale oni wszyscy to zwyczajne niezdary w tym względzie. Demony są wielkimi samolubami, Rusłanie. Dlatego nie potrafią uszczęśliwić kobiety.

Raskolnikow milczał. Słowa docierały do niego z pewnym opóźnieniem, przefiltrowane jeszcze przez niedawne doznania.

– Przez tę swoją samolubność taki duch staje się bezradny w obliczu aktu płciowego – ciągnęła Sybilla. – Dba tylko o to, żeby jemu było dobrze, stara się wyciągnąć z obiektu jak najwięcej. Oczywiście wyją na widok spódniczki, zachowują się jak wygłodniałe wilki, ale mogą co najwyżej posunąć się do gwałtu, a on ma tyle wspólnego z przyjemnością, co wyschłe źródło ze wzburzonym morzem. Zbliżenie polega nie tylko na braniu, bo wtedy nikt nie ma z niego przyjemności. Wy, ludzie, jesteście bardziej nastawieni na dawanie. Dlatego zawsze wolałam robić to z wami – westchnęła ciężko. – Od czasów króla Salomona nie spotkałam jednak jeszcze mężczyzny, który potrafiłby mi zaoferować tyle, co on. To był kochanek. Miał siłę i, co najważniejsze, rozum oraz fantazję.

Majorowi uczyniło się przykro. Sybilla była wprawdzie demonem, ale wspomnianie dawnych kochanków tuż po orgazmie tego, który spoczął właśnie obok niej było – delikatnie rzecz ujmując – nietaktowne. Za to doskonale potwierdzało jej słowa o samolubności demonów.

– Ale ty też jesteś dobry – dodała łaskawie. – Gdybyśmy byli ze sobą dłużej, kto wie, może potrafiłbyś zatrzeć w mojej pamięci wspomnienie o żydowskim królu.

– A ty... – Raskolnikow zawahał się przez chwilę, zbierając myśli, żeby zadać sensowne, treściwe pytanie. – Przecież też jesteś duchem, a jednak umiesz sprawić mężczyźnie przyjemność.

– Jestem kobietą – odparła poważnie. – My zaś po obu stronach świata różnimy się od was dość mocno. Po tamtej bodaj nawet mocniej. Ile znasz opowieści o tym, jak duch zakochał się w zwyczajnej kobiecie? A ile historii, baśni o miłości śmiertelnika do istoty z krainy duchów? Właśnie. To jest najlepsza odpowiedź na twoje pytanie. Dlatego przysłałam do ciebie. Dlatego i jeszcze w innym celu. Muszę ci o czymś powiedzieć. Koniecznie.

Raskolnikow usłyszał w jej głosie coś w rodzaju lęku, obawy, a przede wszystkim determinacji. Otrząsnął się więc z resztek wspomnień miłosnych zapasów, nadstawił ucha. Może wreszcie dowie się czegoś, co wyjaśni zachowanie Gawriłowa i Efraima.

– Mówiłam ci o Salomonie – zaczęła Sybilla. – To był człowiek wielkiej mądrości. Tak wielkiej, że umiał poskramiać demony, potrafił je zamknąć w czymś, co nazwano kotłem, ale w istocie rzeczy jest zupełnie czym innym. To po prostu...

– Milcz, portowa dziwko! – zahuczał potężny bas.

Raskolnikow skoczył na równe nogi, Sybilla skuliła się na ziemi. Jusuf zawisł nad nimi z twarzą wykrzywioną wściekłością.

– Możesz kotłasić się ze śmiertelnikiem – grzmiał demon – możesz szeptać mu do ucha czułe słówka, ale są rzeczy, których wyjawić nie wolno! Dlatego nakładam na twoje usta pieczęć milczenia! – Uczynił skomplikowany gest palcami. – A na twoje myśli nakładam więzy niemożności! – Znów podobny gest.

Sybilla, która próbowała coś jeszcze powiedzieć Rusłanowi za pomocą przekazu pozawerbalnego, wycofała się z jego umysłu. Przez ułamek sekundy major poczuł ból, jaki stał się udziałem nieszczęsnej, gdy ibn Eblis krępował jej wołę.

– A ty – Jusuf spojrział na człowieka – nie daj się zwieść sztuczkom i zapewnieniom ich wszystkich. Każdy demon, jeśli zwraca się do śmiertelnika, chce ugrać coś na własną rękę. Nie ma przy tym mowy, żeby kierował się dobrem kogo innego niż on sam.

– Ty też? – spytał odważnie major, choć z emocji zaschło mu w ustach.

– Ja też – padła spokojna odpowiedź. – Ale mnie pilnuje Gawriłow. Zna każdą moją myśl. Mam jednak nadzieję, że niedługo uda mi się go wyrzucić. Jest coraz słabszy. A kiedy to nastąpi... – zawiesił głos. – Nieważne – dokończył po chwili. – W tej chwili najważniejsze, to wykonać rozkazy najwyższego czynnika! Nikt i nic nie może nam przeszkodzić, a już na pewno nie knowania demonów niższego rodzaju!

Ostatnie słowa Jusufa znów wprawiły Raskolnikowa w mimowolny podziw dla wszechmocy i nieprawdopodobnych wpływów organizacji partyjnej. Tymczasem Sybilla oddalała się chwiejnym krokiem. Po raz pierwszy na jej widok pozostałe demony nie zaczęły zachowywać się jak wataha wygłodniałych marynarzy.



Byli coraz bliżej celu. Dało się to wyczuć po coraz większej nerwowości Jusufa. O ile przedtem nie szczędził bata podkomendnym, o tyle teraz tłukł ich po prostu bez litości. I bez przerwy. Dlatego major znów, chcąc nie chcąc, musiał iść za odziałem, żeby nie oberwać ciężkim bykowcem. Zastanawiał się nawet, czy to katowanie demonów nie jest li tylko metodą odcięcia ich od człowieka. Co takiego chciał ukryć Jusuf, że nie pozwalał im rozmawiać ze śmiertelnikiem? Jaka w tym wszystkim kryła się tajemnica?

– Oddział przed nami – zameldował Vidar. Był chyba jedynym, który nie brał ciężgów od przywódcy.

– Ludzie?

- Człowiek i grupa demonów.
- Ile? – Jusuf zaniepokoił się.
- Sześć. Jeszcze nas nie dostrzegli
- Słyszeliście? – zawołał ibn Eblis. – Naprzód, zanim się zorientują.

W jednej chwili major został zupełnie sam. Cały oddział zniknął, jakby rozplynął się w powietrzu. Po chwili gdzieś z przodu rozległ się grzmot przypominający wystrzał działa kolejowego. Podobne odgłosy było słychać pod Stalingradem, kiedy Niemcy dociągnęli artylerię najcięższą. Człowiek, zaniepokojony, pobiegł w tamtą stronę.

Kiedy dotarł na miejsce, zobaczył rzecz zaskakującą. Grzmot rozlegał się co jakiś czas nadal, ale grupa demonów pozostawała w bezruchu. Patrzyły na siebie i tylko kontury ciał rozmywały się, drgały, jakby w każdym z żołnierzy toczyła się wewnętrzna niepojęta walka. Obok stał człowiek w niemieckim mundurze. Raskolnikow pomyślał przelotnie, że faktycznie w tym rejonie świata wróg nie musi się ukrywać, stroić w cudze piórka. Wśród Arabów hitlerowcy mieli wielu zwolenników. Odruchowo sięgnął do kabury, przeciwnik uczynił to samo. Jednak, zanim zdążyli wydobyć broń, spojrzeli sobie w oczy. Major zamarł, Niemiec także. Rusłan miał wrażenie, że przegląda się w lustrze. To było coś więcej niż podobieństwo twarzy. Towarzyszyło temu poczucie, jakby... Szukał właściwego słowa. Poczucie czego? Nagle odpowiednie określenie pojawiło się w głowie. Tożsamość. To tak, jakby ujrzał nagle samego siebie z zewnątrz, cudzymi oczami. Świat zawirował.

- Was ist los? – odezwał się Niemiec. – Wer bist du?

Trzymał cały czas dłoń na kaburze, ale nie próbował wydobyć broni. Najwidoczniej zmylił go widok munduru legionisty.

– Ich kann fragen nach dasselbe – odparł major łamaną niemczyzną. Był w stanie wygłosić to zdanie poprawnie, ale z zaskoczenia wyszło mu kulawo. W szkole GRU uczyli języków aktualnych i potencjalnych wrogów. Kiedy pobierał tam nauki, Niemcy zaliczali się do tej drugiej kategorii. Panowały nawet bardzo przyjacielskie stosunki, a niemieccy instruktorzy dawali kadetom lekcje prowadzenia skutecznych przesłuchań, wymieniali doświadczenia w tym względzie z biegłymi funkcjonariuszami wywiadu.

- Kim jesteś? – powtórzył pytanie Niemiec.
- Mógłbym zapytać o to samo – powtórzył odpowiedź Rosjanin.

Milczeli przez chwilę. Grzmoty zamieniły się w jednostajny pomruk. Demony stały kręgiem, zupełnie bez ruchu, wpatrując się w siebie z natężeniem. Sytuacja była co najmniej dwuznaczna. Przez głowę Raskolnikowa przelatowały setki myśli, zarówno związanych z wydarzeniami, jak i zupełnie oderwanych, niechcianych. Ciszę przerwał wreszcie Niemiec.

- Hauptmann Heinz Melich, officer Abwehry.

– Major Rusłan Raskolnikow, officer rosyjskiego wywiadu – zrewanżował się Rosjanin po chwili wahania.

Wróg! Niecierpliwe, drżące palce znów zatańczyły przy kaburach.

- Czego tu szukacie?

Pytanie było zbędne, dlatego Raskolnikow nie zadał sobie nawet trudu, żeby odpowiedzieć chociaż monosylabą. Wojskowy w towarzystwie demonów. To mogło oznaczać tylko jedno. Tak czy inaczej, trzeba było coś postanowić. Major wpatrywał się w twarz Niemca... W swoją twarz, a zarazem nie swoją. Czy tak czuje się ktoś, kto spotyka nagle brata bliźniaka, o którym do tej pory nic nie wiedział? Nie, to coś więcej, coś nieuchwytnego. W tej chwili pożałował, że jest twardym wyznawcą światopoglądu

materialistycznego, bo z chęcią by się pomodlił. Niemiec nie miał najwyraźniej takich oporów. Przeżegnał się.

Wtedy Jusuf ibn Eblis ryknął, jakby został żgnięty rozpalonym do czerwoności żelazem.

– Dość tego! – zawołał. – Jesteśmy teraz w liczbie właściwej i trzeba brać się do roboty!

Coś przeskoczyło w głowie Rusłana – trzynąście demonów... Trzynastka to ważna liczba. Wszak wokół Chrystusa było dwunastu apostołów, a on był tym trzynastym, najważniejszym. Przecież dawniej liczba miesięcy liczonych periodami księżyca wynosiła trzynąście. Dla jednych to pojęcie feralne, dla innych szczęśliwe. Przesady, przesady...

– Niech to diabli – powiedział na cały głos.

– Wedle życzenia – zarechotał Jusuf. Towarzyszył mu usłużny śmiech pozostałych demonów.

– O co tu chodzi? – spytał bezradnie Raskolnikow. Dlaczego nie powiedziano mu dokładnie, na czym polega misja? Dlaczego dowództwo i aktyw partyjny nie zaufali mu na tyle, żeby nie musiał teraz gubić się w domysłach?

W tej chwili twarz Jusufa zmieniła się. Rysy uległy wygładzeniu, oczy stały się niebieskie. Gawriłow najwyraźniej zyskał – przynajmniej chwilową – przewagę.

– Majorze – powiedział. – Przecież pan zna dokładnie wytyczne.

– Znam. Mamy znaleźć kocioł demonów i dokonać przejęcia, najlepiej przywieźć go na punkt kontaktowy.

– A w razie zagrożenia zniszczyć, o ile to możliwe – uzupełnił sierżant.

– To też wiem, starszyna – warknął Rusłan. – Powiedz coś, co wyjaśni mi ten cały cyrk! Co z tym niby – kotłem?

– Naprawdę nie wiesz, czym jest kocioł demonów, owo naczynie Salomona? Ech, to socjalistyczne wychowanie... Żydowski władca zamknął w nim siedemdziesiąt dwa najgroźniejsze demony i zabezpieczył go zaklęciem.

– Jak to najgroźniejsze? A te tutaj to co? Dzieci niewinne?

– Żebyś wiedział, majorze. Dzieci niewinne w porównaniu z tamtymi.

– Ale na cholerę nam to diabelstwo?

Gawriłow uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Kto uwolni demony, będzie miał je na swoje usługi... Przynajmniej przez jakiś czas. – Twarz żołnierza skrzywiła się, kąciki warg poszły w dół. – Jusuf zaraz mnie zdominuje – mruknął. – Silny jest. Mówiłem, że to niebezpieczne powierzyć mu władzę.

– Ale... – Raskolnikow chciał jeszcze o coś zapytać, ale w tym momencie oblicze rozmówcy wyostrzyło się, oczy pociemniały, skóra stała się smągła.

– Dość gadania! – wrzasnął ibn Eblis. – Trzeba brać się do roboty! Trzynąście demonów i ich przewodnik... – Zerknął na niemieckiego oficera. – Dwóch przewodników...

Mruczał do siebie przez chwilę.

– Zaraz... Powinno być nas trzynastu wszystkich razem, czy tylko demonów? I na pewno nie dwóch przewodników. Czynniki najwyższy... – Jusuf miał bardzo niepewną minę.

Demon miał najwyraźniej problem z prostymi działaniami algebraicznymi i podstawami logiki. Raskolnikow wzruszył w duchu ramionami. A kto powiedział, że

taki duch musi być od razu wielkim myślicielem?

Tymczasem ibn Eblis ze zmarszczonymi brwiami, wciąż międląc pod nosem jakieś słowa, wodził wzrokiem od Rusłana do Heinza i z powrotem. „Zatem Niemcy rzeczywiście wpadli na ten koncept – pomyślał major. – Przysłali tutaj człowieka z bandą demonów, żeby uzyskać władzę nad uwolnionymi złymi duchami”. Przeszył go dreszcz na myśl o tym, jak wrogowie mogliby wykorzystać taką potęgę, a zaraz potem drugi, spowodowany uświadomieniem sobie po raz kolejny, że materialistyczny ogląd świata nie jest jedynym możliwym i powszechnie obowiązującym.

Jusuf podjął wreszcie decyzję. Ryknął wściekle, skoczył zniecka i jednym kłapięciem pożał Niemca. To było coś niesamowitego, zupełnie jakby w tym momencie cała postać ibn Eblisa zamieniła się w wielkie szczęki. Raskolnikow odruchowo zasłonił głowę ręką. Był pewien, że za chwilę także on padnie ofiarą ataku. Widać wysiłek umysłowy na tyle zmęczył demona, że postanowił sobie uprościć to, co miał po stronie danych. Lecz duch nie uczynił nic więcej.

– Dwanaście czy trzynaście – warknął – co wreszcie za różnica? Nie mamy przecież warzyć dekoktu na wieczną młodość.

– Dlaczego? – Major odzyskał oddech i zdolność mówienia. – Dlaczego pożał tego Niemca?

– A po co nam was dwóch? Nie można zaburzać działania czynnika najwyższego.

W głowie Raskolnikowa panował chaos. Podchwycił spojrzenie Sybilli. Był w nim lęk i coś na kształt współczucia.



– Jesteśmy – Jusuf sapnął z zadowoleniem.

Stali pośrodku wielkiej, okrągłej pieczary. Rozświetlały ją promienie słońca wpadające przez pokaźny otwór w sklepieniu.

– Tutaj ma być ten kocioł? – spytał major niepewnie.

– Jaki kocioł? – Jusuf zaśmiał się głośno. – Nie ma żadnego kotła miedzianego czy innego, prawda towarzysze? – Powiódł wzrokiem po pozostałych demonach.

– Prawda – odpowiedział mu pomruk. Poza Vidarem i jednym z demonów, które przybyły z Niemcem, a którego imienia Rusłan jeszcze nie poznał, nikt nie okazywał zbytniego entuzjazmu. A ten drugi wesołek był także typem północnym, wyglądał niczym żywe wyobrażenie niemieckiego raubrittera.

– Wreszcie zobaczą się z tatusiem – oznajmił ibn Eblis.

Z tatusiem? W skołatanej głowie Raskolnikowa coś jakby zazgrzytało. Ibn Eblis? Major wysilił umysł. Wspomnienia, wspomnienia... Gdzieś spotkał się z tym imieniem... Eblis... Gdzie to było? Nagle go olśniło. Baśnie z tysiąca i jednej nocy! A właściwie przypisy do tych baśni, stanowiące osobny tom. Eblis było arabskim imieniem samego szatana. A „ibn” znaczy „syn”. Ibn Eblis to syn szatana! Po rosyjsku nazywałby się Jusuf Eblisowicz! Ciało Rusłana przeszył zimny dreszcz. Tylko dlaczego inne demony, poza tymi germańskimi idiotami, nie okazują wielkiej radości?

– Jak to nie ma kotła? – spytał major. – Przecież wyraźnie mi powiedziano...

– To tylko przenośnia, śmiertelniku! – zagrział Jusuf. – Duchy to nie ogórki pod wódeczkę, nie trzeba ich kisić w naczyniu, żeby stały się lepsze! Patrz tam!

Wskazał ścianę przed sobą. Raskolnikow podszedł bliżej. Ujrzał wyrzeźbiony w skale napis w języku bodaj hebrajskim, a pod nim skomplikowany znak. W mnogości linii można było zobaczyć koło, pentagram, coś, co mogło przedstawiać jakieś konstelacje gwiazd, a poza tym niesamowite zawijasy, układające się w pozornie chaotyczny, ale przyjemny dla oka wzór.

– Co to ma być? – zapytał podejrzliwie.

– Pieczęć przeklętego króla Salomona – zasyczał ibn Eblis.

– Nie rozumiem.

– Nie rozumiem, nie rozumiem – Jusuf zirytował się. – A co ty w ogóle rozumiesz? Trzeba było zostawić sobie tamtego Niemca, pewnie był lepiej poinformowany, dobrze mówię, Wesel? – zwrócił się do raubrittera. Tamten w odpowiedzi kiwnął entuzjastycznie głową. – Tak myślałem. Władze fryców nie ukrywają przed swoimi poddanymi istnienia sił nadprzyrodzonych, nie każą im wierzyć w filozofię materializmu. Ale nie, ja musiałem zarżnąć tego, któremu nie trzeba by było wszystkiego tłumaczyć – gderał. – To pewnie przez tego Gawriłowa, w którym siedzę. Niech go anioły porwą, gada przeklętego! Jak tylko będzie okazja, wypieprzę go ze środka na cztery wiatry.

Spojrzał wrogo na Raskolnikowa.

– A ty oczywiście nic nie wiesz. O kotle będziesz bredził. Kocioł to tylko nazwa tej jaskini. A cały dowcip tkwi w tym znaku. – Zerknął na pieczęć i zaraz odwrócił wzrok. – Czynniki najwyższe powołał go do życia i tylko czynniki najwyższe może go zniszczyć, uwolnić zakłętę w nim nieszczęsną duszę!

Czynniki najwyższe? Co on znowu o tych partyjnych władzach?

– A ty nie możesz tego zrobić, skoro już tutaj jesteś? – Major postanowił zyskać trochę na czasie, dać sobie szansę przemyślenia paru spraw.

– Nie mogę – odparł niecierpliwie ibn Eblis. – Tylko dzięki pozwoleniu czynnika najwyższego dano nam możliwość dotrzeć aż tutaj. Gdyby nie to, musielibyśmy omijać to miejsce szerokim łukiem.

„Diabli – major przygryzł wargi – o co chodzi z tym czynnikiem najwyższym? Czemu wciąż o tym mówisz?”

– Nie wolno mi się zbliżyć do pieczęci – ciągnął Jusuf. – Tylko potomek króla Salomona, wywodzący się od niego w najprostszej męskiej linii jest w stanie ją zniszczyć. No! – zaryczał tak głośno, że spod sklepienia oderwało się kilka kamieni. – Na co czekasz, śmiertelniku? Bierz. – Wcisnął w prawą rękę majora ciężki młotek, a w lewą solidny przecinak. – Do roboty, rozwał to gówno!

Major w tym momencie wreszcie poskładał wszystkie elementy łamigłówki. Ścisnął młotek, a następnie zdzielił nim Jusufa z całej siły w potężny łeb. Oczy demona uciekły w głąb czaszki, a Raskolnikow wskazał palcem pieczęć.

Nie znał słów, które zaczęły płynąć z jego ust. Czuł tylko ich potęgę, zdawał sobie sprawę z niesamowitej siły, którą w tej chwili dysponował. Demony rozpięchły się przerażone, ale moc, którą w tej chwili emanował rosyjski oficer, nie pozwalała im ani uciec, ani przeciwstawić się rozkazom. Już wiedział, dlaczego nie radowała ich obecność w tym miejscu. Czuł to całym sobą. Bały się, były przerażone w obliczu potęgi większej niż ich wola, ich dzikość, potęgi, która płynęła od tajemniczej pieczęci. Tylko demony z północy nie zdawały sobie sprawy z zagrożenia. „Niedojrzała religia –

przeleciało przez głowę majorowi. – Wierzenia wikińskich łupieżców były zbyt prymitywne, żeby powstały tam inteligentniejsze formy duchów”. To była dziwna, niechciana myśl, która nadleciała znikąd i zaraz zniknęła w rwącym potoku nowych doznań.



– Jesteś zupełnym kretynem, towarzyszu majorze – oznajmił uroczyście Gawriłow, przyglądając się Raskolnikowowi, który w pocie czoła kuł skałę dookoła pieczęci Salomona. – Po co ci to?

– Trzeba ją zabrać – sapnął Ruslan. – Nie może tak sobie tkwić na oczach i kusić następnych. W ukryciu będzie bezpieczniejsza.

– W ukryciu? – parsknął sierżant. – Gdzie chcesz ją schować i po co? Wszystkie duchy i tak będą znały jej położenie. Jeszcze do ciebie nie dotarło, że bez pomocy potomka Salomona nie były w stanie nic z tym zrobić?

– Dotarło, dotarło – mruknął major, przerywając pracę. – Dotarło w chwili, kiedy zrozumiałem, że czynnik najwyższy, na który się powołują, to nie władze partyjne, ale ci, którzy są uprawnieni do złamania pieczęci. Nie myślę się, prawda?

– Naprawdę sporo czasu zajęło ci dojście do tego wniosku. Ale to nie twoja wina. Nie znasz po prostu podstawowych zasad wiary...

– Religia to opium dla mas – odruchowo przerwał oficer.

– Jasne.

Gawriłow podszedł bliżej, z ciekawością patrzył na wyrzeźbione w kamieniu symbole. Guz na jego głowie osiągnął imponującą wielkość sporego jabłka. Przeżył tylko dlatego, że w chwili uderzenia jego ciało było owładnięte przez ibn Eblisa. Cios wymierzony przez potomka Salomona wywarł odpowiednie wrażenie nawet na potężnym demonie. Gdyby zadał go zwykły człowiek, zapewne Jusuf nawet by tego nie poczuł.

– A ty kiedy zrozumiałeś, że jestem potomkiem Salomona, że to klucz do całej sprawy? – spytał major.

– Dokładnie w momencie, kiedy pozwoliłem Jusufowi wyrwać się na wolność, kiedy nie musiał dłużej ukrywać się z zamiarami. Oczywiście, znacznie wcześniej wiedziałem, że będzie z tego wszystkiego jakieś nieszczęście, ale co miałem zrobić?

– Mogłeś odmówić.

– Jak mogłem odmówić?! – wściekł się Gawriłow. – Przecież wydałeś rozkaz!

– Co z tego?

Sierżant pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ponieważ przez większość czasu byłem bardziej lub mniej pod wpływem demonów, także musiałem służyć twoim rozkazom, czy to też trzeba ci tłumaczyć, najwyższy czynnik?

– A co z tamtym Niemcem? To także był potomek rodu Salomona?

– Zgadza się.

– Był do mnie bardzo podobny. Jak brat bliźniak.

Gawriłow zmarszczył brwi.

– Nie zauważyłem.

– Jak to nie zauważyłeś? – Raskolnikow potrząsnął głową. – Czuję się, jakbym spoglądał w lustro.

– A może to było lustro duszy? – Uśmiechnął się sierżant. – Zaś tego człowieka Niemcy znaleźli mniej więcej w tym samym czasie, co i nasi.

– Tak, to się podobno nazywa zjawiskiem synchronicznym – uśmiechnął się Rusłan. – Ludzie w dwóch krajach wpadają na ten sam pomysł...

– Dupa tam zjawisko synchroniczne. – Jefim machnął lekceważąco ręką. – Zwyczajna wojna wywiadów, ot co. Przecież wiesz, że Niemcy byli pierwsi. Ale u nich poszukiwanie potomka Salomona musiało trwać dłużej niż gdzie indziej. W końcu sukcesywnie pozbywają się wszystkich Żydów, których tylko zdołają namierzyć.

Major długo przyglądał się podwładnemu.

– Pewnie masz rację – rzekł wreszcie. – Zdajesz sobie sprawę w ogóle, o czym rozmawiamy? O ezoteryce, o duchach, demonach i postaciach z historii religii... O sowieckich służbach specjalnych, które biorą to na poważnie. Za to można przecież trafić do łagru.

– Albo do psychuszki – uzupełnił gładko Gawriłow. – Jak zamierzacie, majorze, zabrać ten kawał gruzu na punkt kontaktowy?

– Oni pomogą. – Rusłan wskazał spoczywających pod ścianami żołnierzy radzieckich i niemieckich. – Przecież wreszcie przyjdą do siebie.

Gawriłow milczał dłuższą chwilę.

– Posłuchajcie, towarzyszu oficerze wywiadu – powiedział wreszcie. – Naprawdę chcesz oddać tę pieczęć Stalinowi? Myślisz, że ci za to podziękują? Wsadzą cię w najbliższy konwejer i pojedziesz sobie na Kołymę albo inny Magadan, gdzie nikt nie uwierzy w twoje gadanie. Gdzie nikogo nie będzie ono interesować, bo wszyscy tam myślą tylko o tym, żeby przeżyć do dnia następnego.

– Jeśli to znaleźliście ma pomóc ojczyźnie, jestem gotów na wszelkie poświęcenia...

– Jakie pomóc? Zastanów się, biedaku. Czy jesteś gotów rozbić pieczęć i uwolnić te przeklęte demony, które uwięził tam najpierw Salomon, a potem ty? Skąd wiesz, ile wypraw podobnych do naszej już tutaj przyszło? Może wcale nie jesteśmy pierwsi? Może przed tobą inni potomkowie mądrego króla zamknęli w pieczęci kolejne złe duchy?

– Tym bardziej jestem zdecydowany uczynić wszystko, żeby pieczęć nie dostała się w ręce faszystów albo imperialistów.

Gawriłow westchnął ciężko. Na wspomnienie tego, co się stało, kiedy major wypowiadał hebrajską formułę zaklęcia, poczuł chłód. Obserwował wszystko, zepchnięty przez Jusufa gdzieś na krawędź świadomości. Niesamowite było to uczucie, kiedy nagle demon zniknął, posłuszny rozkazowi potomka Salomona. Po raz pierwszy od wielu lat sierżant był w swoim ciele zupełnie sam. Z jednej strony odczuwał ulgę, ale z drugiej czegoś mu brakowało. Przywykł już do tych wszystkich niechcianych gości.

– Szkoda Sybilli – powiedział cicho, bardziej do siebie niż majora. – Dobra była z niej demonica. Chociaż ona mogła zostać.

– Nie zastanawiałem się nad tym – odparł Raskolnikow. – Słowa płynęły przeze mnie, jakbym to nie ja je... – mówił coraz wolniej, zdając sobie sprawę z tego, co właściwie zaszło przed kilkoma godzinami. – To nie ja je wypowiadałem – zawołał odkrywco. – To musiał być duch króla Salomona!

– Albo raczej pamięć pokoleń. – Gawriłow skrzywił się z powątpiewaniem. – Naprawdę chcesz wracać do Związku Radzieckiego, towarzyszu majorze?

– A ty nie? Chciałbyś uciec?

Gawriłow wzruszył ramionami.

– Mnie tam wszystko jedno. Prędzej czy później przyplączą się do mnie następne niespokojne duchy. Tak czy inaczej, gdziekolwiek bym przebywał, skończę w przytułku dla obłąkanych. U naszych nie było wcale tak źle. Ale dla kogoś takiego, jak pan, to będzie piekło. Potrafisz, drogi majorze, zapanować nad straszliwymi demonami, ale nie masz władzy nad zwykłymi ludźmi. A ludzie cię zjedzą. Towarzysze z Komitetu Centralnego będą niezmiernie zawiedzeni, że nie wykonałeś zadania w taki sposób, jakiego się spodziewali. Nie przywieziesz upragnionego kotła, ale kawałek rzeźby naskalnej, która do niczego się nie przyda. Możesz ją zniszczyć, ale przecież nie da rady wypuszczać demonów pojedynczo lub małymi partiami. Trzeba by je uwolnić wszystkie naraz, a wtedy... Szkoda gadać. Przecież tak naprawdę nie wiemy, ile ich jest wewnątrz i co uczynią. To zrozumie nawet najbardziej zatwardziały marksista.

– Co racja, to racja – powiedział cicho major.

– W takim razie daruj sobie ten cały cyrk. Zostaw to tutaj w cholerę i niech się dzieje, co chce. Zawieziesz zdobycz do Moskwy i co się niby stanie? Zamkną diabełstwo w kazamatach Kremla, może będą robić jakieś eksperymenty, a ciebie... Nie muszą kończyć. A świat jest przecież wielki, pełen możliwości.

– Ale Związek Radziecki jest tylko jeden, stanowi najcenniejszy brylant na mapie świata. Być może nasi uczeni zdołają jakoś wykorzystać ten starożytny artefakt na chwałę rewolucji światowej.

Gawriłow pokręcił głową z podziwem.

– Komunizm jest chyba nieuleczalny – powiedział z ciężkim westchnieniem. – A o mnie mówią, że jestem opętany... Czyli jak? Wracamy?

– Wracamy – odpowiedział twardo major. – Co ma być, to będzie.

Invidia

Podasz jej to razem z winem, koniecznie hipokrasem, żeby zapach korzeni zabił woń wywaru.

Stara wiedźma ukazała w uśmiechu bezzębne dziąsła. Były czarne i lśniące, najwyraźniej z przyczyny wypróbowywania na samej sobie różnych mikstur.

– Pamiętaj, wielmożna pani. Koniecznie z hipokrasem. I tylko trzy krople, nie więcej. Trzy krople wystarczą w zupełności, zapamiętaj.

Niewieścia postać w jasnym płaszczu z naciągniętym na głowę kapturem, w pośpiechu opuściła cuchnącą chałupę. Stara długo patrzyła przez okno, jak niewiasta oddala się w kierunku zamku.

– Leć, gołąbeczko. Uciesz kochanka dzisiejszej nocy. Dołącz swój grzech do grzechów innych ludzi, niech wzbiera ten wrzód, niech puchnie i dojrzewa, by tym więcej uszło z niego plugastwa, gdy go rozetnie ostrze gniewu Bożego.

Wyszła przed dom, wystawiła twarz na ciepłe promienie porannego słońca.

– Pleć się, życie, pleć. Kto dziś zazna szczęścia, a kto zostanie zdradzony? Wszystko w rękach Boga, powiadają głupi ludzie, jakby nie rozumieli, że wszystko jest w ich rękach właśnie, a Bóg tylko patrzy na nich z wysoka. Patrzy i smuci się, bo oglądając, co się wyprawia na tej ziemi, zapewne nie ma się z czego radować. Och, wygodnie zrzucać na Najwyższego winę za uczynki własne. Któż nie chciałby bowiem od grzechu się odżegnać tak łatwo?



– Król nie będzie rad z takiego rozwiązania sprawy. – Na twarzy Izabeli malowała się troska. W czarnych włosach księcia dostrzegła pierwsze białe nitki. Troski, troski... – Miałaś rozgromić Maurów, a nie zasiadać z nimi do wspólnego stołu.

Księżna współczuła małżonkowi z całego serca. Wrócił z wyprawy rano, a już w południe musiał zwołać naradę. Sprawy nagliły, ledwie zdążył się wyparzyć w łaźni i zjeść. W tej chwili także, zamiast ogrzać się ciepłem domowego ogniska, omawiał z żoną sprawy państwowe.

– Król. – Rodrigo zmarszczył brwi. – Tak, król... Nasz Ferdynand nie byłby zadowolony, nawet gdybym przywiózł mu w darze głowę Alego al-Nasara, którego, jak wiesz, nienawidzi z całej duszy. Cokolwiek bym uczynił, nieodmiennie spotkam się z zarzutem, iż działam na szkodę władcy. Gdyby tylko mógł znaleźć pretekst, żeby mnie usunąć, na pewno dawno przysłałby tutaj wielką armię. A gdyby nie twoja osoba, uczyniłby to nawet bez szukania usprawiedliwienia.

– Nie zrobi tego, dopóki żyję. – Księżna uśmiechnęła się lekko. – Wiąże go słowo dane mojemu ojcu, jeżeli je złamię, baronowie staną przeciwko niemu. A ja na razie nie zamierzam umierać.

Rodrigo nie odwzajemnił uśmiechu. Zerknął na dziewczynę przysłuchującą się rozmowie.

– Tylko dlatego tak się dzieje, że twój ojciec wydarł przyrzeczenie z królewskiego gardła na łożu śmierci, przy świadkach. Spójrz – wskazała młodą kobietę – nawet twoja siostra nie jest bezpieczna od zakusów naszego władcy, gdybyś odeszła... Słowo króla dotyczy tylko ciebie, bo jej wszak nie było jeszcze na świecie. Nawet twoja matka nie wiedziała podówczas, że porodzi dziecko po zgonie rodzica.

– Więc musisz o mnie bardzo dbać! – roześmiała się. – I pilnować jak oka w głowie! Wtedy i ty będziesz bezpieczny i Anna nie musi się niepokoić o swoje życie.

Ujął jej dłoń, złożył na niej gorący pocałunek.

– Dbać będę o ciebie nie dlatego, że lękam się Ferdynanda, i dobrze o tym wiesz! Połączyłem się z tobą z miłości, nie dla innych korzyści!

– Wiem. – Skinęła poważnie głową. – Wszak nie czym innym, jak małżeństwem ze mną ściągnąłeś na swą głowę kolejny powód do nienawiści ze strony panującego domu.

– Nie mówmy już o tym. Jutro przyjedzie Faradz al-Dżuwaji, żeby zaprzysiąc ostatecznie układ. Ciągnie tu z doradcami i uczonymi mężami, więc ich pochod naturalnie musi być wolniejszy niż moich oddziałów. Pojechaliśmy przodem, by cię uprzedzić, a poza tym nie mogłem się już doczekać... Za kilka dni natomiast zjawi się królewski kanclerz, by zatwierdzić porozumienie.

– Faradz al-Dżuwaji... wiele o nim słyszałam. Złego i dobrego.

– W haremie trzyma ponoć sto dwadzieścia niewiast! – odezwała się nagle Anna. – Nieszczęsne istoty! To musi być okropny człowiek!

Rodrigo spojrział na nią zaskoczony. Skąd w tej milczącej na ogół i łagodnej istocie tyle złości?

– Takie u nich panują obyczaje, moja droga. Nie ma się czym gorszyć.

– Jeśli już jesteśmy przy temacie haremu – Izabela zniżyła głos do szeptu, zbliżając usta do ucha męża – czekam na ciebie dziś w nocy... Stęskniłam się za tobą, ukochany.

Ze zdziwieniem pochwyciła niechętne spojrzenie siostry. Zdaje się, że zbyt długo trzymają ją z dala od światowego życia. Jak jednak wysłać Annę gdzieś, gdzie mogą ją osiągnąć ręce niełaskawego monarchy, gdzie czeka siepacz ze zdradzieckim sztyletem albo kielich z trucizną? Westchnęła w duchu. Trzeba będzie jednak z coś tym zrobić. W dziewczynie burzy się już krew. Jednak dziś nie pora na podejmowanie decyzji. Dzisiaj nadszedł czas, by nacieszyć się ukochanym mężczyzną.

– Anno – powiedziała. – Czy zjesz z nami wieczerzę?

– Nie, siostrzo. – Siostra księżnej umknęła spojrzeniem. – Zapewne wolicie być sami. Przyjdź jednak, proszę, do mnie, zanim udasz się na spoczynek. Chciałabym, jak zwykle, życzyć ci dobrej nocy.

– Oczywiście, że tak uczynię. Ani przez chwilę nie miałam zamiaru postąpić inaczej.

– A potem zaraz przybywaj do mnie – zaśmiał się książę. – Tylko niech przyjdzie ta właściwa! Jesteście tak podobne, że gdyby Anna była parę lat starsza, mógłbym was pomylić. Obie wdaliście się w matkę. Na starość będziecie zapewne wyglądać jak bliźniaczki!

– Co nam opowiesz o starości – fuknęła ze złością Izabela. – Będziemy o niej rozprawiać i martwić się nią, gdy nadejdzie czas.

Rodrigo miał ochotę zwrócić żonie uwagę na niestosowność tak ostrych słów wygłaszanych w chwili, kiedy nie są sami, jednak zmilczał. W oczach Izabeli dostrzegł troskę i mrok. Życie w ciągłym napięciu nadszarpnęło także jej zdrowie. Zazwyczaj nie pozwalała sobie na okazywanie złych nastrojów, przygnębienie maskowała lekkim tonem, bagatelizowała problemy, ale czasem nawet ona musiała dać upust rozdrażnieniu.



Wsunęła się do komnaty niczym ulotny cień, cicho, na podobieństwo sennej zjawy. Ze zdumieniem ujrzał, że ubrała się w zwiewną mauretańską szatę, której materia osłaniała ją szczelnie aż po gorejące namiętnością oczy. Wyciągnął do niej ręce.

– Chodź, ukochana. Przez trzy miesiące nie dotykałem kobiecego ciała. Czy przywdziałas ten strój, żeby rozpalić mnie jeszcze bardziej? To niepotrzebne...

Podeszła, kołysząc biodrami, położyła mu palec na ustach.

– Cśśśś – szept zabrzmiał jak powiew wiatru w gałęziach cedru. – Nie mówmy nic. Nie psujmy tych chwil...

Chciał ją pochwycić w objęcia, lecz zwinnie umknęła. Błyskawicznie znalazła się przy kandelabrze. Na moment odgarnęła z twarzy jaszmak, dmuchnęła. Nim zdążył dostrzec jej urodziwe oblicze, zapadła ciemność.

– Noc kochanków – mruknął. – Nawet księżyc skrył się za chmurami.

Wyczuł obok siebie ruch. Sięgnął ramieniem, natrafił na płat jedwabiu skrywający gorące ciało, które teraz mógł odkrywać na nowo.

– Mirra i opium – rzekł niskim, wibrującym głosem. – Moje ulubione pachnidło... Chodź bliżej, najmiłsza.

Zwiewna szata opadła na podłogę. Twarz księcia owionął wonny oddech. Pierwszy pocałunek był zaskoczeniem. Zbyt długo nie było go w domu, skoro wargi żony smakowały, jakby ich zażywał po raz pierwszy.



Wsparty na łokciu nadaremnie próbował przebić wzrokiem ciemność. Mięśnie lekko drżały po wyczerpujących miłosnych zapasach.

– Odmłodziłaś przez te miesiące, mógłbym przysiąc – powiedział. – Twe piersi odzyskały dawną jędrność, kibić wyszczupłała, odniosłem nawet wrażenie, iż twe łono stało się dziewicze jak w pierwszą noc po ślubie. Jakby ci z dziesiątek lat ubyło, jakbyś jeszcze nigdy nie rodziła.

Milczała. Wbrew swojej niepokornej, zmysłowej naturze podczas zbliżenia nie odzywała się ani słowem, nie zakrzyzczała z rozkoszy, raz tylko zakwilila niczym raniony jastrząb, w chwili kiedy w nią wchodził.

– Odpowiedz, najmilsza. Dlaczego nic nie mówisz?

– Muszę już iść – szepnęła. – Wypocznij. Jutro czekają cię obowiązki państwowo.

– Zawsze najlepiej odpoczywam przy tobie, wiesz o tym. Co się stało? Zachowujesz się dziwnie.

– Muszę iść – powtórzyła.

Chciała się podnieść, lecz powstrzymało ją silne ramię.

– Nie podoba mi się twoje zachowanie! Leż spokojnie.

Nago, jak wstał, wyskoczył na korytarz. Zdumiony strażnik patrzył wytrzeszczonymi oczami, jak jego pan porywa ze ściany łuczywo i znika w mroku sypialni.

– Anno, to ty?! – Stał nad łóżem, patrząc na dziewczęcą nagość. Dziewczyna próbowała naciągnąć na siebie prześcieradło, zasłonić srom i piersi, ale wzburzony książę brutalnie zerwał z niej miękki jedwab. – Powinienem wcześniej nabrać podejrzeń! Powinienem od razu sprawdzić, dlaczego smakujesz inaczej niż zwykle. No cóż, nic tak nie przeszkadza mężczyźnie myśleć, jak kipiące nasienie! Co zrobiłaś Izabeli? Gdzie ona jest?

– Śpi. Podałam jej w winie środek na sen.

– Dlaczego to uczyniłaś?

– Przecież wiesz, że zawsze pragnęłam tylko ciebie... W całej Kastylii nie ma mężczyzny, którego pragnęłabym bardziej. Na całym bożym świecie nie masz takiego!

– Co ty wygadujesz, dziewczyno? Oszalałaś?!

– Tak! Oszalałam! Oszalałam z miłości do ciebie! Pokochałam cię od samego początku, już wtedy, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz, kiedy byłam jeszcze dziewczynką, a ty przybyłeś prosić o rękę mojej siostry. Od tamtej pory marzyłam tylko o tobie. Pragnęłam pojąć cię chociaż przez chwilę. Lecz nie, bo jedynie Izabela miała do ciebie prawo! Ona i tylko ona! Sądziłam, że taka wierność, jak twoja, zdarza się tylko w głupich pieśniach trubadurów... Nigdy nie dostrzegałeś moich znaków. Nigdy nie chciałeś ich zobaczyć!

Książę chwycił się za głowę. Tak, teraz wszystko ułożyło się w całość. Te chmurne spojrzenia, dziwne nastroje, napady złości, niechęć do udziału we wspólnych posiłkach... Wszystko to nasiliło się w ostatnim czasie, ale składał to na karb panującego napięcia i wieku Anny.

– Coś ty narobiła? Głupia dziewczucho! Skrzywdziłaś siebie, mnie i ją!

– Nie obchodzi mnie to! Chociaż tej jednej nocy miałam cię tylko dla siebie.

– Milcz, podła! I czekaj tu!

Strażnik nie zdążył jeszcze ochłonąć ze zdziwienia po poprzednim zdarzeniu, kiedy książę znowu wyskoczył z komnaty, tym razem odziany jedynie w portki.

– Pilnuj drzwi, Juan – warknął, zatrzymując się na chwilę. – Nie ruszaj się stąd pod żadnym pozorem! Nikt nie ma prawa wyjść z sypialni ani do niej wejść!

Potem pognał, ile sił w nogach, zniknął za załomem korytarza. Upłynęło zaledwie kilka chwil, kiedy dobiegł stamtąd rozpaczliwy krzyk. Strażnik drgnął, chcąc pobiec na pomoc, jednak rozkaz Rodriga był wyraźny.

Po niedługim czasie usłyszał energiczne kroki. Księżę wyłonił się zza zakrętu. Twarz miał poszarzałą i ściągniętą, oczy zamglone, a w ręku długi sztylet. Otarł się o Juana, potarcił go, jakby nie dostrzegł zwalistego gwardzisty, po czym z hukiem otworzył drzwi komnaty.

– Ona nie żyje! Zabiłaś ją!

Anna leżała blada, jej ciało ogarnął dziwny bezwład. Zabiła? Stara mówiła, żeby tylko trzy krople... Włała dwakroć tyle, na wszelki wypadek, jednak nie sądziła, żeby...

– Jest już zimna jak lód, ty ladacznico!

– Nie chciałam tego – wyszeptała. – Przysięgam, nie chciałam!

Rodrigo nie słuchał. Wzniósł rękę do ciosu. Anna skuliła się, przerażona, zamknęła oczy, czekając na uderzenie. Zamiast tego usłyszała hałas, odgłosy szamotaniny i krzyk.

– Uciekaj, pani! Ratuj się, księżno! Ja go zatrzymam!

Uniosła powieki. Juan szarpał się z księciem. Natychmiast poderwała się z łoża i uciekła na korytarz. Wpadła do swojego pokoju, zatrzasnęła drzwi, zamknęła zasuwę i zaparła wejście, przysuwając ciężkie łoża. W zwyczajnych okolicznościach nie poruszyłyby mebla nawet na piędź, ale strach dodał jej sił.

– Co wam, panie? – strażnik dyszał, ostatkiem sił powstrzymując dłoń Rodriga.

Nagle ręka księcia zwiotczała.

– Puść! Już nic nie uczynię! Puść, Juan!

Żołnierz niechętnie wypełnił rozkaz. Jeśli księżę oszalał, gotów jeszcze pchnąć go pod źebro... Jednak Rodrigo usiadł ciężko na łożu. Ukrył twarz w dłoniach.

– Zostaw mnie samego – powiedział niewyraźnie. – I każ zaciągnąć wartę przed pokojem księżniczki Anny. Nie wolno jej wychodzić pod karą gardła.

– Czy coś się... – Juan nie dokończył pytania, bo spojrzały na niego przepełnione bólem oczy.

– Idź już!

W tej chwili nadbiegł szambelan.

– Panie, emir Faradz al-Dżuwaji nadjechał!

– Nie w porę. – Księżę spojrział w okno. – Wszystko dzieje się nie w porę.

Za murami zamku noc powoli ustępowała przed mocą światła. Szkoda, pomyślał Rodrigo, że to, co się stało w mroku, nie zniknie wraz z nim.



Al-Dżuwaji patrzył ze współczuciem na opuszczoną głowę Rodriga.

– Dotknęło cię wielkie nieszczęście, przyjacielu. Sam nie wiem, jak wyrazić współczucie.

– Kochałem ją – wymamrotał książę. – Kochałem ją bardziej niż własne życie, bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek na świecie. Dla niej pozabawiłem się widoków na królewską łaskę, dla jej serca związałem się z wyklętym i znieawidzonym rodem... Bez niej wszystko straciło sens.

Faradz westchnął ciężko.

– Wiem, co czujesz. I ja swego czasu straciłem ukochaną żonę. Jednak musiałem się podnieść po tym ciosie. Sprawujesz władzę w swojej prowincji. Nie odpowiadasz tylko za siebie, ale masz pod opieką poddanych sobie ludzi, hidalgów, kupców i prosty lud. Twoje nieszczęście nie może na nich spaść niespodziewaną lawiną. Musisz się otrząsnąć.

Błyszczące zawsze oczy księcia były zgaszone i smutne, kiedy obdarzył emira przeciągłym spojrzeniem.

– Tobie łatwo mówić. Masz wszak wiele żon i nałożnic.

– Zgadza się, bardzo wiele. Jednak naprawdę kochałem tylko jedną.

Rodrigo obliznął spierzchnięte wargi.

– Przez głupotę i gorącą krew tej dziewczyny, wraz z Izabelą na śmierć skazany został cały jej ród, a zapewne i ja, a także wielu oddanych mi ludzi. Króla przestanie wiązać przysięga dana jej ojcu. Zrobi wszystko, by zniszczyć po znieawidzonym rodzie najmniejszy nawet ślad. Zawarte przez nas przymierze nawet funta kłaków teraz nie będzie warte, przyjacielu. Jedź w swoją drogę i zapomnij o mnie.

Al-Dżuwaji potrząsnął głową. W jego głosie zadźwięczała stal.

– Zaprzysięgliśmy sobie braterstwo, gjaurze, pamiętasz? Jeżeli uważasz, że moje słowo nie jest nic warte, obrażasz mnie!

Rodrigo znowu opuścił głowę.

– Wybacz, Faradzu, przemawiają przeze mnie smutek i ból.

– Smutek i ból... – powtórzył Al-Dżuwaji. – A moje imię w waszym języku oznaczałoby Radość. Tak już widać w życiu jest, że smutek musi się spotkać z radością... Na wszystko można znaleźć sposób. Na wszystko jest jakaś rada.

– O czym mówisz? Jakie tutaj może być rozwiązanie?

– Zbyt świeża jest jeszcze twoja rana. Wypij teraz dekokt, prześpij się. Władca nie ma prawa oddawać się bez reszty rozpacz. O ileż w tym względzie szczęśliwsi są zwykli ludzie... Nie patrz tak na mnie. Prześpij się, powiadam, a ja się tutaj rozejrzę, pomyślę. Nie zostawię cię samego w nieszczęściu.



– Wyglądasz o wiele lepiej niż wczorajszego dnia – rzekł z pewnym zadowoleniem Faradz. – Sen ci posłużył.

– Nie zdołał jednak ukoić bólu.

– Tylko czas jest zdolny to uczynić.

Rodrigo, unosząc pytająco brwi, spojrzał na człowieka towarzyszącego Maurowi.

– To Ali ibn Kamal, człek wielkiej mądrości i doświadczenia. Niedawno przyjechał ze wschodu, z samego Bagdadu. Posłuchaj historii, którą chce ci pokrótce opowiedzieć.

– Czy to jest ta rada, o której wspominałeś? – Rodrigo usiadł na drewnianym karle.
– Zatem niech mówi.

Ali ibn Kamal odchrząknął.

– Szlachetny panie – zaczął – wiedz, iż przeżywam twój ból, jakoby i mnie dotknął. Jak kwietna łąka, gdy ją cień burzowej chmury okryje, jak rybny staw, gdy zła ręka jad weń wsączy...

– Ali! – napomniął mędrca Faradz. – Nie okraszaj swojej mowy tymi wszystkimi ozdobnikami. Nie jesteś na posiedzeniu dywanu w stolicy!

– Wybacz, panie. Już mówię bardziej zwięźle. Otóż, rzecz podobna przydarzyła się ponad dwieście lat temu szejkowi Hassanowi al-Nubiemu. Naraził się na gniew sułtana, który zapowiedział, iż nie podaruje zniewagi i zniszczy szejka, kiedy tylko umrze jego pierwsza żona. Pochodziła ona z rodu nie tylko skoligaconego z sułtanem, ale i tak potężnego, że władca nie mógł z nim bezkarnie zdrzeć. Krótko mówiąc, ktoś pewnej nocy zasztyletował Zubejdę w jej własnym łóżu, w haremie szejka. Dokonał owego czynu pewien najemny morderca, członek fanatycznej sekty. Przesłuchiwany przysięgał, że zleciła to morderstwo zazdrosna nałożnica. Zapewne sam sułtan zapłacił zabójcy. Jednakowoż jednego nie przewidział. Jak dobrze wiesz, kobietom naszym publicznie nie wolno odsłaniać oblicza. Skorzystał z tego Hassan al-Nubi. Ogłosił wszem i wobec, że morderca pomylił się i została zabita jedna z nałożnic, lecz jego małżonka nie poniosła uszczerbku na zdrowiu. Odtąd jedna z jego pozostałych żon, podobna z postaci do nieboszczki, grała rolę Zubejdy. Sułtan gryzł palce ze złości, ale poradzić mógł niewiele ani odkryć prawdy bez uciekania się do gwałtownych działań, zaś na to, jak rzekłem, nie bardzo mógł sobie pozwolić.

Rodrigo skrzywił się niechętnie.

– To bardzo interesująca opowieść. Jednak nie bardzo rozumiem, jak ma się do tego, co mnie spotkało.

– Sam mówiłeś kiedyś – odezwał się Faradz – że Anna jest bardzo podobna do swojej starszej siostry, a twojej małżonki.

– Bo tak jest w istocie. Jednak cóż z tego wynika?

– Dalej nie rozumiesz? Trzeba zamienić morderczynię w ofiarę.

Książę zmrużył oczy.

– Wiesz, do czego mnie namawiasz, Maurze?

– Oczywiście, że wiem, przyjacielu.

– Nawet gdybym to zrobił, ludzie rozniosą prawdę na językach.

– Niekoniecznie. Podobno nawet ten strażnik, który cię powstrzymał przed zabiciem Anny, pomylił ją z Izabelą.

– Było ciemno, przyświecało jedynie łuczywo.

– A jednak on będzie świadczył, że w przypiływie szaleństwa nastawałeś na żonę właśnie. Zapewne, gdy uciekła, schowała się w pokoju swej siostry, a ta biedna wrażliwa istota, zmarła od samego strachu. Nieszczęsne dziecko. Jej serce nie wytrzymało ogromu przerażenia. Zaczynasz już pojmovać?

– Jesteś przebiegły jak każdy Arab! – mruknął Rodrigo z mimowolnym podziwem.

– Jak każdy, kto musi sobie wyrąbywać drogę w gąszczu intryg.

– Będę się sobą brzydził, jeśli skorzystam z twoich rad.

– Ale uratujesz, przynajmniej na jakiś czas, jeśli nie na zawsze, swoją dziedzinę. Pomyśl też o synku, który nieświadom zawisłego nad nim niebezpieczeństwa, ssie w kołysce kciuk. Pomyśl o tych wszystkich, którzy przez lata dochowywali ci

wierności. Nie możesz ich zawieść. A jeżeli ktoś z twojego otoczenia zacznie coś podejrzewać lub mówić, zatkaś mu usta złotem albo mieczem, zależy co uznasz za skuteczniejsze. Teraz najważniejsze, żebyś przetrwał. Nikt nie jest wieczny, król Ferdynand też. Może nadejdzie dla ciebie sprzyjający moment. Ale przecież nie doczekasz go, jeśli poddasz się losowi i zaprzestaniesz walki.

– Nie wiem, czy potrafię być aż tak obłudny.

– Przekonajmy się zatem. Na kiedy wyznaczyleś uroczystości z okazji zawarcia układu? Kiedy przyjeżdża pełnomocnik waszego króla?



Siedziała sztywno na książęcym krześle. Nigdy nie przypuszczała, że ten wykładany miękkimi poduszkami mebel może być tak niewygodny. Rodrigo rzucał jej od czasu do czasu spojrzenie, jakby miał ochotę ją zabić.

– Jego wysokość, emir Faradz al-Dżuwaji! – oznajmił herold, uderzając laską w posadzkę.

Arab wszedł dostojnym, wolnym krokiem, w otoczeniu licznej świty. Na moment zatrzymał się w drzwiach, a potem ruszył w stronę podwyższenia, na którym siedziała książęca para. Rodrigo powstał, zszedł dwa stopnie.

– Pozwól, że ci przedstawię – powiedział lekko schrypniętym z emocji głosem – oto moja małżonka, o której tyle ci opowiadałem, Izabela z rodu Oviedo.

Al-Dżuwaji spojrzał na bladą, zmizerniałą twarz kobiety.

– Wiele słyszałem o twej urodzie, pani – rzekł. – I widzę, że opowieści te nie były ani odrobinę przesadzone. Chciałbym wyrazić smutek i żalność z powodu nieszczęścia, jakie na was spadło. Wasza nieodżałowanej pamięci siostra... Wielka szkoda. Mogła jeszcze wiele osiągnąć, mogła być przydatna dla przeprowadzenia korzystnych koligacji... Chciałbym przejąć na siebie choć cząstkę waszego bólu, aby wam ulżyć w cierpieniu.

Skinęła głową, przełamując sztywność i odrętwienie.

Książę zszedł niżej, wziął Faradza w objęcia.

– Widzisz – szepnął Maur – co potrafią babskie malowidła? Wygląda na starszą niż jest! Kobiety mają swoje sposoby, mówiłem ci. Zwykle jednak pragną się odmłodzić, nie postarzyć.

– To wszystko jest obrzydliwe.

– To wszystko jest potrzebne! Pamiętaj o tym. I nie patrz na nią z taką nienawiścią. Jeśli tak ma być, lepiej w ogóle nie spoglądaj w jej kierunku. Pani – zwrócił się do Anny – mam nadzieję, że wasz dom zostanie pobłogosławiony nie tylko tym jednym potomkiem, o którym opowiadał mi mój przyjaciel, książę Rodrigo.

Anna z trudem powstrzymywała łzy. Przez tyle lat marzyła o życiu u boku Rodriga, a teraz jej marzenie miało się spełnić w tak potworny sposób! Bez miłości, bez nadziei, jedynie w imię przetrwania!

– Dziękuję ci, szlachetny panie – powiedziała. – Ja zaś mam nadzieję, że pokój i przymierze dziś potwierdzone w obecności królewskiego kanclerza będą trwały po

wsze czasy.

– Dziękuję ci, Izabelo. – Rodrigo zbliżył się, ujął jej dłoń. Był zimna i mokra od potu. – A teraz pozwól, że omówimy niezbędne szczegóły, zaś sama dopilnuj, by przygotowania do uczyt przebiegły sprawnie.

Pustym wzrokiem patrzył, jak Anna wychodzi ze świetlicy.

– Zatem przystąpmy do pracy, panowie – odezwał się kanclerz.

Podążył za spojrzeniem Rodriga.

– Twoja małżonka wygląda na zmęczoną – zauważył. – Zapewne bardzo przeżyła śmierć siostry.

Rodrigo popatrzył na niego przez chwilę, sens słów docierał do niego ze sporym opóźnieniem. Kiedy książę wreszcie pojął, co powiedział wysłannik monarchy, wzdrygnął się.

– Tak, to prawda. Bardzo przeżyła śmierć siostry. Bardzo...

Cena spokoju

Wznoszę toast za zdrowie miłych gości!

Kielich powędrował w górę, wysoko nad głowę earla Gilberta. Ruch spowodował, że kilka kropli z przepełnionego naczynia spłynęło po ściankach i skapnęło na czoło gospodarza. Wyglądało to niepokojąco, jakby wystąpiła na nie krew. Dostojnik niecierpliwym gestem starł wino i rozejrzał się czujnie po twarzach biesiadników. Przesądni Saksończycy gotowi jeszcze uznać tak błahe zdarzenie za łąk wróżbę.

– Za zdrowie wszystkich miłych gości! – powtórzył.

Prawie niedostrzegalnie zmarszczył ciemne, wyraziste brwi. Nie wszystkich, niestety, mógł z czystym sumieniem określić takim mianem. Ot, choćby kłocowatego, zwalistego Wilibalda, pana na Cormick, będącego jednym z głównych filarów opozycji – człowieka sprytnego i bezwzględnego, zajadłego wroga wszystkich bez wyjątku „najeźdźców z Francji”, jak uparcie nazywał normandzkich rycerzy, mimo iż od bitwy pod Hastings upłynęło prawie półtora wieku. Lecz bodaj gorszy jeszcze był Cedric z Coolsey, który nigdy nie krył, że wszystkich Normandów najchętniej ujrzałby wiszących w charakterze ozdób wzdłuż ważniejszych traktów. W zaciętrzewieniu przypominał swego głównego antagonistę, ulubieńca księcia Jana, normandzkiego pięknisia, diuka Ewarysta de Chardin, siedzącego przy stole tuż obok gospodarza. Z jedną tylko różnicą, że ten z kolei podobnie uczyniłby z całą saską szlachtą.

Mimo to spotkali się dzisiaj przy wspólnym stole.

Earl natychmiast przywołał na twarz uprzejmy uśmiech. Odrobina dziegciu może zepsuć smak miodu, ale to jeszcze nie powód, żeby kulturalny człowiek nie przełknął go, nie dając po sobie poznać wstrętu. Upił z kielicha łyk słodkiego wina.

– Wypijmy za zgodę! Po to wszak, by do niej doprowadzić, zgromadziliśmy się w tutejszym zamku! Dzięki wam składam za przybycie, osobliwie tym z was, którzy w mej osobie położyli zaufanie i przyjechali wraz z rodzinami, aby dać świadectwo pokojowych zamiarów.

Spojrzał wymownie na Wilibalda. Sas nawet na czas uczt nie chciał odpasać broni, wyperswadowali mu to dopiero własni ziomkowie, zaś powód nieobecności małżonki wyjaśnił tak, że earl wolał o nic więcej nie pytać. Pan na Cormick uśmiechnął się uprzejmie i skinął łaskawie głową. „Zupełnie jakbym to ja był gościem na jego ziemi, a nie odwrotnie”, pomyślał ze złością Gilbert. Podał roztruchan Ewarystowi, ten

wyszczył odrobinę trunku, a właściwie zanurzył w nim tylko wargi i puścił naczynie dalej.

Edgar z Killarmy szturchnął Wilibalda w bok.

– Twoja żonka gdzie? Trzeba było ją zabrać, niechby niewiasta zobaczyła kawałek świata poza tym twoim kurnikiem.

Cormick skrzywił się z niechęcią.

– Odpowiem ci tak, jak to uczyniłem, gdy mnie Gilbert zapytał o to samo. Otóż obawiam się, że tutejszy klimat, mimo zapewnień Normandów, może się okazać zbyt zabójczy, by niepotrzebnie narażać zdrowie cnej niewiasty. I nie chodzi mi o wilgoć. Powiedz lepiej, czemu ty przybyłeś bez małżonki? Czyżbyś bał się tego samego?

Tym razem Edgar wykrzywił oblicze.

– Gdziez tam! Gdybym przypuszczał, że jej coś tutaj grozi, przymusiłbym zgaę do wyjazdu, choćby siłą. Wiesz wszak, jak ze sobą żyjemy. To zresztą wiedzą wszyscy. Jędzta została w domu, żeby zrobić mi na złość, bo to niby przyłapała mnie z podkuchenną w komorze! A, klnę się na brodę mego ojca, leż to jest i babska imaginacja! Żebyś słyszał. jaką mi urządziła awanturę! Ledwie cały łeb wyniosł, gdy zaczęła we mnie praskać w kuchni sprzętami! Niech to diabli, nigdy bym nie przypuszczał, jak to miejsce pełne jest niebezpiecznych i wręcz zabójczych przedmiotów!

Wilibald patrzył na rozmówcę z pobłażliwą ironią. Wszyscy wiedzieli, że Edgar i Hermina kochają się do szaleństwa, a jeżeli żona robi mu awantury o amory ze służbą, to nie jest temu z pewnością winna tylko jej wyobraźnia. Albo więc Edgar został rzeczywiście przyłapany na obmacywaniu dziewczki, albo skorzystał z takiego pretekstu, żeby nie narażać ukochanej małżonki na najmniejsze choćby niebezpieczeństwo.

– Ciekawe, czy kiedyś w końcu podadzą wieczerzę – mruknął pan na Cormick, gładząc się po brzuchu. – Pięknymi słówkami szlachetnie urodzonego Gilberta raczej trudno się nasycić.

W tej samej chwili earl klasnął w dłonie. Na stołach zaczęły się pojawiać potrawy. Atmosfera natychmiast uległa rozluźnieniu, rozpoczęły się pierwsze głośniejsze rozmowy, prowadzone nieco na siłę, gdyż przemieszani ze sobą przy stołach Saksończycy i Normandowie mieli trudności ze znalezieniem wspólnych w miarę bezpiecznych tematów. Jednak wino szybko zaczęło robić swoje. Języki się rozwiązały, zapanował gwar.

– Nie wiem, czy to był dobry pomysł, żeby ich tak posadzić. – Gilbert pochylił się do diuka Ewarysta. – Niektórzy Sasi słabo rozumieją po francusku albo raczej udają, że tak jest, zaś nasi rycerze z kolei najczęściej ani w ząb nie znają ich mowy.

– Może to i dobrze. – De Chardin skrzywił się. – Przynajmniej nie pobiją się od razu. Wyobrażasz sobie, earlu, że są w stanie rozmawiać w taki sposób, żeby się nawzajem nie podrażnić? Zbyt nas te psy... – ugryzł się w język. Nie wolno przy ugodowym Gilbertcie używać takich słów. Słowa potrafią zdradzić wojownika o wiele łatwiej niż rozwiązała małżonka. – Zbyt nas miejscowi nienawidzą, żeby czegoś nie naszczekać między sobą...

Gilbert spojrział bystro na rozmówcę. Czego spodziewać się po prostej szlachcie, jeżeli ten, który powinien świecić przykładem, wciąż traktuje tutejszą ludność jak stado kundli. Z westchnieniem rozejrzał się po sali.

Za Wilibaldem stanął starszy wiekiem, przygarbiony pacholek, szczerlnie okryty płaszczem. Długie siwe włosy wymykały się spod nasuniętego głęboko kaptura. Earl

spojrzał z ciekawością. Do pilnowania poziomu wina w kielichach zatrudniano raczej młodych chłopców. Czyżby fortuna Wilibalda podpadała tak bardzo, że musi się posiłkować wysłużonymi ludźmi? Wzruszył w duchu ramionami – w końcu, co za różnica... W tym momencie podchwycił spojrzenie starego. Te oczy... paląca nienawiść i groźba, duma i zarazem niezwykle skupienie. To nie były oczy sługi. Kogo Cormick przywłócił ze sobą? Z pewnością coś knuł, jak zawsze. Pytanie tylko – co?



Kobiety, zgromadzone w północnym skrzydle zamku, zajęte dzieleniem się plotkami ze świata, posłyszały śpiewy i krzyki biesiadników. Uczta najwyraźniej nabierała rumieńców. Po chwili dołączyła do niewiast Henrietta, żona earla Gilberta, jako jedyna białogłowa obecna na zgromadzeniu.

– Znowu popijają się jak świnie – mruknęła z niechęcią. – Słyszycie? Już mają nieźle w czubach.

– A czego oczekiwałaś, kochana – zaszczębiotała Margot, od niedawna towarzysząca diuka Ewarysta. – Po to się mężowie wpierv wadzą, żeby przy kielichach dochodzić do zgody. Dobrze choć, że jakowychś tancerek earl nie sprowadził.

– Dałabym ja mu! – warknęła Henrietta. – A raczej nie dałabym właśnie, i to z pół roku najmarniej!

Rozległy się śmiechy.

– A jakąś rozrywkę poza upijaniem się będą w ogóle mieli? – zaciekawiała się Gwynnet, żona Patryka z Coolsey, będąca w zaawansowanej ciąży. Kaleczyła nieco normandzką mowę, ale wyrażała się całkiem poprawnie. – Mojemu staremu to po prawdzie całkiem niepotrzebne, bo do szczęścia wystarczy mu w zupełności kawał dziczyny i dzban wińska, byle wielki, ale inni...

– Gilbert sprowadził Bernarda de Ventadour na specjalne życzenie diuka Ewarysta. – Błyszczące oczy Henrietty zmatowiały i nabrały rozmarzonego wyrazu.

Rozległy się westchnienia.

– Pan de Ventadour... Nam by go raczej przysłał – odezwała się Katarzyna de Novarre. – Po co tym pijakom taki sławny śpiewak... Bo to są w stanie go docenić? – westchnęła. – Widziałam go raz. Piękny mężczyzna... A te nasze dzikusy chętniej same by wyły sprośne piosenki o jurnym Johnie i chętniej Kathrinie.



Earl nie miał chwili spokoju. Co trochę ktoś przepijał do niego albo podchodził zamienić kilka słów. Gospodarz po pierwszym kielichu wina zadowalał się jedynie źródlaną wodą. Chciał zachować jasny umysł. Patrzył z pewną niechęcią na szybko upijających się rycerzy. Cóż, może to potrzebne do porozumienia, wiadomo wszak, że

przy kielichu zgoda łatwiej przychodzi. Oprócz niego tylko dwóch ludzi zdawało się zachowywać trzeźwość – Wilibald słynący z niezwykle mocnej głowy i Ewaryst de Chardin, który nie pił prawie wcale, siedział jedynie z kwaśną i ponurą miną. Gilbert zauważył, że obaj przeciwnicy rzucają na siebie czujne spojrzenia, zupełnie jakby na coś czekali. Earla przeszedł dreszcz. Co to może oznaczać? Chociaż, z drugiej strony, zdaje się, że on sam przejmując się zbyt mocno tym wszystkim, niepotrzebnie zwraca uwagę na takie drobiazgi. Może to po prostu zwyczajna i zupełnie uzasadniona niechęć zwaśnionych stron?

Siedzący naprzeciwko Wilibalda hrabia Edward de Gaye, jego najbliższy sąsiad i zaciekle wróg, spoglądał zaczepnie. Kilka razy próbował wciągnąć Cormicka do dyskusji, sprowokować do jakiejś odpowiedzi, ale trafiał na mur obojętności.

– Jakaś świnia – wystrzelił kolejny pocisk – ośmiela się włączyć na polowanie w moje grunta. Jak kiedy złapię, każę za końskim ogonem...

Nie dokończył. Zabelkotał nagle i schylił głowę pod stół. Wilibald podkurczył nogi, kiedy de Gaye zrzucił nadmiar jadła.

– Niektórzy – powiedział do siedzącego obok Ademara de Cruiset – nic a nic nie potrafią upilnować swoich włości. Zgodzicie się ze mną, baronie?

Normand przez chwilę zastanawiał się, do czego może zmierzać ten wielki Sas. Doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi przytaknąć.

– Są takie przypadki.

– Gdyby mnie ktoś wlaź w dziedzinę i ośmielił się wyrzynać jelenie... – Machnął ręką. – Szkoda gadać. A gwoli polowania, dostałem ostatnio znakomicie ułożonego psa...

Przerwał, gdyż przez gwar ucztę zaczęły się delikatne przebijać słodkie dźwięki lutni. Do sali wszedł przystojny, ubrany w jedwabie mężczyzna o godnej postawie. Szczupłe palce przebiegały szybko po strunach instrumentu. Skłonił się earlowi i diukowi, po czym zasiadł u podnóżka Gilberta.

– Spójrzcie, panie. – Wilibald wskazał Ademarowi artystę. – Sam Bernard de Ventadour nas zaszczycił. Powiadają, że, aby zyskać tak wielką biegłość i sławę, musiał za młodu porwać jajo druidów.

– Jajo druidów? – Ademar zmarszczył brwi. – A cóż to za zjawisko? Nigdy o nim nie słyszałem.

Wilibald roześmiał się.

– I nie dziwota. Opowieść ta pochodzi bowiem z czasów, gdy rządili tu niepodzielnie Brytowie. Wy, którzyście zajęli ten kraj całkiem niedawno, ani znacie, ani nawet chcecie znać podać wrosłych w naszą ziemię. Opowiedzieć wam?

Ademar skinął głową, uprzejmym uśmiechem okraśliwszy przytyk Sasa. Gdyby nie wyraźny rozkaz earla, odpowiedziałby grubianinowi w sposób, na jaki zasłużył. Wilibald z rozbawieniem obserwował wysiłek, z jakim de Cruiset zachowywał spokój.

– Bajęda ta, jako już rzekłem – podjął – pochodzi z dawnych czasów, ale jak twierdzą niektórzy, pogańska wiara wraz z różnymi jej zjawiskami jeszcze całkiem nie umarła, więc może nadal jest w tym nieco prawdy. Otóż jajo druidów zwane bywa także węzowym. Znosi je bowiem pospólnie gromada węży, na które biegły mag rzuci urok. Nie jest to zwykły gadzi pomiot, zagrzebany gdzieś w ziemi. O nie – przeciwnie – jajo owo wisi w powietrzu nad węzową gromadą, podtrzymywane ich nieustannym sykiem. Kto chce bez nijakiego wysiłku zwyciężać we wszelkich zmaganiach turniejowych, czy też uzyskać niezwykłą biegłość w sztukach, kto pragnie zyskać nieśmiertelną sławę

i stać się ulubieńcem władców, winien takie gniazdo odnaleźć, podkraść się niepostrzeżenie i jajo porwać. Umykać potem trzeba ile sił, a rączy mieć nogi, by wściekle bestie, rozżarte stratą, nie zagryzły śmiałka na miejscu. Omijać potem ów człowiek musi okolicę, w której węże jajo zdobył, gady bowiem do końca swoich dni pamiętać go będą i czekać na sposobność, by dopełnić zemsty. Sława i powodzenie Bernarda de Ventadour aż się prosi o opatrzenie jakąś legendą, a ta wydaje się do niego bardzo pasować. Jemu, jak słyszałem, wcale ta opowieść nie przypadła do gustu, ale tym bardziej wydaje się godna tak wielkiej postaci. Kto wie, może rzeczywiście zdobył swój dar gdzieś w leśnej głuszy...

– Zajmująca i piękna to bajka – Ademar z uznaniem pokiwał głową – a przy tym zabawna. Muszę ją opowiedzieć małżonce. Może utka jaki gobelin z przedstawieniem pana de Ventadour kradnącego nieszczęsnym gadom ich skarb. Muszę wam rzec, że moja ukochana posiada ogromny talent w dłoniach... Już sobie wyobrażam, jaki byłby Bernard wściekły, gdybym mu przesłał w darze podobny obraz...

Wilibalda położył palec na ustach.

– Lepiej przestańmy już gadać, a posłuchajmy śpiewu trubadura, bo zaczyna on zerkać w naszym kierunku, a w spojrzeniu jego łatwo wyczytać wyrzut i niechęć. Gotów się jeszcze obrazić, a wtedy z pieśni nici.

– Istotnie – odparł szeptem Ademar. – Drażliwy jest i ogromnie czuły na swoim punkcie.

Bernard de Ventadour chrząknął znacząco. Wszyscy wlepili w niego oczy. Powszechnie wiadomo, że śpiewak nie znosił, żeby okazywano brak zainteresowania jego występem. Powiadano też, że nie ma na świecie równych mu kunsztem artystów, wyjąwszy może jedynie Bertranda de Born, którego Bernard nienawidził z całego serca i którym pogardzał, z pełną zresztą wzajemnością. Był bardzo zawiedziony, że w uczcie nie biorą udziału kobiety. W końcu to ich spojrzenia i jawnie okazywane uwielbienie powinno stanowić, poza korzyściami materialnymi, treść życia trubadura.

Rozejrzał się, westchnął z rezygnacją i uderzył palcami w struny. Słodki baryton wprawnie, acz z mniejszym niż zwykle zaangażowaniem, poprowadził opowieść o Tristanie, ułożoną swego czasu przez sławnego poetę Thomasa dla samej Alienor Akwitańskiej. Z rozrzwiniętymi słuchali biesiadnicy tragicznej historii kochanków, zżymali się na niegodziwość olbrzyma Morholta, wzruszali szlachetnością króla Marka.

Diuk de Chardin, nadal ponury i skwaszony, przypatrywał się ludziom na sali. Jakże to bolesne, że kwiat normandzkiej szlachty pospolituje się z miejscowymi kundlami! Przekłętę saksońskie świnię, zupełnie nieumiejącą się zachować przy pańskim stole, dłubiące w zębach nożami, czkające, bekające i pierdzące bez żenady, nie zasługują na towarzystwo szlachetnie urodzonych! Z pewnością nie są też w stanie docenić artyzmu wykonania utworu ani gestu Gilberta, który wydał majątek, żeby skłonić sławnego śpiewaka do występu przed saską tłumaczką! Uśmiechnął się krzywo. Ciekawe, co powiedzą, kiedy usłyszą następny utwór.

Utwór zbliżał się do finału. Miękły zatwardziały serca, poruszone opowieścią o miłości sięgającej poza grób. Śpiewak zakończył cichym akordem, po czym ujął dzban. Zerwała się burza oklasków, żądano nowej pieśni. Bernard delektował się wyśmienitym burgundem, z rozkoszą słuchając wyrazów uznania. Pijał tylko wino. Piwem, napojem miejscowych, gardził. Nie dlatego bynajmniej, aby był mu wstrętny jego smak. Po prostu słyszał, że Bertrand de Born zwykł się nim delektować.

Edgar z Killarmy nachylił się do ucha Wilibalda.

– Mówiąc prawdę – mruknął – wolałbym, żeby sprowadzili tu wschodnie tancerki, a przynajmniej kilku błaznów w miejsce tego smętnego durnia. Nic a nic nie jest ucieszny, a ja na dodatek w tym ich psim języku rozumiem tylko piąte przez dziesiąte.

Wilibald w odpowiedzi uśmiechnął się krzywo i rozłożył ręce w bezradnym geście. Nadstawił kielich, a kiedy stary sługa dolał trunku, pan z Cormick powstał.

– Zdrowie i pomyślność dla earla Gilberta, naszego nieocenionego gospodarza – zawołał gromkim głosem. – Zdrowie szlachetnego diuka Ewarysta i wszystkich obecnych, a osobliwie poety i pieśniarza wszech czasów, pana de Ventadour! Za przyjaźń i pokój. I za następną pieśń znamienitego artysty.

Skierował się ku podwyższeniu. Strażnicy za plecami earla poruszyli się niespokojnie, jednak zastygli, uciszeni niecierpliwym machnięciem dłoni Gilberta.

– Drogi earlu, szlachetny diuku! – Wilibald rozłożył ręce szerokim gestem. – Uściśnijmy sobie dłonie i ucałujmy po bratersku! Wypij, panie Gilbercie, ten kielich do dna, by pokazać, że nie są ci wstrętne proste saskie obyczaje!

Gilbert, zaskoczony niespodziewaną serdecznością człowieka, o którym sądził, że przyjechał raczej wszcząć walkę niż być orędownikiem pokoju, z ochotą przyjął uścisk i pocałunek, po czym opróżnił podane naczynie. Diuk de Chardin sprawiał wrażenie nie mniej zdumionego. I on padł w objęcia Wilibalda, szybko się jednak uwolnił. Kiedy Sas wrócił na miejsce, Ewaryst skinął na trubadura, rozkazująco unosząc brwi. Bernard przybladł wyraźnie, ale kiedy zaczął śpiewać, głos miał jak zwykle pewny i dźwięczny. Po pierwszych kilku wersach Gilbert drgnął, ze zdumieniem spojrzął na pieśniarza. To, co słyszał, z pewnością nie było zamówionym poematem o pierwszej wyprawie krzyżowej!

Killarmy znowu trącił Wilibalda.

– Co prawda, jak już mówiłem, niewiele rozumiem z normandzkiego szczekania, ale czy ten marny grajek nie śpiewa przypadkiem o plugawcu Wilhelmie Bękarcie? I bitwie pod Hastings?

– Nie mylisz się, Edgarze. – Cormick zmrzążył oczy, jego wzrok nabrał wyrazu lisiej przebiegłości. – Ten głupiec śpiewa właśnie o tym...

Wśród saskiej szlachty zaczęło się poruszenie. Znający francuską mowę tłumaczyli sens słów mniej jej świadomym. Pieśń sławiła szlachetność i dzielność wojsk Wilhelma Zdobywcy, Sasów zaś ukazywała w świetle zgoła plugawym. W miarę trwania utworu wzrastał się gwar, a kiedy znieważony został król Harald, który miał zginąć przydybany z opuszczonymi portkami w krzakach, gdzie tkwił sparty od strachu żołądkową niemocą, w stronę trubadura poleciał wielki gąsior z winem. Bernard w ostatniej chwili zdołał zasłonić głowę lutnią. Gliniane naczynie rozprysło się, bryzgając na wszystkie strony zawartością, a z instrumentu poszły drzazgi.

Cedric z Coolsey wyrznął pięścią w stół z taką siłą, że pękła solidna dębowa deska.

– Zdrada! – wrzasnął na całe gardło. – Zdrada i potwarz! Hańba!

– Hańba! – zawtórowały mu liczne okrzyki.

Earl Gilbert siedział sztywno, jak sparaliżowany. Zaskoczenie sprawiło, że chwilowo stał się niezdolny do działania. Wzrokiem poszukał ratunku u Ewarysta de Chardin, ale napotkał jedynie drwiące spojrzenie.

Tymczasem Cedric wskoczył na stół.

– Saksończycy! – ryknął – Szlachetni Sasi! Zaproszono nas do gniazda żmij, żeby niby to dochodzić do porozumienia! Tak nam powiedziano! A co spotyka nas w zamian za dobrą wolę? Normandzkie wieprze znieważają pamięć naszych ojców!

Gilbert przemógł wreszcie słabość. Zerwał się z miejsca, z całej siły kopnął zamarłego Bernarda de Ventadour. Ten drgnął, jakby został przebudzony z głębokiego snu i na czworakach zaczął umykać ku wyjściu.

– Zachowajcie spokój! – głos earla przedarł się przez narastający zgiełk. Strażnicy zajęli miejsca po obu stronach pana. – Wierzajcie mi, nic o tym wszystkim nie wiedziałem! Uspokójcie się, proszę!

Jego głos utonął we wrzawie. Biesiadnicy, jeszcze przed chwilą przemieszani, w jednej chwili znaleźli się po przeciwnych stronach sali, przedzieleni rzędem ław i stołów. „Dobrze, że zabroniłem przynosić broń na ucztę”, pomyślał Gilbert. W tej samej chwili błysnęły ukryte w fałdach szat sztylety, krótkie miecze, kordy, a nawet krótkie topory. Cedric z Coolsey wciąż stał na stole, wrzeszcząc, ile sił w płucach.

Wilibald, który znalazł się w samym środku grupy Sasów, przywołał swojego pachołka i coś do niego powiedział. Ten odrzucił do tyłu kaptur.

– Cisza! – rozległ się niesamowicie głośny okrzyk. – Spokój! Zamknij się wreszcie, Cedric, i złaż na dół!

Nagle zapadła cisza. Cedric wprawdzie nie zszedł ze stołu, ale umilkł z otwartymi ustami. Stary pachołek zrzucił płaszcz z ramion. Ukazała się biała lniana szata.

– Druid?! – szepnął ktoś głosem nabrzmiałym przestachem. – Prawdziwy druid?

Starzec, nie spiesząc się, wstał na ławę, z niej na stół, bezceremonialnie zepchnął osłupiałego Cedrica. Wszyscy wlepili w kapłana osłupiały wzrok. Jedyne dwóch ludzi, zamiast obserwować starca, patrzyło sobie w oczy: Wilibald oraz diuk de Chardin.

Earl Gilbert zrozumiał, że zupełnie stracił wpływ na wydarzenia. W rozpacz postanowił poddać się ich biegowi. Żył jeszcze nadzieję, że może staremu druidowi uda się jakoś uspokoić zwaśnione strony. Jednak już pierwsze słowa rozwiały złudzenia.

– Saksońscy panowie! – zawołał kapłan wielkim głosem. – Pełni najlepszych chęci, wiedzeni miłością do swego kraju, zgodziliście się przybyć na spotkanie w jaskini smoka, gotowi zapomnieć o upokorzeniach i urazach! Wielu z was, ufnych w rycerskie słowo earla, przywiodło rodziny, aby dać świadectwo dobrej woli. Lecz co spotkało was w zamian? Oto zdrajczyccy najeźdźcy, którzy od półtora roku gwałcą wasze prawa, występują przeciwko wolności, odmawiają wam prawa do życia, odwdzięczają się dziś za położone w nich zaufanie obelgą tak wielką, że gdyby zmieniła się w kamień, zgniotłaby w pył ten zamek i wszystkie siedziby Normandów!

Gilbert otworzył usta, żeby zaprotestować, jednak opanowało go dziwne osłabienie. Zamiast słów wydobył z gardła ledwie słaby skrzek. Tymczasem druid wbił w niego spojrzenie i wołał dalej.

– Kto według was ponosi winę za doznaną zniewagę? Nikt inny, tylko on! – Wyciągnął rękę w stronę podwyższenia, na którym pobladły nagle earl z trudem łapał powietrze szeroko otwartymi ustami. – Hańba mu!

– Hańba! – rozległ się zgodny krzyk Sasów.

Stało się jasne, że zajście nie może zakończyć się pokojowo. Normandowie skupili się ciasniej, gotowi do walki.

– Śmierć przeniemy! – Druid zacisnął wyciągniętą dłoń w pięść.

Gilbert poczuł duszący ucisk w piersi, a jednocześnie płomień ogarnął ciało, promieniując od dołu brzucha na wszystkie członki. Czas wokół jakby się zatrzymał. Przed sobą widział jedynie wyciągniętą rękę pogańskiego kapłana i jego gorejące nienawiścią oczy. Miał wrażenie, że unosi się w powietrzu, zaczyna sunąć do tyłu, a wszystko oddala się nieskończenie powoli. Wykrzywione wściekłością i nienawiścią

twarze zaczęły blednąć, by za chwilę zasnąć się ciemnym oparem. Zaskoczył go nagły ból w plecach i tyle głowy. Runął bezwładnie na ziemię, przelewając się niczym na wpół wypełniony wodą bukłak.

Pierwszy rzucił się do walki Edward de Gaye. Spojrzał na trzymany w dłoni długi sztylet, zatknął go za pas, wyrwał stojącemu obok rycerzowi miecz, zawiązał nim, po czym z wrzaskiem runął w stronę druida. Stał błysnęła mętnie, cięte ostrzem powietrze cicho zajęczało, a wyciągnięte ramię starca odskoczyło od tułowia, by z głuchym stukotem spaść na deski. Trysnęła struga krwi. Kapłan zwinął się, upadł i natychmiast skonał przyszpilony do stołu morderczym sztychem. Kiedy de Gaye szarpał się z ostrzem, uwieczonym między ściśniętymi śmiertelnym skurczem żebrami, doskoczył doń z wyszczerzonymi zębami Patryk z Coolsey, przyrodni brat Cedrica. W mgnieniu oka Edward upadł, bryzgając posoką z rozerzniętego gardła.

Salę wypełnił bojowy wrzask. Rozżarci widokiem krwi wojownicy rwali się do siebie. Na środku pomieszczenia utworzyło się kłębowisko ciał. W powstałym ścisku trudno było walczyć mieczami i kordami inaczej niż zadając krótkie sztychy, a topory okazały się właściwie bezużyteczne. W ruch poszły zatem głównie sztylety oraz noże używane do krojenia mięsiva.

Wilibald pozostał nieco na uboczu. Dopadł rycerza w barwach templariuszy, szykującego się zadać zdradziecki cios któremuś z Sasów, przycisnął zakonnika ławą do ściany i kopał unieruchomionego w podbrzusze, aż nieszczęśnikowi oczy wyłaziły na wierzch. Kiedy skończył, zakonnik zwinął się, wymiotując, by upaść prosto pod stopy walczących. Wilibald ogarnął szybkim spojrzeniem bitwę oraz podwyższenie, na którym bez ruchu stał diuk de Chardin, obserwujący walczących z dziwnym, drapieżnym uśmiechem. Saksończyk porwał upuszczony przez templariusza sztylet i cisnął nim w kierunku Ewarysta. Chybił o włos. Diuk drgnął, jakby został nagle obudzony z głębokiego snu i błyskawicznie dopadł drzwi. Zniknął za nimi dokładnie w chwili, kiedy następny sztylet podążał w jego stronę, ciśnięty tym razem pewną ręką Edgara z Killarmy. Cormick rzucił się w pogoń za diukiem, jednak przeszkodził mu przewalający się kłęb walczących. Już jakaś ręka sięgała ku jego gardłu. Już z drugiej strony błyskała iskra noża. Nie miał innego wyjścia, jak porzucić pościg i wdać się w bijatykę.



Nad ranem odszedł z ran Kieran Mudroch zwany Gwałtownym. Zostało ich w lochu sześciu żywych. Sześciu z trzydziestu ośmiu Sasów obecnych na uczcie, a i to żaden nie był cały. Kilku podczas odprowadzania do celi zostało zakłutych przez rozżartych bitewną gorączką Normandów, zanim Ademar de Cruiset zdążył przybiec na odsiecz z czeladzią i odciągnąć morderców.

W najlepszej chyba kondycji był Wilibald. Poza paroma niegroźnymi cięciami miał jedynie zapuchnięte oko i wybitych parę zębów. Teraz, krzywiąc się niemiłosiernie, badał palcami dziąsła.

– Jak mogło do tego dojść? – mruknął niewyraźnie. Nie bardzo było wiadomo, czy mówi o tragicznych wydarzeniach, czy o stanie swojego uzębienia.

Patryk z Coolsey pojął kwestię jednoznacznie. Uniósł się na łokciu, stękając z bólu. Podciągnął lewą nogę, która poniżej kolana wyglądała jak krwawy ochłap najeżony odłamkami kości. Przypominała wołową tuszę oprawioną przez pijanego rzeźnickiego terminatora.

– Jak? – syknął. – Pytasz, jak? Powiem ci! – Dyszał przez chwilę, oczy błyszczały mu gorączką. – Te śmierdzące normandzkie świny zwały nas tutaj, żeby urządzić jatkę!

– Wątpię – odezwał się z kąta Edgar z Killarmy. – Na pewno nie earl Gilbert. To był człowiek honoru. Gdyby nie ten twój przeklęty druid – zwrócił się z goryczą w głosie do Wilibalda – wszystko mogło się jakoś ułożyć. Po co on zamordował earla, co? A jeśli już, to nie mógł zabić także tego padalca de Chardina?

Wilibald wzruszył ramionami, wyciągnął palce z ust.

– Jakże mogę brać na siebie odpowiedzialność za poczynania druidów? Miał zapewnić nam ochronę, ostrzec w razie niebezpieczeństwa, ale wyszło zupełnie inaczej...

– Wyszło?! – wściekł się Patryk. – Wyszło?! Druidom, niech mnie diabli, samo nigdy nic nie wychodzi! Nie działają przypadkowo! Ten dziadyga musiał mieć jakiś swój cel. Nawet w tym, że dał się zaszlachtować jak wieprzek! Od początku byłem przeciwny sprowadzaniu na rozmowy podobnych cudaków! Pogańska świnią! Zrobił to, żeby nasz pogrzyźć! Pewnie nienawidził Sasów tak samo, jak Normandów! Mówiłem, że nie wolno ufać wyznawcom starej wiary! Nieraz już pokazali, że dla nich przybysz z kontynentu i miejscowy Saksończyk to jedno. Pamiętasz buntownika Locksleya? Ledwo sprzymierzył się z bandami z lasu, ledwie nauczył się czcić te ich duchy, zaraz zaczął rznąć i rabować po równi i nas, i zwolenników Jana bez Ziemi.

– Gdyby go w czas nie powiesili Francuzi, niechybnie sami musielibyśmy na niego zapolować! – dorzucił Edgar. – On też, jak powiadają, włóczył ze sobą w bandzie jakiegoś druida. Widać ich towarzystwo nie wychodzi chrześcijanom na zdrowie. Znasz opowieść o królu Arturze? Dobrze sobie żył i rządził spokojnie, dopokąd nie przypałętał się do niego druidzki czarownik, który stroił się w piórka niby to przyjaciele, a w istocie patrzył tylko, jak tutaj narobić zamieszania.

Cormick nie podjął dyskusji. Umościł się najwygodniej, jak mógł, na garście przegniłej słomy, odwrócił plecami i zasnął albo udawał, że śpi. Edgar obrzucił go nieprzychylnym spojrzeniem. Zawsze raczej lubił Wilibalda, ale teraz poczuł do niego nagłą niechęć. Spojrzał na lewą rękę owiniętą w brudną szmatę. Skrzywił się boleśnie. Zostało mu tylko pół dłoni, a i tę resztkę cyrulik pewnie będzie musiał uciąć. Jaki cyrulik, zachnął się nagle, toż prędzej doczeka tutaj szubienicy niż lekarza! Pod ścianą jęczał nieprzytomny Jan Mudroch, brat zmarłego Kierana. Rudolf z Hoak nie brał udziału w rozmowie. Przez strzępy podartego odzienia badał głębokie rany w okolicach żeber i rozplątane na pół udo.

– Chyba długo nie pociągnę – mruknął.

Leżący obok niego Wilfrid Adlensburg otworzył szeroko oczy.

– Jak tu ciemno – szepnął. Na jego białych niczym opłatek ustach pojawiła się różowa piana. – Jak ciemno... i zimno...

Za malutkim okienkiem mizerny, deszczowy dzień dźwigał się ku południu.



– No i jak z nami będzie, mój drogi Cormick? – głos diuka spływał jadowitą drwiną. Siedział rozparty za stołem, z nogami swobodnie wyciągniętymi przed siebie. Bawił się długim, srebrnym łańcuchem misternej roboty, przelewając go z jednej dłoni w drugą.

Wilibald poruszył ramionami. Sznur na skrępowanych z tyłu nadgarstkach wpiął się w ciało niemiłosiernie.

– A cóż to za pytanie, drogi de Chardin? – Uniósł brwi. – Czyżbyś w głębi duszy planował zerwanie naszego układu?

Ewaryst zmrużył oczy, na jego wargach pojawił się drwiący uśmiech.

– Tak, do diabła! Planuję podobne posunięcie i gwoli prawdy muszę dodać, że wcale tego nie czynię w głębi duszy!

– Jakie są po temu powody? Oczywiście, jeśli wolno spytać.

– Wolno! Powodów jest kilka, a jeden ważniejszy od drugiego. Po pierwsze, jakoś nie mogę zapomnieć, że cisnąłeś we mnie nożem. Gdyby udało ci się trafić...

– Gdybym chciał trafić – przerwał mu Wilibald – nie rozmawialibyśmy teraz. Chciałem ci tam, na sali, tylko przypomnieć, że masz w końcu wezwać sieciarzy...

– Po drugie – ciągnął de Chardin, jakby nie słyszał słów więźnia – stwierdziłem u ciebie przerażający brak zaufania. Według twoich zapewnień pani Cormick miała przebywać w waszej rodowej siedzibie. A gdzie jest naprawdę? Bo nie tam przecież.

– Nie omieszkałeś tego sprawdzić, co? – Wilibald skrzywił się ironicznie. – A o ile znam twoje sposoby, zapewne przy tym sprawdzaniu mój kasztel poszedł z dymem?

Diuk potrząsnął głową, skierował na rozmówcę wzrok pełen smutku i współczucia.

– Rzeczywiście, przy przeszukaniu ktoś nieopatrznie zaprószył ogień w stajniach, a sam wiesz, że w twoim zamku było z nich bardzo blisko do części mieszkalnej... Ale zapewniono mnie, że to tylko wypadek. Spowodował go zapewne jakiś bezmyślny koniuch albo przestraszony pacholek. Na wszelki wypadek mój kapitan kazał ukarać wszystkich, żeby winny nie uniknął konsekwencji.

Uśmiechnął się przepraszająco, a Sas zacisnął wargi w wąską kreskę. De Chardin tymczasem ciągnął swobodnym tonem:

– Trzecim i najważniejszym powodem zerwania przeze mnie umowy jest to, że jakoś nie wyobrażam sobie, bym mógł puścić cię wolno i pozwolić ci knować przeciwko księciu Janowi. I mnie przy okazji.

Przerwało mu pukanie do drzwi. Wszedł dowódca straży.

– Wasza miłość – oznajmił – żona Patryka z Coolsey powiła przed pacierzem dziecko. Chłopca. Czy w związku z tym wydacie jakieś rozkazy?

Ewaryst zmarszczył brwi.

– Rozkazy zostały już wydane – warknął. – Co zrobiliście z synami saskich wieprzy?

– Powieszeni na dziedzińcu, według rozkazu!

– Skąd więc to głupie pytanie?

– Bo nijak powiesić noworodka na powrozie.

– Czyżbym słyszał w twym głosie wyrzuty sumienia? – De Chardin uniósł brwi.

– Nie, wasza miłość, ależ nie – zbrojny cofnął się ze strachu o krok. – Lecz powróż jest zbyt gruby, żeby ująć szyję szczeniaka...

– Diabli – warknął Ewaryst – mam was wszystkiego uczyć? Zadzierzgnij pomiot na rzemyku, a potem dowieź ścierwo na powróż, żeby dobrze wyglądało i na szafot! Muszę tłumaczyć każdą rzecz, zajmować się każdą drobnostką?! Wykonać!

Dowódca straży kiwnął głową i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Wilibald patrzył na diuka spod zmrużonych powiek, napiął mięśnie, jakby chciał zerwać więzy. Okrucieństwo Ewarysta było wręcz przysłowiowe, a jego siepacze starali się dorównać ideałowi reprezentowanemu przez chlebobdawcę.

De Chardin ze znużoną miną bawił się łańcuchem. Po dłuższej chwili w północnym skrzydle zamku rozległ się straszliwy, pełen bólu krzyk. Przypominał bardziej wycie rannego zwierzęcia niż ludzki głos.

Cormick rozluźnił skrępowane ramiona.

– Zapłacisz za to! – oznajmił spokojnie. – Za to i wymordowanie wszystkich tych niewinnych dzieci!

– Zapłacę? Ciekaw jestem, komu?

– Mnie!

– Tobie? A to paradne! – Diuk zaniósł się niepoohamowanym śmiechem. – Zająć w potrzasku szczerzy do myśliwego zęby! Zaiste twoja bezczelność jest niesamowita! – Spowaźniał nagle i rzekł groźnie: – Nie strasz mnie, robaku, bo cię rozgniotę! Czymże jesteś bez swojego druidzkiego przyjaciela? Powiedz, czym? Muchą miotającą się bezsilnie w pajęczej sieci! Głupcze! Swoją drogą, myślałem, że sławetni druidzi miewają twardsze życie. Słyszałem, iż niezmiernie trudno ich zabić. Ten zaś padł niby zarżnięta gęś, ledwo de Gaye go dotknął. Nawet nie próbował się bronić. Słabiutko się spisał, Oj, słabiutko, nie uważasz?

Wilibald patrzył na przesładowcę z krzywym uśmiechem. De Chardin pod wpływem tego spojrzenia poczuł niepokój.

– Właśnie taka była rola tego człowieka, Ewaryście – głos Cormicka brzmiał niespodziewanie łagodnie, jakby przemawiał do dziecka, a nie do groźnego przeciwnika. – On miał za zadanie umrzeć. Co więcej, to nie był żaden druid, ale jedynie sługa prawdziwych kapłanów, wybrany i przyuczony do tej misji.

– Zwykły sługa? – Ewaryst pokręcił głową z niedowierzaniem. – Zwykły sługa, a zdolny był zabić człowieka, nawet go nie dotykając? Nie kłam, Sasie! To musiał być pogański żerca!

– Był sługą – powtórzył Wilibald. – A Gilberta zabił nie on, lecz trucizna w winie, które mu podałem przed braterskim uściskiem! Druidzi, drogi Ewaryście, nie zabijają ot, tak sobie. Im właściwie w ogóle zabijać nie wolno, o czym może nawet nie wiesz... Chociaż pod waszymi rządami musieli nauczyć się czynić wiele rzeczy wbrew własnym naukom. Gdyby chodziło o zwyczajne zerwanie obrad, wiedz, że to ty byś padł ofiarą zamachu. Ta sprawa ma swoje drugie dno...

– Jakie drugie dno? Nie przedłużysz sobie życia zagadkami! Dziś jeszcze zawieszysz wraz z resztą saskiej tuszycy!

– Powywieszasz nas? Wbrew temu, do czego się zobowiązałeś?

– Słowo dane saskim świniom warte jest dokładnie tyle, ile powietrze zepsute przy jego wypowiedaniu. – Ewaryst cisnął srebrny łańcuch na stół. – I nie wierzę w żadne drugie dno w tej sprawie. Nie ma go!

– Jest. Przekonasz się o tym niebawem.

– Jeżeli nawet, psie, ty tego na pewno już nie zobaczysz!



Do celi wtargnęło kilkunastu żołnierzy. Dowodzący nimi sierżant stanął w rozkroku.

– Saksońskie pomioty – zagrzmiał – szykować się! Zaraz was będziem oprawiać!

Wśród więźniów zapanowało poruszenie. Ci, którzy byli w stanie, podpełzli do towarzyszy, skupili się w ciasną gromadkę pod ścianą celi.

– Co z naszymi rodzinami? – rozległ się okrzyk.

Na twarzy sierżanta zagościł obleśny uśmiech.

– Synków swoich obaczycie w drodze na egzekucję, to mogę wam obiecać. A co do waszych żonek? Cóż, szlachetnie urodzeni panowie postarają się, by niebawem wydały na świat zdrowe, normańskie potomstwo! Z tego, co mi wiadomo, niektórzy podjęli wysiłki już dzisiejszej nocy! Kto wie, może mnie i moim chłopcom też coś niecoś z tego skapnie?

– Świnie, zdradzieckie kurwie syny! – zawył Patryk z Coolsey. – Zaraza na was i przekleństwo!

Dowódca żołnierzy wzruszył obojętnie ramionami, skinął na podwładnych, którzy natychmiast otoczyli grupkę Sasów.

– Ruszaj się, gadzie! – jeden ze strażników kopnął leżącego bez ruchu Wilfrida z Adlensburga. – Wstawaj, czas na ciebie!

– On nie żyje, głupcze – powiedział spokojnie Edgar. Twarz miał kamienną, ale w jego głosie można było wyczuć napięcie graniczące z szaleństwem. – Nie potrafisz uszanować nawet majestatu śmierci?

Sierżant podszedł do pana z Killarmy, spojrzał mu głęboko w oczy.

– Nie ma majestatu śmieci – zdarty od wydawania komend głos stał się w tej chwili niesłychanie aksamitny i ciepły. – Przekonasz się o tym niebawem. Majestat śmierci wyniósł się z tego zamku w chwili, kiedy zaczął tu dowodzić diuk de Chardin. Razem z nim znikła litość, współczucie, wszelka godność, a nawet zwykła przyzwoitość. Trzeba było nie zabijać mojego earla! Może wtedy spotkałby was lepszy los.



Diuk Ewaryst obserwował pochód ponurego konduktu z okna komnaty. Wśród jęków i złorzeczeń strażnicy wlekli poranionych Sasów, spośród których jedynie Edgar z Killarmy w miarę pewnie trzymał się na nogach, przyciskając do piersi rękę owiniętą w przesiąkniętą krwią szmatę. Trzech pozostałych wisiało bezwładnie na prowadzących ich żołnierzach.

Grupa więźniów wolno przesuwiała się ku szafotowi ustawionemu za załomem muru we wschodniej części dziedzińca. Stał już na nim Wilibald z pętlą założoną na szyję. De Chardin bardzo był ciekaw, co zrobią Sasi, kiedy zobaczą, co kryje się za wysuniętym węglem. Nadstawił uszu, aby nie uronić żadnego okrzyku bólu czy złorzeczenia. Zawiódł się. Nie podniósł się ani jeden głos protestu, nikt nawet nie jęknął. Ojcowie spoglądali na trupy dzieci suchymi, pustymi oczami. Zatrzymali się tylko, nie bacząc na poszturchiwania eskorty i patrzyli. Obiecano im, że zobaczą synów i słowa dotrzymano. W tej właśnie chwili człowiek w katowskim płaszczu podciągał następny sznur. Na jego końcu zwiślało zsiniałe ciało niemowlęcia.

Z okna w północnym skrzydle wysunęła się blada niewieściana twarz.

– Patryku, to nasz synek! – ciche wołanie osłabionej położnicy dotarło do uszu Coolseya mimo hałasu czynionego przez żołnierzy.

– Jezu Chryste – wyszeptał pobladły Patryk. – Jezu Chryste!

– Patryku, pomścij go – głos kobiety załamała się w rozpaczliwym szlochu.

– Śmierć! – okrzyk Edgara z Killarmy przetoczył się po dziedzińcu. – Śmierć!!!

Diuk de Chardin patrzył z niedowierzaniem, jak pozbawieni przed chwilą wszelkich sił więźniowie podrywają się do walki. Patryk z Coolsey, nie zważając na ból, nie czując go nawet w tej chwili, chwycił taszczących go strażników za szyje, zaparł się na zdrowej nodze i wyrzwał głowami żołnierzy o siebie. Rozległ się ohydny trzask pękających kości. Edgar z Killarmy wyrwał włócznię stojącemu obok zbrojnemu. Zanim tamten zdołał cokolwiek zrobić, rozplątał mu końcem żeleźca gardło, po czym wbił broń w plecy strażnikowi przed sobą. Jan Mudroch, choć biały jak kreda od wielkiego upływu krwi, wykrzesał z siebie tyle mocy, żeby rzutem ciała paść na podtrzymującego go gwardzistę i wgrzyźć mu się w gardło. Żołnierz runął na ziemię z okropnym wyciem, miotając się na wszystkie strony, jednak Mudroch nie puszczał – przeciwnie, jak młody wilk, który poczuł pierwszą w życiu krew, chwycił mocniej, głębiej wbił szczękę. Rudolf z Hoak zawiśł całym ciężarem, ściągając na siebie strażnika, przetoczył się po nim, wyłuskał mu z dłoni miecz i, nie mogąc się unieść ani w niewygodnej pozycji zadać śmiertelnego ciosu, głowicą broni grzmocił wrzeszczącego wniebogłosy mężczyznę.

Wszystko rozegrało się tak szybko, że Ewaryst de Chardin nie zdążył nawet pomyśleć o tym, by krzyknąć na strażników w korytarzu i posłać ich na dół. Zaskoczenie eskorty złożonej z zaprawionych w boju najemników nie trwało długo. Już po chwili Patryk zwiśł bezwładnie, uderzony końcem włóczni w potylicę, Jan Mudroch bluznął krwią z rozerznętego boku i osłabił chwyt zębów na gardle ofiary, a Rudolf wił się przyszpilony sztychem do kamieni dziedzińca. Jedynie Edgar, mający sprawne nogi, skorzystał z zamieszania, żeby wydostać się na otwartą przestrzeń. W zdrowej prawicy dzierzył wyrwany komuś strażnikowi miecz. Rozpoczęła się krwawa gonitwa. Żołnierze zupełnie nie potrafili dać sobie z nim rady, zamiast bowiem starać się znaleźć jakąś osłonę dla pleców, by dać odpór ścigającym, sam biegł za nimi po całym dziedzińcu, a kto odważył się do niego zbliżyć, padał jak rażony piorunem.

– Wyjź, de Chardin! – wrzeszczał. – Wyjź ty rzeźniku, morderco!

– Jakby diabeł w niego wstąpił – szepnął do siebie przerażony sierżant. Jak urzeczony patrzył na to, czego dokonywał doprowadzony na skraj szaleństwa Saksończyk.

Wilibald balansem ciała spróbował uwolnić szyję od stryczka, żeby nawet ze skrępowanymi rękami pobiec na pomoc walczącemu panu z Killarmy. Zaraz jednak

ucisk na gardle wzmógł się, zatamował dopływ powietrza.

– Spokojnie, gołąbku – owionął go cuchnący oddech kata. – Dokąd chcesz polecieć?

Tymczasem Edgar szalał. Mimo ciężkich ran, zalany krwią swoją i prześladowców, poruszał się z niesłychaną zwinnością. Wyglądał niczym demon zemsty, tym bardziej że z ust zaczął toczyć pianę, zupełnie jak wojownicy w opowieściach o wikińskich berserkerach. W żołnierzach upadł duch. Już nie próbowali zabić rozżartego Sasa, wszyscy starali się raczej unikać bezpośredniego z nim spotkania.

– Łucznicy! – rozdarł się sierżant, otrząsnąwszy się z zapatrzenia. – Łucznicy z murów, natychmiast do mnie!

Ciężkie buty załomotały po deskach pomostu i schodów wieży bramnej. Diuk de Chardin odwrócił się od okna. Klasnął w ręce.

– Wszystkich na stryczki, trupy też – powiedział do pachołka. – Niech wiszą przez noc. A jutro do południa zdjęć ściervo i cisnąć do rzeki.



Tej nocy Ewaryst spał bardzo źle. Zapadał w krótkotrwałe drzemki, przewracał się z boku na bok, wciąż znajdował się na męczącej granicy między snem a jawą, kiedy to przychodzą dziwne wizje i niechciane myśli. Zbyt wiele zdarzyło się w ostatnim czasie, aby nie odcisnąć piętna na duszy wielmoży. Nawet na tak zatwardziałej duszy, jak jego. Zawsze z dumą podkreślał, że nie spędzają mu snu z powiek najkrwawsze bitwy i widok najgorszych okrucieństw, tymczasem dziś jakoś nie mógł zasnąć.

Westchnął, przekręcił się na drugi bok. Jak to dobrze, że zdołał udaremnić zamierzenia Gilberta. Zjednoczenie Normandów i Sasów w jeden naród? Cóż za nonsens! To nigdy się nie uda! To po prostu nie może się udać – toż jakby chcieć wymieszać wodę i oliwę w jeden płyn!

Zdawało mu się, że przysnął na chwilę, kiedy zbudził go jakiś dźwięk, skrzypnięcie czy lekkie stuknięcie, tego nie był pewien. Zdarzają się takie rzeczy w pierwszym, płytkim jeszcze śnie. Znowu zamknął oczy, jednak w tym samym momencie poderwał go cichy głos.

– No i jak z nami będzie?

Ewaryst usiadł na łożu, a ręka sama powędrowała ku wezłowiu, gdzie spoczywać powinien długi sztylet.

– Nie masz tam czego szukać – głos wydawał się niepokojąco znajomy. Przerażająco znajomy. – Zresztą czego chciałbyś dokonać mamym różnem?

Sztylet rzucony przez intruza z brzękiem upadł pod nogi diuka. Ten schylił się szybko, żeby go podnieść, ale natychmiast zrezygnował z zamiaru. Czuł, że tym razem żaden oręż nie zdoła zapewnić mu bezpieczeństwa.

– Ktoś ty?

Wiedział doskonale, jak brzmi odpowiedź. Zadał pytanie tylko po to, żeby przekonać się, iż potrafi wydobyć z siebie słowa.

Od zrębu kominka oderwała się rozmyta w mroku postać, dorzuciła kilka drewna do żaru na palenisku. Po chwili w pełgającym świetle ukazała się okrągła twarz Wilibalda.

– Zgiń, maro, przepadnij! – De Chardin uczynił znak krzyża.

– Nie odegnasz mnie w ten sposób, Ewaryście. Znak krzyża jest doskonałą osłoną, ale pod warunkiem, że posiada się wiarę. W cokolwiek. A ty nie wierzysz w nic poza brutalną siłą i podłym złotem. Dlatego poniechaj zbędnych, pustych gestów.

– Przecież... przecież... – Diukowi na chwilę zabrakło tchu. – Przecież powinieneś być... powinieneś być tam! – wyrzucił z siebie gwałtownie, wskazując okno wychodzące na dziedziniec.

– Oczywiście, masz rację. Powinieneś być w tej chwili tam i wraz z innymi dyndać sobie wesoło na wietrze, życząc krukowi smacznego. Jednak, jak łatwo zauważyć, jestem tu!

– W jaki sposób?... Czy to sen?

– Sam powiedziałeś podczas naszego ostatniego spotkania, że trudno jest zabić druida. Cóż znaczy zwykły stryczek w porównaniu z próbą trumny, kiedy całą noc trzeba przeleżeć w sarkofagu wypełnionym wodą, w dodatku z kupą kamieni zsypaną na piersi? Albo próbą skały... Ech – machnął ręką – nieważne. Pytasz, czy to wszystko, co się teraz wokół ciebie dzieje jest snem. Co za różnica? Co w końcu jest snem, a co jawą? Najważniejsze, że rozmawiamy ze sobą.

– Mam rozumieć – de Chardin zachrypiął, odchrząknął. – Mam rozumieć, że jesteś druidem?

– Nie inaczej.

Diuk przez dłuższą chwilę trawił tę wiadomość. Sen czy nie sen, warto dowiedzieć się jak najwięcej. Wilibald chyba nie zamierzał pozbawić go życia, skoro rozpoczął rozmowę, choć mógł po prostu zaszlachtować wroga podczas snu. Ewaryst poczuł się nieco pewniej.

– Skoro tak, dlaczego nie użyłeś mocy, aby uratować towarzyszy, swoich ludzi tam, na uczcie?

Wilibald łożył ręce na piersi.

– A jak sobie wyobrażasz, że miałbym to zrobić? Jestem kapłanem, nie Bogiem. Cudów czynić nie umiem. Skoro walka raz się zaczęła, nikt nie potrafił jej przerwać. Mogłem jedynie zapobiec tragedii, oszczędzając earla Gilberta. Lecz to, jak sam wiesz, nie leżało ani w moich, ani tym bardziej w twoich zamiarach. Widzisz, Ewaryście, problem z rozwiązaniem tej zagadki leży w tym, że do wczorajszego dnia wcale nie uważałem owych Sasów za swoich ludzi... Wręcz przeciwnie, byli dla mnie takimi samymi najeźdźcami jak wy, przybysze z kontynentu, a przedtem Duńczycy, zaś jeszcze dawniej Rzymianie.

– Nie pojmuję, co chcesz powiedzieć – szepnął zdumiony de Chardin. – Przecież wasze stare wierzenia...

– Mówiłem przecież, że cała sprawa ma swoje drugie dno, ale nie chciałeś mnie wysłuchać. Daj spokój! – rzucił ostro, a diuk, który szykował się podjąć leżący wciąż pod jego nogami sztylet, zastygł w pół ruchu i wyprostował się powoli. – Lepiej pobaw się swoim łańcuszkiem. Wiem, że pomaga ci w rozmyślaniach. Tak – roześmiał się. – Dużo o tobie wiem!

Ewaryst sięgnął na zydeł przy łożu, gdzie zwykł kłaść ulubioną ozdobę. Bezwiednym ruchem owinął srebrną plecionkę dookoła dłoni.

– Czego chcesz? Czego ode mnie żądasz, zjawo, czymkolwiek jesteś?

– „Czego chcesz ode mnie?”, jak zapytała żaba bociana – zadrwił Wilibald. – Zaraz wszystkiego się dowiesz. A jeżeli oszczędzisz nam obu głupich pytań, nie będzie to trwało zbyt długo.

Pogładził dłonią siną pręgę na szyi, zanim przemówił.

– Od czasu najazdu plemion saksońskich istnieje tajne stowarzyszenie. Dokładnie rzecz ujmując, powstało ono wkrótce po tym, jak król Vortigern Chudy zdradził swój lud i sprzymierzył się z saskimi plemionami, aby uzyskać na wyspie niepodzielną, pełną władzę. Urządzono wtedy rzeź celtyckim księżtom i królom Brytanii. Zaproszono ich na rozmowy do pewnego zamku wraz z druidzkimi doradcami, a potem... Sam przecież wiesz najlepiej, jak załatwia się takie sprawy. Wtedy właśnie powołano do życia Krąg, skupiający pozostałych przy życiu kapłanów. Celem jego działań jest przywrócenie dawnego porządku. Jesteśmy cierpliwi, od pokoleń czekamy na okazję. Przeżyliśmy saskie i duńskie porządki, przetrwaliśmy normandzki najazd, a teraz przyszedł czas działania, właśnie dzisiaj, kiedy cała Europa patrzy na Wschód, gdzie w bezsensownej wojnie o kawałek świętego piachu wykrwawiają się jej najlepsi synowie. Teraz, gdy w Albionie słaba władza doprowadziła do zaognienia konfliktu między starymi, a nowymi najeźdźcami... Teraz! Właśnie teraz! Im bardziej wy się między sobą zrecie, tym Krąg jest silniejszy i zwiększają się jego wpływy nie tylko wśród ludu krzywdzonego przez panów, ale także i pośród szlachty. Na pewno słyszałeś, że lud znowu zaczyna potajemnie czcić dawnych bogów, że w leśnych komyszach gromadzą się wyznawcy i doznają tam licznych błogosławieństw. To nie są plotki i czcze babskie gadanie. Byłbyś przerażony, gdybyś wiedział, jak znacząca staje się siła, o której istnieniu nie masz pojęcia ani ty, ani twój poroniony książę, ani wasi sprzymierzeńcy.

Milczał przez chwilę, a de Chardin starał się rozważyć, co właściwie oznaczają dla niego słowa Wilibalda. Ten spojrział bystro.

– Zastanawiasz się zapewne, dlaczego o tym wszystkim opowiadam?

Pokonując sztywność szczęk, diuk odparł:

– Przyszedłeś się zemścić, psie! – Ściśnięty w dłoni srebrny łańcuch brzęknął lekko, jakby chciał zaprotestować przeciwko tak brutalnemu traktowaniu. – Chcesz, żebym umierał świadom nadchodzącej klęski! Jednak jeśli uczynisz choćby najmniejszy ruch w moją stronę, zawołam strażę! Może zdążysz mnie zabić, ale niedługo będziesz się tym radował!

Wilibald roześmiał się swobodnie.

– Człowieku, przecież ja nie żyję! Sam kazałeś mnie powiesić i patrzyłeś na egzekucję, dlaczego więc teraz straszysz śmiercią? Uspokój się. Nie zamierzam cię zgładzić, co to, to nie. Mój plan jest o wiele bardziej perfidny. Zapłacisz za swoje zbrodnie, jednak nie tak, jak byś tego oczekiwał. Kiedy skończę, sam pewnie odgadniesz, o czym mówię.

Znowu zamilkł, dorzucił do ognia i zamyślił się. Diuk wpatrywał się w oblicze niechcianego gościa, nie wiedząc, czy jego zapewnienia nie są tylko kolejnym wybiegiem. Zbyt wiele w tym wszystkim było podwójnych albo i potrójnych znaczeń, zbyt wiele jeszcze kart nie zostało odkrytych.

– Człowiek – podjął druid – doświadczany w drodze życia różnymi kolejami losu jest jak skała, w której cierpliwa woda rzeźbi najróżniejsze kształty.

Mówił cicho, właściwie mruczał, jakby próbował wyjaśnić coś sobie samemu, a nie Ewarystowi.

– Choćby najtwardszy kamień zawsze ulega przemianie pod wpływem wiatru i wody, nawet gdyby z początku było to zupełnie niezauważalne. Tak też jest z człowiekiem. Nagle, po latach, zdaje sobie sprawę, że życie wyrło w jego duszy zupełnie nową rzeźbę, uczyniło kimś innym niż był na początku. Całe życie wypełniałem ściśle postanowienia Kręgu. Żyłem wśród Sasów, stałem się jednym z ich przywódców, spłodziłem potomstwo z ich krwi, zawsze jednak pamiętając o najważniejszym zadaniu. Nie miałem wątpliwości, że nadejdzie wreszcie dzień, kiedy dokonam aktu zdrady wobec tych, pośród których przeżyłem lata i nie miałem również wątpliwości, że nie zawaham się tego uczynić. Żyłem w poczuciu, iż słuszność jest po mojej stronie. I tak było aż do wczoraj. Jednak kiedy zobaczyłem krwawe żniwo bitwy, a przede wszystkim, gdy ujrzałem jak poturbowani, wyzuci z sił i godności, prowadzeni na rzeź ludzie, starali się umrzeć, walcząc do końca, zrozumiałem, że bardziej stałem się Sasem, niż mogłem sądzić. Ból, jaki sprawił mi widok pomordowanych towarzyszy, duma, z jaką patrzyłem na szalejącego po dziedzińcu Edgara... Ujrzałem świat w nowym świetle. Ale nie tylko to. Przecież widziałem także, jak dzień wcześniej jedni normandzcy rycerze powstrzymują drugich przed zaszlachtowaniem więźniów w drodze do lochu. Słyszałem krzyk Ademara: „Przestańcie, przecież to też ludzie!”. W tym momencie zrozumiałem, że każda podłość ma swoje granice. Nawet twoja, Ewaryście, jak mniemam... nawet twoja... Choć doprawdy ciężko w to uwierzyć.

– Jak śmiesz – szarpnął się de Chardin. – Ty brudny psie!

– Milcz lepiej i słuchaj! – Wilibald podniósł głos. – Może dotrze do twojego zakutego łba, że powinieneś stać się lepszym człowiekiem. I to wcale nie dla własnego zbawienia, ale żeby zapobiec tragedii, która może dotknąć twych ziomków.

– Sram na to! – warknął diuk.

– A jednak wysłuchasz mnie do końca. To szansa dla ciebie i nie tylko dla ciebie. To szansa zarówno dla Normandów, jak i Sasów, a także całej ludności tych ziem. Zawarliśmy tajny układ o zerwaniu rozmów, obaj uczyniliśmy więcej niż trzeba, aby doprowadzić do krwawych zajęć, które powinny zniweczyć możliwość zawarcia porozumienia. Wszystko poszło zgodnie z moimi przewidywaniami. Ale teraz kilka rzeczy uległo zmianie. A właściwie, jak mówiłem, zmieniłem się, jak i moje widzenie spraw. Chcę, drogi Ewaryście, byś naprawdę stał się orędownikiem pokoju i porozumienia.

– Ja?! – De Chardin wybałuszył oczy. Wierny łańcuch wysunął mu się z dłoni i spadł na podłogę. – Ja? Co ty gadasz!

– Nie inaczej. Bo widzisz, po wczorajszym dniu zrozumiałem, że objęcie władzy przez prawowitych mieszkańców tej ziemi jest czczym pojęciem. Cóż to znaczy: prawowici mieszkańcy? Kto tu jest w prawie? Nie wiem, straciłem rozeznanie. Tak naprawdę nikt nie wie. Zbyt wiele było najazdów, zbyt wiele uczyniono sobie nawzajem krzywd... Jedne ludy wypierały inne, zmieniały także kształt tej ziemi, zmieniały się same... Już nieważnie, kto był tu wcześniej. Ważne, kto zostanie... Wojna między Normandami a Sasami będzie o wiele gorsza niż pamiętny spór między Matyldą i Stefanem sprzed pół wieku. Nie chcę przyłożyć ręki do podobnej tragedii...

Diuk słuchał Wilibalda, czując jakby zapadał się w jakąś otchłań. Boże, pomyślał, mam nadzieję, że to jednak tylko sen. To nie może być prawda!

– Niebawem odejdę – mówił Wilibald. – Zniknę, nie mam bowiem czego szukać wśród was. Widzisz, przez to, co czynię, dla wszystkich stanę się przeklętym zdrajcą. Najlepszym wyjściem będzie po prostu pozostać martwym. Jednak jesteś jeszcze ty,

drogi Ewaryście. Ze swoimi wpływami i niezmiernym bogactwem możesz zdziałać cuda. Uwierz mi, wolałbym, aby na twoim miejscu siedział teraz Gilbert... Na to jest jednak za późno... Gdybym wiedział... Gdybym to poczuł wcześniej... Nigdy nie pozwoliłbym go zamordować. Lecz ty, diuku, użyj teraz swych bogactw przynajmniej dla utrzymania pokoju, jeżeli nie dla zawarcia jakiejś sensownej ugody.

– Po tym, co się stało na zamku? – De Chardin uniósł brwi. – Przecież to niemożliwe, nawet, gdybym tego nagle zapragnął.

– Mylisz się – odparł Wilibald. – Masz przecież złoto. A ludzie są na nie łasi i bardzo łatwo zapominają w jego blasku o doznanych krzywdach. Wypuść żony i matki pomordowanych, zasyp je oraz ich rodziny klejnotami, rozpuść ich serca w dobrobycie. Wybaczają... Będą się boczyć, sarkać, ale wybaczą. W naszych smutnych czasach można puścić w niepamięć morderstwa, gwałty, wszelkie niegodziwości, byle tylko zapłata była dość wysoka.

– Dlaczego miałbym to właściwie zrobić? Przecież nie wiem, czy mówisz prawdę. Ba, nie wiem nawet, czy w tej chwili nie śnię!

– Pamiętaj po prostu, kto naprawdę skorzysta na tej wojnie. Miej wciąż na uwadze druidzki Krąg. Od tej chwili wybór drogi należy do ciebie. To właśnie jest zemsta za to, czego się dopuściłeś. Jeżeli nie zrobisz nic, jeśli będziesz nadal jątrzył po swojemu, ujrzysz potęgę władzy normandzkiej chyłącą się ku upadkowi. Jeśli zaś podejmiesz działania prowadzące do zażegnania konfliktu, czeka cię wielki trud i upokorzenie. Twoi przyjaciele będą cię mieli wręcz za niespełna rozumu, gdy nagle staniesz się rzecznikiem pokoju. Odwrócą się od ciebie. Staniesz się wstrętny sam sobie... Ale uczynisz, jak zechcesz. A teraz żegnaj. Zostawię ci mały dowód mojej obecności, żebyś nie miał wątpliwości, iż rozmawialiśmy ze sobą. To będzie znak świętego Patryka, człowieka znienawidzonego przez wszystkich druidów. Umieszczę symbol tak, żebyś mógł go zobaczyć, nie wychodząc z komnaty.

Głos Wilibalda oddalał się, nikał w ciemności. Drewno na kominku dopaliło się, prążki popiołu zaczęły pokrywać ciemnoczerwony żar.



Usiadł gwałtownie na łożu, spocony jak mysz. Za oknem wstawał kolejny szary, nabrzmiały deszczem poranek. Wstrząsnął się od przenikliwego chłodu ciągnącego z wygasłego kominka, narzucił na ramiona ciężką niedźwiedzią skórę. Po chwili uczyniło mu się cieplej. Wychylił się, chwycił ze stołu garniec z piwem. Pił długo, łapczywie, czując jak z każdym łykiem rozjaśnia się umysł.

Boże mój, jakież dziwne wizje potrafisz zesłać wiernym. Zamyślił się, pokręcił głową. Gdyby ten koszmarny sen był prawdą... Też coś! On zmuszony czynić kroki wiodące do pojednania z saskimi wieprzami? Dumny książę błagający o wybaczenie? Toż to by było upokorzenie najgorsze z możliwych! Ze złością uderzył pięścią w kolano. Sięgnął na zydel, po łańcuch. Pusto! Gdzież go, u diabła, zapodział? Spojrzał pod nogi. Może się zsunął? Nie. Musi gdzieś przecież być. Trudno, później go znajdzie. Szkoda porzucać rozgrzane już okrycie.

Nagle poczuł niepokój. Znak – ten pies we śnie mówił o znaku świętego Patryka... Co to mogłoby być? Przez chwilę szukał w pamięci. Ach – pewnie koniczyna! Używał jej ponoć misjonarz, gdy tłumaczył poganom ideę Trójcy Świętej.

Wściekły na siebie, że poddaje się wątpliwościom, zlustrował wzrokiem komnatę. Odetchnął z ulgą – żadnych zmian, żadnych znaków. Dobrze, jeszcze tylko jedno.

– Ingmar!

Wszedł gwardzista, wyprężył się, czekając na rozkazy.

– Zadam ci teraz pewne pytanie, Ingmar. Ale jeżeli dowiem się, że komuś o tym powiedziałaś, zawieszysz przy bramie głową w dół i będziesz wisiał, dokąd ciało nie odpadnie od kości. Zrozumiałaś?

– Tak, wasza dostojność!

– Nie musisz wrzeszczeć. – Diuk skrzywił się. – Czy w nocy wydarzyło się coś podejrzanego? Czy wisielcy... – Nagle zdał sobie sprawę, że jeżeli dokończy pytanie, skompromituje się w oczach służbistego Duńczyka. – Dobrze już. Odejdź, Ingmar. Sprawdź posterunki. Gdyby coś było nie tak, melduj natychmiast.

Gwardzista wyszedł, nie okazując zdziwienia najmniejszym nawet grymasem.

Oj, nie byłbyś zadowolony, świętej pamięci ojczulku, pomyślał diuk, gdybyś widział, jak twój syn poddaje się wątpliwościom. Ty, który każdą, najdrobniejszą przewinę lub objaw słabości karałeś bezwzględnym rzemieniem i wyzwickami, który sam byłeś twardy i bezlitosny niczym żelazna pięść, nie uwierzyłybyś żadnej wizji, nawet gdyby podeszła i kopnęła cię w zadek.

Na zamku rozpoczęła się poranna krzątanina, dochodziły odgłosy codziennego życia. Diuk uśmiechnął się do swoich myśli. Nigdy już nie będzie mowy o jakichś tam porozumieniach z saksońskimi wieprzami! A dziś w nocy znów trzeba ukoić ból nieszczęsnych wdów. Ależ będą pomstować i lamentować! Jutro natomiast...

Rozmyślenia przerwał mu krzyk przerażenia dobiegający z dziedzińca i wołanie:

– Sprowadź pana! Natychmiast!

– Śpi jeszcze pewnie, będzie się gniewał.

– Śpi czy nie śpi, masz go zaraz zawołać!

Pełen najgorszych przeczuc, czując miękkość w kolanach, zbliżył się do okna. Wyjrzał, zerknął na szafot i skamieniał. Po raz pierwszy w życiu ogarnęło go prawdziwe przerażenie. Cofnął się, ujrzał błysk, znowu wyjrzał. Teraz patrzył jednak nie w kierunku szubienic, lecz dużo bliżej, na przedmiot umieszczony w wykuszu okna. Nagle chwycił się za głowę i skulił, jakby otrzymał mocny cios w żołądek.



Książę Jan spoglądał na rozległą łąkę z ponurym wyrazem twarzy. Bitew nie lubił i starał się ich unikać, jeśli tylko było to możliwe, szczególnie jeżeli nie miały nieść ze sobą wymiernych korzyści. A ta, która się właśnie szykowała, nie mogła dać nic poza rozlewem krwi. Żadnych bogactw, żadnych ziem, żadnych politycznych wpływów. Co gorsza, tym razem nie dysponował miażdżącą przewagą, nie było więc nawet pewności zwycięstwa.

Od szeregów rozstawionej naprzeciwko armii saksońskiej, wzmocnionej ochotnikami i najemnikami ze Szkocji i Irlandii, oderwało się kilka postaci. Parlamentariusze. Pewnie chcą ustalić dokładny termin rozpoczęcia zmagania.

– Szkoci są zawsze gotowi nas kąsać – mruknął Jan. – Ale jak saskim psom udało się osiągnąć także Irlandczyków?

Walter Fitzurse rzucił księciu kose spojrzenie.

– Nie byłoby tego, gdyby swego czasu wasza książęca mość nie raczył wytargać za brody ich wysłanników.

Jan miał na końcu języka ciętą odpowiedź, jednak zrezygnował. Fitzurse był zbyt wpływowym człowiekiem, żeby zrażać go sobie na godzinę przed walną rozprawą. Zresztą Walter miał rację. Przez głupi żart i niewczesną płochość zniechęcił wtedy Irlandczyków. Nigdy później nie udało się ich namówić do podjęcia rokowań.

– Wasza książęca wysokość – odezwał się stojący obok Ewaryst de Chardin – pozwól, że wyjadę im naprzeciw. Może jednak uda się uniknąć starcia.

Jan uważnym spojrzeniem obrzucił siwą głowę diuka. Jak to się mogło stać, że ten najbardziej zawzięty wróg miejscowej szlachty stał się nagle orędownikiem pokoju? Jeszcze niedawno na samą myśl o układach pieniłby się na podobieństwo brudnej morskiej fali. Czy na jego ugodowość rzeczywiście wpływ miały tajemnicze wydarzenia po sławetnej rzezi w zamku earla Gilberta? To wtedy kruczoczarne włosy diuka pobiełały. Co naprawdę się tam wydarzyło, nie wiedział nikt poza zaprzysiężonymi do milczenia rycerzami. Znikli zarówno strażnicy, jak i służba obecna wówczas w forticy. Oczywiście, Jan mógł użyć swoich sposobów, żeby poznać prawdę, jednak coś mu mówiło, żeby tego nie robić. Jeżeli zajścia złamały tak twardego i okrutnego człowieka, jak de Chardin, lepiej wiedzieć mniej niż zbyt dużo.

– Jedź. – Skinął łaskawie ręką. – Możesz obiecać im wszystko, co nie będzie godziło w nasze najważniejsze interesy i majestat. Niepotrzebna mi ta cała wojna. Dość mam kłopotów z buntowniczymi wasalami i walecznym braciszkiem. Kup ich, de Chardin, jeśli zdołasz. Kup ich, tylko nie zapłać zbyt wysokiej ceny.

Nie ma zbyt wysokiej ceny, pomyślał diuk. Gdybyś tylko wiedział, Janie... Żgnął konia ostrogą. Ogier zatańczył w miejscu, od razu puszczając się w galop. Jan z przyjemnością patrzył na pędzącego Ewarysta. Nie znał nikogo, kto by tak wspaniale prezentował się w siodle. Jeżeli nie zdoła nic uładzić, trzeba będzie popatrzeć, czy równie pięknie radzi sobie w bitwie.

Tymczasem przed oczami pędzącego diuka znowu pojawił się obraz przesładujący go w ostatnim czasie każdego dnia i każdej nocy. Na szafocie, obok najeżonego strzałami krwawego strzępu, będącego niegdyś Edgarem z Killarmy, zwieszała się pusta lina. Trup Wilibalda, miał wisieć w morderczej pętli, spoczywał na deskach, szeroko otwartymi szklanymi oczyma wpatrzony w okno, z którego wyglądał Ewaryst de Chardin. Nie to jednak było najstraszniejsze. Kiedy diuk chciał cofnąć się do środka, dostrzegł błysk metalu.

Na kamiennym parapecie ujrzał swój ulubiony srebrny łańcuch.

Spoczywał starannie ułożony w regularny kształt koniczyny.

Festung Oels

W mdłym świetle nocnej lampki leżące na łóżku ciało wydawało się czymś na kształt nieokorowanej dębowej kłody. Werner widział kiedyś podobny przedmiot w kopalni soli w Wieliczce. Przewodnik pokazał kawał drewna, który został najpierw głęboko wyżarty, a potem zakonserwowany przez sól. Wyglądał tak, jakby został przywieziony gdzieś z daleka, z innego świata, a nie po prostu wyłowiony przez paru górników oczyszczających solankę.

Zza pleców dobiegł hałas przewracanego krzesła i grube przekleństwo.

– Zapalcie lampę! – rozległ się głos Nowaka. – Zabić się można przy tej ćmie!

Werner zmrużył oczy, kiedy miękki półmrok został rozdarty ordynarnym blaskiem wielkiego żyrandola. Chroniczne zapalenie spojówek dawało o sobie znać nawet przy dużo mniejszym natężeniu światła. Nowak podszedł do łóżka, pochylił się nad trupem.

– Niech to szlag – mruknął. – Może pan tu podejść?

Werner niechętnie postąpił parę kroków. Doskonale wiedział, co zobaczy. A przede wszystkim, co poczuje. Zdążył już dokładnie obejrzeć zwłoki. W bezpośredniej bliskości nieboszczyka nieprzyjemny zaduch stawał się wręcz nie do zniesienia. To nie był zwyczajny trupi odór, ale jakiś dziwny, trudny do określenia, niepokojący zapach.

– Różne smrody wachałem – odezwał się Nowak – ale ten jest po prostu niesamowity.

Pociągnął nosem, a Wernerowi przeleciało przez głowę, że wygląda to tak, jakby komisarz delektował się wstrętnym odorem. Obrzydliwie wścibiśki typ. Pewnie dlatego też wysłano go do takiej obrzydliwej roboty. Albo po prostu ma być to wyraz wielkiej sympatii przełożonych. Przecież jego kapitan doskonale wie, co się za chwilę stanie i jaką gorzką pigułkę będzie musiał przełknąć. Kamila Nowaka nie lubił nikt, nawet jego własna żona. A może w szczególności jego własna żona.

– Co go tak wyssało? – ciągnął tymczasem Nowak. – Jakiś pieprzony wampir?

Werner wzruszył ramionami.

– W tej chwili ty prowadzisz sprawę, komisarzu – powiedział, krzywiąc się niechętnie.

– No właśnie. – Nowak rzucił kose spojrzenie. – Ja ją prowadzę. Ale Niemcy od razu przysyłają pana. Czyżby konsul osobiście zainteresował się...

– Nie bądź zbyt ciekawy. To bywa bardzo niezdrowe.

– Ciekawość to mój zawód. Druga natura gliny. Zapomniał pan? A może lizanie dupy szkopskim oberpolicmajstrom tak źle wpływa na pamięć?

Werner pokręcił głową.

– Nie prowokuj mnie, komisarzu – powiedział spokojnie. – Twój parszywy jeźor już dawno zwichnął ci karierę. Nadejdzie kiedyś taki dzień, że sam podetniesz nim sobie żyły!

Kamil niecierpliwie machnął ręką i odwrócił się do policjanta, który właśnie wszedł do pokoju. Młody chłopak, prawie dzieciak, jak zahipnotyzowany wpatrywał się w trupa. Szedł coraz wolniej z oczami wbitymi w pomarszczone zwłoki. Wernerowi przyszło na myśl skojarzenie z żabą i zaskrońcem.

– Czego? – warknął Nowak. – Mówiłem, żeby nie przeszkadzać!

Chłopak otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zamiast słów wyrwała się z niego fala torsji. Pochylił się, wstrząsany niepohamowanymi mdłościami.

– Niech go ktoś wyprowadzi! – Nowak strzepnęła niecierpliwie ręką. – Cuchnie tu dostatecznie bez takich dodatków!

Werner wziął policjanta pod ramię.

– Chodź. Powiesz mi tam, na zewnątrz.

Nowak rzucił za nimi niechętnie spojrzenie, pochylił się nad zwłokami i znowu pociągnął nosem, mrużąc coś do siebie.

Werner wrócił do pokoju po dłuższej chwili.

– No i co tam? – spytał Nowak, nie odwracając wzroku od pomarszczonej jak wyschnięte jabłko twarzy nieboszczyka.

– Złapali jakiegoś dziennikarzynę. Siedział na drzewie z aparatem fotograficznym.

Nowak odwrócił się gwałtownie.

– Dawać go! Może coś widział.

– Kazałem go zawieźć na przesłuchanie.

– Sam go przesłucham, kiedy tylko tutaj skończymy.

– Przesłuchasz go dopiero, kiedy wyjdzie od nas, Kamilu. Jeżeli grzecznie poprosisz. A i wtedy nie wiem, czy będziesz mógł, bo to zależy nie ode mnie, ale od najwyższych władz naszego dystryktu.

Komisarz rzucił się w kierunku Wenera, zatrzymał się jednak w pół ruchu z zaciśniętymi pięściami.

– Nie masz prawa – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Ja prowadzę śledztwo, sam powiedziałeś! To moi ludzie go zatrzymali! To ja mam prawo i obowiązek...

– Przestań pieprzyć, Kamilu. – Werner spojrział na zegarek. – Właśnie w tym momencie oficjalnie odebrano waszej policji dochodzenie. Prędzej się tego załatwić nie dało. Przykro mi, że musiałeś przyjeżdżać bez sensu – westchnął obłudnie. – To ta przekłeta biurokracja. Wiesz, zanim papiery zatoczyły krąg... Dalsze śledztwo poprowadzą służby Landschaftsamtu Niederschlesien. Tu masz potwierdzenie decyzji na piśmie.

– Ty skurwysynu – powiedział nieoczekiwanie spokojnie Nowak. – Ty wredny, śliski, szwabski skurwysynu.

Werner uśmiechnął się krzywo.

– Uspokój się. I uwierz mi, najlepiej by było dla ciebie, żebyś zapomniał, co widziałeś. A teraz spieprzaj. No, już, nie ma cię, Polaczku.

Nowak zacisnął wargi, gwałtownie odwrócił się w stronę drzwi.

– Tylko bez numerów – ostrzegł jeszcze Werner. – Bo będziesz miał przesrane do końca życia.



Generał otarł spocony kark. Wzrokiem bazyliszka mierzył wyprężonego w postawie zasadniczej porucznika.

– Co powiedzieliście, żołnierzu? Że co?

– Pułkownik Horton polecił przekazać, że za dwadzieścia minut uruchamiamy pełny pakiet monitoringu „Middle Europe”...

– Słyszałem, do cholery! Ale to ja decyduję, kiedy przystąpimy do akcji, a nie ten karierowicz! Zresztą, z tobą, synu, nie będę dyskutował. Wezwij mi tu Hortona.

– Nie trzeba mnie wzywać. Sam przyszedłem – rozległo się od drzwi.

– To ty chcesz rozkręcić ten cały cyrk? Pierdolca dostałeś?! Przecież w ten sposób narazimy...

– Ten cyrk powstał w tym celu, żeby go w odpowiednim momencie rozkręcić! I między innymi po to siedzimy w takim zasranym miejscu, na gównianej orbicie, żeby go wreszcie uruchomić! Daj klucz!

– Nic z tego. Pocałuj mnie w dupę, Jim.

Porucznik patrzył na całą scenę szeroko otwartymi oczami. Działo się coś, co przerastało jego wyobrażenie o dyscyplinie i stosunkach służbowych w armii.

– Generale Malone – oznajmił uroczyście pułkownik. – W imieniu rządu Stanów Zjednoczonych żądam, aby natychmiast udostępnił pan klucz do systemu!

– W imieniu... – generał zatchnął się z oburzenia, poczerwieniał i pochylił się do przodu. Wyglądał jak wściekły buldog, gotów rzucić się przeciwnikowi do gardła. – Zjeżdżaj stąd, Horton, zanim każę cię aresztować... A w zasadzie nie, poczekaj, nigdzie nie idź. Od razu wsadzę cię do paki!

Sięgnął do przycisku interkomu. Ręka pułkownika była jednak szybsza. Wyciągnięty palec generała trafił w wierzch dłoni Hortona.

– Nie kompromituj się, Patrick. Wiesz dobrze, kogo reprezentuję. I kto z nas dwóch ma tutaj szersze kompetencje. Tak naprawdę to ty podlegasz mnie, a nie na ja tobie. Zapomniałeś? Dawaj klucz i przestań udawać niezłomnego generała Lee! Nie siedzimy w Stanach. Jesteśmy w przestrzeni. Jeszcze rok temu nie wiedziałeś nawet, że ta baza istnieje. Wyciągnąłem cię z gówna, w które się wpakowałeś przez własną głupotę, wyczyściłem i posadziłem tutaj po to, żebyś grał generała, a nie naprawdę bawił się w wielkiego wodza! Poczujesz się Napoleonem, czy co? Złapali naszego człowieka! Bardzo ważnego człowieka. Musimy namierzyć, gdzie jest, zanim coś ważnego od niego wyciągną! Takie są dyrektywy w podobnej sytuacji!

– A ja mam twoje dyrektywy w dupie, Horton – wycedził przez zęby generał. – Mnie obowiązuje regulamin. Jeśli chcesz klucz, będziesz mnie musiał zastrzelić. Zrobie wszystko, żeby ci przeszkodzić...

– Jak chcesz – powiedział zimno pułkownik. – Nie mam czasu na przekomarzania.

Cofnął się o krok, wydobył pistolet i zanim stojący z boku, osłupiały porucznik zdolał pojąć, co się dzieje, ujrzał osuwające się powoli, przegięte jakby w tanecznej pozie ciało generała Malone. Przy niskiej grawitacji widok mógłby się wydać wręcz groteskowy, gdyby nie bryzgi krwi osiadające na rzędach ekranów za plecami dowódcy. Jeszcze przez chwilę znad blatu biurka sterczała dłoń z rozcapierzonymi

przedśmiertnym skurczem palcami, a potem i ona niespiesznie opadła na podłogę. Huk wystrzału dotarł do oszołomionego porucznika z opóźnieniem, zupełnie jakby stał nie o dwa kroki od zajścia, ale dzielił go od niego dystans przynajmniej stadionu. W tej samej chwili poczuł szturchnięcie. Horton coś do niego mówił.

– ...zdejmij, do cholery! Na szyi ma klucz! Podejdź i zdejmij go! A może ciebie też trzeba rozwalić?

Bezwiednie, jak automat poruszony impulsem rozkazu, młodszy oficer skierował się ku zwłokom. Martwy generał patrzył w sufit wytrzeszczonymi oczami. Porucznik przemógł ogarniający go wstręt, pochylił się i dotknął łańcuszka, na końcu którego powinien być klucz. Szarpnął mocno, przymknął oczy. Poczuł osiadającą na dłoni kropkę wilgoci. Miał ochotę wymiotować.

– Szybciej! Daj ten kluczyczek!

Posłusznie zbliżył się do pułkownika.

– Jak się nazywacie?

– Porucznik Miller. Jonathan Miller, sir – odparł, trąc rękę, na której rozmazała się smużka krwi.

O co temu pułkownikowi chodzi? Przecież doskonale zna jego nazwisko. W bazie wszyscy się znają. To mała społeczność... Chyba że chce sprawdzić, czy z wrażenia podwładny nie dostał pomieszania zmysłów.

– Dobra, Jonny – rzekł Horton po chwili milczenia. – Na razie zostaniesz szefem tego burdelu. – Wskazał szerokim gestem ekrany i konsole. – I awansuję cię do stopnia kapitana. Nadszedł taki czas, że w ciągu paru chwil możesz zostać nawet majorem. Albo skończyć jak on. – Wskazał trupa. – Na początek włącz system. Trzeba namierzyć naszego agenta. Rejon dystryktu Dolny Śląsk, miasto Oleśnica. Stamtąd się meldował, kiedy go zgarnęli. Ma wszczepiony chip o wybiórczej aktywności. Rozumiesz, taki, który odpowiada tylko na ściśle określoną częstotliwość pelengu. To dlatego trzeba uruchomić tajną procedurę, bo tylko w jej ramach możemy posłużyć się właśnie tą częstotliwością. Mówię to wszystko, bo teraz ty będziesz odpowiedzialny za koordynację działań. Do roboty!



– W legitymacji stoi Wilhelm Kieferer. A naprawdę jak się nazywasz, robaczku?

Nieznosnie ostre światło żarówki wwiercało się pod zaciśnięte powieki. Starał się spojrzeć przez firanek rzęs, ale nie był w stanie dostrzec człowieka, który zadał pytanie. Blask był zbyt jasny i bolesny, żeby dojrzeć cokolwiek poza rozżarzoną kloszem lampy.

– Gdzie jestem?

Nagły bolesny rozbłysk światła i straszny ból. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to nie było uderzenie, ale doznanie płynące z wewnątrz, z głębi trzewi. Skrępowane z tyłu dłonie wykonały bezradny, zahamowany w samym zamiarze ruch.

– Jak się nazywasz? Gdzie mieszkasz?

– Wilhelm Kieferer. Berlin, Helmut-Kohl-Strasse 34.

– Dobra, powiedzmy. Na razie. A co robiłeś w pobliżu domu denata?

– To policyjne przesłuchanie?

I tym razem ból przyszedł bez ostrzeżenia. Był potworny, straszniejszy od wszystkiego, czego doświadczył do tej pory.

– Jak podkręcę jeszcze trochę, zeżresz własne jaja! Odpowiadaj!

– Jestem dziennikarzem, dostałem cynk... – z trudem wydobywał słowa. Ból krążył jeszcze po całym ciele. – Telefon...

– Od kogo?

– Nie mam pojęcia... Powiedział, że zdarzyło się coś ciekawego...

– Nie pierdol, stary! Dostałeś cynk i natychmiast rzuciłeś wszystko, żeby przyjechać do jakiejś zstranej Oleśnicy, gdzie największym wydarzeniem roku jest rozwód ciotki burmistrza? I od razu wlałeś na odpowiednie drzewko?

– Taki mam zawód, żeby wiedzieć...

– A ja mam taki zawód, żeby wyciągnąć z ciebie wszystko! Będiesz się modlił o szybki koniec! Będiesz błagał własną pamięć, żeby ci jeszcze coś podsunęła!

– Ja nic nie wiem!

– Zobaczmy. Nie spotkałem dotąd takiego, który by wytrzymał pogawędkę ze mną.



Nowak stanął przed szlabanem urzędu. Nie miał prawa wjechać tam, gdzie przed chwilą zniknął samochód Wernera. Pieprzony szkop! I po to się za nim ciągnął z Oleśnicy przez pół Wrocławia... Zastanowił się. A tak właściwie, po co za nim jechał? Policyjny nos mówił, że warto, a rozsądek, żeby dać sobie spokój. Czyżby tym razem rozsądek wyjątkowo miał rację? Ale skoro już tu jest... Spojrzał na zegarek. Herta i tak mu nie daruje, że znowu nie wrócił na noc, nie ma nawet co dzwonić, tylko by się nasłuchał gorzkich słów, a może i wyzwisk. Wycofał samochód, zaparkował przed budynkiem wojskowego szpitala. Nie powinien budzić podejrzeń pośród kilkudziesięciu innych aut.

Ciekawe. Przed oczami stanął mu znowu pokój nieboszczyka. Sam fakt, że trup wyglądał dziwnie, nie powinien wzbudzać aż takiego zainteresowania wyższych władz. Chyba że... No tak, to był profesor Zenon Kupisz z Akademii Medycznej... Ciekawe, przy czym tam robił. Może pracował w jednej z tych tajnych komórek zajmujących się diabli wiedzą czym, a może był nawet szefem czegoś takiego?

Sięgnął do regulacji fotela. Trzeba się przygotować na długie czekanie. Stare metody łąpsów, rodem z powieści Chandlera bywają najskuteczniejsze. A żona niech się wścieka. Nigdy nie pogodziła się z faktem, że jest glina. I pewnie już się nie pogodzi. Odejdzie z tym swoim Wilhelmem. Myśli, głupia, że to wielka tajemnica. Tajemnica! Też coś! Dla niego, pierwszego psa dystryktu Dolny Śląsk! Przetarł oczy. Najtrudniej będzie przemóc bezwład zmęczenia po intensywnym dniu pracy.



Mapa Europy w gabinecie marszałka Szwochniewa upstrzona była różnokolorowymi chorągiewkami. Marszałek pozował na sztabowca z dawnych czasów i niechętnie odnosił się do elektronicznych zabawek. Nie miał nawet komputera. Byli tacy, którzy wietrzyli w tym głupotę. Trzeba jednak było samemu być głupcem, żeby nie doceniać starego zupaka. Jura Szarapat doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Melduję się na rozkaz, obywatelu marszałku!

To też było jedno z dziwactw Szwochniewa. Zabraniał do siebie mówić „panie”. „Obywatelu” tolerował, przy „towarzyszu” krzywił się, ale specjalnie nie protestował, często wyglądał nawet na zadowolonego. Mógł jednak także zdrowo opieprzyć. Wszystko zależało do dnia i nastroju. Ten „obywatel” był najbezpieczniejszy.

– Rozluźnij półdupki, majorze i siadaj. Mamy problem.

Szarapat usiadł na brzeжку fotela.

– Mówi ci coś nazwa Oleśnica?

Jura zmarszczył brwi, usiłując skojarzyć z czymś usłyszane słowo.

– To w Polsce – pomógł mu marszałek. – Coś ci się przypomina? Chyba wbijali wam do głowy jakieś szczegóły na szkoleniach, co? A może ty się po prostu nie nadajesz do wywiadu?

– Wiem! – rozjaśnił się major. – Miasto w dystrykcie Dolny Śląsk, na wschód od Wrocławia. Było tam zapasowe lotnisko w czasach Układu Warszawskiego, a na początku drugiej wojny światowej podobno samoloty Luftwaffe startowały stamtąd na bombardowania... Obecnie miejsce pozbawione znaczenia strategicznego...

– Nie pieprz, Jura! Na świecie nie istnieją miejsca pozbawione znaczenia strategicznego! To tylko kwestia aktualnej sytuacji. I z tą dziurą nie jest inaczej. Interesują się nią nawet Amerykanie, i to od dość dawna.

– Nie wiedziałem... – Szarapat z obawą zerknął na twarz marszałka. – Moja wina...

– Nie twoja, nie twoja! Mało kto wiedział. Nasi przyjaciele ze Stanów zrobili z tego taką tajemnicę, że nie wie o tym pewnie nawet ich szef bezpieczeństwa narodowego! Utajnili to tak, że na dobrą sprawę sami się unieruchomili w tym rejonie. A wieści dotarły do nas przypadkiem. To znaczy nie tak do końca przypadkiem. Trochę zajmowaliśmy się i my tą Oleśnicą. Kiedyś nawet zdarzył się w mieście wypadek. Pracowała tam, rzecz jasna nielegalnie, brygada Białorusinów, Ukraińców i taka tam zbieranina. Przy remoncie wciągali na taras betoniarkę. Starą, dobrą betoniarkę, sprzęt jeszcze z dwudziestego wieku. I, wystaw sobie, co za przykrość, ta krowa zerwała się z liny i pierdolnęła w ziemię. Z pół metra się wbiła w ulicę. A wiesz, co się okazało?

– Nie mam pojęcia.

– No właśnie. Jak się pewnie domyślasz, betoniarka nie była żadną betoniarką, znaczy była, ale zamiast silnika miała skaner... nic lepszego wtedy na podorędziu nie było. Tam pod ziemią powinny być przejścia, korytarze. Niemcy lubili ryc i dokąd ten rejon należał do nich, kopali jak krety. Mamy dokładne plany sieci tych przejść. A na odczytach była wielka dupa. W ogóle od pewnego czasu nie szło zrobić normalnych badań z powierzchni, dlatego poszła w ruch ta betoniarka... I wyobraź sobie, że nic z tego.

– Kamuflaż?

– Kamuflaż, Jura. Kurewsko dobry kamuflaż. Chyba, żeby tam wszystko zasypali i zabetonowali. A w to nie bardzo wierzę.

– Ale skoro Amerykanie tak to utajnili, że sami z tego nie mają pożytku...

– No właśnie. I myśmy cały czas myśleli, że to Amerykanie mogą tam siedzieć. Jeszcze do wczoraj. Bo nie dalej, jak dzisiaj piętnaście po dwudziestej drugiej, czyli półtorej godziny temu, Jankesi zaczęli ze swojej kosmicznej stacji przeprowadzać peleng terenu od Legnicy po Kluczbork i to w bardzo dziwnych, niestosowanych do tej pory częstotliwościach. Nawet byśmy nie wiedzieli, że czegoś szukają, gdyby nie to, że sami ostatnio pracujemy nad użyciem podobnych fal.

– Pracujemy? – uśmiechnął się Szarapat. – Pewnie ktoś z naszych podpieprzył Amerykanom plany? Jak zwykle.

– No i po co klepiesz bez sensu jęzorem, Jura? Podpieprzył to podpieprzył, jak zwykle. I co z tego? Słuchaj dalej. Oleśnica leży pośrodku badanego terenu. I od niej koncentrycznie szedł ten namiar. A powiedz mi, po cholere robić takie rzeczy na obszarze, w którym się samemu siedzi? Znaczy, że to nie Amerykańce zrobili kamuflaż. Tylko kto?

– Ale...

– Potem Jura! Słyszałeś kiedyś o Omsku?

Major spojrział na przełożonego jak na wariata. Gdzie Omsk, gdzie Oleśnica?

– Jak mogłem nie słyszeć, mamy tam placówkę...

– Wiem, co mamy! Ale jest coś jeszcze. O mumii Lenina słyszałeś? Nie patrz tak na mnie, nie oszalałem! Wiem, że słyszałeś. I widziałeś! Możeś się nawet do niej modlił. Tak, tak, majorze, stary marszałek nie jest taki głupi, jak mówią. Stary marszałek słyszał o prorocत्वach. O Wielkim Ojcu, który zmartwychwstanie i zaprowadzi wreszcie powszechny dobrobyt. Tak bredzą niektórzy oficerowie i nie mów mi, że takich nie spotkałeś. Ale teraz to nieważne. Wiesz chyba, że przy mumifikacji wodza rewolucji lekarze cokolwiek spieprzyli robotę i do dzisiaj trzeba przy trupie chodzić, bo co nieco podgniwa. A w Omsku, widzisz, niedługo po śmierci Lenina pracował genialny naukowiec, niejaki Andriej Romadanowski. On w latach dwudziestych i trzydziestych zakonserwował ponad tysiąc osób. Do dzisiaj wyglądają jak żywe!

– Wybaczcie Antonie Pawłyczu, ale cóż z tego?

– To z tego, majorze, że przeszło dziesięć lat temu ktoś zwyczajnie podpiździł z Omska piętnaście mumii! Wtedy nikt tym się specjalnie nie przejął. Rozumiesz – jak to u nas – ukradli, to ukradli, normalna rzecz. Jakby kto coś tam wniósł do środka i zostawił, o, to już by było mocno podejrzanе i wymagałoby rzetelnego wyjaśnienia. Ale tak... A dzisiaj Amerykanie ujawniają jakiś nowy system namierzania, którego jeszcze nie potrafimy ani porządnie odczytać, ani zakłócić. Z tego wynika, że w tej Oleśnicy albo poblizu stało się coś, co ich cholernie przestraszyło albo nawet wkurzyło... W dodatku tam są podziemia zaekranowane, i to najpewniej wcale nie przez Jankesów, a te mumie z Omska ktoś ukraść.

Marszałek zamilkł, wpatrując się w mapę Europy. Szarapat chrząknął.

– Nie rozumiem, towarzyszu marszałku. Łączycie te sprawy?

– Łączę, Jura, łączę. I ty też powinieneś zacząć je łączyć. Czy ja zawsze wszystko muszę tłumaczyć? Posłuchaj. Dwanaście lat temu zespół naukowców z zagranicy badał mumie Romadanowskiego. To była delegacja naukowa pracowników Akademii

Medycznej we Wrocławiu. Rok później przyjechali znowu, że niby chcą dokończyć jakieś ważne pomiary. Siedzieli w Omsku od czerwca do października. A ledwo wyjechali, zaraz zniknęło piętnaście trupów. Jak już mówiłem, wtedy nikt nie zwrócił na to większej uwagi. Tyle, majorze, że niedługo przed tymi ich wizytami zostało ogłoszone moratorium na kolonizację planet. To samo moratorium, które kończy się już niebawem.

– Ale o co w tym chodzi?

– No właśnie, o co? Mogę się domyślać, ale pewności nie mam. Szykuje się jakiś grubszy szwindel. A my musimy wiedzieć, jaki! I dlatego za godzinę wsiadasz w konwejer. Jutro będziesz z ludźmi na miejscu. A ja przyduszę naszą delegaturę w Omsku. Niech zbierają informacje. Tutaj masz materiały o Romadanowskim i jego pracach. Skąpe jeszcze, bo skąpe, ale dokładnie się z nimi zapoznaj. Nigdy nie wiadomo, co się przyda.



– Nic nie idzie od niego wyciągnąć, Herr Kapitan. Albo taki twardy, albo rzeczywiście niewiele wie. Pieprzy mi tu, że zwietrzył skandal obyczajowy. Dostał informację. Szanowany profesor, ojciec dzieciom i przykład dla studentów, a ma na boku kochankę, w dodatku jakąś zwyczajną kurwę na emeryturze. Niby taka zwykła brudna rewelacyjka do obleśnej gazetki.

Szpakowaty mężczyzna skrzywił chudą twarz w wyrazie niezadowolenia. Odblaski ekranu sprawiały, że haczykowaty nos rzucał cień aż na brodę, przez co wzmiankowany kapitan wyglądał jak Baba Jaga z bajek dla dzieci. Tyle że o wiele mniej zabawnie i pocziwie.

Werner tarł zmęczone od ślęczenia nad papierami oczy. Z niechęcią spojrzął w ekran.

– Słuchaj, Kurt, on na pewno coś wie! Dla takiej dupereli, jak kochanka profesora, nie odgniatąby sobie dupy na gałęzi. Masz to z niego wyciągnąć!

– Kiedy nic nie skutkuje. A czasu coraz mniej. Przecież jeśli pracuje dla kogoś z naszej konkurencji, w końcu zorientują się, że go mamy! A jeśli nawet nie, ten pies Nowak przecież nie odpuści. A kiedy zapyta swojego szefa, dlaczego zabrano im sprawę...

– Nowakiem się nie przejmuj. W dystrykcie Niederschlesien chuj jeden wie, jakie kto ma uprawnienia i kto kim rządzi, przynajmniej na razie, dokąd nie wystartują rakiety. A ja muszę wiedzieć, o co chodzi! To wszystko, co się ostatnio dzieje, śmierdzi gorzej niż profesorskie trupiszcze! Masz z gnoja wydobyć zeznanie, bo inaczej leżymy. Rozumiesz?

– To ma jakiś związek z końcem moratorium?

– Nie zadawaj idiotycznych pytań. Teraz wszystko ma z tym związek! Zanim statki znajdą się w przestrzeni, możemy jeszcze coś zdziałać. Potem, nawet jeśli się czegoś dowiemy, będzie za późno.

– Chyba wszyscy szykują jakieś niespodzianki, prawda? My też.

Werner spojrział na podwładnego, mrużąc oczy. Nie cierpiał tych elektronicznych połączeń. Niby tajne, niby monitorowane, a zawsze miał wrażenie, że ktoś niepowołany może podsłuchać.

– Wszyscy szykują jakieś niespodzianki – powtórzył za Kurtem. – I dlatego musimy wiedzieć, co chce zrobić przeciwnik.

– Przeciwnik – roześmiał się Kurt. – Podobno działamy razem z Polakami. Porozumienie w Gruenbergu...

– Zamknij się. Wcale nie jesteś zabawny! O porozumieniu w Gruenbergu możemy zapomnieć. Mieliśmy różne porozumienia. W Nicei, w Paryżu, we Wrocławiu, cholera wie, gdzie jeszcze. Właśnie o to chodzi! Te wszystkie układy można sobie w dupę wsadzić. Statek, Kurt! Statek mamy wspólny z Polakami i to jest nasz największy problem. Żeby jeszcze z Czechami, tak jak chciałem. Ale nie. Nasi politycy musieli namotać po swojemu, wtrącać się, jak zawsze, do najprostszycich spraw. I wreszcie tych nieszczęsnych Pepików upchnęli Francuzom. A nam Polaków. Żeby w pełni rozkwitła tradycyjna przyjaźń między narodami słowiańskimi i germańskimi. Tak naprawdę liczyli na to, że nasi wschodni sąsiedzi jak zwykle spieprzą, co tylko jest możliwe do spieprzenia, pomniejszą szanse nie tylko swoje, ale przede wszystkim nasze. Wiesz doskonale, że zawsze będziemy odbierani jako wielkie zagrożenie. Nasz słynny niemiecki imperializm... I mają poniekąd rację. Ale wyglądało, że Polaczki w niczym nam nie zaszkodzą, a wręcz przeciwnie, będzie można sobie na nich pojeździć, kiedy przyjdzie czas. Sądzisz, że teraz, kiedy wszystko gotowe, szychy w Berlinie życzą sobie dowiedzieć się poniewczasie, że coś się w ich rachubach popierdoliło? Myśl lepiej co zrobić, żeby facetowi rozwiązać język! Czuję przez skórę, że może nam powiedzieć parę istotnych rzeczy.



Kamil Nowak potrząsnął głową. Niebo szarzało już i coraz trudniej przychodziło powstrzymać sen. Koszmar! Nie dość, że nie zmrużył oka, to jeszcze skończyły się papierosy, a bał się pójść do automatu za rogiem, żeby przypadkiem czegoś nie przegapić. Ale teraz miał już dość siedzenia na darmo. Na myśl o miękkim dotyku pościeli przeszedł go rozkoszny dreszcz. Pieprzyć to wszystko! Sięgnął do kluczyka w stacyjce, ale zamarł w pół ruchu, w tej chwili usłyszał bowiem warkot motoru i przed bramą urzędu z piskiem opon zajechała wielka ciężarówka. Zamiast jednak zatrzymać się przy wjeździe, silnik wozu zawył na wysokich obrotach i potężny zderzak staranował szlaban. Tylne drzwi paki otworzyły się gwałtownie, by z ciemnego wnętrza wyrzucić na chodnik kilkudziesięciu ubranych na czarno ludzi. Zanim strażnicy przy bramie zdążyli cokolwiek zrobić, leżeli martwi na ziemi. Z przestrzelonych na wylot skroni sączyły się strużki krwi.



Nieśmiało dotknął jej ramienia. Siedziała swobodnie, rozluźniona, głowę złożyła na oparciu kanapy. Spojrzała na niego, śmiesznie marszcząc brwi. Czyżby narzucał zbyt szybkie tempo? Jednak nie cofnęła ręki, a po chwili uśmiechnęła się samymi kącikami warg. Poczł, jak podniecenie zaczyna wibrować w głębi lędźwi. Zerknął w dół. Kobieta założyła nogę na nogę, a obcisła spódniczka podniosła się, ukazując uda opięte lśnjącymi pończochami.

Ręka sama powędrowała na łydkę. Uważnie patrzył w oczy kobiety. Dotknięcie śliskiej powierzchni połączone z przebijającym się ciepłem ciała było zniewalające. Dłoń popęzła w górę. Kobieta poruszyła się lekko. Dostrzegł, że jej nogi są rozchylone, a palce trafiły na fragment ciała między pończochą a figami. Nie mogąc się oprzeć wrażeniu nierealności całej sytuacji, wśliznął się pod majteczki. Była rozgrzana i gotowa. Przymknęła powieki oddychając szybko, gwałtownie.

Jedno mocne szarpnięcie. Rozdarty materiał przestał oddzielać dłoń od gorącej wilgoci. Przypadł do niej wargami, czując jednocześnie we włosach delikatną pieczotę kobiecych palców. Przeszywający ją nagły dreszcz rozkoszy odczuł niczym własną przyjemność. Zatrzymała go, naciskiem dłoni dała do zrozumienia, że chce, aby wstał. Przez dłuższą chwilę z zafascynowaniem wpatrywała się w pęczniejącą w spodniach męskość, zanim wydobyła ją na wierzch, aby otoczyć miękkim uściskiem warg. Zaczął rytmicznie poruszać biodrami. Cudownie! Jęknął, zatracił się w przyjemności.

Kilka chwil później kobieta klęczała, kusząco wypinając pośladki, a on mógł dalej odkrywać szczegóły jej boskiego ciała. Chwycił ją mocno za biodra, przyciągnął do siebie. Jęknęła przeciągle, kiedy wchodził w nią zachłannie, z całej siły. Odwróciła ku niemu twarz.

– Twoje nazwisko – wyszeptęła, oddychając spazmatycznie. – Powiedz, jak się nazywasz... jesteś cudowny...

W odpowiedzi przygarnął ją jeszcze bardziej. Krzyknęła cicho.

– Jak się nazywasz? – szepnęła odwracając ku niemu rozpaloną żądzą twarz. – Gdzie mieszkasz?...

– Czego chcesz? – Chwycił ją za włosy. – Dlaczego tak wypytujesz? Co ty, z policji jesteś? – Poczł nagły niepokój i niespodziewany przypływ paniki. Coś tu było nie tak...

Nagle targnął nim straszny, znany już ból. Skórzana kanapa zawirowała. Rozluźnił chwyt na włosach kobiety. Jej głowa natychmiast opadła. W oczy uderzył oślepiający blask. Ból był nie do zniesienia. Znowu. Który to już raz?... Z gardła wyrwał się zwierzęcy skowyt. Niech to się wreszcie skończy! Lepiej zdechnąć niż znosić coś podobnego! Ileż można?...

– Kurwa mać! – ochrypiły wrzask. – Ty gnoju, wyciągnę to z ciebie w końcu!

Uklucie na przedramieniu.

– Będę cię wysyłał do nieba i sprowadzał w samo jądro piekła, aż oszalejesz! Nie umrzesz, nie wyrwiesz się! Oszalejesz, rozumiesz? O-sza-le-jesz!!!

Znowu straszliwy ból. W głowie rozdzierający błysk i nagła ciemność. Nie słyszał już huku pękających stalowych drzwi.



Nowak trwał wciśnięty między kierownicę a fotel, starając się zobaczyć jak najwięcej z tego, co działo się na terenie niemieckiego urzędu. Jednak, poza dwoma trupami przy wyłamanym szlabanie, na razie nie było czego oglądać. Komandosi czy terroryści – tego nie potrafił odgadnąć, zresztą, nie miało to najmniejszego znaczenia – bez najmniejszych trudności i hałasu wtargnęli do budynku. Trzech zamaskowanych ludzi zostało na zewnątrz. Natychmiast rzucili się do pracy. Zebranie ciał strażników i zatarcie śladów zajęło im dosłownie kilkanaście sekund. Tylko złamany szlaban świadczył o tym, że nie wszystko jest tak, jak być powinno. Okna wojskowego szpitala pozostawały puste i ciche, jakby nikt nie słyszał silnika ciężarówki ani pękającego szlabanu. Zresztą może rzeczywiście tak było. W końcu z pewnością w budynku zamontowano dźwiękoszczelne okna. Pusta o tej porze ulica w godzinach szczytu zamieniała się w hałaśliwą, pełną spalin rzekę pojazdów.

Przez ostatnie kilka minut panował spokój. Ale stało się coś, co sprawiło, że Nowaka przeszył dreszcz paniki. Jeden z napastników stanął przy bramie, a dwaj pozostali ruszyli wzdłuż ulicy. Zaglądali po kolei do każdego zaparkowanego samochodu. Pistolety z lufami przedłużonymi przez charakterystyczne zgrubienia tłumików zataczały krótkie łuki przy oknach pojazdów. Przeszli na drugą stronę jezdni. Byli coraz bliżej. Jeszcze pięćdziesiąt, czterdzieści pięć metrów... Nie spieszyli się, byli bardzo systematyczni. Po co, zresztą, mieliby się spieszyć? Takim jak oni nie można uciec. Kamil pospiesznie przepelzł między siedzeniami pasażera i kierowcy na tylną kanapę. W tej chwili błogosławił fakt, że oparcie miało zepsutą blokadę i można je było bez wysiłku położyć. Stukanie i piszczanie, które tak denerwowało podczas jazdy jego żonę, może mu teraz uratować życie. Kiedy wpełźnie do bagażnika i z powrotem postawi poduszki, powinien być bezpieczny. Tam przecież sprawdzać nie będą.

Ostrożnie pociągnął oparcie. Cholera jasna! Lekki szcęk zakomunikował, że w tym momencie zatrask zaskoczył! Od dwóch lat był zepsuty, a zaskoczył właśnie teraz! Sięgnął do pierścienia blokady. Może jeszcze zdąży. Może nie zauważą. Ile czasu minęło? Nie więcej niż pół minuty. Na pewno są jeszcze daleko. Mechanizm na szczęście okazał się posłuszny. Klęcząc na podłodze w niewiarygodnej pozycji, skręcony w korkociąg, cichutko podciągnął w górę zatrask, lekko szarpnął oparcie. Jest! Teraz to kwestia sekund.

W tej samej chwili rozległ się suchy trzask pękającej szyby. W oczy Nowaka zajrzał tępy ryj tłumika.

– Was wollen Sie, meine Herren? – zacharczał, kiedy wyciągali go ze środka niby rybę z podbieraka.

– Patrz, Sroka, następny szkop! Pewnie szpicel. Jakby mało ich było tam, w środku.

To bez sensu, pomyślał. Dlaczego uznałem, że napastnikami są Niemcy? Po co mieliby szturmować budynek własnego urzędu? Chociaż... z nimi nigdy nic nie wiadomo.

– Ależ, panowie, ja jestem z policji – usiłował tłumaczyć. – Z polskiej policji. Ja...

– Będiesz się spowiadał szefowi. – Mocne szturchnięcie w okolice wątroby skutecznie stłumiło protest. – A teraz morda w kubel.



– Oni naprawdę myśleli, że nie dowiemy się, gdzie trzymają naszego człowieka! Horton krążył po pomieszczeniu centrali jak tygrys w klatce. Co chwila zatrzymywał się przy stosie odczytów ze zwyczajnym uśmiechem na wąskich ustach.

– Kapitanie Miller.

– Tak jest! – Jonathan wyprężył się jak struna.

– Przestań już wrzeszczeć swoje „tak jest”. Zrób spocznij. To była naprawdę dobra robota! Zaraz dowództwo wyśle tam naszych chłopców. Niemcy wciąż myślą, że nie wiemy, gdzie mają swoje tajne bazy na terenie Polski!

– Chciałem zauważyć, że na razie nie można nic zrobić.

– Wiem, wiem, potwierdzenie z Waszyngtonu. Ale to tylko kwestia minut, najwyżej godzin.

– Mam nadzieję.

– A ja mam pewność. Prezydent na pewno zrozumie konieczność interwencji. To kwestia bezpieczeństwa narodowego. Ten człowiek miał nam dostarczyć bardzo ważne informacje. A poza tym wie zbyt dużo, żeby go zostawić w ich rękach. Do kogokolwiek te ręce należą, utniemy je!

Kapitan Miller spojrzął na przełożonego spod oka. Gdzie się rodzą tacy zapaleńcy? Pułkownik ma najwyraźniej niezłomne przekonanie o ważności swojej dziejowej misji. Ale może takie pieprznięte trepy też są do czegoś potrzebne...



Stali między gotyckim kościołem a dziwnym pomnikiem, którego charakterystyczny podłużny kształt, zwieńczony księżęcym kołpakiem, przyjezdnym kojarzył się bardzo jednoznacznie. Wstawał słoneczny dzień. Na ulicach miasta było jeszcze pusto.

– To bazylika mniejsza – powiedział niepozorny, łysawy człowiek w okularach do dwóch młodych mężczyzn i atrakcyjnej blondynki, wskazując gotycki kościół. – A ten kutas tutaj, to pomnik Żółtych Godów. Tu obok jest zamek książęcy... widzicie, jak to wszystko blisko siebie? W linii prostej na południowy wschód są z kolei budynki dawnego więzienia, może jakieś dwieście metrów stąd, a od tego więzienia budynek sądu o kilkadziesiąt... i dawna poczta...

– Dobra, Jura – odezwała się blondynka. – Ale po co nam to wszystko mówisz? Co to ma być, wycieczka krajoznawcza? To bliżej nam było Witebsk obejrzeć niż tu zasuwać...

– Ksiusza – odparł spokojnie. – Ty pamiętaj, że i owszem, masz grać głupią gęś, ale teraz się tak nie wczuwaj! Tu gdzieś pod nami siedzi diabli wiedzą kto! Niemcy, Amerykańce, a może nawet i Kitajce! Albo i nikt! Wszystko możliwe. Te wszystkie budynki, o których mówiłem, były dawniej połączone podziemnymi przejściami. A teraz mamy podejrzenie, że tych korytarzy już nie ma. Pod spodem może się za to znajdować wielki bunkier. Albo raczej kompleks doskonale ekranowanych bunkrów.

– Dobra, mów, co mamy robić – odezwał się schrypniętym głosem wyższy mężczyzna.

– Ty co, Stiepan, zapomniałeś, gdzie pracujesz? Wiadomości mamy zebrać. Jak najwięcej wiadomości. Instrukcje czytaliście, zresztą na odprawie Dziadyga wszystko dokładnie objaśnił. Bierzcie z Fiedką teczuski i dalej biznesmeni z miejscowymi, przeważać co trzeba! A ty, Ksenia, zasuwasz do naszego śpiocha. Adres znajdziesz w kopercie, na światłoczułym papierze, tak że zapamiętaj od razu, żeby nie było jak ostatnio. On cię skontaktuje z kim trzeba. Hasło dla śpiocha już znasz. Widzimy się w tym samym miejscu jutro o tej samej porze. Mobilnych telefonów nie używać bez wyraźnej potrzeby... W ogóle ich nie używać. Cholera wie, czy nie ma tutaj stacji nasłuchowej.



Kamil stwierdził ze zdumieniem, że jest już zupełnie jasno. No tak, przecież kiedy wpadł w ich łapy, zaczynało świtać. Ci sami ludzie, którzy wyciągnęli go z auta i zawlekli przed zamaskowane oblicze dowódcy, prowadzili go teraz z powrotem do wyjścia. Po raz drugi w ciągu kilkudziesięciu minut mijał leżące w korytarzu ciała. Odwrócił wzrok, kiedy dostrzegł zgrabne nogi młodej kobiety. Jej twarz... Boże, jakiej amunicji oni używali? A może dla przyjemności zatłukli ją kolbami?

– Sroka – odezwał się komandos – zobacz, jaki wrażliwy pies! Jak to odwraca głowę. Ty, koleś, naprawdę jesteś glina? – Szturchnął Nowaka. – Krwi się boisz? Trupa nigdy nie widziałeś?

– Widziałem – mruknął Nowak. – Trupy widziałem. Ale raczej rzadko były oprawiane przez rzeźników.

– Ty, koleś. – Znowu szturchnięcie. – Ty nie bądź za mądry! Sroka, słyszałeś? Dowcipas, kurwa jego mać. Zaraz ci się odechce dowcipów, jak ci przypier...

– Przymknij się, Kruk. Mamy go dostarczyć do bazy. Całego. I zdrowego. Przynajmniej taki jest rozkaz na tę chwilę.

– Ale jak z nim skończą, poproszę szefa, żeby dał go mnie. Tak – rozmarzył się. – Chętnie mu pokażę parę fajnych rzeźnickich sztuczek.

– Nic mu nie pokażesz, głąbie! – zirytował się Sroka. – To zbyt gruba sprawa, żebyś miał do niego dostęp. A teraz zamknij się wreszcie! Za dużo gadasz, wiesz? Kiedyś ci to zaszkodzi, Kruk.

– Kruk? – powiedział Nowak. – Jakoś nie pasuje do ciebie ta ksywa, wiesz?

– Dlaczego? – komandos zatrzymał się.

– Chodźmy – szarpnął go za ramię Sroka. – Samochód czeka.

– Nie. Niech mądrala najpierw powie, dlaczego mu moja ksywa nie pasuje. No, niech powie!

– Bo – Nowak oblizał wargi – kruk to mądry ptak. Jeden z najinteligentniejszych. Tobie bardziej by pasowało... bo ja wiem... wróbel? Nie, już mam! Kura! Właśnie, kura! Ten sam lotny umysł i wrodzona bystrość!

Pięć tamtego była wielka jak maczuga. Właściwie, po co mi to wszystko, pomyślał Nowak, obserwując z niepokojem, jak komandos unosi rękę. Zaraz zmiażdży mi twarz. Ten mój cholerny niewyparzony jęzor!

Przymknął oczy, przygotowując się na cios. Zamiast tego usłyszał:

– Kurwa twoja mać, Kruk, jak nie umiesz się odszczeknąć, to z nim nie gadaj! Nie widzisz, że cię prowokuje? To stary, doświadczony pies. Wie, że idzie na rozmowę z naszą wierchuszka. Chce, żebyś go trzasnął, a potem złoży na ciebie skargę.

Kamil spojrzął na konwojentów. Sroka trzymał rękę kumpla w żelaznym uścisku. Tamten usiłował się wyrwać, mamrocząc coś, że trupy zasadniczo nie składają żadnych skarg.

– A ty, psie – Sroka zwrócił się do Nowaka – nie wiem, o czym tak długo gadałeś z naszym dowódcą, ale nie bądź za cwany. Masz być cały i zdrowy, ale zawsze można ci zalepić mordę bardzo porządnym plastrem. Cholernie ciężko się odkleja. A widzę, że trochę zarosłeś od ostatniego golenia. Wiesz jak będzie miło potem zerwać taki pakunek? Depilacja co się zowie! Wybieraj, lepimy czy się zamkniesz?

– Zamknę się – mruknął Nowak.

Po rozmowie z tym ich dowódcą wcale nie był pewny, czy dożyje dzisiejszego wieczora. Niczego nie był już pewien.



Zaspany mężczyzna stanął w drzwiach. Opuchnięte i podkrążone oczy wskazywały, że noc upłynęła mu pod znakiem butelki. Niejednej butelki.

– Czego? – burknął.

Potem spojrzął nieco przytomniej, zmierzył stojącą w progu kobietę uważnym spojrzeniem. Przełknął ślinę.

– Czego pani chce? – spytał nieco uprzejmie.

– Przychodzę z ważną sprawą – uśmiechnęła się. Miała słyszalny, nieco śpiewny akcent. – Mogę wejść? Nie zabiorę wiele czasu.

Przejechał dłonią po zmierzwionych włosach, przetarł mocnym ruchem zmiętą twarz.

– Proszę – odsunął się nieco.

Przecisnęła się obok niego. Ciężki zapach perfum wywołał u mężczyzny zawrót głowy i lekkie mdłości. Gwałtownie wciągnął powietrze.

– Przepraszam za bałagan – bąknął. – Nie spodziewałem się...

– Nie szkodzi – odwróciła się.

Był wysoki, o wiele wyższy od niej. Mógłby być nawet interesujący, gdyby nie zszarzała twarz z głębokimi śladami po namiętnie wyciskany w młodości trądziku i wszechobecny odór przetrawionej wódki.

– Nie szkodzi – powtórzyła. – Pan Adam?

– Tak, to ja.

– Przychodzę z pozdrowieniami od Igora.

Zesztywniał, wytrzeszczył oczy. Dostrzegła w nich strach. Każdy uśpiony agent liczy na to, że nigdy nie nadejdzie dzień, w którym będzie musiał odwdzińczyć się za ciężką forszę, którą przez lata dostawał zanic.

– Kto to jest Igor? – wychrypiął odzew. – Czy to jakiś mój krewny?

– Nie pamięta pan? To przyjaciel. Po prostu przyjaciel. Prosił przekazać wiadomość, że przyśle pomoc. Ostatnio zaczęło mu się nieźle powodzić.

– To bardzo dobrze. – Ostatni członek hasła powiedział już w miarę normalnym głosem. – Zawsze wiedziałem, że Igor potrafi się w życiu odnaleźć.

Patrzył na nią długo, potem gestem zaprosił do pokoju.

– Usiądźmy. – Wskazał jedyny fotel, a sam usiadł na brzegu kanapy zawalonej równie zmiętymi jak jego twarz łachami. – O co chodzi?

– Możemy rozmawiać swobodnie? Nikogo nie ma?

– Tylko my dwoje. Ja nie zapraszam nigdy nikogo do domu... Tak, jak to jest w instrukcjach.

– Bardzo dobrze. W takim razie od razu przejdźmy do rzeczy. Chcę, żeby mnie pan skontaktował ze swoim znajomym z wydziału geodezji, z tym kierownikiem. Powie mu pan, że jestem zainteresowana inwestycją w rejonie śródmieścia... powiedzmy na rogu Rynku i ulicy Wrocławskiej.

– To wszystko? – spytał z niedowierzaniem.

– Wszystko.

Odetchnął z ulgą.

– Kiedy mam panią umówić?

– Jak najszybciej.



– Obywatelu marszałku, w jakiś czas po kradzieży tamtejsza milicja, a w zasadzie miejscowa ekspozytura KGB, zaczęła się bardzo interesować zaginionymi mumiami. Dostali w tej sprawie odpowiednie rozkazy z centrali.

Pułkownik zerknął w leżące na stole notatki. Potem przeniósł wzrok na szklanekę z herbatą, namyślając się, co powiedzieć dalej. Szwochniew czekał cierpliwie.

– Jak to zwykle bywa, zablokowali zupełnie dostęp do informacji naszym służbom, a zresztą, my sami nie byliśmy specjalnie zainteresowani. Mało to dziwnych rzeczy ludzie kradną? Nawet jadowite węże i pająki z zoologu. A dzisiaj dopiero po pana zdecydowanej interwencji udostępnił nam swoje akta. Tam są bardzo ciekawe wnioski. Okazuje się, że oni w tej ekipie z Polski mieli swojego człowieka.

– Oni wszędzie mają swoich ludzi – mruknął marszałek. – U nas też.

– I vice versa – uśmiechnął się pułkownik. – W tej sprawie o wiele bardziej interesujące jest, w jakim celu mumie zostały wykradzione.

– Ja to już wiem, pułkowniku. To ma jakiś związek z kolonizacją.

Pułkownik popatrzył na przełożonego z niedowierzaniem.

– Otrzymał pan jakieś informacje na ten temat?

– Nie, chłopcze. Ja po prostu kojarzę fakty. Mówcie dalej.

– Naukowcy badali te mumie oczywiście już od dawna. Odkryli rzecz, że tak sobie pozwolę to określić, straszną i okrutną. Okazuje się, że wiele z ciał było poddanych procedurze utrwalenia jeszcze za życia. Zapewne, jak to u nas, brali w tym celu

skazańców. Być może Romadanowski z ekipą prowadzili dodatkowe badania na czyjeś zlecenie.

– Na czyjeś! – zachnął się marszałek. – Biura Politycznego! Samego Stalina! Nawet u nas i nawet wtedy nie wyobrażam sobie, żeby ktoś prowadził prywatnie, poza wiedzą Politbiura, badania z użyciem żywych ludzi! Choćby i skazańców! Mówcie dalej.

– Oczywiście eksperci zbadali tę hipotezę. Twierdzą, że przy obecnym stanie wiedzy nie ma możliwości, że się tak wyrażę, odmumifikowania ciała raz poddanego procedurze stosowanej przez Romadanowskiego. Chyba, że jest coś, o czym nie wiemy, a co udało się odkryć Polakom.

Marszałek pokiwał głową z politowaniem.

– Jajogłowi – skrzywił się niechętnie. – Nigdy nie powiedzą wyraźnie tak albo nie. Zupełnie jak politycy. Mnie zastanawia w tej sprawie jeszcze jedna rzecz. Dlaczego Polacy centrum badań ulokowali we Wrocławiu? Dlaczego w dystrykcie Dolny Śląsk? Przecież o wiele rozsądniej i bezpieczniej byłoby im prowadzić eksperymenty w Warszawie, Krakowie czy innym miejscu w głębi kraju. Toż tam, gdzie to robią, Niemcy mają praktycznie nieograniczone wpływy. Dlaczego?

– Może się dogadali z frycami?

Szwochniew spojrzał na niego jak na wariata. Pułkownik wzruszył ramionami.

– Tak tylko pomyślałem. A może, obywatelu marszałku, dlatego, że najciemniej jest pod latarnią?

– A może jest jeszcze milion innych przyczyn – mruknął Szwochniew. – A może... Słuchaj, pułkowniku. Chcę mieć dokładne informacje o wynikach badań nad mumią Romadanowskiego. Powołasz zespół spośród naszych najlepszych lekarzy, biologów, genetyków... Sam zresztą pomyśl, kogo do niego wciągnąć. Wnioski mają być na wczoraj! A wstępną interpretację przyniesiesz od razu do mnie! Najdalej wieczorem.

Pułkownik jęknął.

– Sprawa jest na wczoraj! – powtórzył marszałek. – Dość już czasu przespaliśmy!



– Może ci cholerni Polacy robią tylko zasłonę dymną? – Horton przeglądał meldunki, które napłynęły w ciągu ostatnich dwóch tygodni od zaginionego agenta. – Jakies badania, jakies durnowate mumie z Rosji... Co to ma być? Co oni chcą osiągnąć?

– Myślałem – odezwał się Miller – że oni współpracują z nami. Tradycyjnie.

– Ja też tak myślałem, kapitanie. Tradycyjnie. Nasz rząd też tak tradycyjnie myślał. Ale okazuje się że kombinują na własną rękę. Wygląda na to, że mają ochotę wyruchać wszystkich dookoła! Gdybyśmy przynajmniej mogli uwolnić naszego człowieka... On może wiedzieć o wiele więcej niż jest w tych papierach. Agent nie zawsze o wszystkim melduje, jeśli nie jest czegoś zupełnie pewien.

– Nie ma zgody Waszyngtonu, panie pułkowniku. I na razie nie będzie.

– Wiem! Oni tam nie zdają sobie sprawy z powagi sytuacji! Przecież to jest zagrożenie dla naszych przyszłych interesów na innych planetach! Jakkolwiek

śmiesznie w tej chwili by to zabrzmiało.

Oparł głowę na dłoni, przez dłuższą chwilę zrezygnowanym wzrokiem śledził na ekranach wykresy orbit szpiegowskich satelitów. Westchnął ciężko.

– Jeżeli nie zareagowali na to, co im posłaliśmy, to wstrząsnąć nimi może tylko ogólnoswiatowy kataklizm. Mówię ci, kapitanie, potęga naszego kraju chyli się ku upadkowi. Jeżeli nasz rząd nie jest skłonny posłać małego komanda, żeby uwolnić ważnego człowieka, jeżeli nie jest w stanie zaryzykować małego skandalu...

– No tak, panie pułkowniku. Ale ten nasz człowiek przebywa na terenie kontrolowanym obecnie przez dwa państwa. Wyobraża pan sobie, co by się stało, gdyby o takiej akcji zaczęli trąbić i Polacy, i Niemcy? Może tu leży przyczyna? Ten skandalik mógłby się nieoczekiwanie przerodzić w wielką aferę.

Horton spojrzał bystro na podwładnego. Inteligentna bestia ten Miller. Trzeba będzie na niego w przyszłości uważać. Że też jemu samemu nie przyszło to od razu do głowy. To zapewne skutek zmęczenia.

– Pewnie masz rację, kapitanie. Zapewne o to chodzi... Unieruchomić w ten sposób najgroźniejszych przeciwników. Nas i Ruskich. Nie spodziewałem się takiej perfidii ze strony naszych polskich sojuszników!



– Wyschnięty trup? A co to ma do rzeczy? – Szarapat rozparł się wygodnie w fotelu, patrząc z uwagą na rozmówcę. – Nie po to trzymamy cię w tutejszej policji, żebyś donosił o jakichś duperelnych rewelacjach.

– To nie duperel. Ten trup, to profesor Akademii Medycznej. Przyjechał na weekend do swojej kochanki. I wtedy to się stało! Słuchaj, huczek był taki, że zjawiły się gliny z Wrocławia, nawet delegat administracji niemieckiej, dawny polski policjant, a obecnie spora szycha w Landschaftsamcie, niejaki Roman Werner. Zrobiło się koło tego wszystkiego straszne zamieszanie.

Major zmrugał oczy.

– Z Akademii Medycznej, powiadasz? A czym się tam zajmował?

– Nie wymagaj ode mnie za dużo. Tyle powiem, że niejaki komisarz Nowak z mojego wydziału, Werner i jakiś facet, którego złapali na miejscu, zaraz znikli. Nie ma ich. Wsiąkli. Wyparowali. Jeśli wiesz, o co w tym może chodzić, to wiesz tysiąc razy więcej ode mnie.

– A tak. – Szarapat zamyślił się. – To rzeczywiście może być istotne. Ten facet, który zniknął... – zawiesił głos. E, nie. Kto mniej wie, lepiej śpi. Ta wiadomość nie jest potrzebna zwykłemu agentowi. – Nieważne. Słyszałeś kiedykolwiek o mumiach z Omska?

– Oszalałeś? O jakich mumiach? Archeologią to ty się zajmuj po pracy! I z jakiego Omska, człowieku? Mumie są w Egipcie.

– Dobra, dajmy temu spokój. Masz kogoś w tej Akademii Medycznej?

– Mam.

– Zaufany człowiek?

– Pewnie, że zaufany. Nieźle mu płacimy. Problem w tym, że on o mnie nie wie. Rozumiesz, werbował go jeszcze Skolinin, przed pójściem na emeryturę, a ja nie miałem potrzeby go ruszać... Poza tym nie znam hasła. Mieliśmy ostatnimi czasy niezły bardak z przepływem informacji.

– Skontaktuj mnie z nim. Hasło zaraz ustalimy z centralą. I załatw to jeszcze dzisiaj! Ja muszę jak najszybciej złożyć meldunek ze wszystkiego, czego zdołamy się dowiedzieć, nawet ze spraw, które mnie samemu wydają się mało ważne albo nawet zabawne.



Kamil Nowak był głodny. Potwornie głodny. Przypomniał sobie, że ostatni posiłek zjadł poprzedniego dnia rano. Potem nie było czasu, a poza tym intensywność przeżyć nie pozwalała się skupić na potrzebach ciała. W kompletnej ciszy panującej w celi burczenie żołądka wydawało się odgłosem nieprzyzwoicie donośnym. Nigdy przedtem nie przebywał w takiej ciszy. Z tego też zdał sobie sprawę dopiero przed chwilą. Zupełnie, jakby go uwięziono w doskonale wytłumionym pomieszczeniu głęboko pod ziemią, gdzie nie docierają żadne odgłosy z zewnątrz. Pomyślał, że przebywając dłużej w takich warunkach, bez trudu można zwariować. Gdyby jeszcze było ciemno... Jak to się nazywa fachowo? Deprywacja sensoryczna. Rozejrzał się.

– Jeżeli ktoś mnie w tej chwili obserwuje – powiedział – to oświadczam, że za chwilę zdechnę z głodu!

Głos zabrzmiał głucho. Mimo że pomieszczenie było duże i pozbawione mebli, ściany nie odbijały słów najlżejszym nawet pogłosem. Był pewien, że chamska mozaika cegieł i betonu to nie tylko wytłumiające dźwięki tworzywo, ale także kryjówka dla niejednej kamery i niejednego mikrofonu. Wojsko lubi takie zabawki. Gdyby przekazali policji chociaż setną część swojego sprzętu, przestępcy mieliby o wiele trudniejsze życie.

– Głodny jestem! – powtórzył głośniejsze. – Nawet jeżeli chcecie mnie ukatrupić, najpierw dajcie mi coś do jedzenia i picia, do cholery! Nie wymagam zbyt wiele. Cokolwiek!

Drzwi celi otworzyły się. Stał w nich zamaskowany komandos. Chyba jednak nie chcą mnie wykończyć, pomyślał Nowak, jeżeli zakrywają twarze. Zaraz potem jednak przyszła myśl, że tak naprawdę nie może to stanowić podstaw dla jakiegokolwiek nadziei. Oni pewnie zawsze zakrywają twarze, kiedy są w pracy. Jedni ludzie zakładają do roboty krawaty i garnitury, a inni kominiarki. Na świecie jest dość miejsca dla różnych upodobań.

– Idziemy – rzucił komandos.

– Nigdzie się nie ruszę, zanim nie dostanę czegoś do zarcia, jasne?

Tamten wzruszył ramionami. Nie odezwał się. Wykonał tylko szybki ruch. Zanim Kamil zdążył się zorientować, miał mocno wykręcone ręce.

– Jeżeli będziesz stawiał opór, złamię ci nadgarstek.



– To piękne miasto – powiedziała kobieta, patrząc na Rynek przez okno kawiarni.

– Ale nie tak piękne, jak pani – odparł łysy mężczyzna siedzący naprzeciw.

Z miłym uśmiechem przełknęła tani komplement. Był wart akurat tyle, co jej spostrzeżenie o urodzie miasta.

– Macie w tej Oleśnicy jeszcze sporo wolnego miejsca na inwestycje – zauważyła.

– Zgadza się. Ale na obrzeżach. A z tego, co rozumiem, pani ma chęć postawić budynek gdzieś tutaj, w okolicy centrum...

– Jak najbardziej. Postawić albo wyremontować stary, ale najlepiej wyburzyć któryś z istniejących i zbudować nowy.

– To będzie trudne... Nie, źle mówię. To będzie niemożliwe. Zupełnie wykluczone.

– Dlaczego? Czy są jakieś przeciwwskazania natury gospodarczej albo estetycznej? Weźmy choćby ten koszmarek przed nami. Ani to zabytek, ani to ładne, a moja budowla będzie doskonale pasowała do otoczenia.

– Nie, proszę pani, przeciwwskazania są innej natury niż gospodarcza czy estetyczna, ale o tym nie wolno mi rozmawiać, niestety.

– Och, to intrygujące. – Jej śpiewny akcent coś mu przypominał, jednak na próżno szukał w pamięci, co. – Proszę pamiętać, że jestem kobietą. A nic tak nie podnieca kobiet, jak wszelkie tajemnice.

Pod stolikiem lekko dotknęła kolanem jego uda. Rzucił jej zdziwione spojrzenie.

– Ja naprawdę nie mogę o tym mówić.

– To nic – uśmiechnęła się. – Tajemnica, czy można ją zaraz poznać czy nie, jest tajemnicą. A podniecenie pozostaje...

Oblizał nerwowo wargi.

– Mieszka pan gdzieś niedaleko?

– Teraz w domu jest żona – wymamrotał. – Ale mogę zaraz zdobyć klucze do mieszkania kolegi. Poczekaj pani?

– Tylko proszę się pospieszyć. – Zmrużyła oczy. – Bo podniecający efekt tajemnicy gotów przeminać.

Mężczyzna otarł spocone z emocji czoło, szybko ruszył w stronę drzwi. W tej chwili do środka weszło dwóch gości. Ksenia zauważyła tylko szybki ruch brody rozmówcy, wskazujący stolik, przy którym siedziała. Pełna złych przeczuć poderwała się na równe nogi, sięgnęła do torebki. Przed dalszym działaniem powstrzymał ją widok wycelowanych w jej głowę pistoletów.



Generał Kossowicz... Nowak spoglądał w bladoszare oczy człowieka siedzącego za wielkim biurkiem. Wyglądał jak zasuszony urzędnik w jakimś zauszonym biurze na głębokiej prowincji. Tylko te oczy – bystre i bezlitosne. Należały do bezwzględnego

mordercy. Nie, to złe słowo – do bezwzględnego zabójcy. Pojęcie „morderca” niesie ze sobą ładunek emocjonalny. Zabójca pasował tutaj o wiele lepiej – o jakichkolwiek emocjach nie mogło być mowy. Ten facet zabijał tylko wtedy, kiedy nie widział innego wyjścia. A że zabijanie przychodziło mu z łatwością, na pewno nie zmuszał się do szukania innych wyjść za wszelką cenę.

– Panie Nowak – odezwał się cichym, aksamitnym głosem. – Wpieprzył się pan w sam środek wielkiej międzynarodowej afery. Nie zamierzam tego ukrywać, bo po tym, co pan widział, nie mógł się pan nie domyślić. I nie zamierzam także ukrywać faktu, że gdyby chodziło o kogoś innego, jakiegoś zwykłego przechodnia, już dawno by nie żył.

Kamil poczuł nieprzyjemny dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

– Kazałem ściągnąć pana do bazy dlatego, że ktoś taki może się nam jeszcze przydać. Powiem więcej. Powinien się przydać z całą pewnością. I dlatego radzę postarać się, żeby tego przekonania we mnie nie zachwiać. Przebywa pan w miejscu, które praktycznie wytrzyma bezpośredni wybuch nuklearny. Trudno się tu dostać, jeszcze trudniej wyjść. Mówię to tak, na wszelki wypadek, gdyby się panu zachciało jakichś sztuczek.

– Po tym, co zobaczyłem, nie mam ochoty na żadne sztuczki.

– Ja myślę, chociaż wiem, że jest pan bardzo, wręcz zatrwająco, przedsiębiorczy! I zobaczy pan niebawem jeszcze więcej... Nie, nie będę mówił do ciebie „pan”. Z pewnych względów wolę przejść na bardziej bezpośredni tryb.

– A jakie to względy? Zamierza mnie pan adoptować?

– Widzisz – stary uśmiechnął się. – Kiedyś byłem taki sam jak ty, Kamilu. Bezcelny i pełen niechęci do świata. Ale teraz jestem już stary. I chociażby przez wzgląd na wiek powinieneś pozwolić mi mówić sobie po imieniu. Wracając do mojej poprzedniej myśli, zobaczysz tutaj jeszcze więcej. Zobaczysz rzeczy, w które będzie ci trudno uwierzyć. A kiedy nadejdzie czas, podejmiesz decyzję. Zdecydujesz o swoim dalszym życiu.

– Jak na razie – skrzywił się Nowak – od pewnego czasu to nie ja decyduję o sobie. Jakoś tak ostatnio zauważyłem. To pan i pańscy rzeźnicy...

– Poczekaj, Kamilu. Zanim dokonasz oceny, poczekaj. Otrzymasz szansę, o jakiej nigdy nawet nie pomyślałeś. Nie mówię o spełnieniu marzeń, bo to by było nie na miejscu. To jest coś, o czym na pewno nigdy nie marzyłeś. Nadszedł czas przełomu. Zobaczysz. Za kilka godzin powinni zacząć napływać ludzie. Odpowiedni ludzie, wobec których mam swoje plany.



– Chcesz mi powiedzieć, że oni pracują nad odwracalną mumifikacją, tak?

Swochniew usiadł na biurku, przewracając butelkę. Złapał ją w ostatniej chwili, kiedy dotoczyła się już na samą krawędź stołu. Intensywny aromat kawy po kozacku ożywił duszną atmosferę.

– Zgadza się, obywatelu marszałku. Ale nasi naukowcy twierdzą, że to niemożliwe! Każdy taki eksperyment kończy się śmiercią obiektu! Nie ma możliwości odwrócenia procesu. Tylko raz...

– Co tylko raz?

– Podobno coś takiego próbował robić sam Romadanowski. Nic dziwnego, skoro tak długo babrał się ze śmiercią, miał ochotę na małą odmianę. To tylko domysły, ale... Już mówię, obywatelu marszałku, niech tylko zbiorę myśli. W zasadzie nie ma na to dowodów oprócz krótkiej notatki asystenta Romadanowskiego. Podobno ożywiony obiekt przeżył jakiś czas, ale potem zmarł nagle, a objawy były nader dziwne. Krótko mówiąc, wysechł na wiór!

– Na wiór, powiadasz? To ciekawe... A zastanawiałeś się, po co w ogóle prowadzić takie prace?

– Prawdę powiedziawszy, obywatelu marszałku, nie było czasu na myślenie.

Szwoczniew spojrział na rozmówcę dziwnym wzrokiem.

– W naszym fachu – powiedział dobitnie – zawsze trzeba myśleć, nieważne, czy jest na to czas, czy nie! Dodaj dwa do dwóch! Wyobraź sobie, że zamiast wypakowywać statek ciężką aparaturą do podtrzymywania życia, hibernatorami i tym podobnym złomem, możemy załadować go ludźmi! Ludźmi, którzy nie wykazują funkcji życiowych, czyli nie zużywają podczas drogi żadnych zapasów, nawet tlenu czy energii elektrycznej, a na miejscu można ich ożywić! Toż zmieści się tyłu, że będzie ich więcej niż wszystkich z pozostałych ekip! Plus broń!

– No i zapasy...

– Żelazne racje! Mając tyłu ludzi z bronią, można sobie szybko zapewnić zapasy... u innych! Pomyślcie tylko. Każdy szykuje jakiś podstęp. My, Amerykanie, Francuzi, Anglicy, Niemcy... Każdy przeciw każdemu, chociaż Angole dogadują się z Amerykańcami, a my mamy porozumienie z Francuzami... i tak dalej. A ci cholerni Polacy, zdaje się, chcą mieć możliwość dać w dupę wszystkim dookoła! Chyba, że...

– Tak, obywatelu marszałku?

– Chyba, że chodzi w tym wszystkim o coś zupełnie innego. Musimy się upewnić. Poczekamy na raport Szarapata.



Werner spoglądał ponuro spode łba.

– Nie ujdzie wam to na sucho! – warknął. – Porwanie pracownika Landschaftsamtu z terenu placówki będącej przecież terytorium obcego państwa...

– Mówisz o tym terrorystycznym ataku we Wrocławiu? To rzeczywiście pożałowania godny incydent. Kto też mógł to zrobić? Amerykanie? Może Rosjanie? Albo nawet Mosad? A może to kolejna prowokacja waszych służb?

– Nie wykpicie się z tego! Trupy, ślady... Poza tym będą mnie szukali!

– Niech szukają. – Kossowicz wzruszył ramionami. – Nie przypuszczam, żeby w obecnym chaosie ktoś się specjalnie zastanawiał nad pilnym odnalezieniem wysokiego, bo wysokiego, ale tylko urzędnika. Zresztą, mój rząd złożył już stanowczy

protest na forum Narodów Zjednoczonych. Wkrótce zostanie wdrożone śledztwo z udziałem ekspertów wszystkich zainteresowanych stron oraz przedstawicieli niezależnych.

– Sprytne – mruknął Werner. – W takim towarzystwie nic nie wykryją... Jak zwykle. – Spojrzał na Kamila. – Wiedziałem, Nowak, że kawał z ciebie skurwysyna. Ale nie podejrzewałem cię o współpracę z tymi rzeźnikami!

– Kogo nazywasz rzeźnikami, Werner? – spokojnie zapytał Kossowicz. – Wymień mi choć jedną osobę w gmachu Landschaftsamtu, która nie miałaby czegoś obrzydliwego na sumieniu. Starców i dzieci tam nie było. Nie tak jak podczas masakry w Teatrze Polskim, przypominasz sobie? Tak, dobrze wiem, kto wtedy dowodził akcją.

Kamil przypomniał sobie zmiażdżoną twarz kobiety w korytarzu gmachu.

– Nic nie usprawiedliwia takiego postępowania – powiedział stanowczym tonem.

Generał spojrzął niechętnie.

– Nie wtrącaj się. Pora już przestać być dzieckiem. Świat jest brudny i nic na to nie poradzimy. Ty teraz masz siedzieć cicho i wszystko pilnie obserwować!

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – spytał Werner. – Jako kandydatowi na trupa możesz mi to chyba zdradzić. Czy to podziemia pod Oleśnicą? Mieliśmy podejrzenia, nawet pewność, że coś tu macie. Ale myślałem, że razem z Amerykanami.

– A jeżeli powiem, że to nie podziemia, uwierzysz? A jeżeli potwierdzę, czy będziesz do końca przekonany? – Kossowicz uśmiechnął się. – Może rzeczywiście urządziliśmy sobie tutaj podziemną twierdzę. Twierdzę Oleśnica. Taką, że posłużę się językiem twojej drugiej ojczyzny, Festung Oels. A może wcale nie. W naszym fachu nigdy nie ma całkowitej pewności, sam wiesz. Podstępny ukryte w podstępach, przesłonięte jeszcze innymi podstępami, pozoracją podstępów, potrójne albo poczwórne scenariusze... A wszystko to kryje tylko głębię ludzkiej podłości. I nie rozumiem, skąd przypuszczenie, że zostaniesz zabity.

– To chyba naturalne.

– A co w tym naturalnego? Możesz być dla nas jeszcze bardzo użyteczny.

– Nie wierzę. Do niczego wam się nie przydam. Wiem, że każesz mnie zlikwidować po przesłuchaniach. Powiedz mi tylko jedno. Czy ten profesor, którego ciało znaleźliśmy, został poddany romadyzacji?

– Strasznie jesteś ciekaw, jak na kogoś, kto uważa, że niebawem umrze.

– Odruch zawodowy. Powiedz przynajmniej tyle! Przecież dawno zaprzestaliście eksperymentów z odwracalną mumifikacją! A gdyby nawet nie, zupełnie nie rozumiem, dlaczego naukowiec miałby się sam poddawać procesowi! Wiadomo przecież, że romadyzowany najdalej w ciągu kilku tygodni zamieni się w wyschnięte truchło!

Kossowicz pokręcił głową.

– Tak... Sporo wiesz. Wy też zgłębialiście ten problem, prawda? A właściwie ograniczyliście się do informacji od szpiegów pracujących przy projekcie. A dlaczego Kupisz sam się romadyzował? To nie jest już sprawa ani moja, ani twoja. Profesor mógł prowadzić eksperymenty na własną rękę. Często się zdarza, że naukowcy testują odkrycia na sobie, szczególnie jeśli pracują w ukryciu.

– Nie wierzę! To wszystko jest zbyt mętne. Nadal prowadzicie badania na zlecenie rządu! A on pewnie padł ofiarą jakiejś pomyłki! Taka wpadka. Wy nigdy nic nie umieliście zrobić do końca porządnie. A teraz próbujesz zamiatać jak lis ogonem. Nie zatrzasz wszystkich śladów!

– Nie musisz mi wierzyć. I nic więcej nie usłyszysz. Teraz zaprowadzą cię do pokoju przesłuchań. Radzę współpracować z porucznikiem. To bardzo nerwowy typ.

– Rzeźnik! – rzucił jeszcze w drzwiach Werner.

Kossowicz odchylił się w fotelu, przez dłuższą chwilę patrzył w chropowaty beton stropu.

– Ten Werner to gość z jajami – powiedział z uznaniem. – I potrafi dodać dwa do dwóch.

– O czym on mówił? – Kamil kręcił się niespokojnie na krześle. Czuł swędzenie w krzyżu, jakby dręczący go niepokój chciał wyjść z ciała tą drogą. – O co chodzi z tą... romadyzacją?

– Na pewno nie słyszałeś o mumiach Romadanowskiego?

– Nie. Ale chętnie czegoś się dowiem.

– Nie widzę przeciwwskazań.



Major Szarapat klęczał przy brudnym ustępie. Kręcił głową z niedowierzaniem i uznaniem. Żeby w zwykłym publicznym srazu umieścić końcówkę komunikatora... Geniusz służb specjalnych w dwudziestym wieku był niesamowity. I na dodatek zainstalowali łącze, które działało mimo upływu czasu! Bezpieczne, ekranowane, a przede wszystkim zwykły chamski światłowód, a nie jakieś niewyobrażalne systemy nanotechnicznych dupereli. Coś, czego nikt się nie spodziewa w obecnych czasach.

– Nie wiem, na co się to przyda – mruknął do siebie, kończąc pracę – ale skoro mam meldować o wszystkim... to melduję.

Wyjął małą wtyczkę z otworu tuż nad posadzką. Utrzymywanie agentów, którzy dbali o drożność takiego połączenia też musiała swoje kosztować. Pewnie założyli je w ogóle tylko na wszelki wypadek, może nigdy dotąd nie było używane, a teraz – proszę. Nie ma czegoś takiego, jak stracone fundusze na działalność agenturalną.

Spuścił wodę i otworzył drzwi kabiny. Na moment skamieniał. Stał twarzą w twarz ze zwałistym osobnikiem, który trzymał w dłoni pistolet. Lecz już w tej samej sekundzie staranne wyszkolenie wzięło górę nad zaskoczeniem. Zanim major zdążył pomyśleć, co robi, błyskawiczne kopnięcie poleciało w stronę broni, a rozcapierzone palce sięgnęły oczu przeciwnika. Tamten pozornie nawet nie drgnął, a jednak pistolet w ułamku sekundy znalazł się poza zasięgiem majora, a palce o włos chybiły celu. Jednocześnie rozległo się ciche pyknięcie. Mała strzałka ze środkiem usypiającym trafiła prosto w odsłoniętą szyję. Szarapat osunął się na podłogę w szczerze rozlaną kałużę moczu.

– Zabrać go – rzucił za siebie człowiek z pistoletem – i zawieźć do bazy. Cholerny wańka-wstańka. A dziewczynę i tych dwóch potraktować według instrukcji. Skoro mamy dowódcę, nie będą więcej potrzebni.



Na amerykańskiej stacji orbitalnej zawrzało.

– Jak to straciliśmy kontakt? – wściekał się pułkownik Horton.

– Coś zagłuszyło sygnał.

– Nie mówcie mi, że Ruscy tak szybko zdołali opracować wiązkę zakłócającą!

Kapitan Miller wzruszył bezradnie ramionami.

– Nie ma żadnej wiązki zakłócającej. Chip po prostu przestał odpowiadać.

– To niemożliwe! Jest go w stanie ekranować tylko solidna dawka promieniowania gamma albo gruba warstwa skały. Co najmniej pięćdziesiąt metrów uczciwego granitu, bazaltu lub innej takiej cholery! Przecież nie napromieniowali naszego agenta tak na wszelki wypadek, a inaczej musieliby go zwieźć do kopalni! Ale tam nie ma żadnych kopalni!

– Nie wiem, pułkowniku! Po prostu nie mam pojęcia, co się mogło stać!

– Gdzie znikł sygnał?

– W rejonie tego miasta. Oleśnicy. Najpierw zawieźli go do Wrocławia, przebywał tam kilka godzin, a później pojechał z powrotem w miejsce, gdzie najprawdopodobniej nastąpiła wpadka. Krótco potem sygnał nagle się urwał. Jakby gość się zapadł pod ziemię. Ale tam przecież nie ma pod ziemią nic głębiej niż kilkanaście metrów!

– Niezły pasztet... Przyszła oficjalna deszyfracja jego ostatniego meldunku?

– Tak jest. Co prawda, jakiś bubek w Pentagonie strasznie się wzdrażał, żeby nam ją dostarczyć, ale pana naciski pomogły.

– Ja myślę. Pokażcie.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w tekst na kartce.

– To przecież, kurwa, zupełnie bez sensu! Jakiś wyschnięty trup, jakieś bzdury o profesorze akademii medycznej i idiotycznych mumiach! Zwariował, czy co? Jak nie dostał korby!

– A może on nie zwariował? Może to coś oznacza? My przecież nie trzymamy w rękę wszystkich nici, nie wiemy pewnie nawet połowy. Dlaczego ten pajac z wywiadu tak bardzo nie chciał tego przekazać? Po co miałby ukrywać bezsensowne informacje?

Horton zacisnął wargi, zmrużył oczy i pokiwał głową.

– Przedtem miałem wrażenie, że wdepnęliśmy w gówno – powiedział ponuro. – Ale teraz czuję się tak, jakbym siedział w nim po uszy.



– Tak, Kamilu. Nadszedł czas ostatecznych rozstrzygnięć. Chociaż pewnie bardziej adekwatnie byłoby powiedzieć, że czas taki nie nadszedł, ale nadciągnął. Jak burza. Wszystko, co przez ostatnie lata zostało starannie przygotowane, nad czym

pracowaliśmy z takim trudem, dzisiaj nabierze ostatecznego kształtu i niczego nie da się już cofnąć.

Kossowicz podniósł głowę znad raportu. Nowak usiłował dostrzec przez szerokie biurko, czego notatka dotyczy, jednak nie był w stanie rozróżnić liter.

– Dłaczego opowiada mi pan o tym wszystkim? – spytał. – O badaniach nad romadyzacją, o planach inwazji na pozostałe kolonie zaraz po lądowaniu? O podstępach i oszustwach, jakich się dopuszczamy, mimo podpisania międzynarodowych traktatów?

Kąciki warg generała drgnęły.

– Traktatów – parsknął. – Chodzi ci o te bzdury, którymi raczymy się nawzajem od czasu tak zwanego zjednoczenia Europy, a potem unii z Ameryką Północną? Wspólne cele, polityka, gospodarka, a przede wszystkim uregulowania prawne. Wszyscy naokoło mają je w dupie, plują na czcigodne karty praw i podpisy głów państw. Wielka wspólnota, której nigdy nie było. W takim towarzystwie nie pozostaje nic innego, jak czynić to samo. Nie można przeżyć, będąc jedyną białą wroną w czarnym stadzie. A dlaczego ci o tym opowiadam? Powiem krótko, chłopcze. Potrzebuję następcy. Nie, nie zamierzam odchodzić ani umierać w najbliższym czasie, ale potrzebuję następcy w przewidywalnej przyszłości. Zostałeś wybrany nim właśnie ty.

Kamil poczuł, jakby nagle spadł mu na głowę ogromny ciężar.

– Zostałem wybrany? Nie rozumiem... To jakieś nieporozumienie! Kto mnie wybrał?

– Ja, Kamilu. Osobiście. Tutaj, gdzie się znajdujemy, ja o wszystkim decyduję. Moja władza jest bliska władzy francuskiego króla w siedemnastym wieku. Absolutna.

– Ale... Przecież zostałem po prostu aresztowany. Przypadkiem! To jakaś gra, prawda? Kolejne podstępny w podstępach ukryte pod pozorami?

– Wszystko było zamierzone. Ty miałeś zostać aresztowany przy okazji tej sprawy! Nie tak, to inaczej. Jadąc za Wernerem, tylko ułatwiłeś nam zadanie, a przy tym udowodniłeś, że dokonałem słusznego wyboru.

– Dlaczego ja?!

– Obserwuję cię od wielu lat. Nie tylko ciebie, zresztą, bo kandydatów było najpierw kilkudziesięciu, potem kilkunastu i tak dalej. Aż pozostało dwóch. Ty i twój największy wróg, Roman Werner. Tyle że zanim nadszedł czas ostatecznej decyzji, on poszedł w obcą służbę.

– Werner, na to się zgodzę. Nadaje się do takiej roboty jak nikt. Ale dlaczego ja? Tego nie rozumiem.

– Bo też się nadajesz. Nie każ mi tego tłumaczyć. Kiedy zobaczysz, na czym polega nasza praca, sam dojdiesz do podobnego wniosku.

– Na pewno są bardziej wartościowi ode mnie... Od takich, jak Werner, aż się roi w służbach specjalnych.

– Zgadza się. Są inteligentniejsi, sprytniejsi, tacy, których moralność pasuje jak ułóż do wymagań mojej funkcji. Ale ty masz coś więcej. To coś niektórzy nazywają intuicją albo psim nosem. Bardzo cenna rzecz.

– A jeżeli odmówię? Zabijecie mnie?

– Nie zabijamy ludzi, którzy mogą się przydać. A ty możesz być przydatny nawet jako zwykły pracownik. Oczywiście nigdy z nikim nie będziesz miał okazji podzielić się swoją wiedzą. Najpierw zostaniesz tutaj, na terenie bazy. Znajdzie się dla ciebie zajęcie, a ty je przyjmiesz, chociażby z nudów. Potem przyjdzie czas na pracę w terenie. Oczywiście, uwarunkujemy cię tak, żebyś reagował na słowa kluczowe, a raczej na

frazy słów. Nieważne, czy się je wypowie, czy napisze. Nie muszę chyba dodawać, że każde twoje niepożądane zachowanie zakończy się natychmiastowym zgonem. Nie zakładam od razu rozwiązań ostatecznych. Teraz masz czas do namysłu. Na razie będziesz mi towarzyszył i obserwował moje poczynania.

– Chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie. Czy rzeczywiście znajdujemy się w bunkrach pod Oleśnicą? Naprawdę urządziliście tu Festung Oels?

– Odpowiem na twoje pytanie innym pytaniem. A jak sądzisz?

– Sądzę, że tak.

– Dlaczego?

– Bo to by było idealne miejsce. Blisko Wrocławia, ale nie na jego terenie, co utrudnia działania obcym służbom wywiadowczym, bo w takim miasteczku wszyscy o wszystkim od razu wiedzą. A przy tym na tyle blisko ważnych urzędów, żeby nie było problemu chociażby z transportem, z logistyką...

– A jak myślisz, dlaczego akurat Oleśnica? Jest więcej takich miasteczek w pobliżu Wrocławia.

– Widzę dwa powody. Po pierwsze, że się tak wyrażę, weszliście na gotowe, bo podziemia już tu były. Po drugie, to jednak spory ośrodek administracyjny. A wy, jak przypuszczam, potrzebujecie sprawować kontrolę także na szczeblu lokalnym. Ilu urzędników jest na waszych usługach? Pewnie wszyscy.

– Zgadza się, Kamilu. Myślisz tak, jak chcielibyśmy, żeby myśleli wszyscy.

– To znaczy, że nie jesteśmy pod Oleśnicą? No to gdzie w takim razie?

Kamil uważnie patrzył w twarz rozmówcy. Kolejny piętrowy podstęp? Skoro wszyscy mają myśleć, że baza jest w tym, a nie innym miejscu, może warto ją umieścić jednak właśnie tam? Analitycy wywiadów miewają skłonność do przekombinowywania. Z tego też można skorzystać. I ta dziwna propozycja objęcia stanowiska po starym. Czy w niej także jest jakaś pułapka? Poczul zawrót głowy. Za dużo tego wszystkiego.

– Powiem ci prawdę, chłopcze – rzekł po chwili milczenia Kossowicz. – Jesteśmy tam, gdzie przypuszczasz, a jednocześnie w nieco innym miejscu.

– To ma być wyjaśnienie?!

– Poniekąd. Widzisz, rzeczywiście znajdujemy się pod Oleśnicą. Tyle że nasza siedziba nie ma nic wspólnego ze starymi przejściami pozostałymi z dawnych czasów. Ich w zasadzie nawet nie było, kiedy objęliśmy w posiadanie te ziemie po drugiej wojnie światowej. Najdawniejsze uległy zniszczeniu, część zrujnowali przed ucieczką sami hitlerowcy, a sławetne przejścia, o których opowiadają tutejsi mieszkańcy, to ciągi piwnic pod starymi kamienicami, w chwili obecnej niedostępne, niebezpieczne i dlatego zamurowane. Bardzo atrakcyjne jako obiekt architektoniczny, ale dla nas zupełnie nieprzydatne. Niemniej, skoro ludzie wierzyli, iż pod miastem istnieje labirynt korytarzy, skoro wiara ta niejako promieniowała przez lata, aż stała się czymś w rodzaju niezłomnego przekonania, aksjomatu, utrzymywaliśmy ją bardzo starannie. Postaraliśmy się przekonać konkurencyjne wywiady, że usilnie staramy się wykorzystać podziemia do naszych celów, że zdołaliśmy odgruzować i odzyskać większą ich część, a może nawet wszystko. Sami zaś pozwoliliśmy sobie skorzystać ze starego sowieckiego lotniska. Podziemnego lotniska położonego w głębi lasu. Stworzyliśmy sobie z niego bazę, z której prowadziliśmy prace inżynierskie. Trwały one długo i były ściśle tajne. O kosztach nawet nie wspominam. Ani o tym, jak wielki opór wojskowych władz trzeba było pokonać. Nie wyobrażasz sobie, jacy tępi potrafili być generałowie.

Im więcej gwiazdek, tym gorzej. Ale koniec końców mamy bazę sięgającą przeszło stu pięćdziesięciu metrów w głąb ziemi, zdolną wytrzymać nawet bezpośredni wybuch jądrowy. Jesteśmy więc pod Oleśnicą w sensie przenośnym i dosłownym, bo baza leży w lasach niedaleko miasta, a część naszych korytarzy i pomniejszych pomieszczeń dochodzi pod jego centrum i można się do nich dostać nawet z rynku. Z kolei sowieckie lotnisko jest tym, czym było przedtem. Nasi fachowcy doprowadzili je do takiego stanu, żeby wywiad rosyjski, który może sobie o nim w każdej chwili przypomnieć, nie nabrał podejrzeń, iż coś tam się działo. Nawet nie wiesz, jak ta postsowiecka pamiątka ułatwiła nam przeprowadzanie prac. A co do trzymania w garści miejscowych bonzów... Wszystko, co o tym powiedziałeś, jest jak najbardziej słuszne.

– W życiu bym nie przypuszczał, że coś takiego jest w ogóle możliwe – mruknął z mimowolnym podziwem Nowak.

– Nikt by nie przypuszczał. Na tym polega zabawa wywiadów i kontrwywiadów.



Marszałek Szwochniew w skupieniu studiował raport Szarapata.

– Zapoznałeś się z tymi papierami, pułkowniku?

– Oczywiście, obywatelu marszałku.

– I co myślisz?

– Że Polacy opracowali w końcu jakiś sposób ożywiania znumifikowanych ludzi. Jak oni to nazwali, „romadyzacji”. Tyle, że nie jestem pewien, czy nie robią tego do spółki z Niemcami.

– To byłoby raczej dziwne. Prędzej z Amerykanami. Polacy i Niemcy... Owszem, dostali wspólny transportowiec, ale przecież to tylko ze względu na logistykę, a właściwie naciski opinii międzynarodowej. Można przecież było załadować ich z Anglikami, nawet Francuzami czy dołączyć do Italiańców. Ale mariaż z Niemcami gwarantował, że się przynajmniej nie dogadają.

– Ale nie możemy tego wykluczyć.

– I to niepokoi mnie najbardziej. Nie możemy tego wykluczyć. Jeszcze jedno mnie zastanawia. Z raportu Jury wynika, że nawet jeżeli ten proces... romadyzacji... powiedzie się, ożywieńcy i tak nie pożyją zbyt długo...

– Myślałem o tym, obywatelu marszałku.

– No i co wymyśliłeś?

– Jeżeli zamierzają użyć tych ludzi tylko do opanowania innych kolonii, do jednorazowej akcji wojskowej... Co tu dużo gadać. Żołnierz nie musi żyć długo, prawda? Wystarczy, że wykona zadanie. A właściwi koloniści mogą przecież lecieć w normalnych hibernatorach. Będzie ich mniej, ale za to...

– Żeby to miało sens, musieliby zakładać wymordowanie prawie wszystkich pozostałych kolonii! Gdyby ograniczyli się tylko do ich uwięzienia, musieliby przez dłuższy czas utrzymywać przy życiu przynajmniej połowę sił inwazyjnych!

– I to, obywatelu marszałku, przeraża mnie najbardziej. Nie przypuszczałem, żeby Polacy byli zdolni do podobnych numerów. Wie pan, ta ich przysłowiowa duma i honor,

głupie dotrzymywanie zobowiązań. Nie chce mi się wierzyć...

– Widać zmądrzeli – mruknął marszałek.



Werner został przywieziony na inwalidzkim wózku. Jego głowa bezwładnie zwisała na ramię, kołysząc się przy każdym ruchu. Wyglądał jak szmaciana lalka, sprawiał wrażenie, jakby jego ciało zostało pozbawione kości.

– Co mu zrobiliście? – spytał Nowak. Miał ochotę zwymiotować. – Jakim torturom został poddany?

– Zamknij się, Kamile – warknął Kossowicz. – I nie przeszkadzaj. Nasz przyjaciel Werner zapoznał się tylko z rutynowymi procedurami. Nie mamy zamiaru zabić go albo trwale pozbawić zdrowia. W każdym razie nie w najbliższej przyszłości. A gdyby nawet, to ostatni człowiek, nad którym powinieneś się użalać.

Nie zwracając więcej uwagi na komisarza, zaczął przeglądać dostarczony wraz z Wernerem protokół przesłuchania. Jego twarz wykrzywił dziwny grymas, przywodzący na myśl radość dziecka, które ujrzało pod choinką wymarzony prezent. Przez dłuższą chwilę patrzył w przestrzeń. Nagle wstał, sprężystym młodzieńczym krokiem podszedł do wózka i uważnie przyjrzał się żalosnej postaci. Skinął na żołnierza, który wprowadził Niemca. Tamten bez słowa wyjął z podręcznej torby iniektor, przyłożył go do ramienia Wenera. Rozległ się cichy syk. Minęło kilkanaście sekund. Kamil, patrząc na blade oblicze nieprzytomnego pomyślał, czy nie był przed chwilą świadkiem egzekucji. Kossowicz znowu dał znak podwładnemu. Znow syknął zastrzyku. Tym razem przez twarz Wenera przebiegł bolesny grymas. Powoli podniósł głowę. Na Kossowicza spojrzali pełne cierpienia i przerażenia oczy.

– Ty bestio – rozległ się wysilony szept. – Ty skurwysynu...

Żalosny skowyt. Stojący za Wernerem żołnierz uderzył więźnia w obolały kark. Kossowicz odprawił go niecierpliwym gestem.

– Sporo wiecie. – Spojrzał Wernerowi prosto w twarz. – Nadspodziewanie dużo. Powiedz, ilu ludzi macie w naszym Instytucie Badań nad Hibernacją?

– Gdybym wiedział, twoi oprawcy już by to ze mnie wydobyli!

– Zapewne – generał był najwyraźniej bardzo zadowolony. – Sprawni są, nieprawdaż? – Spoważniał nagle, oczy zwięzły się w wąskie szparki. – Nauczyliśmy się metod od was, inspektorze! Od was i od Ruskich. Mieszkając w takim sąsiedztwie, trzeba umieć się przystosować. Ale nie kazałem cię tutaj dostarczyć, żeby usłyszeć pochwały. Przejrzałem protokół twojego przesłuchania. Podsumujmy. Wiecie, że nasze badania nad romadyzacją zostały uwieńczone sukcesem. Jesteśmy w stanie zmumifikować metodą Romadanowskiego i z powrotem powołać do życia bardzo prostymi środkami dowolnego mieszkańca Ziemi. Nie pożyje potem zbyt długo, najwyżej do dwóch, trzech tygodni, ale dla powodzenia naszych planów to w zupełności wystarczy.

– Nie rozumiem tylko – przerwał mu Werner – dlaczego ten profesor...

– Och – roześmiał się Kossowicz. – To była tylko podpucha dla was. Mydlenie oczu, żeby odwlec jeszcze ujawnienie prawdy. Nieudana próba, wielka strata niesamowitego umysłu, głównego filaru grupy badawczej i tak dalej, fiasko eksperymentów. Profesor, jak już się domyślasz, w najlepszym zdrowiu przebywa pod dobrą opieką. A tamten trup... Przy obecnym stanie wiedzy to żaden problem zliofilizować pierwszego z brzegu nieboszczyka z grubsza podobnego do Kupisza.

– Chcecie posłać na kolonizację wojsko, tak? – Werner przygryzł dolną wargę. – Wyładujecie swoją część statku zmumifikowanymi żołnierzami i bronią... Myślisz, że to się uda? Teraz, kiedy prawda wyszła na jaw...

– Nie bądź idiotą, inspektorze! Jaka prawda wyszła na jaw? Powiem ci, kto o tym wie poza wąskim gronem fachowców i wojskowych. Wiesz o tym ty, ten agent Amerykanów, którego przesłuchiwaście w Landschaftsamcie oraz pewien rosyjski szpieg. A wszyscy trzej jesteście teraz tu, na terenie bazy. Muszę ci powiedzieć, że Rosjanie przysłali do nas silną ekipę wywiadowczą. Niestety – westchnął, jakby naprawdę było mu żal – ocalał tylko ten jeden. Reszta nie żyje. Mogą ich uznać, jak to u nich w zwyczaju, za bohaterów narodowych zaginionych w czasie akcji i odznaczyć najwyższymi orderami. Albo zwyczajnie olać, co też mają w zwyczaju.

Nowak wyciągnął szyję, znów usiłując dojrzeć coś w porzuconych na biurku generała notatkach. Kossowicz zauważył ruch, z uśmiechem podszedł do stołu, wziął plik kartek i podał komisarzowi.

– Poczytaj, Kamilu. To bardzo pouczająca lektura.

Werner skrzywił się paskudnie.

– A teraz, rzeźniku, zabijesz także mnie i tamtych ludzi, Ruskiego i Amerykanina.

– A czy to by cię zdziwiło? Nie odpowiadaj nawet. To zbyt oczywiste. Jednak wasz los będzie nieco inny. Wyślę was konwojem do moich władz zwierzchnich, do Warszawy. Zostaniecie jeszcze raz przesłuchani i tam dopiero ostatecznie zadecydują o waszym losie.

– Tak czy inaczej, śmierć – mruknął Werner.

– Tak czy inaczej, jedziecie do Warszawy. Co dalej, nie wiem.

Żołnierz pojawił się sekundę po tym, jak generał nacisnął klawisz interkomu.

– Zabrać go i przygotować więźniów do konwoju. Mają odjechać za półtorej godziny.

Kiedy drzwi się zamknęły, podniósł słuchawkę.

– Dawid? Konwojenci przygotowani? Tak, tych dwóch. Będą najlepsi. A twoi ludzie dokładnie znają już swoje zadania? Podaj plan akcji.

Przez chwilę słuchał głosu z drugiej strony.

– Nie dalej niż za Łodzią. Najlepiej w lesie. Nie marudź! Jest gdzie, przyjrzyj się uważnie cyfrowce. Tam są na pewno jakieś roboty, objazdy... Jak nie ma, to nie wiecie, co zrobić? Wszystko muszę wyjaśniać?

Kamil poczuł ogarniające go mdłości.

– Dlaczego nie zlikwidujecie ich na miejscu? Nie byłoby prościej?

Kossowicz patrzył na niego z lekkim uśmiechem.

– Byłoby. Ale to wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane niż ci się w tej chwili wydaje. Patrz i ucz się, chłopcze.



Marszałek Szwochniew przerzucał szybko meldunki.

– No, to możemy być już pewni – rzekł ponuro. – Szarapat pewnie nawet nie wie, jaką wartość ma jego informacja.

– Pewnie nie wiedział – przytaknął pułkownik.

– Dlaczego mówisz o nim w czasie przeszłym? To, że straciliśmy kontakt nie znaczy wcale, że wpadł!

– Proszę o wybaczenie, obywatelu marszałku. Wiem, że bardzo pan lubił Jurę, ale od czasu ostatniego przekazu nie odezwał się ani on, ani nikt z jego ekipy. A to może oznaczać tylko jedno.

Marszałek łyknął herbaty. Siorbnął głośno, jakby chciał pokryć wzruszenie.

– Pewnie masz rację, pułkowniku. Ale dopóki nie mam oficjalnego potwierdzenia, pozostaje cię nadziei.

– Czy podejmujemy jakieś działania w sprawie Polaków? Nie możemy przecież ich tak zostawić.

– W tej chwili nie możemy nic konkretnego zrobić. Musimy się upewnić, zanim zaczniemy działać i krzyczeć na cały świat. Na razie trzeba nawiązać nieoficjalne rozmowy z Niemcami i Jankesami. Coś mi się zdaje, że niespodziewanie podróż w kosmos rozpoczęliśmy na tym samym wózku. I, zdaje się, ocknęliśmy się wszyscy w tym samym momencie. Tuż przed obudzeniem się w ręką w nocniku.



– Jest! Jest! – Miller wpadł do gabinetu Hortona. Z rozpędu omal nie przeleciał przez całe pomieszczenie, przytrzymał się ramy drzwi.

– Co się stało? – pułkownik otworzył oczy, potrząsnął głową.

– Mamy z powrotem sygnał! Nasz człowiek.

– Co z nim? Mów!

– Sygnał przemieszcza się w kierunku wschodnim. Wygląda na to, że wiozą go dokądś samochodem.

– Łącz mnie z Waszyngtonem. Z samym prezydentem.

Miller popędził na swoje stanowisko. W głowie kłębiło mu się od pytań i wątpliwości. Po chwili nadszedł Horton, założył słuchawkę.

– Panie prezydencie, tym razem musi pan podjąć odpowiednie kroki! Zabawa się skończyła! – Przez chwilę milczał, słuchając uważnie, a na jego twarzy pojawił się wściekły grymas. – No to przynajmniej wyślijcie helikopter z oddziałem specjalnym!

Znów chwilę słuchał, potem z irytacją trzasnął w klawisz.

– Dupa – powiedział z zimną pasją. – Ten kraj musi zginąć, jeżeli głowa państwa boi się paru urzędasów z jakichś pieprzonych międzynarodowych komisji! Nic nie zrobią, rozumiesz? Wiemy, gdzie jest nasz agent, możemy go spokojnie uwolnić,

a jednak okazuje się ważniejsze, żeby ten i ów europejski polityk nie poczuł się urażony bądź zagrożony przez amerykański interwencjonizm!



Niewielki bus mknął w ciemnościach warszawską trasą. Człowiek jadący obok kierowcy rzucił okiem do tyłu. Za szybą trzech ludzi skutych kajdankami siedziało z ponurymi minami w towarzystwie komandosa.

– Grzeczni jak trusie. Kto by pomyślał. Nawet szczać się jeszcze żadnemu nie zachciało.

– Jakby się zachciało – zaśmiał się kierowca – to niech leje w gacie. Rozkazy mamy wyraźne. Żadnych postojów.

– Słyszeliście, dranie?

Odpowiedziały mu ponure spojrzenia. Konwojent siedzący między więźniami skrzywił się.

– Daj spokój, Kruk. Chciałbyś być na ich miejscu? Masz komentarze, to wyłącz przynajmniej interkom. Więźniowie nie muszą tego słuchać. Ja zresztą też.

– Ty nie bądź taki litościwy, Sroka. Oni by cię najchętniej...

– Wiem, ale nie lubię się znęcać. Milcz lepiej. Za dużo gadasz. Jak zwykle, zresztą.

Kruk, urażony, wbił oczy w ciemność. Szturchnął kierowcę.

– Patrz, kurwa, znowu jakiś objazd! A nasi nie uprzedzili nawet słowem!

– Pewnie nie wiedzieli. Wiesz, jak u nas jest. Drogowcy stawiają znak, a potem idą na piwko albo na panienki.

Samochód łagodnie zjechał po łuku zakrętu w leśną szosę, po chwili znowu nabrał prędkości.

– Zwolnij trochę.

– Boisz się?

– Miałem zły sen.

– Nie kracz, Kruku! – kierowca znowu się roześmiał. – Czy ze mną kiedyś spotkało cię coś złego?

W tej samej chwili rozległ się ostry huk, pojazdem zarzuciło mocno w prawo.

– Guma poszła!

Następny huk, przeraźliwy pisk opon. Szofer wcisnął pedał hamulca, potem dodał gazu. Znowu gaz i znowu hamulec. Jednak na próżno siłował się z dwutonową masą. Bus z rozpędu wpadł do rowu. Kruk kątem oka zarejestrował jeszcze, że szybka oddzielająca konwojentów od więźniów wrywa się z obsady... Przecież powinna być zabezpieczona tak, żeby wytrzymać wybuch granatu... Zobaczył też jak Sroka zgina się pod potężnym ciosem jednego z mężczyzn. Ostatnią rzeczą, która do niego dotarła, był metaliczny błysk kajdanek i żelazny ucisk na szyi. Nie wiedział, który z więźniów go dopadł. Nie miało to znaczenia...

Po chwili oszołomieni mężczyźni wygramolili się z pojazdu. Werner sięgnął jeszcze do środka, z kieszeni na piersi najbliższego konwojenta wyjął kluczyki. W środku zostały trzy zakrwawione, zmasakrowane ciała.

– Jeśli dobrze liczę, jesteśmy jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od Łodzi – powiedział Szarapat, rozcierając nadgarstki. – Nie wiem, jak wy, panowie, ale ja do rana zamierzam zdać swoim sprawę ze wszystkiego, co wiem.

– Pieprzeni Polacy. – Amerykanin splunął.

Werner milczał. Zbierał siły. Był najstarszy w tej grupce, więc przesłuchania osłabiły go o wiele bardziej niż pozostałych. Wszyscy zresztą wyglądali co najmniej nieszczęśliwie.

– No, każdy rusza w swoją stronę. Nie będziemy przecież iść kupą. Kto wie, może się jeszcze kiedyś spotkamy...

Odeszli w ciemność. Mdłe światło księżyca przebijało się przez korony drzew. Z lasu wyszła ciemna postać. Zbliżyła się do rozbitego samochodu. Uważnie sprawdziła stan konwojentów. Podczas badania Sroka poruszył się, otworzył oczy.

– To ty, Misiek – szepnął z ulgą. – Skąd się tutaj wzięłeś? Gdzie Dawid? Co z tamtymi? Nie żyją? Czy...

Zamilkł nagle, kiedy przybyły przyklęknął, chwycił jego głowę, umieścił ją sobie między ramieniem a zgiętym łokciem, ścisnął i mocno skręcił. Chrupnęły kręgi!

– Przykro mi, Sroka – mruknął Misiek. – Taki rozkaz.



– Bus rozbity, konwojenci martwi. – Do pokoju wpadł ostrzyżony na zero młody mężczyzna.

Kossowicz poderwał się z miejsca.

– Gdzie i kiedy?

– Pół godziny temu, dwadzieścia trzy kilometry przed Łodzią. Więźniowie zdołali uciec. Na pewno są jeszcze niedaleko. Mamy podjąć poszukiwania?

– Nie trzeba. Możesz odejść.

Spojrzał na Kamila, który obserwował go z otwartymi ustami.

– Mówiłem, że to wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane niż się wydaje.

Nowak zamknął usta.

– Chciał pan, żeby oni uciekli, prawda?

– Prawda.

– Przestaję cokolwiek z tego rozumieć. Przecież oni znają całą prawdę... o wszystkim doniosą swoim władzom. Zwalą nam się na kark międzynarodowe komisje! Pan działa na szkodę Polski! Pan pracuje dla obcego wywiadu! Ty... ty świniou!

Kossowicz spokojnie zniósł wybuch.

– Gdyby nasi przyjaciele rzeczywiście znali prawdę, nie pozwoliłbym im opuścić podziemi nawet na sekundę.

Nowak zmrużył oczy.

– Więc jaka jest ta prawda? Pana działania nie sprowadzą na nas komisji? Nie udaremnia całego planu opanowania innych kolonii?

Generał uśmiechnął się.

– Przyznaj, Kamilu, całkiem przypadł ci do gustu pomysł zaatakowania konkurencji. Od kiedy poznałeś nasze zamiary rzucasz się, zasłaniasz uczciwością, prawem, ale nie miałbyś nic przeciwko, żeby się koniec końców coś podobnego powiodło. I nie ma znaczenia, ilu ludzi by przy tym zginęło. Przyznaj uczciwie.

Nowak milczał, po chwili spuścił wzrok.

– Dlatego właśnie nadajesz się na mojego następcę. Nie jesteś pozbawiony skrupułów, ale jednocześnie potrafisz być bezwzględny, kiedy trzeba. Jak ja.

– Ale nadal nie rozumiem...

– Niebawem zrozumiesz. Teraz jednak muszę cię opuścić. Są sprawy, których powinienem dopilnować osobiście.

Nowak został sam. Wszystko, czego się dzisiaj dowiedział, już zaczynało się układać w logiczną całość. Odkrycie wyschłego trupa, rzeźnia w Landschaftsamcie, rozmowy z Kossowiczem, przesłuchania szpiegów... rewelacje na temat romadyzacji... Jednak cała konstrukcja runęła, kiedy zrozumiał, że stary generał sprowokował wypadek, poświęcił życie swoich ludzi, aby uwiarygodnić uwolnienie więźniów, agentów obcych wywiadów. Chciał, żeby o wszystkim donieśli swoim władzom! Oswoił się już z myślą, że siły specjalne postanowiły urządzić innym narodom hekatombę gdzieś tam na Marsie, zbrojnie opanować planetę, a w każdym razie na pewno rejon lądowania i pierwszych kolonii. Kossowicz miał rację – całkiem mu się spodobał taki scenariusz, chociaż wzdragał się na myśl o ofiarach. Teraz znowu miał o czym myśleć. W co stary gra? Do czego zmierza? Coś zaczynało mu już świtać.



Pułkownik Horton rozparł się wygodnie w fotelu. Spojrzał na Millera.

– No cóż, kapitanie, cała sprawa znalazła się poza nami. Przejęli ją ci w Waszyngtonie.

– Niepotrzebnie uruchamialiśmy pełny pakiet „Middle Europe”. Tylko się zdekonspirowaliśmy.

Horton wzruszył ramionami.

– I tak okazał się zupełnym niewypałem. Nie doceniliśmy przeciwnika. Polacy zawsze mieli znakomity wywiad. Zapomnieliśmy o tym. Zapomnieliśmy, kto nam dostarczał najlepszych informacji w czasach drugiej wojny światowej, potem zimnej wojny i wszystkich kryzysów, lekceważyliśmy ich. Teraz przyszło za to zapłacić.

Zamilkł, wpatrując się w pusty po raz pierwszy od wielu godzin ekran głównego komputera.

– Ale cała nasza kompromitacja to i tak nic w porównaniu z tym, co wyszło na jaw... W samą porę. Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby im się powiodło? Losy naszych kolonistów byłyby przesądzone. Nie tylko naszych. Wszystkich! Armia uzbrojonych po zęby ożywieńców! Na jeden nasz hibernator z kolonistą przypadłoby, lekko licząc, pięciu albo więcej znakomicie wyposażonych żołnierzy wroga!

Miller zmełł w ustach przekleństwo.

– Prędej spodziewałbym się czegoś podobnego po Niemcach, Rosjanach, Angolach nawet! Ale Polacy?! Co teraz? Przecież muszą coś zrobić. Do ich części statku wejdą przecież komisje...

– Nie wiem. – Horton znowu potrząsnął ramionami. – O to niech się martwią sami. Pomyśleć, że gdyby nie szczęśliwy przypadek i fatalny stan dróg w Polsce, nasz człowiek byłby teraz maglowany przez ich centralę, a my, pogrążeni w błogiej nieświadomości, czekalibyśmy na dzień odlotu.



Marszałek Szwochniew ślęczał nad raportem, starając się powiązać w spójną całość nadchodzące informacje. To, co mu wychodziło, było tak zaskakujące, że nie mógł uwierzyć.

– Żeby aż tak – mrucał do siebie. – Taka perfidia... I pomyśleć, że mogliśmy to wszystko przeprowadzić sami!

– Słucham, panie marszałku? – Przysypiający pułkownik otworzył czerwone ze zmęczenia oczy.

– Ja tylko tak. Pomyśleć, że gdyby nasi naukowcy zajęli się tym wszystkim jak należy, to my mogliśmy wyciąć światu taki numer! A wiesz dobrze, pułkowniku, że nas by nikt na tym nie przyłapał.

– Polacy zawsze coś spieprzą. – Oficer machnął lekceważąco ręką. – Nigdy nie potrafili doprowadzić do końca swoich przedsięwzięć. Nawet takich ważnych agentów wypuścili z ręki. Jak dzieci...

Szwochniew skrzywił się.

– A mnie się zdaje, że gdzieś tutaj jest drugie dno.

– O czym pan myśli?

– Nie wiem. – Marszałek bezradnie rozłożył ręce. – Jeszcze nie wiem. Jednak mój stary, agenturalny nos podpowiada, że na rzeczy jest coś więcej. Musieli sobie jakoś zabezpieczyć tyły na wszelki wypadek.

Pułkownik westchnął ciężko. Stary dziadyga zawsze i wszędzie wietrzył podstęp. Pewnie do sracza też zaglądał osiem razy, zanim posadził na nim tyłek, żeby nie wypierdzić we wraży mikrofon jakiejś ważnej tajemnicy. Ale czegoż innego można się po nim spodziewać? Całe życie w takim fachu. Czy każdy z czasem staje się równie nieufny?

– Najważniejsze chyba – powiedział – że udaremnimy im to przedsięwzięcie. Prawda?

– Prawda – mruknął marszałek. – Będą premie, odznaczenia, awanse... ale oddałbym to wszystko, żeby wiedzieć, co oni tak naprawdę kombinują.

Pułkownik znowu westchnął. Stary jest niepoprawny.

– Zbieramy się. – Szwochniew rozprostował ramiona. – Samolot gotowy. Czekaj nas jutro ciężki dzień.



Nowak kończył przeglądać dostarczone mu przed kilkoma godzinami papiery. W chwili, kiedy przewrócił ostatnią kartkę, wszedł Kossowicz.

– I co o tym myślisz, Kamilu?

– Jeszcze nie wiem. Brakuje mi kilku klocków do układanki. A właściwie, to już je miałem, tylko że po ostatnich wydarzeniach gdzieś przepadły.

– Bardzo dobrze. Jeżeli ty, mając dostęp do tych wszystkich danych pozostajesz zdezorientowany, tym bardziej będą zagubieni nasi przyjaciele z zainteresowanych sprawą wywiadów.

Generał usiadł z drugiej strony biurka.

– Ale zaczęłeś się czegoś domyślać?

– Najpierw proszę mi powiedzieć, dlaczego akurat ja mam zostać pana następcą. Psi nos to chyba jednak za mało...

– Zgadza się. – Kossowicz uśmiechnął się z zadowoleniem. – Musisz wiedzieć, że obserwuję cię od wielu lat. Trudno byłoby ci uwierzyć, ilu... Od śmierci twojego ojca. To był doskonały policjant.

– Obserwuje mnie pan?! Co to znaczy?

– Dokładnie tyle, ile powiedziałem. Obserwuję i koniec. Wiem o tobie więcej niż twoja własna żona. To zresztą nic dziwnego, bo nie łączy was zbyt wiele, a ona zawsze widziała w tobie tylko wścibskiego, bezczelnego gline, który wszystko ma w dupie i zaszedłby o wiele wyżej, gdyby polizał chociaż jeden tyłek. Ale ja, Kamilu, JA WIEM, że jesteś inny. Chociaż wrażliwy, potrafisz, kiedy trzeba, być bezwzględny, nawet okrutny. Myślisz, że nie wiem, kto wampira z Trzebnicy przybił do wrót stodoły i wypatroszył? Uratowałeś dzięki temu jego kolejną ofiarę, wydobyłeś zeznanie, ale gdybyś wiedział, ile energii kosztowało mnie, żeby uratować cię od konsekwencji... Przecież popełniłeś ciężkie przestępstwo. Z punktu widzenia kodeksu karnego, klasyczną zbrodnię.

– To nie był człowiek – mruknął Kamil. – Zasłużył na jeszcze gorszy los!

– To był człowiek. Właśnie człowiek, bo tylko my jesteśmy zdolni do takich zachowań.

W tej chwili zadzwonił telefon.

– Znowu muszę cię opuścić. – Kossowicz skrzywił się lekko, odkładając słuchawkę. – Nasi przyjaciele bardzo się pospieszyli. Już mamy na karku komisje. Jedną w Landschaftsamcie i ta nas specjalnie nie interesuje, niech sobie grzebią, ale drugą na kosmodromie. Zaczyna się polka.



– Kurwa mać – powiedział marszałek Szwochniew. Z niechęcią patrzył na zwalisty kształt polsko-niemieckiego transportera. – Kurwa mać – powtórzył. – Przecież tam nic

nie ma! Żarcie i leki. Leki i żarcie! Nic więcej! Nawet hibernatorów dla załogi mniej o połowę niż zezwala układ! Nie stać ich nawet na to?

Generał Johnson, wysłannik strony amerykańskiej, pokręcił głową.

– Wolałbym znaleźć bombę jądrową. Przynajmniej byłoby wiadomo coś konkretnego, a tak... Co mam powiedzieć prezydentowi? Może oni naprawdę nic nie zamierzają?

– Nic? – Schulz, attaché wojskowy ambasady niemieckiej, parsknął pogardliwie. – I to mówi amerykański oficer? Polacy na pewno szykują jakiś większy numer! Najpierw był atak na naszą placówkę we Wrocławiu, a teraz...

– Z tego, co wiem ze swoich źródeł – w głosie Johnsona zabrzmiała drwina – sami sobie urządziliście tamtą rzeź. Zostały wyraźne ślady. Łuski, użyte noże, ślady butów, nici z uniformów, wszystko z waszych sortów wojskowych. Tuż przed wejściem na statek otrzymałem meldunek od naszego delegata.

– To fałszywka! Po co mielibyśmy...

– Proszę nie robić z nas durniów – odezwał się milczący przez całą wizytację angielski brygadier. – Ślady fachowej ręki mistrzów propagandy są wyraźne. To wszystko jako żywo przypomina wasze prowokacje sprzed drugiej wojny światowej... chociażby Gliwice.

Schulz zgrzytnął zębami.

– Nie wiedziałem, Dodson, że wy, Anglicy, macie taką dobrą pamięć!

– Czasem to się przydaje – odparł spokojnie brygadier. – Szczególnie przy okazji podobnych spraw.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – Niemiec poczerwieniał z irytacji.

– To już pan, majorze Schulz, powinien wiedzieć najlepiej. W końcu to strona niemiecka najbardziej naciskała na dzisiejszą inspekcję.

– Bo mamy wspólną jednostkę z Polakami! – wściekł się Schulz. – Gdybyście wy mieli z nimi lecieć, zobaczylibyście, jacy są uciążliwi! I jak ciągle trzeba patrzeć im na ręce!

– Wiele nie daliście rady wypatrzeć – mruknął Szwochniew. – Po wrzasku, jakiego narobiliście, spodziewałem się, że faktycznie coś macie.

– O ile sobie przypominam – niemiecki attaché ochłonął nieco – to i wam wczoraj niczego nie brakowało. Krzyczał pan, marszałku, w słuchawkę, że uszy bolały!

– Tak. – Generał Johnson zmarszczył brwi. – Zdaje się, że nieco zbyt dużo emocji...

– Zbyt dużo? – syknął Schulz. – Zbyt dużo?! Mam panom przypomnieć, dlaczego tu jesteśmy? Gdyby nie przecieki i nieporadność polskich służb wywiadowczych...

– Majorze – burknął brygadier Dodson – za dużo pan mówi.

– A wasz wywiad za dużo wie – odparł Schulz – jak na państwo, które nie brało udziału w wydarzeniach.

– Nasz wywiad – odparł dumnie Anglik – zawsze posiada najlepsze informacje.

– Od amerykańskich przyjaciół – wpadł mu w słowo Szwochniew. – Wiemy, wiemy. Powiedźcie lepiej, panowie, co mamy o tym wszystkim sądzić. I co robić?

Zapanowała cisza.

– Właśnie – powiedział po chwili marszałek. – Zapraszam do mojej kwatery. Tam będziemy mogli się naradzić.

– Dlaczego akurat do pana? Przecież jesteśmy na terenie... – zaczął zaczepnie Schulz, ale został uciszony niecierpliwym gestem Johnsona.

– Nie pora na takie duperele, jak protokół dyplomatyczny. Mamy problem, jak mawiają w Houston.

– Mamy – przytaknął Szwochniew. – A my, tradycyjnie, dysponujemy najlepiej zabezpieczonymi przed inwigilacją placówkami.

W tej chwili podszedł do nich uśmiechnięty promiennie starszy mężczyzna w nieregularnie powyciąganym wojskowym swetrze.

– I jak inspekcja, drodzy panowie? Zadowoleni z wyników?

– Niech pan powie, co wy kombinujecie, generale Piasecki?

– My? – zdumienie oficera zdawało się autentyczne. – Sami mieliście okazję sprawdzić wszystko. Każdy zakątek statku.

– To mało! Żądam udostępnienia waszych ośrodków badawczych, całej dokumentacji technicznej dotyczącej przygotowań do lotu i doboru kolonistów!

– Ależ, panie majorze – Polak skrzywił się z niesmakiem – wie pan dobrze, że nie macie prawa...

– Wiem to, co wiem! – przerwał mu Niemiec. – Ale w zaistniałej sytuacji żądam tego, co wyżej wymieniłem!

Generał Piasecki spokojnym tonem zaczął wyjaśniać zawiłości prawne, a pozostali członkowie inspekcji z niedowierzaniem spoglądali na Schulza.

– Rany boskie – jęknął brygadier, pochylając się do ucha Johnsona – co za idiota zrobił tego burka attaché wojskowym?

– To pewnie tylko figurant – odparł szeptem Amerykanin. – Na rozmowy przyślą kogo innego, mam nadzieję. Ten ma jedynie robić zamieszanie.

– A jeżeli nie?

– Jeżeli nie, to chroń nas Boże. Ciężko będzie.



Gabinet marszałka Szwochniewa mieścił się w podziemiach rosyjskiej ambasady. Po drodze zniknął bez śladu major Schulz, a jego miejsce zajął doskonale wszystkim znany z materiałów operacyjnych kapitan Werner.

– Tak – chrząknął Johnson. – Miałem nadzieję, że właśnie pan przybędzie na rozmowy. Tamten kretyn...

– Tamten kretyn – przerwał mu Werner – to jeden z moich najlepszych ludzi. Miał za zadanie grać głupka, żeby sprowokować Polaków. Nie bardzo się udało, trudno.

– Podobno brutalnie pana potraktowali. – Brygadier z ciekawością przyglądał się twarzy niemieckiego urzędnika.

– Nie przypuszczałem, że mają tak doskonałe metody przesłuchań – odparł Werner.

– W niczym nie ustępują nam czy Rosjanom. Wasz człowiek – zwrócił się do Johnsona – podobno wyśpiewał wszystko.

Johnson zgrzytnął zębami.

– Najpierw, o ile wiem, wylądował nie gdzie indziej, jak w waszym urzędzie. I, tak jak brygadier Dodson, wcale nie jestem pewien, czy wszystko przedtem i potem nie było waszą jedną wielką prowokacją.

– Znowu zaczynamy? – jęknął z rezygnacją Szwochniew. – Wzajemne podejrzania, osobiste wycieczki, wypominania. Co było, to było. Teraz musimy się zastanowić nad tym, co widzieliśmy w polskiej ładowni.

– Nic, do cholery, nie widzieliśmy – rzucił Dodson. – Mniej niż nic. A przecież z całą pewnością nie mieli czasu wyczyścić pomieszczeń. Bez przerwy ktoś od nas patrzył im na ręce! Naprawdę uważacie, panowie, że coś knują?

– To więcej niż pewne. – Werner po kolei spojrział im w oczy. – Tylko co? I jak temu zaradzić?

– Właśnie po to się spotkaliśmy, żeby uzgodnić dalsze kroki. – Marszałek Szwochniew zaprosił gestem do zajęcia miejsc. – Czasu zaś mamy niesłychanie mało.



Kamila Nowaka wyrwał z płytkiej drzemki odgłos otwieranych drzwi.

– Jestem. – Kossowicz wyglądał na śmiertelnie zmęczonego.

– I co?

– Jeśli pytasz o wyniki kontroli, odpowiedź brzmi „i nic”. Nasi przyjaciele nadal nie mają pojęcia, o co w istocie rzeczy może chodzić, więc tym bardziej są zaniepokojeni. Naradzają się, paktują, kłócą, godzą i znowu naradzają. Pewnie będą chcieli przejrzeć ładunek jeszcze raz tuż przed odlotem na orbitę, po ostatnim uzupełnieniu cargo. To wbrew międzynarodowym ustaleniom, ale wspaniałomyślnie im pozwolimy. Oczywiście, pod warunkiem, że i inne jednostki zostaną potraktowane w ten sam sposób. Dla zasady. A przecież każdy z nich będzie coś miał do ukrycia. Głównie broń. Zatem dadzą nam pewnie koniec końców święty spokój. Postarają się nieformalnie zajrzeć w nasze ostatnie załadowywane kontenery. A to możemy z kolei nawet ułatwić. Dla większej dezinformacji.

– Coraz mniej z tego rozumiem.

– Tak. Mówiłeś, że brakuje ci, Kamilu, kilku klocków w układance. Jakich, powiedz?

– Logiki przede wszystkim, generale Kossowicz. Skoro, jak już się domyśliłem, cała sprawa z romadyzacją to tylko podpucha, a na statku znajduje się jedynie dozwolony towar i nic więcej, to na czym polega podstęp?

– Na tym, że oni nie wiedzą, że to tylko podpucha. Przecież o to w tym wszystkim chodzi.

– Oni, to kto? Niemcy, Rosjanie, Amerykanie...

– Wszyscy, Kamilu, wszyscy! Jak myślisz, dlaczego naszym więźniom udało się zbiec? Właśnie. Chodzi o to, żeby wszyscy upewnili się, iż nasze eksperymenty z romadyzacją zakończyły się powodzeniem. Przysłali teraz różne komisje. Nic nie znajdują, więc będą pewni, że załadujemy mumie w ostatniej chwili... Jeśli nie masz środków na zrobienie porządnej niespodzianki, trzeba tak postąpić, żeby od ciebie bogatsi sami ją sobie przygotowali. A żadnych mumii nie będzie. Tylko dodatkowy transport leków i żywności. Dlatego mogą przetrząsać kontenery jak chcą i kiedy chcą.

– I właśnie o to chodzi! Tego nie rozumiem. Po co nam tyle podobnego towaru, skoro kolonistów ma być zaledwie garstka?

– W ogóle nie będzie żadnych kolonistów – odparł Kossowicz. – Tylko lekarze, mały oddział oficerów, specjalistów w różnych dziedzinach oraz brygada inżynierów. I, rzecz jasna, dowódca wyprawy. Czyli ja.

Kamil złapał się za głowę.

– Lekarze? To oni mają zakładać bazy? A robotnicy? A pracownicy techniczni?

– Kto powiedział, że mają zakładać bazy? Oni wykorzystają te, które już będą pobudowane. I ludzi, którzy w nich będą mieszkali.

– Nic nie rozumiem... Jeśli na pokładzie mają być w zasadzie tylko lekarze, paru wojaków i konstruktorzy, to co... – Nagle przerwał, a jego oczy błysnęły wyrazem zrozumienia. – Co pan przedtem powiedział? Dopiero teraz do mnie dotarło. Przed odlotem zostanie uzupełnione cargo. Chcecie zrobić tak, żeby nie doszło do ponownej rewizji na pokładzie. To znaczy, że jednak będzie tam coś trefnego? Może to prawda z tymi mumiami? To je chcecie wwieźć w ostatnim rzucie? Są lekkie, tak? I łatwo je upakować...

– Słusznie, Kamilu, to jest jedyny logiczny wniosek, jaki można wyciągnąć. Dobrze to sobie wykombinowałeś. Tyle że na pokładzie nie będzie żadnych zakazanych towarów. Ale niech nasi konkurenci myślą, że jednak są.

– Nic nie rozumiem. To ma swoje trzecie albo nawet czwarte dno, prawda?

– Oczywiście. Jednak ty to wiesz, a oni mogą się tylko domyślać. Tok rozumowania naszych przyjaciół będzie właśnie taki, jak twój. Mogą się nawet posunąć do ostrzelania naszych lądowików zaraz po wybudzeniu załóg. Na pewno nawet wydadzą odpowiednie rozkazy dowódcom. Co więcej, jestem pewien, że od dziś zasadniczą część ich załóg stanowić będą właśnie żołnierze.

– I co dalej? Co będzie, jeśli zechcą nas rozwalić?

– A niech sobie strzelają.

– Co pan mówi?

– Niech strzelają – powtórzył Kossowicz. – W naszym przypadku nie będzie o kogo. Nie patrz tak na mnie. Po prostu nie wylądujemy. Nie weźmiemy udziału w wyścigu szczurów. Spokojnie poczekamy na orbicie Marsa.

Nowak przymknął oczy. Gdzieś w umyśle zazgrzytało, zaiskrzyło zrozumieniem, jednak nie był w stanie objąć jeszcze wszystkiego.

– Posłuchaj od początku, Kamilu – powiedział Kossowicz.

Schylił się, wydobyl z biurka butelkę i dwie szklaneczki. Napełnił je do połowy.

– Old Tom – mruknął, podając jedną Nowakowi – mój ulubiony. Zupełnie nie rozumiem, jak Anglosasi mogą tak przedni trunek rozcieńczać wodą.

Pociągnął długi łyk.

– To był ciężki dzień. A teraz posłuchaj. Kiedyś, kilkanaście lat temu, nasi naukowcy ukradli Rosjanom parę... no, paręnaście, mumii ze zbiorów w Omsku. „Ukradli” to zresztą za wielkie słowo. Personel sam wyniósł eksponaty za niewygórowaną opłatą. Dlaczego nasze zainteresowanie wzbudziły tamte ciała? Przypadek. Ktoś badał prace Romadanowskiego, zajmował się tym, jak to bywa wśród naukowców, z nudów chyba. Ale przy bliższym zapoznaniu się z dokumentacją i, przede wszystkim, ze stanem zwłok, stwierdził w nich coś na kształt elementarnych funkcji życiowych. Badał i badał, węszył i zbierał, aż wzbudził zainteresowanie służb specjalnych. Tak się zaczęły nasze prace nad romadyzacją. Tak właśnie, Kamilu. Na

początku traktowano rzecz bardzo poważnie. Zdawało się, że istnieje realna szansa na wykorzystanie prac Rosjanina. Dopiero od niedawna, dokładnie od czterech lat, wiadomo, że jest to wykluczone, przynajmniej na razie. Jednak skoro już poszły na badania wielkie środki, zainwestowano ogrom energii, warto to wykorzystać w inny sposób. Wtedy skonsultowano się ze mną.

– Skonsultowano? – Nowak skrzywił się. – Co za ostrożny styl, panie generale. Kto się skonsultował?

– Nie bądź dzieckiem. Odpowiednie władze.

– Rząd znaczy?

– Rząd, rząd! A konkretnie przedstawiciel ministra obrony. Spytał, czy nie przydałby nam się taki temat w wojnie wywiadów. Od razu mnie podniosło z krzesła, chociaż wtedy jeszcze dokładnie nie wiedziałem, co z tym zrobić. Jasne, że sprawa nie była mi zupełnie nieznaną. Co byłbym wart, nie mając o niej żadnych sygnałów? Ale sprawę traktowałem jak każdą inną. Naukowcy prowadzą badania nad takimi rzeczami, że czasem trudno uwierzyć. Jednak nagle dostałem w ręce materiał, który mógł się przydać. Jak raz finalizowała się sprawa lotu kolonizacyjnego. Koniec moratorium był o krok. Żebyś wiedział, jak wszystkie wywiady szalały! Burdel na kółkach. A ja miałem w ręce tę całą poronioną romadyzację do ewentualnego wykorzystania. Na początek nakazałem kontynuować beznadziejne badania. Było to proste, bo nasi naukowcy z uporem maniaka chcieli udowodnić, że sukces jest w zasięgu ręki. Potem postaraliśmy się o pewne przecieki.

– Wojna wywiadów. – Kamil kiwnął głową. – Jak w sensacyjnym filmie.

– Wojna wywiadów – powtórzył w zamyśleniu Kossowicz. – Najbardziej uporczywy i brutalny konflikt, jaki można sobie wyobrazić. Wszystko, co wydarzyło się ostatnio, miało na celu z jednej strony utwierdzenie naszych przeciwników w wierze o sukcesie polskich uczonych, z drugiej zaś o pewnym niepowodzeniu. To znaczy, że romadyzowani nie żyją po ożywieniu zbyt długo. A to z kolei oznacza, że nie można ich użyć inaczej niż jako doraźnych sił uderzeniowych do przeprowadzenia bezlitosnej rzezi. W związku z tym, z kolei zainteresowani muszą podjąć odpowiednie kroki. Pewnie teraz najchętniej odwołaliby lot i na nowo zaczęli ugrywać swoje, ale sami sobie zablokowali tę możliwość nie gdzie indziej, jak w sławetnym Gruenbergu. A przede wszystkim nie wyobrażam sobie, żeby Chińczycy czy Hindusi zechcieli opóźnić swoją wyprawę. Fakt, że strefy wpływów zostały ściśle określone, nie miałyby tutaj większego znaczenia. Gdzie nie ma gospodarza... sam rozumiesz. Azjaci wleżą, zajmą wszystko i koniec. Po odejściu od kasy reklamacji nie uwzględnią się. Więc Amerykanie ani Rosjanie nie odpuszczą. A to znaczy, że nikt nie odpuszcza. Muszą grać takimi kartami, jakie właśnie odkryli po ostatnim rozdaniu. Muszą grać, choć wiedzą, że są znaczone, a ktoś w rękawie chowa piątego asa.



Szwochniew przygryzł ustnik fajki. Rzadko po nią sięgał, a jeżeli już wydobył cybuch ze skrytki w szufladzie, oznaczało to stan najwyższego wzburzenia.

– Job twoju mać, Jura! – warknął. – Musimy zabrać więcej broni, więcej żołnierzy!
– To oznacza, że większość cywilnych kolonistów musi zostać na Ziemi.
– Pal diabli kolonistów! Nie rozumiesz? Ci przekłęci Polacy tak naprawdę nie wiadomo, co mają!

– Wierzy pan w tę ich romadyzację? To się trochę kupy nie trzyma...

– Wierzę czy nie, ale jestem przekonany o jednym. Amerykanie, Angole, Niemcy... wszyscy, którzy coś wiedzą, wyładują swoje przedziały wojskiem! Na wszelki wypadek. I my nie możemy być gorsi! Cywilów won! Bazy postawić mogą komandos. Parę bab do rozrodu zostawić, żeby trud na marne nie poszedł! Moratorium! – Splunął gęsto na puszysty dywan. – Moratorium! – powtórzył. – Wyrównanie szans! Wyruchanie szans powinni to nazwać!

Szarapat milczał, wpatrując się w płamę na ścianie.

– No, Jura. – Marszałek szturchnął go. – Ciesz się. Przeżyłeś jako jedyny z naszych. Nawet takiej ślicznotki jak Ksenia nie zawahali się rozwalić. A tyle się słyszy o ich szacunku i słałości do kobiet.

– Będziemy chyba musieli zmienić o nich zdanie – odparł major.

– Będziemy musieli. Niestety. Wołałem ich jednak takimi, jak niegdyś. Nawet jeżeli bywali nieprzewidywalni i narwani, przynajmniej brzydzili się zdradą.



Werner ponuro wpatrywał się w ekran komputera. Raport. Pisz tutaj, człowieku, raport, kiedy w głowie jeszcze huczą echa ostatnich przeżyć, a po kościach wciąż krąży wspomnienie bólu. Koszmar ciężki! I co ma napisać? O romadyzacji? O tym, że Polacy zagrali wszystkim dookoła na nosie? O swoich wątpliwościach? O braku wiary?

– Kurt, Kurt – westchnął. – Szkoda, że dałeś się zarząć jak baran. Przydałby się teraz twój cyniczny łeb.

Takiej paniki u swoich przełożonych nie widział jeszcze nigdy. Może tak właśnie zachowywali się kiedyś ich pradziadowie na wieść o zbliżaniu się do Berlina barbarzyńskich sowieckich hord. Może tak ciskał się Himmler po przegraniu bitwy o Wielką Brytanię?

– Szlag by to trafił. – Skrzywił się.

W tej chwili pożałował decyzji o przejściu ze służb polskich do Landschaftsamtu. Kariera... ulotna to rzecz. Dla niego awanse i splendory skończyły się w chwili, kiedy został ujęty przez obcy wywiad. I to niesamowite uwolnienie... Tak samo wątpliwe, jak wszystko, co zdarzyło się w tej sprawie od przekłętego wyschniętego trupa począwszy.

„Broń – powiedział ostro minister spraw wewnętrznych. – Ma być więcej broni. Trzeba zgnieść w zarodku samą myśl, jakoby mógł zwyciężyć kto inny. Teraz rzecz idzie nie tylko o przetrwanie w trudnych warunkach, ale przeżycie zmasowanego ataku silnych oddziałów”.

A jeśli... Oblizwał wargi. A jeśli chodzi jeszcze o coś innego? Ale o co? Po co zabierać tyle leków i jedzenia, jeżeli nie dla wielkiej masy ludzi. Leków, środków opatrunkowych, nawet połowe czołwki medyczne. Wyposażenie jak dla pułku wojska.

Werner znów wlepił wzrok w ekran. Nie zazdrościł tym, którzy musieli w tej sytuacji podejmować ostateczne decyzje.



Kamil Nowak z niedowierzaniem spoglądał na Kossowicza. Perfidia planu była wprost niesamowita.

– Zakładacie ludobójstwo – powiedział spokojnie.

– Można to tak nazwać – skrzywił się generał. – Ale my nie zamierzamy zabić ani jednego człowieka. Sami sobie nawzajem zgotują holokaust.

– A jeżeli to się nie powiedzie? Jeśli zamiast walczyć dogadają się?

– Trudno. Wtedy zostaniemy na lodzie. Ja jednak wierzę, że jeżeli wszyscy zabiorą masę broni, prędzej czy później użyją jej przeciw sobie, jeśli nie znajdą innego celu. A takowego nie będzie. Bo my spokojnie sobie poczekamy na orbicie na rozwój wypadków.

– Tak... w takiej sytuacji, na obcej planecie, niepewni, zestresowani i gotowi do walki, raczej prędzej niż później zaczną do siebie strzelać.

Kossowicz z zadowoloną miną skinął głową. W tej chwili wyglądał, jakby ubyto mu przynajmniej dziesięć lat.

– I na to właśnie liczymy, Kamilu. Nie mogliśmy być potęgą na Ziemi, wciąż lekceważeni, spychani, pogardzani za nasze durnowate dotrzymywanie układów, niechęć do zmian sojuszy... Może uda nam się stworzyć potęgę kolonizacyjną. Od czego trzeba zacząć. Zacniemy od Marsa.

– Jeśli dobrze rozumiem, chcecie poczekać, aż tamci się po prostu wybiją, powymierają.

– Niezupełnie. Po co, jak myślisz, bierzemy na wyprawę tyle żywności i leków? Żeby nieść pomoc.

Kamil w tej chwili doznał czegoś na kształt zawrotu głowy. Wszystkie wiadomości, wszystkie przemyślenia ułożyły się nagle w spójny ciąg.

– Rozumiem. Celem jest uzależnienie ekonomiczne... i medyczne tych, którzy przeżyją Armagedon!

– Kto w podobnych warunkach ma dostęp do żywności i medykamentów, ten ma władzę! A my będziemy mieli tego pod dostatkiem. W ten sposób wszystkie kolonie staną się naszą własnością. Wszystkie! A zanim przybędą następni, my już będziemy doskonale zorganizowani, silni, zaopatrzeni w broń, dysponujący sporym wojskiem. Przecież nasi przyjaciele dostarczą jej w podobnym nadmiarze, jak my swoich towarów. A z nich zrobimy najemników. Nie uwierzysz, do czego gotów jest głodny człowiek za kromkę chleba.

Kossowicz uśmiechnął się drapieżnie.

– To potworne – szepnął Nowak.

– Potworne, Kamilu – przyznał Kossowicz – ale zarazem jakże kuszące, nieprawdaż?

Nowak milczał.

– Kuszące, przynasz mi rację?

– To takie nasze sny o potędze – rzekł w końcu Nowak. – Tyle że niewiele może z nich wyjść...

– Jak zwykle, chłopcze. Ale może choć raz nam się uda. I niezupełnie chodzi o sny o potędze. Robimy to raczej, żeby przestać wreszcie być pawiem narodów i papugą, jak powiadał wieszcz, a stać się tymi, z którymi trzeba się liczyć. Kuszące?

– Kuszące – odparł Kamil. – Tak. Obrzydliwe, wredne, ale niesamowicie pociągające. Wręcz perwersyjnie pociągające...

– Zgodzisz się więc zastąpić mnie tutaj, kiedy udam się w swoją ostatnią podróż? Zostawiam ci najlepszych ludzi, fachowców, którzy wprowadzą cię we wszystko. Zresztą, szybko się uczysz, niedługo zostaniesz szefem całą gębą.



Statek stał na słupie ognia. Moc potężnego wybuchu, mogąca zniszczyć średniej wielkości miasto, ujarzmiona i ujęta w żelazne karby sprawiała, że ogromna masa powoli wzbijała się w górę. W górze, na orbicie, czekała jeszcze większa jednostka – transportowiec międzyplanetarny, który miał dostarczyć zamkniętych w kontenerach kolonistów na miejsce przeznaczenia.

Werner stał na galerii dla dyplomatów, mrużąc piekące jak zawsze oczy. W tej samej chwili w innych krajach Europy można było zobaczyć podobny obrazek. Kilka godzin wcześniej wystartowały statki azjatyckie, za jakiś czas odpał silniki rakiet na zachodniej półkuli. Tam w górze, na orbicie, kiedy wszyscy już dotrą i zostaną podczepieni do transportowca, zacznie się podróż ku znanemu celowi i nieznanej przyszłości.

Werner wstrząsnął się, jakby dopadł go nagle atak febry. Wszystko mogło być przecież inaczej, gdyby nie ten przeklęty Kossowicz, szara eminencja polskich służb wywiadowczych. Był jak wrzód na dupie – zapomnieć się o nim nie dało, a polubić gada niepodobna. Teraz jest w środku, w hibernatorze. Stare próchno postanowiło odbyć podróż życia. Ciekawe, po co? Awanturczka żyłka czy zadanie specjalne? Ale skoro poleciał, to znaczy, że zostawił na Ziemi następcę. Ciekawe, kogo znalazł na swoje miejsce i kto odtąd będzie zajmował się zatruwaniem życia takim ludziom, jak Werner? Kto będzie siedział niczym lis w norze, głęboko pod ziemią w Festung Oels albo innej podobnej bazie? Na wspomnienie Oleśnicy miał ochotę splunąć. Może kiedyś dowie się, czy rzeczywiście byli tam, gdzie podejrzewał. Może... Ale na razie pozostało tylko wspomnienie bólu i upokorzenia.

Odrzucił się od jaskrawej łuny. Zlustrował wzrokiem obecnych. Którego z nich namaścił Kossowicz? Piaseckiego? Wereszczaka? Adamika? Cholera, to może być każdy z nich! Przesunął spojrzenie dalej. Tam, na końcu, znajoma twarz... A ten co tutaj robi? Kogo, jak kogo, ale Nowaka nie powinno się wpuszczać do łoży vip-ów. Taki gotów jeszcze – jak pies wpuszczony na pańskie pokoje – z wrażenia zesrać się na elegancki dywan. Pewnie wcisnął się na krzywy ryj, jak to on potrafi. Zaraz... a może?...

Przecież w tej przeklętej podziemnej norze Kossowicz zwracał się do niego jak mistrz do ucznia... Szlag jasny! On?!

Kamil Nowak poczuł na sobie wzrok Wenera. Spojrzał prosto w jego rozszerzone zdumieniem oczy. Uśmiechnął się krzywo i skinął uprzejmie głową.

Różaniec z bursztynu

Mroźna cisza kościoła nasiąkła kolorowymi plamami przefiltrowanego przez bogate witraże światła. Barwne promienie kładły się rozmazanymi smugami na szachownicy posadzki. Na zewnątrz ostre zimowe słońce odbijało się od plam śniegu, ludzie biegali w swoich małych sprawach, zasłaniali oczy przed blaskiem i ślizgali się na zamrożonych rozlewiskach niedawnej odwilży, teraz skutych nagłym zimmem. Jęklivy sygnał dawał rozpaczliwy znak, że ambulans nie może przejechać przez zakorkowane skrzyżowanie. Na jezdni rozsypane szkło samochodowych reflektorów znaczyło miejsce, gdzie niechlujność miejskich służb pozostawiła zdradziecką łachę brudnego lodu – pułapkę na nieostrożnych kierowców.

Michał patrzył na wysoki ołtarz, którego szczyt zdawał się skrywać w ciemności.

– Ona dziś dosięga i ciebie, Panie – mruknął.

Wiedział, że to tylko złudzenie, że oślepia go silne światło płynące od okien, sprawiające wrażenie, jakby dalej można było znaleźć już tylko nicość. Gdyby przesunął się w ławce o jakiś metr w lewo albo chociaż zniżył głowę, bez trudu dostrzegłby zwieńczenie w kształcie rozstrzelonych złotych promieni.

– Dosięga i ciebie, Panie – powtórzył, czując przebiegający po plecach dreszcz.

Siedząca kilka ławek przed nim starowinka obejrzała się niespokojnie.

– Jestem zbyt głośny – mruknął do siebie. – Trzeba uważać.

Ścisnął w dłoni różaniec, podjął modlitwę.

– Miej miłosierdzie dla nas i świata całego.

Z zewnątrz uparte wycie syreny wciskało się dziwnie zniekształcone i przygłuszone przez niedomknięte drzwi. Czuł mrowienie w czubkach palców, kiedy przesuwiał paciorki w monotonnym rytmie koronki. Która to już dzisiaj modlitwa? Ile jeszcze przed nim? Wigilijny dzień jest taki krótki!

– Przyjdiesz, Panie, na świat dzisiejszej nocy. Stary, znużony odwiecznymi rządami Bóg odrodzi się w bezbronnym, delikatnym ciałku niemowlęcia. Ale nim zdołasz zbawić człowieka, zanim nadejdzie straszliwy czas piątowej kaźni, ludzie, nie czekając na nic, już jutro zabiją Cię w sobie, uczynią z Ciebie taką samą ofiarę, jaką przez tysiące lat czynili z bezradnych zwierząt. W konfesjonałach zrzucą wszelkie podłości przekonani, iż powołanie się na Twój majestat może zastąpić sumienie. Wyrzycą brud z pociemniałych od grzechu dusz i odejdą radować się nadejściem Pana. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, jak zawsze zlekceważą Twoje nauki, obojętnie miną przed kościołem cuchnącego żebraka, spluną na leżącego człowieka, nie

zastanawiając się, czy chory, czy tylko pijany, bluzną nienawiścią na kogoś, kto w metrze nastąpi im na odcisk, będą życzyć wszystkiego najgorszego wszystkim, którym powodzi się lepiej niż im... Unurzają się w grzechu, aby potem oczekiwać, że przyjmiesz ich na swe łono, jak dobry ojciec marnotrawnego syna... Miej miłosierdzie dla nas i świata całego.

Słońce przesunęło się, załśniło w koronie ołtarza. Bóg się rodzi... Na ustach mężczyzn zagościł uśmiech. Zaraz jednak spowaźniał, kąciki warg pobiegły w dół, twarz ściągnęła się w przykrym grymasie.

– Ile jeszcze razy zdołasz przemóc zło, które nadchodzi w dniu przed Twoim narodzeniem? Ile jeszcze razy szatan przegra tę walkę? Tylko szatan? Nie jest przecież sam. Tak... gdyby tylko od niego pochodziły wszelkie niegodziwości, wszystko byłoby prostsze. Ale ciemność ma wiele imion i wiele sług. Czy naprawdę musi wreszcie nadejść czas, kiedy jej mrocznych zasłon nie rozedrze zbawcze światło poranka?

– Ten dzień nadejdzie – zabrzmiał nagle głos obok. – Możesz mi wierzyć, ów czas zbliża się nieubłaganie.

Powoli odwrócił głowę. Człowiek w sutannie patrzył na niego łagodnymi ciemnymi oczami.

– Ten dzień nadejdzie – powtórzył ksiądz. – A wtedy wybuchnie ostateczna wojna.

– Armagedon...

– Tak to nazywają ciemni ludzie. Jak stoi w Apokalipsie? I zgromadziły ich na miejsce, zwane po hebrajsku Har-Magedon¹. Bzdura, mój przyjacielu. Toż to zwyczajna bzdura.

Syrena na skrzyżowaniu zaczęła się oddalać. Zbyt powoli jednak, a po chwili ucichła. To oznaczało, że nie udało się uratować życia. Dalekie i szkliste oczy zmarłego po raz kolejny dawały świadectwo, że nawet w zatłoczonym i ludnym miejscu, w samym środku wielkiego miasta śmierć nieodmiennie jest samotna.

– Modlisz się chyba zbyt długo – duchowny wskazał wzrokiem różaniec – żeby zachować prawdziwe skupienie w rozmowie ze swoim Bogiem.

Michał podążył za jego spojrzeniem. Ścisnął mocno kamyki nanizane na misternie pleciony łańcuszek. Zachręściły cichutko, jakby chciały zaprotestować przeciw tak brutalnemu traktowaniu.

– Modłę się zbyt długo? Tak... Kiedyś te paciorki były ostre i kanciaste, uczynione z niezdatnych, nieoszlifowanych odłamków bursztynu. Ja jednak miałem je w dłoniach tyle czasu, że krawędzie zatarły się i stały gładkie, przyjazne w dotyku, kształtem coraz bardziej podobne paciorkom innych różańców niż niepokornym kamykom. Pamiętam doskonale, jak kiedyś przy każdej modlitwie z moich palców ciekła krew, barwiąc bursztyń na podobieństwo rubinu.

Stara kobieta odwróciła ku nim głowę. Najwyraźniej miała ochotę coś powiedzieć, jednak na widok księdza zamknęła usta. Michał mógłby przysiąc, że kiedy zwracała twarz ku ołtarzowi, jej oczy błysnęły krwawą poświatą, jakby odbiła się w nich intensywna barwa szkła z szaty Chrystusa na witrażu.

– To piękny różaniec – ksiądz zniżył głos do szeptu. Wyciągnął dłoń. – Mogę zobaczyć?

Michał szarpnął się w tył.

– Tylko ja mam prawo go dotykać!

– Jesteś czujny, jak zwykle, wysłanniku.

– A ty jak zawsze beczelny, szatanie. Kiedy tylko możesz, wchodzisz beczceścić dom Pana.

Człowiek w sutannie roześmiał się głucho.

– Dziś nie jest to tylko jego dom. Nim narodzi się Dziecię, mogę tu przebywać bezkarnie, jak każdy zresztą, choćby najslabszy i najmarniejszy demon. A jeśli mały Bóg jednak się nie narodzi... sam wiesz. Jeśli zdołam temu zapobiec, te mury staną się własnością moją i tylko moją... Cały świat za nimi też zostanie mi wówczas poddany! Wreszcie! I przestań nazywać mnie szatanem. On jest tylko marnym odbiciem pradawnych mocy, powołanym do życia przez umysł potrzebujące bajek. To we mnie drzemie prawdziwa siła! Ta siła, która sprzeciwiała się twojemu Bogu od zarania świata, zanim jeszcze stworzył ziemię, eony lat przed tym, jak zbuntowały się jego anioły! To ja zresztą sprawiłem, że ten bunt nastąpił!

Oczy duchownego rozjarzyły się czerwonym blaskiem. W skłębionym szkarłacie tęczówek czarne ziarenka żrenic zdawały się dwiema drogami prowadzącymi w nieskończoną przepaść, na której dnie było już tylko...

Michał zmrużył powieki. Kątem oka dostrzegł zwróconą ku sobie twarz staruszki. Mówiła coś, jednak z poruszających się szybko wyschłych wargi nie wydobywał się dźwięk. Ścisnął mocno różaniec.

– Nie zarzucisz dzisiaj na mnie sieci – powiedział ksiądz. – Jesteś zbyt słaby. Coraz słabszy. Nadszedł wreszcie ten czas, kiedy...

– Milcz!

Staruszka patrzyła na nich nienaturalnie wielkimi oczami.

– Co zrobisz? – ksiądz roześmiał się głośno. – Czym będziesz chciał mnie zaskoczyć? Czym jeszcze możesz mnie zaskoczyć? Po tysiącach lat zdołałem przejrzeć wszelkie twoje sposoby!

Michał przycisnął łokciem lewy bok, sprawdzając, czy szpikulec do rozbijania lodu jest na swoim miejscu. Nie na darmo, kiedy wchodził do świątyni, zanurzył ostrze w święconej wodzie.

– Dzisiaj się policzymy, wysłanniku. Za wszystkie moje cierpienia i upokorzenia. Za tysiące lat cierpliwego czekania!

– Jesteś zwykłym, podłym szatanem, ciemna istoto. – Michał zmrużył oczy. – Choćbyś przybierał najróżniejsze imiona, próbował najsprytniejszych sztuczek, pozostaniesz tylko diabłem!

Z dłoni zaciśniętej na różańcu pocięła strużka krwi, kiedy jakaś niewyglądzona jeszcze modlitwami krawędź zdołała przeciąć skórę. Michał poruszył ustami.

– Co chcesz jeszcze powiedzieć? – Ksiądz pochylił się ku niemu. – Nie możesz dobyć głosu? Czyżby siły tak bardzo cię odeszły, nędzny robaku?

Błyskawiczny ruch. Lakierowana, karbowana rękojeść sama wśliznęła się w dłoń trzymającą różaniec. Wystarczyło teraz tylko pchnąć. Mężczyzna prawie nie poczuł oporu. Ostrze zagłębiło się w ciało duchownego z cichym sykiem, jakby rozpalony pręt dotknął bryły lodu.

– Pamiętaj Michale – powiedział jeszcze ksiądz, nie patrząc nawet na sterczący z jego boku szpikulec – pamiętaj, że imię moje Legion... Nigdy nie wiesz, gdzie mnie napotkasz i czyją przybiore postać...



Hubert powiesił ostatnią bombkę na choince. Odszedł dwa kroki, podziwiając swoje dzieło.

– No i jak?

Marek skrzywił się niechętnie.

– Czy ludziom nigdy się to nie znudzi? Co roku to samo, tak samo i z tymi samymi osobami. Te same prezenty, te same pieśni, takie same życzenia.

– Nie lubisz świąt? Zawsze wpadasz w taki podły nastrój?

– Lubię święta, a szczególnie ten niesamowity wieczór przed Bożym Narodzeniem. Ale z innych powodów niż większość ludzi.

Hubert zerknął na partnera spod oka. Kiedy dwa miesiące temu przenieśli go z narkotyków do kryminałki, wydawał się całkiem sympatyczny. Owszem, miewał czasem swoje humory, jednak dzisiaj ewidentnie przesadzał. Od kilku godzin trudno z nim było wytrzymać.

– A z jakich to powodów?

– Byłoby ci to ciężko zrozumieć.

– Postaram się.

– Widzisz, jutrzejszy dzień to nadzieja...

– Wiem. To raczej mało skomplikowane. Boże Narodzenie jest świętem nadziei.

Takie rewelacje można usłyszeć w telewizji.

– Ale... A daj mi spokój – zniescierpliwiał się Marek. – Nie mam ochoty na tłumaczenia, a tym bardziej zwierzenia.

– Jak chcesz. Ale jeżeli chodzi o to, że nie masz z kim spędzić świąt, zapraszam do nas... Iza robi rewelacyjną pieczeń.

– Nie potrzebuję niczyjego towarzystwa! – pogardliwe parsknięcie. – Mam lepsze rzeczy do roboty niż siedzieć przy stole i napychać żołądek, gapiąc się bezmyślnie w ekran albo śpiewając byle co...

Zapanowała niezręczna cisza. Zamilkła nawet Alice, do tej pory z prędkością światła nadająca w słuchawkę telefonu.

– Przepraszam – mruknął po chwili Marek. – Poniosło mnie. Może tak się zachowuję rzeczywiście dlatego, że znowu będę sam. Przepraszam.

– Nie ma sprawy. – Hubert klepnął go w ramię. – Czasem z człowieka wyleje się trochę gorzkości. W każdym razie zaproszenie jest aktualne. Mamy przecież oba dni świąt bez dyżurów.

– Zobaczę. Ale najpierw jakoś trzeba spędzić ten straszny czas oczekiwania do północy.

– Straszny czas oczekiwania? – zdumiał się Hubert. – O czym ty mówisz?

– Żartuję przecież. – Marek uśmiechnął się z przymusem.

Dziwaczne poczucie humoru, pomyślał Hubert, ale nie odezwał się. Po co prowokować kolejny wybuch zgorzknienia u partnera?

– Jeszcze pół godziny i do domu. – Spojrzał na zegarek, potem za okno. – Taki piękny dzień. Słońce i mróz. Drzewa lśnią niczym zapalona choinka. Jak na jakimś obrazie.

W tej chwili do pokoju wszedł inspektor Balicki. Hubert poczuł niepokój. Pojawienie się przełożonego pod koniec dnia niezmiernie rzadko zwiastowało dobre wieści.

– Wiliński, Mikosz, dobrze, że jesteście. No, komisarze, jest dla was robota w godzinach nadliczbowych.

– Teraz? – jęknął Hubert. – W samą Wigilię? Żona mnie zabije, jeśli się spóźnię!

W zimmym spojrzeniu Balickiego darmo szukał zrozumienia. Przełożony wzruszył ramionami.

– W ogóle dzisiaj możesz nie dotrzeć do domu, Mikosz. Mamy zabójstwo. Paskudne podwójne zabójstwo w kościele Miłosierdzia Pańskiego.

Marek ożywił się.

– Seria wigilijnych zabójstw? Czy to łączy się z poprzednimi?

– Być może łączy się jak cholera, Wiliński. Jak cholera! Ale tym razem mamy sprawcę. Czeka was sporo pracy. Zbierajcie się i zasuwasjcie na miejsce zbrodni. Im prędzej tam dotrzecie, tym lepiej. Samochód już czeka. Ty, Alicjo – zwrócił się do sekretarki – możesz iść. Nie będziesz potrzebna.

Spojrzał jeszcze na Huberta, który ze zbolaną miną podnosił słuchawkę telefonu. Przez pomarszczoną, surową twarz inspektora przeleciał grymas współczucia.

– Powiedz Izie, że to naprawdę bardzo ważne. Jeśli chcesz, sam do niej zadzwonię – dodał nieoczekiwanie miękko.

– Dziękuję, dam sobie radę.

Patrzył przez dłuższą chwilę na drzwi, za którymi zniknął Balicki.

– A powiadają – mruknął – że w wigilię Bożego Narodzenia tylko zwierzęta mówią ludzkim głosem.



Siedzący za stołem mężczyzna miał rzadkie siwe włosy. Pośrodku czaszki skłębiły się na kształt ptasiego gniazda. Można to było dostrzec bez trudu, bo siedział ze spuszczoną głową, zapatrzony w zaschniętą plamę po kawie na zniszczonym blacie.

– Imię – rzucił ostro Marek.

– Michał.

– Nazwisko.

Mężczyzna podniósł głowę. Sądząc z pokrywającej ogorzałą twarz siatki zmarszczek, mógł mieć grubo ponad sześćdziesiąt lat. Błękitne, wodniste oczy spjrzały najpierw na Marka, potem na Huberta.

– Nie mam nazwiska.

– Nie pieprz, człowieku! Każdy ma nazwisko. Mądre, głupie, ładne, brzydkie, lubi je albo nie, ale jakieś ma! Nie rób z nas durniów!

– Ja nie mam żadnego.

Marek uniósł się groźnie. Ręce wbił w zryty blat stołu.

– Masz i zaraz je podasz!

– Nie mam... nie pamiętam...

– Jeżeli myślisz, że w ten sposób wyślizgasz się...

– Naprawdę nie pamiętam.

Jakie on ma dziwne oczy, przeleciało przez głowę Hubertowi. Widział w życiu setki, jeśli nie tysiące przestępców, w tym wielu morderców. Ale takich oczu nie miał żaden. Były jak... jak... Nagle stanął mu przed oczami Romek, najmłodszy syn. Niech to szlag! Ten facet ma przecież oczy dziecka! Przejrzyste i niewinne. Jednak jakież potwór musi ukrywać się w jego wnętrzu, skoro potrafił dokonać podobnego mordu, na dodatek w świątyni i w taki dzień jak dzisiaj!

– Miejsce zamieszkania?

– Nie mam...

Marek uderzył pięścią w stół.

– Jeżeli jeszcze raz usłyszę...

Hubert położył rękę na ramieniu kolegi.

– Ile razy będziesz go pytał o to samo? Nie wyciągniesz nic poza „nie wiem, nie pamiętam”.

– Ty go chcesz rozpytać? – Wiliński wyduł wargi, odsunął się, usiadł na krześle w kącie. – Proszę bardzo.

Hubert przez dłuższą chwilę wpatrywał się w twarz przesłuchiwanego. Milczenie przeciągało się tak długo, że Marek zaczął się niecierpliwie wiercić.

– Dlaczego to zrobiłeś? – padło wreszcie pytanie.

– Musiałem.

Komisarz wciągnął głęboko powietrze.

– Co znaczy „musiałem”?

Michał chciał rozłożyć ręce, ale tylko je uniósł. W pełnej oczekiwania ciszy kajdanki, ciasno zapięte na nadgarstkach, brzęknęły żałośnie.

– Tak było trzeba.

– Wariat – doleciał pomruk Marka. – Zupełny wariat.

Michał skierował na niego spojrzenie.

– Ludzie zawsze, jeżeli kogoś nie rozumieją, nazywają go w ten sposób.

– Marek, daj spokój – rzucił przez ramię Hubert. – Michale, powiedz przynajmniej, dlaczego użyłeś właśnie różańca. Dlaczego dodusiłeś nim trupa? Czy cios w serce nie wystarczył?

– Bestii nie można zabić ostrzem, choćby i poświęconym. Można ją tylko na chwilę osłabić. Bestii trzeba zarzucić na szyć święty atrybut tej, która zdolna jest zmiążdżyć jej głowę.

Marek wstał gwałtownie, podszedł i rzucił na stół plik zdjęć.

– Masz, obejrzyj sobie rzeźnię, którą urządziłeś! Nie wystarczył ci ksiądz? Musiałeś jeszcze zarznąć tę nieszczęsną kobiecinę? Wiesz, jakie przerażenie zastygło w jej oczach? Widziałem to, bo sam je zamknąłem!

Michał, zamiast na fotografii, patrzył na Wilińskiego. Patrzył tak, jakby chciał przesyć go wzrokiem, zajrzeć w głąb duszy.

– Bestia jest zawsze przerażona, kiedy osuwa się w otchłań – powiedział dobitnie. – Obawia się tych, którzy tam na nią czekają. Boi się demonów starszych i straszniejszych od niej samej. A ona, ta stara w kościele – dodał ciszej – była z nim w zmwowie. Z tym, który udawał księdza. I ty dobrze o tym wiesz!

Zaskoczony Wiliński cofnął się pół kroku. Gestem przywołał partnera. Wyszli z pokoju przesłuchań.

– Maniak – wycedził Marek. – Popieprzony religijny maniak. Cała seria zabójstw w kościołach to z pewnością jego sprawka! Dobrze, że w końcu wpadł. Kiedy przyjdą wyniki z laboratorium, na pewno potwierdzą, że za każdym razem zwyrodnialec używał właśnie tego różańca!

– Na razie jednak wyników nie ma – zauważył trzeźwo Hubert. – Różaniec przynajmniej do jutra poleży w sejfie, a ty najwyraźniej tracisz zimną krew. Wybacz, stary, ale wtrącając się co chwila, nie ułatwiasz mi zadania.

– Tak? – Wiliński uniósł brwi. – W takim razie radź sobie sam! Ja poczekam. Pooglądam telewizję, jak będę się bardzo nudził, to zadzwonię na sekstelefon i szybko zwałę gruchę. W każdym razie jakoś odpękam te parę godzin do północy. A ty...

– Dlaczego do północy? Co ty z tą północą?

Marek skrzywił się niecierpliwie, jakby chciał irytacją pokryć zmieszanie.

– Bo tak sobie myślę – odparł po chwili – że jeśli do dwunastej nie wyciągniemy czegoś konkretnego od tego wariata, to ściągniemy Balickiego. Niech też się trochę pomęczy. Ale będzie wściekły! Sam chciał, żeby go na bieżąco powiadamiać o wynikach.

– Wiesz. – Hubert spojrział na niego z zastanowieniem. – To by było nawet niegłupie.

– Właśnie. – Wiliński roześmiał się z przymusem. – To teraz idź pogadaj z tym szaleńcem, a ja sobie cierpliwie poczekam.



– Czy tamten policjant przyjdzie?

– Nie. Na razie będę cię przesłuchiwał sam.

– To dobrze. – Michał odetchnął z ulgą. – Nie lubię go.

Hubert przyglądał mu się z uwagą. Zbrodnia niejedno ma oblicze. Czasem przybiera pozorną bliznami twarz brutalnego złodziejaszka, innym razem kryje się za pogardliwym grymasem zdegenerowanego nastolatka, czasem są to zatroskane, ściągnięte brwi godnego szacunku ojca rodziny przez wiele lat gwałcącego własną córkę albo inteligentne oczy biznesmena krętacza czy wykrzywione wargi wyrodnej matki, która zawinęła nowo narodzone dziecko w torbę na zakupy i wyrzuciła na śmietnik ruszające się i kwilące zawiniątko... Można wymieniać w nieskończoność. Jednak na tamtych twarzach widać znamię grzechu, choćby w najdoskonalszy sposób odgrywały niewinność. Zły uczynek odciska niezatarte piętno. Nawet najlepszy, najgenialniejszy aktor nie jest w stanie tego należycie oddać, chyba, że sam popełnił podobną podłość... Dlatego właśnie od lat Hubert nie cierpiał oglądać ambitnych filmów kryminalnych. Drażniła go sztuczność i wysiłki odtwórców czarnych charakterów. Prawdziwi złoczyńcy są bardziej przerażający. Tymczasem ten stary człowiek nie był naznaczony owym charakterystycznym piętnem. A jednak został złapany na gorącym uczynku, kiedy odwijął z szyi ofiary bursztynowy różaniec. Z pewnością popełnił oba morderstwa i nie zaprzeczał oczywistym faktom nawet jednym słowem.

– Dlaczego dobrze?
– Przy nim nie mógłbym mówić.
– Nie rozumiem.
– To, co mam do powiedzenia jest przeznaczone tylko dla twoich uszu.
– Nasza rozmowa jest nagrywana. Jeżeli mój kolega zechce, może w każdej chwili przesiłuchać taśmę, bo ja ani nie mogę, ani nie chcę złać procedur i wyłączyć sprzętu. Michał milczał przez chwilę.
– Niech sobie je przesiłuchuje. Nic nie usłyszysz. Nikt nic poza twoim głosem nie usłyszysz.

Hubert zerknął na magnetofon. Szpulki obracały się leniwie, równo, jak zwykle. Wzruszył w duchu ramionami. Ten stary jest naprawdę szalony. Ale skoro ma ochotę współpracować pod nieobecność Marka, trzeba z tego skorzystać. Wariaci miewają takie kaprysy.

– Mam rozumieć, że podasz mi swoje nazwisko?
– Nie mogę, bo go naprawdę nie posiadam, komisarzu. Podobnie jak nie posiadam domu, rodziny ani żadnej z tych rzeczy, które czynią ludzką egzystencję tak ograniczoną.

– To znaczy, że jesteś bezdomny, tak?
– Można tak powiedzieć. Nie posiadam domu na tej ziemi. Jestem po prostu aniołem.

Hubert jęknął z rezygnacją. To naprawdę ostry wariat! Powinien go przesiłuchiwać psychiatrę, a nie policjant.

– Jeśli jesteś aniołem, dlaczego pozwoliłeś się złapać? Dlaczego siedzisz tutaj przede mną, zamiast olśnić mnie światłością i spokojnie odejść?

– Na cały okres od wczorajszej północy po ostatnie bicie zegara dzisiaj zostałem pozbawiony zwykłej mocy. Tego, na co mnie stać, nie wystarczy, by się samemu wyzwolić. Jutro, już niedługo, narodzi się Dziecię. Przez cały dzisiejszy dzień siły światła i ciemności są słabe i pozostają w równowadze. Gdyby było inaczej, nie musiałbym zabijać wysłannika sił ciemności w tak obrzydliwy ludzki sposób.

Mikosz miał ochotę złapać się za głowę. Takiego bełkotu nigdy jeszcze nie słyszał w swojej prawie już piętnastoletniej karierze. A zdarzały się przecież różne rzeczy.

– Czy regularnie popełniasz te zbrodnie w kościołach? Gdzie byłeś w zeszłym roku o tej porze?

– W Gdańsku.

Komisarz zerknął w notes. Tak... to było morderstwo u Świętej Doroty.

– A dwa lata temu?

– W Berlinie. Możesz nie sprawdzać. Jeśli zerkniecie w międzynarodowe spisy, znajdziecie tam pod datami z dwudziestego czwartego grudnia różnych lat Lyon, Boston, Rzym, Mediolan, Kraków... nawet małe Granville.

– To wszystko ty?!

– Można tak powiedzieć.

Dobra, Hubert przygryzł lekko dolną wargę, przyznanie się do winy przyznaniem, ale to już gruba przesada! Niedługo gość zezna, że jest odpowiedzialny za Oświęcim, Dachau, a może i cały holokaust!

– Zawsze tym samym szpikulcem do lodu i różańcem?

– Nie zawsze tym szpikulcem. Bywał to sztylet, pistolet z tłumikiem, kord, tasak, nawet dwuręczny miecz. Ale różaniec tak, zawsze ten sam.

Hubert miał przedtem okazję dokładnie przyjrzeć się bursztynowym kamykom. Nierówne i toporne sprawiały wrażenie, jakby oszlifował je nieporadny rzemieślnik. Połączone plecionym w żmijkę srebrnym łańcuszkiem nie wyglądały na narzędzie mordu. Powinny się rozerwać przy pierwszej próbie duszenia. Ale przecież sam widział skutki. Różaniec był nad podziw wytrzymały.

– Dlaczego akurat różaniec? Nie lepszy byłby chociażby krawat? Albo pończocha?

– Mówiłem już przedtem. Bestię we wszelkich jej przejawach, w najbardziej nawet niebezpiecznej albo wręcz przeciwnie, pozornie niewinnej postaci może w takim dniu zabić tylko atrybut Wielkiej Pani.

Wariat, regularny wariat! Świr, zboczeniec, jakiś cholerny fanatyczny fundamentalista katolicki! Kult Matki Boskiej w jego chorym umyśle podniesiony został do rangi osobnej religii!

– Sprawdzimy wszystko, kiedy przyjdą wyniki z laboratorium...

– Nie przyjdą. Bo różaniec nie trafi do laboratorium.

– A gdzie ma trafić, twoim zdaniem? – Uparte konfabulacje mordercy zaczynały go drażnić.

– Nim nastanie jutro, jeśli nic nie zrobimy, będzie go miał przy sobie wysłannik bestii.

– Przecież zabiłeś bestię. Sam tak twierdzisz.

Ciekawe, czy błąd logiczny zmiesza tego szaleńca. Nic z tego.

– Odrodziła się w nowej postaci. Jej imię brzmi przecież Legion.

No tak, cytat z Pisma. Taki na wszystko znajdziesz odpowiedź.

– A na co diabłu twój różaniec?

Cholera, przeleciało mu przez głowę, po co ja zadaję w ogóle te pytania? Przecież to najzwyklejsze idiotyczne!

– Bestia dziś może go trzymać w dłoniach bezkarnie. Lecz skoro tylko Pan narodzi się i zakwili, ogniwa zaczną palić niepowołane ręce. Ale zły nie chce do tego dopuścić. O północy ten różaniec wskaże mu miejsce narodzin. Tym samym różańcem zgaś życie małego Boga, jeśli nie przybędę w odpowiedniej chwili.

To nawet interesujące. Hubert obliznął wargi. Szkoda, że stary nie poświęcił się literaturze zamiast zabijaniu. Miałyby niezły pomysł na powieść.

– Możesz mi to bliżej wyjaśnić? Myślałem, że Bóg narodził się dwa tysiące lat temu, potem został zgładzony i koniec.

Michał odchylił się na oparcie krzesła.

– On musi się rodzić każdego roku na nowo. Zło odradza się bowiem nieustannie, bez przerwy stara się zawładnąć światem. Wy, ludzie, myślicie, że Bóg zesłał Syna tylko raz. Ale On musi go zsyłać wciąż na nowo... Wam, ludziom, wydaje się, że jest Bóg i jest diabeł. Ale to nieprawda. Jest dobro i zło. Dobro ma tylko jedną postać, jedną twarz. Zło może się wcielić w każdego: w człowieka mijanego na ulicy, w przyjaciela, żonę, nawet twoje własne dziecko. To jest zło starsze niż świat. Jest równie stare jak sam Bóg. I wciąż walczy z nim o panowanie nad wszelkim bytem. Próbuje zakłócić świętą równowagę. Dlatego Bóg musi się odradzać co roku. A jeżeli choć raz bestia zdoła temu zapobiec... lepiej, żebyś nie wiedział, co może się wtedy wydarzyć.



– Żartujesz? – Wiliński miał oczy wielkie jak spodki. – Ten jego różaniec sam zamknąłem w sejfie, widziałeś przecież. Zaraz, jak tylko przyjedzie ktoś z laboratorium, pójdzie do ekspertyzy. Nie ma go żadna bestia ani inna cholera, chyba, żeby akurat dzisiaj zamieszkała w szafie pancерnej.

– Wolałbym, żeby go zabrali już teraz – mruknął Hubert. – To wszystko jednak mnie trochę niepokoi.

– Laboratorium jest zamknięte na trzy spusty. Mamy sprawcę, więc nie muszą się specjalnie spieszyć. Zresztą sam wiesz, jak oni pracują. A poza tym, człowieku, czy ty uwierzyłeś, że dzisiaj jest ten wyjątkowy dzień, kiedy światłość walczy z ciemnością? Że jeżeli szatan uniemożliwi narodziny Boga, nastąpi koniec świata? Może zbyt długo przebywałeś w towarzystwie tego wariata!

Hubert ze świstem wypuścił powietrze.

– Masz rację. Ale pokaż mi ten różaniec. Chcę go zobaczyć, tak ze zwykłej ciekawości.

Marek wytrzeszczył oczy jeszcze bardziej.

– Klucz jest przecież na dole, zadołowany w głównym sejfie. Mam dla twojego widzimisię ściągać od oficera dyżurnego pozwolenie? I co mu powiem? Że mojemu koleśowi udzieliło się od przesłuchiwanego totalne popieprzenie?

– No tak. – Mikosz przeczesał palcami włosy. – Masz rację. Chyba mi rzeczywiście zaczyna odbijać.

– Co tam jeszcze ciekawego mówił nasz aniołek?

– W sumie wszystko sprowadza się do tego, że musi kontynuować misję walki ze złem. Oczywiście, inaczej świat przestanie jutro istnieć.

– Kurna, powinien w takim razie rozwinąć skrzydła i odlecieć.

– Twierdzi, że nie może. Zabił głównego wysłannika bestii, ale zło mimo wszystko może udaremnić nadejście Syna Bożego.

– Cholera, może to członek jakiejś Sekty Walki z Szatanem w wigilię Bożego Narodzenia! Dokąd zmierza ten świat?

– Nie żartuj sobie. Najgorsze, że facet jest bardzo przekonujący.

– Jak każdy rzetelny wariat. I co, przekonał cię?

– Nie kpij. Zaraz do niego wracam.

– Może cię zastąpić?

– On nie zechce z tobą rozmawiać, przynajmniej na razie. Uparł się i nic mu tego z głowy nie wybije.

Marek wzruszył ramionami.

– No, to jestem rozgrzeszony. I zadowolony, że nie muszę się z nim użerać. Wolę popatrzeć na panienki. Ci z obyczajówki zwinęli ostatnio bardzo fajne świerszczyki. Podrzucili mi parę. Ale taśmy zostaw. Może posłucham sobie bredzenia naszego anioła, rzecz jasna, jeśli będą się bardzo nudził.



Michał powolnym ruchem rozmasowywał twarz. Kajdanki pobrzękiwały przy każdym ruchu. Mruzczał coś pod nosem. Nagle podniósł głowę i powiedział głośno, dobitnie, wyraźnie akcentując każde słowo:

*– Za burzą wraz się burza zrywa
Z łądów na morza, z mórz na łąd,
Szalejąc łączy jak ogniwa
Nierozzerwalny działań prąd;
Tam się zniszczenia żagwie palą,
Gdy z grzmotem gromu błyszczą skra:
Lecz słudzy Twój, Panie, chwałą
Ukojne drogi Twego dnia².*

Hubert potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– Co to ma być? Czy od tej chwili zamierzasz rozmawiać ze mną wierszem?

– To „Faust”. Kwestia archanioła Michała z prologu w niebie – uśmiechnął się. – Rzecz jasna, mój ulubiony fragment tego dzieła.

Hubert spojrzął z niedowierzaniem. Ten morderca był naprawdę co najmniej zastanawiający.

– Jako archanioł powinieneś chyba raczej śpiewać psalmy, a nie cytować wiersze śmiertelników.

– Psalmy, wiersze, poematy... Przecież wszystko to wyłącznie dzieło ludzkich umysłów. Piękne jednak dzieło, trzeba przyznać. Na miarę majestatu Pana.

Hubert, kiedy wszedł, zamierzał zadać dziesiątki pytań. Jednak zachowanie mordercy zupełnie wybiło go z rytmu.

– Niedobrze, że opowiedziałeś wszystko tamtemu – odezwał się Michał. – Bardzo niedobrze.

– Skąd wiesz, że opowiedziałem?

– Nie trzeba być aniołem, żeby zgadnąć.

– A dlaczego niedobrze?

– Mówiłem już. Zło czai się wszędzie, tkwi w ludziach, którym ufasz. Nie wiesz, kiedy nadstawia ucha, szpieguje i judzi...

– I tak by się wszystkiego dowiedział, chociażby z nagrania.

– Ale może nie dzisiaj, nie w tej chwili. A poza tym przecież mówiłem, że na taśmach nic nie ma... No tak – zreflektował się – przecież ty mi nie wierzysz. Szkoda. Która godzina?

– Zaraz jedenasta.

– Czyli już niedługo. Pozostało mi niewiele czasu. Wiesz, gdzie jest w tej chwili mój różaniec? Chcę ci o nim opowiedzieć.

– Został zamknięty w sejfie.

Michał parsknął pogardliwie.

– Sejf? A cóż to za przeszkoda? Możesz być pewny, że w odpowiedniej chwili znajdzie się w ręku bestii. Ona chce wiedzieć pierwsza, czy będzie górą, czy zostanie zmuszona, aby nadal...

– Mam dość twoich bredni! Odpowiedz na moje pytania!

– Ten różaniec – Michał nie zwrócił uwagi na wybuch komisarza – to... Nie, tego nie zrozumiesz. Powiem inaczej. Trzeba się z nim modlić nie tylko w Wigilię, ale też każdego innego dnia, kiedy szatan zastawia sidła. Trzeba się modlić, aż bursztyny staną się gładkie na podobieństwo paciorków każdego innego różańca. Wtedy dopiero przyjdzie ta chwila...

Zamilkł, a jego wzrok stał się nieobecny, jakby wpatrywał się gdzieś w dal, a twarz rozjaśnił mu uśmiech – radosny, przypominający uśmiech dziecka, które znalazło pod choinką wymarzony prezent.

Oczy dziecka, pomyślał ze złością Hubert, uśmiech dziecka... Opowiada o jakiejś straszliwej bestii, a to właśnie on jest prawdziwym potworem!

– Co wtedy? Dokończ.

Michał spochmurniał.

– Nie wiem. Albo Pan uczyni coś z tym światem, albo... naprawdę nie wiem. Wiem tylko jedno. Że będę mógł wreszcie odpocząć. Jednak teraz nie ma sensu o tym mówić. Złe wykonałem zadanie, nie ma mnie tam, gdzie powinienem się znajdować w tej chwili.

– To znaczy gdzie?

– W pobliżu tajemnego miejsca kolejnych narodzin Pana. Równie o północy, kiedy ta część Ziemi odwróci oblicze w stronę otchłani, powinienem stać tam ze świetlistym orężem i bronić wstępu złym mocom.

– Mam rozumieć, że ponieważ cię tam nie będzie, świat ogarną ciemności, a szatan obejmie go we władanie? Nie ma żadnej nadziei? – Hubert uśmiechnął się drwiąco. – Naprawdę żadnej?

Michał patrzył na niego uważnie.

– Nadzieja jest zawsze. Bestia usidlila mnie wprawdzie, ale jest jeszcze czas. Zwróć mi wolność, a wszystko potoczy się jak zawsze. Narodzi się Dziecię i z moją pomocą rozedrze zasłony ciemności.

– Chcesz, żebym cię wypuścił? – zawołał z niedowierzaniem policjant. – Jesteś bardziej szalony, niż przypuszczałem! A wszystko, co tu robimy, to nie przesłuchanie. To jakaś farsa! Wyobrażasz sobie, że zdejmę ci kajdanki, wyprowadzę z aresztu i czule pożegnaj?

– Nie rozumiesz. Nie chcę, żebyś mnie wypuścił, ale uwolnił. Dzisiaj aż do północy jestem uwięziony w tej postaci. Do ostatniego uderzenia zegara nie mogę ujawnić swojej prawdziwej natury. Wigilia to taki straszny czas, który trzeba przetrwać do północy.

Wzrok aresztanta powędrował w stronę kabury pod pachą komisarza. Do Huberta nagle dotarło znaczenie słów mordercy.

– Chcesz, żebym cię zabił?! Ty cholerny świrze!

– Nie w tej chwili. Wystarczy o północy. – Michał zachowywał kamienny spokój. – Masz czas, nim wybrzmi ostatnia sekunda dzisiejszego dnia. Uwolniony z pęt ludzkiego ciała natychmiast przeniosę się tam, gdzie bezradne w pierwszej godzinie życia dziecko będzie potrzebowało mojej ochrony.

Hubert nagle pozazdrościł Markowi. Nie musi się z tym babrać. Siedzi w biurze, ogląda pornole i telewizję na przemian albo pęka ze śmiechu, przesłuchując taśmy i słysząc, co ten szajbus przedtem naopowiadał. Niech teraz on przyjdzie i trochę się pomęczą.

– A z takim rozmawiał nie będę – oznajmił nagle Michał.

Hubert potrząsnął głową z niedowierzaniem. Co ten tutaj wyprawia, czyta w myślach? Zresztą nie, zaraz przyszła refleksja, przecież można się domyślić, że ja mam dosyć, a na przesłuchanie przyjdzie ten drugi. Patologiczni mordercy są z reguły bardzo inteligentni. Zerknął na magnetofon. Kolejna kasetka skończy się za kilkadziesiąt sekund. Która to już? Czwarta czy piąta? Boże, tyle godzin jałowego gadania z szaleńcem! Machinalnie klepnął przycisk, wyjął nagraną i włożył świeżą taśmę. Wstał, ruszył w stronę drzwi.

– Kiedy przyjdzie czas – rzucił jeszcze Michał – zrozumiesz wszystko. Jednak módl się, by wtedy nie było za późno.



Hubert wyszedł na korytarz i zatrzymał się. Zerknął na drzwi po lewej. Stanowisko obserwatorów ukrytych w pomieszczeniu za weneckim lustrem. Po chwili wahania nacisnął klamkę. Mrok panujący w pokoiku rozjaśnił jedynie mdły poblask płynący z sali przesłuchań. Stanął przy szybie. Po drugiej stronie morderca siedział spokojnie za obskurnym stołem. Patrzył przed siebie tym spojrzeniem niewinnego dziecka, sztywny i nieruchomy. Cholerny wariat, pomyślał komisarz. Zachowuje się jak jakiś pieprzony kosmita. W tej chwili Michał zaczął powoli odwracać głowę. Policjant miał wrażenie, że słyszy pracę mięśni, jakby to były mechanizmy poruszające ciałem. Wydawało mu się, że ruch trwa nie sekundę, ale całe minuty. Oczywiście szaleńca spoczęły na lustrze. Hubert wciągnął głośno powietrze i cofnął się pół kroku. Miał wrażenie, że tamten widzi go, jakby stał nie za maskującym lustrem, ale za zwykłą szybą.

Odwrócił się w kierunku wyjścia i skoczył jak oparzony. Za nim stał Marek.

– Nie słyszałem, jak wchodzisz.

– Nie dziwię się. Tak byłś zapatrzony w naszego archaniołka, że nic do ciebie nie docierało. A ja przyszedłem posłuchać, jak sobie gawędzicie.

– Pieprzę to – mruknął Hubert, krzywiąc się z niesmakiem. – Sam sobie idź z nim pogawędzić. A ja pooglądam telewizję.

– Idź, baw się dobrze. Ja popatrzę, zastanowię się, ale nie wiem, czy mi się chce z nim gadać. Poczekajmy do północy, a potem zakłócimy szefuńciowi spokój domowego ogniska.

– Jak uważasz. – Mikosz wzruszył ramionami. – Słuchałeś nagrań?

– A na cholere? – Marek lekceważąco machnął ręką.



Na biurku panował zwykły bałagan. Papiery, długopisy, ołówki, jakiś zapomniany segregator, słowem – góra śmieci. Jedyнным nowym elementem były leżące na samym brzegu kasety. Dobrze, że je dostrzegł, bo przy najmniejszym ruchu w całym tym bajzlu, mogły się zsunąć do kosza na śmieci. Hubert pomyślał, że Wiliński potraktował je z dziwnym lekceważeniem. Przecież na podstawie nagrań trzeba będzie sporządzić protokół, dołączyć taśmy do materiałów dochodzeniowych. Pokręcił głową. Trzeba będzie ochrzanić partnera. Balickiego nie interesowałoby zupełnie, który z nich jest winnie zaniedbaniu. Inspektor zawsze stosował prawo odpowiedzialności zbiorowej, zgodnie z zasadami starej nomenklatury. W jego umyśle, jak było niegdyś, tak będzie teraz i zawsze, i na wieki wieków... Amen.

Zgarnął plastikowe pudełka, wrzucił je do szuflady. Przy tym ruchu wyczuł kanciasty przedmiot w kieszeni na piersi. No tak, świeże nagranie. Przez chwilę obracał w palcach kasety.

Jak to powiedział Michał? A raczej sugerował? Żeby go uwolnić... zabić, zanim upłynie ostatnia sekunda dzisiejszego dnia... Jak to dokładnie szło? Załadował kasety do odtwarzacza. No proszę, jednak Wiliński wygrzebał go spod sterty papierzyisk i podłączył do gniazdka. Czyli odsłuchał przebieg przesłuchania. Po co się w takim razie wypierał? Hubert przewinął taśmę kilka minut do tyłu.

– *...to nie przesłuchanie. To jakaś farsa! Wyobrażasz sobie, że teraz zdejmę ci kajdanki, wyprowadzę z aresztu i czule pożegnaj?* – usłyszał swój poirytowany głos.

Jakoś nie mógł przywyknąć do jego brzmienia przetworzonego przez głośnik. Zawsze zdawało mu się, że mówi ktoś obcy. Teraz czekał na odpowiedź mordercy. Na próżno. Cisza. Dopiero po chwili znowu on:

– *Chcesz, żebym cię zabił?! Ty cholerny świrze!*

I znowu cisza. Cisza aż do końca. A przecież Michał mówił potem jeszcze...

Cofnął nagranie do początku. Cholera, tylko jego pytania i kompletna cisza. Jakby był w tamtym pomieszczeniu zupełnie sam! Ale się Balicki wścieknie! Zaraz! Przecież to niemożliwe, żeby mikrofon był źle ustawiony! Czując wzbierającą falę paniki, rzucił się do szuflady po poprzednie taśmy.



Michał wsparł tył głowy o twarde oparcie krzesła. Czuł ogromne znużenie i pustkę.

– Gdzie jesteś, bestio? – zamruczał cicho. – Gdzie się kryjesz? Czekasz pewnie, aż nadejdzie północ. Czekasz na odpowiedź.

Wlepił oczy w upstrzony plamami sufit.

– Mój różaniec. Pozbawiłeś mnie broni, podstępny demonie.

Cicha noc, święta noc...

Gdzieś tam, na górnym piętrze budynku, zebrali się pełniący dzisiaj dyżur policjanci. Śpiewają, radują się na tyle, na ile to możliwe podczas psiej służby. Tak... W wigilijną noc nie będzie wiele pracy. W tym czasie nawet przestępcy starają się być lepsi niż zazwyczaj. Tak piękna noc i zarazem tak straszna. Gdyby ci ludzie wiedzieli choć część tego, co on, byłiby tak przerażeni, że nie mogliby oddychać... Ciekawe, czy

ten, który go przesłuchiwał, dołączył do śpiewających. Ciekawe, czy i ten drugi tam poszedł. Nie, na pewno któryś z nich musiał zostać. Może nawet obaj. Cóż zresztą za różnica. Wyprostował się, zerknął na krępujące go kajdanki, potem znowu odchylił się i zamknął oczy.

– Panie mój, czemu nic nie uczynisz? Ty, który stworzyłeś ten świat wraz z jego złem i dobrem, Ty, co potrafisz stwarzać i ujarzmiąć wszelkie żywioły, czy znowu pozostaniesz bierny? Czyż nie dość już niepewności?

– Na próżno wzywasz swego pana, Michale. On siedzi wysoko na tronie i czeka w półuspianiu na kolejne odrodzenie się w nowym człowieku. Lecz dziś czeka na próżno!

– To ty, bestio. – Michał nie poruszył się, nie otworzył nawet oczu. – Czekasz w strachu, rachujesz, czy twój plan się powiedzie?

– Mój plan? – Cichy śmiech. – Dałeś się dzisiaj złapać jak nowicjusz, aniołku. Zupełnie jakbyś mnie nie znał. A twój cenny różaniec jest już tutaj, ze mną.

Michał drgnął, ale nie zmienił pozycji.

– Słyszysz, marny sługo? Jest tu ze mną, a kiedy minie północ, po raz pierwszy zdążę dotrzeć przed tobą tam, gdzie się narodzi mały Bóg... Zaś ten przedmiot, na którym widać jeszcze smugi krwi, stanie się moim trofeum, pamiątką po starym porządku świata. Dzisiaj nie spłonę w ogniu jego odradzającej się mocy. Nie będzie odkupienia, nie będzie ofiary z jedynego sprawiedliwego człowieka, nie zatkacie mi ust ani nie zasłonicie oczu jego dobrocią i poświęceniem. Zło i dobro... – Śmiech stał się głośniejszy, nabrał zgrzytliwych tonów. – Czym są zresztą te pojęcia? Zło, dobro... Dziś znowu zabięś w imię dobra, żeby ratować życie Dziecka, jak co roku. Pamiętasz, co dzieje się potem? Gdy nadchodzi czas ukrzyżowania, ja chronię to samo Dziecię, a ty albo któryś z twoich braci doprowadzasz je do śmierci, tłumacząc się znowu dobrem wszystkich ludzi. Spójrz i rozważ – ja, którego nazywasz czystym złem, nie zabijam nikogo. Ty, co służysz dobru, pomagasz zgładzić jedyną sprawiedliwą istotę na całym świecie. Kto z nas jest prawy?

Michał uniósł lekko głowę.

– Szatańskie argumenty, szatańska logika. Zamierzasz zamordować niemowlę. I nie kto inny, jak ty, każdego roku zmuszasz mnie do zabójstw. Dlaczego nie dałeś spokoju nawet staruszce? Gdyby nie ty i twoje...

– Gdyby nie ja, wszystko na świecie byłoby pozbawione sensu.

– Odejdź, bestio. Chcę w skupieniu porozmawiać z Bogiem.

– Liczysz jeszcze, że ktoś, może nawet On sam, cię uwolni? Zapomnij, marny robaku. Jedyne, który mógłby to uczynić, miota się teraz ogarnięty gorączką i strachem. Nie wierzy w twoje słowa. Nie myśli o tobie, ale o swojej karierze, o gniewie przełożonych.

– Wielkie jest miłosierdzie Pana. Wielka Jego moc.

– Nie aż tak wielka. Nie dzisiaj.



Wszedł do pokoju za weneckim lustrem. Sączący się z sali przesłuchań poblask wydobywał ostry profil Marka uważnie obserwującego człowieka za szybą. Wiliński rzucił mu szybkie spojrzenie.

– Wiesz, która godzina? Już za pięć minut północ.

– Wiem. Duszno tutaj. Uchyłę okno.

Mroźny powiew wtargnął orzeźwiająco falą. Hubert oparł głowę o lodowatą framugę, milczał przez dłuższą chwilę.

– Marek, słuchałeś tych taśm?

– Tam nie ma czego słuchać. Brednie szaleńca, sam mówiłeś.

– Tak, brednie szaleńca.

Popatrzył na więźnia. Michał wyglądał, jakby zapadł w drzemkę. Oddychał równo, głęboko.

– Brednie szaleńca – powtórzył Hubert. – Ale słuchałeś czy nie?

– O co ci chodzi? Co za różnica?

– To dla mnie ważne.

– Odczep się, człowieku! Odbiło ci chyba!

– Odpowiedz!

Wiliński wstał, podszedł na dwa kroki, zajrzał koledze w oczy.

– Odwal się, dobrze? Myślałem, że doczekam spokojnie jutra, ale z dwoma wariatami będzie to trudne nawet przez ostatnie kilka minut.

Odwrócił się gwałtownie, ruszył do drzwi.

– Idę do tego psychopaty. Jego brednie są jednak ciekawsze niż twoje! I mam błogą pewność, że on naprawdę jest pieprznięty. A co do ciebie, jeszcze nie mam wyrobionego zdania.

Hubert został sam. Westchnął ciężko. No, to sobie narobił! Wpadł w panikę i wyszedł na durnia. Zapewne zaraz po świętach Wiliński poprosi o przeniesienie.

Po drugiej stronie szyby otworzyły się drzwi. Marek wszedł, usiadł naprzeciwko Michała.

– Ostatnie sekundy Wigilii – dobiegło z głośnika. – Nikt cię już nie uwolni.

Aresztant uchylił powieki.

– Co ma się stać, niech się stanie. Niech już przeminie ten straszny czas do północy.

Hubert poczuł nagłe ukłucie koło serca. Straszny czas do północy? Morderca już przedtem to mówił. Ale nie tylko on, ktoś jeszcze tak dzisiaj powiedział... Kto?

Skołatany umysł pracował z ogromnym wysiłkiem. Kto?

Ratuszowy zegar zaczął wybijać północ.

Jeden...

– Nie pozostało wiele czasu – powiedział Wiliński.

Dwa...

– Wystarczy sekunda – odparł Michał. – Ułamek sekundy.

Trzy...

Straszny czas do północy... Kto to przedtem powiedział? Hubert otarł pot z czoła. Co za dziwna rozmowa między tamtymi za szybą...

Cztery...

– Niedługo będzie z tobą spokój. – Marek podrapał się po policzku. – I świat stanie się taki, jaki powinien być.

Pięć...

– Niedługo wszystko będzie jasne. – Michał znowu zamknął oczy.

Sześć...

Hubert już wiedział, od kogo usłyszał słowa o strasznym czasie do północy – wypowiedział je Marek podczas przykrej rozmowy o Bożym Narodzeniu. Ale to przecież bez sensu!

Siedem...

– Żałujesz? – Wiliński wyciągnął ręce, położył je na stole. Rękawy marynarki zsunęły się prawie do połowy przedramion.

Osiem...

Co za dziwna rozmowa, znowu przeleciało przez głowę Hubertowi. Ale i moje przesłuchanie przecież nie wyglądało chyba wiele lepiej.

Dziewięć...

– Nie mam czego żałować.

– To już koniec. Lepiej pożałuj.

Hubert potrząsnął głową. Przyskoczył do szyby. Co tam połyskuje na rękę Marka? Wstrzymał oddech. Jezu Chryste, przecież to... to niemożliwe! Ale przecież...

Dziesięć...

– W ostatniej sekundzie. – Michał poderwał głowę, spojrział w lustro, jakby rzeczywiście mógł przeniknąć je wzrokiem. – Wystarczy mnie uwolnić w ostatniej sekundzie! Ale trzeba to zrobić!

Tak, Wiliński bez wątpienia trzyma bursztynowy różaniec! Chwila olśnienia. Imię bestii Legion, nigdy nie wiadomo, jaką przybierze postać! Hubert sięgnął do kabury. Boże, żeby tylko ten przekłety zatrask nie zaciął się właśnie w tej chwili! Palce dotknęły chłodnej stali.

Jedenaście...

– To koniec, Michale – powiedział Marek.

Złotawy poblask bursztynu. Nieubłagany upływ czasu... Panie, daj siłę, udziel choć odrobiny swojej mądrości... Boże... Boże! Boże!!! Wyszarpnął broń. Drzenie rąk, szcęk odciąganego zamka. Strzelić, czy nie? To przecież szaleństwo, zupełne szaleństwo. Tam jest tylko patologiczny zbrodniarz i zwyczajny policjant! Marek. Marek? Na pewno? Skłębione myśli, potworny, zwierzęcy strach. Co robić?! Boże, dopomóż!

Dwana...

1 Apokalipsa Świętego Jana 16,16 [w:] „Biblia Tysiąclecia” Warszawa-Poznań 1980.

2 Johann Wolfgang Goethe: „Faust” [w:] „Dzieła wybrane”, Warszawa 1954, tłum. Władysław Kościelski.

Książki Rafała Dębskiego wydane nakładem naszego wydawnictwa

1. Czarny Pergamin
2. Kiedy Bóg zasypia
3. Serce teściowej
4. Łzy Nemezis
5. Zoroaster. Gwiazdy umierają w milczeniu
6. Wilkozacy. Wilcze prawo
7. Wilki i orły
8. Wilkozacy. Krew z krwi



Rafał Dębski – rocznik '69. Debiutował w 1998 roku w „Nowej Fantastyce” opowiadaniem *Siódmy liść*. Pisarz wszechstronny, dobrze czuje się zarówno w czasach, kiedy Słońce było Bogiem, jak i kiedy człowiek stał się zdobywcą tysięcy Słońc. W latach 2009 – 2012 redaktor naczelny miesięcznika „Science Fiction, Fantasy i Horror”.

Z wykształcenia i wykonywanego zawodu psycholog, pracuje w gimnazjum, zmagając się ze skutkami lekkomyślnej reformy oświaty. Obok pisania książek jego wielką pasją jest historia, przez którą, niczym w krzywym zwierciadle, postrzega ludzi – ich postawy, emocje, motywacje.

Ma wielki apetyt na życie. Chciałby osiągnąć wiele i żyć tak, aby nie żałować... Najlepiej nie żałować niczego. Niestety, natura wpisała mu w geny dawkę lenistwa. To przesądza o tym, że nie boi się wyzwań i dużo pracuje. Bo dzięki temu może jak najszybciej uporać się z tym, co tak czy inaczej musi być

wykonane. Niestety, jak już się zdążył przekonać, to działa w obie strony. Praca, niczym owa Ciemność, dostrzegła go, pokochała i zawsze wie, gdzie Rafała znaleźć, dopaść i usidlić.

Z Fabryką Słów opublikował powieści *Czarny Pergamin* (2006), *Kiedy Bóg zasypia* (2007), *Zoroaster. Gwiazdy umierają w milczeniu* (2010), *Wilkozacy. Wilcze prawo* (2010), *Wilkozacy. Krew z krwi* (2012), zbiory opowiadań *Serce teściowej* (2008) oraz *Łzy Nemezis* (2009). Jego teksty znalazły się także w czterech najlepszych antologiach Fabryki Słów.

COPYRIGHT © BY Rafał Dębski
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2008

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-417-0

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Paweł Zaręba

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Marta Żurawska

REDAKCJA Małgorzata Koczańska

KOREKTA Jolanta Aleksandrowicz, Barbara Caban

SKŁAD Dariusz Haponiuk

SPRZEDAŻ INTERNETOWA

fabryka
ponad norme  .pl



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00

www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 2519
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

MAJSTERSZTYK SPOD RĘKI STWÓRCY.
CHOĆ I SZATAN WTRĄCIŁ SVOJE
TRZY GROSZE...



1. mózg, waga:
150 - 200 g

Serce. Skrywa tajemnicę tak piekielną,
że utajnioną na 666 lat.

Umysł. Lotny niczym u smoka, który
wie wszystko, co wredny gad wiedzieć
powinien. Ona wie więcej...
Superkomfortowe warunki mózgu
pomieszczą cały legion demonów
pod wodzą samego Jusufa ibn Eblisa.

Miotła. Jej ciosu nie zdzierżyłby sam
Strzygniew Strzegonia, wielmoża, który
się smokom nie kłaniał.



3. serce tęściowej

Serce tęściowej

RAFAŁ DĘBSKI

Patroni medialni



Współpraca
z
Fakty i Kłamstwa